UCIECZKA NA SZCZYT

RUTKIEWICZ, WIELICKI, KURTYKA, KUKUCZKA

Bernadette McDonald

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

UCIECZKA NA SZCZYT

Bernadette McDonald

WARSZAWA 2012

Spis treści

Prolog
1. Od kul do raków
2. Polityka wspinaczkowa
3. Wspinacze bez granic
4. Golonka
5. Potrójny sukces na Evereście
6. Od „Solidarności” do stanu wojennego
Fotografie do częśći szóstej
7. Razem czy osobno
8. Ten trzeci
9. Sztuka cierpienia
10. Góra śmierci
Fotografie do części dziesiątej
11. Wykuci ze stali
Fotografie do części jedenastej
12. Himalajski różaniec Kukuczki
13. Upadek giganta
14. Karawana do marzeń
15. Ostatnie wejście Wandy
Fotografie do części piętnastej
16. Najbardziej samotna korona
Epilog

Podziękowania

Historia polskiego himalaizmu – najważniejsze osiągnięcia w górach wysokich

Wybrana bibliografia i źródła

Przypisy

Metryczka książki

Prolog

Powtarzam ciągle, mają dar Polacy.
Nawet nadmierny. W czym im się nie darzy,
mają dar w rękach...

Günter Grass, „Pan Kichot”
(tłum. Zdzisław Jaskuła)

Tym, co uderzyło mnie od pierwszego wejrzenia, gdy stała przy barze z piwem w dłoni, było bijące od niej ciepło. Otaczało ją grono fanów, którzy słuchali jej opowieści, najpewniej o wspinaniu. Ruchem silnych, zniszczonych przez pogodę dłoni podkreślała czasem swoje słowa. Ale prawdziwa historia była wymalowana na jej twarzy.

Jej głęboko osadzone oczy o barwie mocnej kawy otaczała siateczka zmarszczek, które spowodowały śmiech oraz wysokogórskie wiatry. Wysokie czoło wieńczyła krnąbrna czupryna kasztanowych włosów. Szeroki uśmiech łagodził zarys mocnej polskiej szczęki.

Zbliżyłam się do baru, a ona rzuciła na mnie okiem.

– Cześć, zapraszam, masz ochotę na piwo? Jestem Wanda. Oczywiście wiedziałam, jak ma na imię. Spotkanie z nią było przecież jednym z powodów, dla których przejechałam pół świata na ten górski festiwal na Riwierze Francuskiej. Antibes to piękne miejsce, ale nie w grudniu.

Zamiast iść na wieczorne prezentacje filmowe, zostałyśmy przy barze we foyer, rozmawiając, śmiejąc się i dzieląc wspomnieniami

o znajomych.

Opowiadała o Jerzym Kukuczce, wybitnym polskim alpiniście, który zginął dwa lata wcześniej na południowej ścianie Lhotse. Ten łagodny heros był jednym z najbliższych przyjaciół Wandy. Spotkałam go jakiś czas temu w Katmandu, gdy wrócił z zimowego wejścia na Kanczendzongę, i ponownie w północnych Włoszech, gdzie spędziliśmy miłe trzy godziny podczas obiadu. Rozmawialiśmy też o innych: o Kurtyce, Diembergerze, Curranie... Dziesiątki historii, dużo śmiechu, hektolitry piwa.

Stojąc blisko Wandy, zobaczyłam, jaka jest drobna. Trudno było sobie wyobrazić, jak sobie radzi z wnoszeniem ciężkiego plecaka na szczyt. Była szczupła, wręcz delikatnej budowy, z wyjątkiem szczęki, no i oczywiście rąk – muskularnych i szorstkich.

Byłam zaskoczona jej ubiorem. Od polskiej gwiazdy oczekiwałam wyrazistego stylu – retro, traperskiego czy eleganckiego. Ona tymczasem miała na sobie dość przeciętne, źle dobrane ubrania z bawełny i polaru. Wróciła jednak właśnie z wyprawy na Dhaulagiri i być może nie miała czasu się ogarnąć, a co dopiero znaleźć ubiór stosowny do okoliczności.

Tego wieczoru musiałam zrealizować swój plan, który polegał na przekonaniu jej do wygłoszenia mowy otwierającej kolejny Banff Mountain Film Festival. Na tym między innymi polegała moja praca jako dyrektora tej imprezy. Zgodziła się z radością.

Rzuciłyśmy okiem na czuwającą w pobliżu Marion Feik, jej nadopiekuńczą menedżerkę. Porozmawiałyśmy w trójkę i uzgodniłyśmy, że Wanda pojedzie do Kanady w listopadzie 1992 roku.

Kilka godzin później, gdy publiczność opuściła kino, nadal stałyśmy przy barze, a po wypiciu kolejnych drinków

przeniosłyśmy się do opustoszałego już lobby, gdzie zapadłyśmy w wytarte skórzane fotele.

– Bernadette, chcę ci opowiedzieć o swoim planie – powiedziała Wanda. – Nazwałam go Karawaną do marzeń.

– Brzmi interesująco.

– Chcę być pierwszą kobietą, która wejdzie na wszystkie czternaście ośmiotysięczników. Wiesz, że już zdobyłam osiem? Chcę zdobyć resztę.

– No cóż, jeśli ktokolwiek może to zrobić, to właśnie ty.

– Zrobię to w osiemnaście miesięcy.

– Co takiego? Mówisz poważnie? To niemożliwe.

– Możliwe. Bo widzisz, szybko przemieszczając się między kolejnymi górami, nie będę tracić aklimatyzacji.

Odstawiłam szklankę i się nachyliłam.

– Wando, mówiąc serio, nie masz szans. To niebezpieczny plan. Rozmawiałaś o tym z innymi wspinaczami? Co oni sądzą?

Zaoponowałam ostro, bo choć sama nigdy nie stanęłam na szczycie ośmiotysięcznika, wiedziałam, że jej plan jest nierealny. Nikt nigdy nie zrobił czegoś podobnego. Wspinacze kolekcjonowali po jednym szczycie rocznie i tylko dwaj – Reinhold Messner i Jerzy Kukuczka – zgromadzili wszystkie czternaście.

Spytałam ją, skąd ten pośpiech i jak chce sobie poradzić ze zmęczeniem.

Marion rzuciła w moją stronę spojrzenie pełne zrozumienia. Słyszała te same wątpliwości już wcześniej, i to wiele razy. Widać było, że się ze mną zgadza.

Ale Marion nie miała wpływu na ten plan. To był pomysł Wandy, a Wanda się śpieszyła.

– Zbliżam się do pięćdziesiątki – powiedziała, odgarniając włosy z twarzy. – Zwalniam, nie aklimatyzuję się tak szybko jak dawniej,

więc muszę zadziałać strategicznie i zgrupować szczyty. Wiem, że mogę to zrobić. Potrzebuję tylko szczęścia do pogody.

Przestałam protestować. Nie było sensu się z nią kłócić.

Umówiłyśmy się na kontakt w najbliższych miesiącach, między jej kolejnymi ekspedycjami. Miała mnie informować o swoich postępach, tak bym mogła w odpowiedniej chwili uruchomić maszynerię promocyjną jej kanadyjskiego występu.

Wanda wysłała mi list lotniczy z Katmandu wiosną 1992 roku, tuż przed rozpoczęciem wyprawy na Kanczendzongę. To miał być jej dziewiąty ośmiotysięcznik.

Była pewna siebie, zdeterminowana i podekscytowana.

Życzyłam jej szczęścia.

Nigdy nie wróciła z tej wyprawy.

* *
*

Dwa lata później byłam w Katowicach, przemysłowym sercu Polski, gdzie pomagałam w organizacji festiwalu filmowego. Impreza ta odniosła ogromny sukces i zgromadziła setki widzów, którzy między projekcjami spotykali starych znajomych.

Atmosfera na widowni była elektryzująca pomimo ponurej polskiej zimy. Liczebność wspinaczkowej społeczności w tym zimnym przemysłowym regionie mnie zaskoczyła. Przybyli wyglądali na twardych, zahartowanych, skupionych ludzi. Byłam pod wrażeniem.

Pod koniec festiwalu dostałam zaproszenie od grupki wspinaczy z miejscowego klubu wysokogórskiego. Zapuszczony budynek pokryty był sadzą i pyłem, lecz w środku okazał się przytulny i pełen światła. Pito sporo wódki, a atmosfera była naładowana energią jak podczas koncertu rockowego.

Było tam wielu wielkich polskich himalaistów: Zawada, Wielicki, Hajzer, Lwow, Majer, Pawłowski i nie tylko. Znałam ich historie i patrząc im w oczy, byłam przekonana, że są wyjątkowi, a nawet wizjonerscy. Nieustraszenie wytyczali nowe drogi. Wydawali się też odporni na cierpienie, a wytrzymałość to podstawa sukcesu podczas bezlitosnych zimowych wejść na najwyższe szczyty Ziemi.

W klubie dało się też jednak wyczuć smutek. We wspomnieniach wciąż powracano do tych wspinaczy, którzy zginęli w ukochanych górach. Jednym z nich był Jerzy Kukuczka, drugim Wanda. Wyraziłam swój podziw do nich i powiedziałam, że miałam szczęście ich poznać, choć była to krótka znajomość. Usłyszałam wówczas wiele smutnych historii, głównie na temat Wandy.

– Oczarowała cię – powiedział do mnie jeden ze wspinaczy. – Miała też jednak inną twarz. Była twarda, wyrachowana, nieustępliwa, uparta jak osioł.

Zaprotestowałam. To jasne, że musiała być nieustępliwa, by przeżyć.

– Tak, to prawda – przytaknął mi inny wspinacz, gładząc swoje imponujące wąsy. – Ale była zbyt twarda, czasem przesadzała, nieustannie chciała się ścigać. Trudny zawodnik.

– Kochaliśmy ją, ale ona wydawała się tego nie zauważać. Myślała, że jest sama.

– Odpychała nas, ale my ją wielbiliśmy.

– Czy Kukuczka też był taki trudny? – spytałam.

– Nie, nie. On nie miał czasu na walkę. Był zbyt zajęty wspinaniem. Choć był taki moment, gdy wdał się w wyścig, no wiesz, ten z Reinholdem Messnerem. Każdy z nich chciał być tym pierwszym, który zdobędzie Koronę Himalajów. Na szczęście Kukuczka, gdy tego dokonał, wrócił do prawdziwej wspinaczki na wielkich ścianach.

– I to go zabiło – odparłam.

– To prawda. Ale on był prawdziwym wspinaczem, najlepszym w Polsce.

Opowiadali mi o tamtych dziwnych, szalonych latach komunizmu, gdy partyjne władze wspierały wspinaczy, szczególnie tych najlepszych.

Opowiadali z dumą o swej przedsiębiorczości, którą wykształcili, by zaspokoić himalajski nałóg.

Wspinaczka wiązała się wówczas z ryzykiem nie tylko w górach, ale też podczas prac, takich jak wysokościowe mycie czy malowanie budynków albo wdrapywanie się na śliskie, źle zabezpieczone kominy fabryczne, tak typowe dla panoramy Katowic. Praca ta była niebezpieczna nie tylko ze względu na ryzyko upadku, ale też z powodu wdychania trujących wyziewów.

W opowieściach przemycali aluzje o tym, jak lukratywny był wówczas przemyt. Ale czasy się zmieniły i teraz czuli się jak kamień, który odskoczył z sunącej na Polskę lawiny wolnego rynku.

Była trzecia nad ranem, gdy opuściłam klub.

Szliśmy przez wilgotne, nieoświetlone ulice, ale mimo przenikliwego chłodu tamtej nocy do dziś pamiętam ciepłą atmosferę spotkania. Po powrocie do Kanady często wspominałam wieczór w Katowicach – historie o wielkich wspinaczkowych sukcesach, planach na przyszłość i kolejnych ginących polskich przyjaciołach.

Intrygowały mnie sprzeczne opinie o Wandzie i innych wielkich wspinaczach. Niektórzy z tych śmiałków wydali mi się bardziej skomplikowani, niż to sobie wcześniej wyobrażałam. Szczególnie Wanda. Trudno było pogodzić jej wewnętrzne ciepło, którego sama zaznałam, z niejednoznacznym portretem, który wyłaniał się z opowieści.

Z czasem nie mogłam się pozbyć wrażenia, że byłam na stypie, nostalgicznym, słodko-gorzkim święcie mającym upamiętnić koniec czegoś wyjątkowego – złotej ery polskiego himalaizmu.

Rozmyślałam nad smutną i ponurą najnowszą historią Polski – sześćdziesięcioleciem pełnym okrutnej przemocy, ucisków i ogromnych wstrząsów, zakończonym cudownym odrodzeniem. Stałam wobec trudnej do rozwikłania zagadki, jaką była zdolność zgranej, przenikającej się wspinaczkowej społeczności do koegzystowania z opresyjnym państwem, które wydało najlepszych himalaistów na świecie. Czy ten ciężki czas był kuźnią ich ambicji, czy tylko hartował i szkolił ich w stoickim podejściu do życia?

A teraz Polska raz jeszcze przeszła ogromną przemianę – wygląda na to, że w dobrym kierunku. Zastanawiałam się, jak polscy wspinacze na to zareagują. Wszak lepsze życie mogło ułatwić im drogę w góry – albo przeciwnie, tylko ich rozpraszać.

To pytanie nurtowało mnie długo po spotkaniu w Katowicach. Ostatecznie postanowiłam zgłębić historię Polski, która stała się potęgą w światowym himalaizmie, i pogrzebać w sprzecznościach charakteru największych gwiazd złotej ery. Kim była naprawdę Wanda? Czy odpowiedź na to pytanie mogła pozwolić mi dotrzeć do serc i umysłów tej niesamowitej grupy ludzi, którzy, choć zostali ukształtowani przez własny kraj, nie dali się zamknąć w jego granicach?

Oto historia ich niezwykłej podróży przez wspinaczkę do wolności.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Od kul do raków

Niech twoje ścieżki będą wąskie, kręte, odosobnione,
niebezpieczne i prowadzą do najpiękniejszego widoku.
Niech twoje góry wznoszą się w chmury i ponad nie.

Edward Abbey, „Benedicto”
(tłum. Stanisław Gieżyński)

Szlak był wyboisty. Kamienie chwiały się pod stopami, a podstępne łaty lodu kryły się pod warstewką piasku. Ziemia drżała od ryku toczącej głęboko poniżej swe mroczne wody rzeki Braldu.

Wychudła kobieta o zapadniętych policzkach szła, utykając, a jej ciemne oczy przesłaniała mgiełka bólu. Zatrzymała się i oparła o kruchą skalną ścianę. Sięgnęła do kieszeni po dwie pigułki przeciwbólowe i wsunęła je między spieczone wargi.

Był rok 1982. Wanda Rutkiewicz, wtedy już najsłynniejsza himalaistka na świecie, specjalizowała się we wspinaczkach w zespołach kobiecych. To lato miało należeć do niej. Prowadziła grupę dwunastu kobiet. Wszystkie należały do czołówki taterniczek, wiele z nich było jej wspinaczkowymi partnerkami. Zamierzały wejść na K2 (8611 m), drugi najwyższy szczyt świata. Był tylko jeden problem – Wanda poruszała się o kulach. Rok wcześniej

roztrzaskała sobie kość udową w górach Kaukazu. Leczenie szło powoli i nie obyło się bez komplikacji.

Większość ludzi zrezygnowałaby z pomysłu wkuśtykania pod K2 o kulach, ale nie ona. Jak przystało na polską alpinistkę, była niewyobrażalnie zdeterminowana i nieustępliwa. Drugi szczyt świata był jej marzeniem i chciała zobaczyć go choćby z bazy.

Z grymasem bólu na twarzy szła stupięćdziesięciokilometrowym szlakiem, starając się nadążać za innymi. Jej kule chwiały się na ruchomych skałach i gdy balansowała na cienkim jak ołówek szlaku. Godzina za godziną, dzień za dniem. Mieszkańcy wiosek stawali osłupiali, gdy mijała ich ta niezwykle piękna kobieta.

Wanda parła przez dolinę Braldu. Lokalni tragarze, którzy znali ją z wcześniejszych ekspedycji, byli pod takim wrażeniem jej męstwa, że pisali na skałach: „Long live Wanda. Viva Wanda".

Po kilku dniach doszła do lodowca Baltoro, gdzie szlak stał się trudniejszy. Kamyki i głazy ustąpiły miejsca wielkim piargom.

Gdy kule się rozpadały, wyciągała z bagaży nowe. Na dłoniach miała strzępy skóry z porozrywanych pęcherzy, a pachy były starte do krwi.

Miała jeszcze kilka godzin drogi do bazy, gdy poczuła się skrajnie wyczerpana. Nieświadoma wspaniałości otaczających ją granitowych ścian osunęła się na kamień. Zaczęła masować nogę i cichutko popłakiwać. W tym stanie znaleźli ją idący za ekspedycją polscy wspinacze Jerzy Kukuczka i Wojtek Kurtyka.

Niezniszczalny i potężnie zbudowany Kukuczka nie mógł się powstrzymać – zgarnął ją i zaczął nieść, natomiast Wojtek, szczupły i żylasty, wziął kule. Zmieniając się, przenieśli Wandę do bazy.

Jurek nie miał wysokiego mniemania o kobietach wspinaczach, ale podziwiał Wandę. Wydawało mu się, że postrzegała wspinaczkę jako współzawodnictwo i dlatego wolała wspinać się z kobietami,

bowiem to z nimi chciała się porównywać. On, tak jak większość jego kolegów, po prostu chciał się wspinać.

Ale to Wanda miała dobre koneksje i załatwiła zezwolenia na K2, tylko z nią Wojtek i Kukuczka mogli się zabrać. Nie byli jednak zbyt zadowoleni z tego powodu.

Ponieważ Wojtek znał ją lepiej, to on wynegocjował miejsce w jej wyprawie. Obiecał, że nie będą szli tą samą drogą na szczyt co ona. Wiedział, że dla Wandy ważne jest, by jej wyprawa była stuprocentowo kobieca. Bała się, że ich udział będzie postrzegany jako wsparcie. W wersji dla władz pakistańskich obaj mężczyźni towarzyszyli kobiecej wyprawie jako ochrona w państwie muzułmańskim i fotoreporterzy. Takie było życzenie Wandy, które Wojtek akceptował.

W przeciwieństwie do jego bardziej wygadanych wspinających się kolegów ostrożnie ważył słowa. Jako dobry obserwator zwracał uwagę nie tylko na fakty, ale też na niuanse i uczucia.

Trzydziestokilkuletni Wojtek wywodził się z obytego, inteligenckiego środowiska, porozumiewał się w wielu językach i znany był jako wspinacz-filozof. Pochodził ze Skrzynki, małej wioski w zachodniej Polsce. Przed wojną leżała ona na terenie Niemiec. Na wsi, w otoczeniu natury spędził młode lata. Przeprowadzka do zrujnowanego wojną Wrocławia w wieku dziesięciu lat sprawiła, że popadł w dziecięcą depresję.

Studiowanie elektroniki nie polepszyło jego stanu ducha. Wszystko się zmieniło, kiedy zetknął się ze wspinaczką skałkową. Naturalne talenty sprawiły, że zdobył pseudonim „Zwierz". Wspinaczka stała się dla niego rodzajem nałogu, nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, jak bardzo się od niej uzależnił.

W przeciwieństwie do żylastego, dynamicznego niczym sprężyna Wojtka o rok młodszy Jurek Kukuczka był silny, krępy

i małomówny. Nie wyróżniał się niczym szczególnym, co najwyżej ciepłym i przyjaznym spojrzeniem. Urodzony w 1948 roku Jurek skończył technikum, a kilka lat później AWF w Katowicach. Pracował w branży górniczej, mocno obecnej w rejonie Katowic.

Jego życiem była jednak wspinaczka. W chwili gdy dotknął skał w wieku siedemnastu lat, poczuł przypływ energii, która popchnęła go w kierunku najwyższych szczytów świata. A tam był nie do zatrzymania.

Jurek, Wojtek i Wanda, legendy wspinaczki. Razem w Pakistanie z tym samym celem – wejść na szczyt uważany za najtrudniejszy z czternastu ośmiotysięczników.

Upór i motywacja sprawiły, że ta trójka znalazła się w gronie najbardziej podziwianych wspinaczy na świecie. Ich pozycja w żadnej mierze nie była dziełem przypadku. Zaczynali skromnie, lecz, jak często bywa w takich sytuacjach, ukształtowało ich dorastanie w brutalnej rzeczywistości kraju zniszczonego przez wojnę i niemiecką okupację oraz późniejszą dominację ZSRR.

Dorastanie w tych trudnych realiach wzmocniło charaktery Wandy, Jurka i Wojtka. Historia zahartowała ich ciała i umysły. Nie byli jedynie wspinaczami – byli polskimi wspinaczami.

* *
*

Losy Polski zostały przypieczętowane cztery lata przed narodzinami Wandy. W roku 1939, tuż przed wybuchem II wojny światowej, naziści podpisali z Sowietami umowę o nieagresji znaną jako pakt Ribbentrop – Mołotow. Układ stanowił, że III Rzesza i ZSRR nie będą się wzajemnie atakować, a wszelkie „problemy" rozwiążą na drodze pokojowej. Pakt miał według Niemców zminimalizować ryzyko prowadzenia przez nich wojny na dwóch

frontach. Sytuacji tej chcieli uniknąć za wszelką cenę, mając w pamięci doświadczenia poprzedniej wojny.

Nieagresja wspomniana w nazwie paktu zakrawała na kpinę, gdyż do układu został dołączony tajny protokół zatwierdzający rozbiór Polski i podział tej części Europy między Niemcy i Związek Radziecki. W przypadku ataku z zachodu pakt gwarantował Sowietom strefę buforową. Jego podpisanie sprowadziło na świat lata rozlewu krwi i okropieństw.

Niecałe dwa tygodnie po podpisaniu tajnego protokołu Hitler – wprowadzając w życie podstępny plan – ujawnił swoją obłudną strategię. 31 sierpnia 1939 roku niemieccy żołnierze zaatakowali niemieckojęzyczną rozgłośnię radiową zlokalizowaną w Gliwicach na Górnym Śląsku. Napad upozorowano – co najmniej jeden z podżegaczy nie był żołnierzem, tylko niemieckim kryminalistą, któremu w zamian za udział w akcji obiecano ułaskawienie.

Wypełniwszy misję, został on zamordowany przez prawdziwych żołnierzy SS, którzy zdjęli z niego zakrwawiony niemiecki mundur i przebrali go w uniform Wojska Polskiego. Ciało porzucili tak, aby niemiecka policja mogła je łatwo odnaleźć. Świat obiegła szokująca wiadomość: Polacy przeprowadzili niesprowokowany atak na III Rzeszę.

Odpowiedź wojsk niemieckich była z góry zaplanowana – nastąpił atak samolotów i wojsk lądowych. Po niecałym tygodniu Polska nie była już w stanie bronić swoich granic. Pod koniec drugiego tygodnia wojny Warszawa była okrążona, a przewaga liczebna agresora stała się druzgocąca: sto pięćdziesiąt polskich czołgów rzucono do walki przeciwko dwu tysiącom sześciuset pojazdów wroga, a czterysta polskich samolotów przeciwko dwu tysiącom niemieckich. Polacy jednak nie wpadli w panikę. Wiedzieli, że muszą wytrzymać jedynie kilka tygodni, nim wojska

alianckie, które zdążyły już wypowiedzieć wojnę III Rzeszy, rozpoczną ofensywę.

Jednak do żadnej ofensywy niej nie doszło.

Co więcej, 17 września 1939 roku, ku całkowitemu zaskoczeniu Polski i świata, ale zgodnie z ustaleniami tajnego paktu Ribbentrop-Mołotow, Sowieci przekroczyli wschodnią granicę kraju. Polski rząd opuścił Warszawę, zostawiając obronę miasta mieszkańcom. Bronili się przez następne dziesięć dni, było już jednak jasne, że Niemcy i Sowieci działają w zmowie. Nie było już gdzie się schronić. Wojsko Polskie straciło ponad sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, a sto czterdzieści tysięcy zostało rannych. Alianci nie nadeszli. Nie chcieli rozzłościć Sowietów walką w obronie Polski.

III Rzesza i ZSRR przystąpiły do podziału łupów. Sowieci okupowali północno-wschodnią część Polski, Rzesza zaś zajęła zachód kraju, natychmiast wprowadzając tam stan wojenny. Niemcy oznaczyli te tereny jako „obszar pracy", przewidując jedynie dwie kary za domniemane przewinienia – obóz koncentracyjny lub śmierć.

Obie strony wydawały się nienawidzić Polaków niemal równie silnie, jak nienawidziły Żydów. Jeden z dowódców nazistowskich Heinrich Himmler przemierzał kraj, starając się sklasyfikować, posegregować i ujarzmić ludność. Wieś po wsi zmuszał mieszkańców do rejestracji u nazistowskich władz. Te z kolei wydawały dowody tożsamości, pozwolenia na pracę, a nawet kartki żywnościowe określające zalecane spożycie kalorii na podstawie przynależności rasowej. Obywatel „pierwszej kategorii" – mający pochodzenie niemieckie – otrzymywał przydział w wysokości czterech tysięcy kalorii dziennie. Polskiemu robotnikowi przysługiwało dziewięćset kalorii, a Żydom – zazwyczaj nic.

Oddziały niemieckie wysiedlały Polaków z domów, aby zwolnić miejsce dla nazistowskich oficjeli. Ojciec Wandy Zbigniew Błaszkiewicz mieszkał wówczas w Radomiu, w środkowej części kraju. Pracował jako inżynier w fabryce broni, kiedy pod groźbą osadzenia w więzieniu został zmuszony do ucieczki. Miał jedynie kilka godzin na spakowanie niewielkiego majątku i opuszczenie domu. Chcąc wyjechać możliwie najdalej, przeprowadził się do Płungian w północno-wschodniej Polsce (dzisiaj Litwa). Tam ożenił się z wykształconą miejscową dziewczyną Marią Pietkun. Jej pasją było odczytywanie hieroglifów.

Spięcia między nimi zdarzały się niemal od początku. Zbigniew, obsesyjnie oszczędny i lękający się przyszłości, wyznał w swoim dzienniku, że nie do końca poważa niezależną żonę. Wanda, drugie z czworga ich dzieci, urodziła się 4 lutego 1943 roku w skonfliktowanej rodzinie, w podzielonym państwie.

* *
*

Polaków zastraszali nie tylko Niemcy. Na północnym wschodzie, gdzie mieszkała rodzina Wandy, Sowieci wywozili miejscową ludność do gułagów, w których wykorzystywano ją jako niewolniczą siłę roboczą. W latach 1940–1941 na wschód wyjechały tysiące wagonów pełnych bezpodstawnie skazanych polskich „przestępców". Przewożono ich tysiące kilometrów w zatłoczonych, zaplombowanych i pozbawionych okien wagonach przeznaczonych dla bydła. Głodowali, tracili zmysły, zamarzali. Zdarzały się nawet akty kanibalizmu. Ci, którzy zmarli w trakcie podróży, byli wyrzucani przez otwory w dachu wagonu. Wywieziono w sumie półtora miliona Polaków. Blisko połowa z nich nie wróciła.

Polacy pamiętali o krzywdach doznanych w ponurych latach okupacji.

W podzielonym między nazistów i Sowietów kraju Polacy byli stopniowo degradowani do roli narodu niewolników. Odcięci od pomocy z zewnątrz nie mogli się bronić. Po 22 czerwca 1941 roku, kiedy Niemcy zaatakowali Związek Radziecki, losy wojny zmieniły bieg. Z niezrozumiałych powodów Sowieci o pomoc poprosili właśnie Polaków. Choć myśl o współpracy była oburzająca, jej nawiązanie uratowało naród polski od całkowitej zagłady. Nie zapobiegło to jednak ogromnym zniszczeniom, gdyż to właśnie na polskiej ziemi stoczono kilka głównych bitew II wojny światowej.

Pomimo wzmożonego zaangażowania w wojnę z ZSRR Niemcy opracowali rozwiązanie sprawy polskiej. Szacowali, że około dwudziestu milionów obywateli powinno zostać przesiedlonych na zachodnią Syberię. Do ponownej germanizacji – ze względu na niemieckie korzenie – nadawało się natomiast około czterech milionów Polaków. Pozostałą część społeczeństwa skazano na eksterminację. Oddziały niemieckie konfiskowały, bez żadnego odszkodowania, prywatną ziemię, fabryki i domy. Polskie tereny stanowiły wymarzoną lokalizację dla obozów o różnym przeznaczeniu – dla domniemanych kryminalistów, deportowanych, wrogów politycznych i rasowych. Umieszczono tam obozy pracy i obozy zagłady. Nazwy miast takich jak Lublin, Chełmno, Treblinka, Sobibór, Bełżec i Oświęcim zawsze już będą się kojarzyć z ludobójstwem. Jednak plan zagłady nie ograniczał się jedynie do tworzenia obozów. W latach 1940–1943 skrupulatnie i metodycznie likwidowano warszawskie getto wraz z jego żydowskimi mieszkańcami.

Podczas sześciu wojennych lat życie straciło ponad sześć milionów Polaków (więcej niż piętnaście procent populacji). Jedynie dziesięć procent zgonów nastąpiło w bezpośrednim wyniku działań wojennych. Pozostałą część stanowili polscy cywile straceni w egzekucjach oraz zmarli w obozach i na ulicach z głodu i chorób. Liczby te są trudne do pojęcia – tak samo jak warunki, w których ludzie walczyli o przetrwanie.

Ci, którzy przeżyli, nadal pozbawieni wsparcia bili się o niepodległość Polski. Powstanie Warszawskie, które zorganizowano w 1944 roku, by odzyskać stolicę, od początku skazane było na klęskę.

Sześćdziesiąt trzy dni zajęło nazistom zburzenie Warszawy, zniszczenie jej historycznego dziedzictwa, szpitali, domów i mostów. Masowe rozstrzeliwania były na porządku dziennym. Zginęło ponad sto pięćdziesiąt tysięcy warszawiaków, a pozostałe pół miliona wywieziono do obozów. Po wyludnieniu miasta oddziały niemieckich saperów wkroczyły do stolicy, paląc i burząc wszystko, co jeszcze nie zostało zrujnowane. Szczególnie przykładano się do niszczenia zabytków, kościołów i archiwów. Wojska niemieckie wzięły sobie do serca słowa Hitlera, że Warszawa powinna „zniknąć z powierzchni ziemi".

Kilka miesięcy później, na początku 1945 roku, do polskiej stolicy wkroczyli Rosjanie. Szybko wyparli Niemców i zainstalowali w mieście nowe, komunistyczne władze. Kiedy 9 maja 1945 roku zawierano „pokój", cały kraj znajdował się już pod władzą Sowietów. Polska wyzwoliła się spod niemieckiej okupacji, ale wolność była jedynie pozorna.

Sowieci zawarli wiele umów pozwalających im przesuwać granice. Płungiany, w których na świat przyszła Wanda, zostały wówczas wcielone do Litwy i przemianowane na Plunge.

Obywatele polscy, którym udało się ocaleć, byli jak ogłuszeni po sześciu latach rzezi. Nie pamiętali już, jak to jest przechadzać się ulicami i nie bać się, że zostanie się zastrzelonym. Struktura społeczeństwa uległa całkowitej przemianie – zniknęła inteligencja, zniknęli Żydzi. Każdy dzień zacierał ocalałym obraz Polski, którą kiedyś znali i w której żyli.

Pod koniec wojny tereny, na których mieszkała rodzina Wandy, wpadły w ręce sowieckie. W roku 1946 większość majątku rodziny skonfiskowano i stało się jasne, że trzeba uciekać. Rodzice Wandy postanowili zamieszkać u rodziców Zbigniewa w Łańcucie na południowym wschodzie kraju niedaleko granicy z Ukrainą. Raz jeszcze Błaszkiewiczowie spakowali swój niewielki majątek – kilka mebli i trochę ubrań – i wyruszyli w podróż. Nie byli jedynymi uciekinierami. Rozorane drogi wypełniały czołgi, motocykle, załadowane kanistrami benzyny ciężarówki oraz karawany ludzi. Wszyscy zostawili za sobą cierpienie, wyruszając na poszukiwanie nadziei i nowego życia.

W Łańcucie Zbigniew usilnie starał się znaleźć sensowną pracę. Po narodzinach dwojga kolejnych dzieci sześcioosobowa rodzina opuściła rodowe gniazdo i zaczęła szukać nowego domu. Trafili do oddalonego o kilkaset kilometrów na zachód Wrocławia. Spustoszenia wojenne były tam wciąż widoczne – na ulicach leżał gruz, a ściany wielu budynków nosiły ślady artyleryjskiego ognia. Wiatr strącał luźne dachówki, dziurawe szyby łatano tekturą. Niektóre budynki były niemal całkowicie zniszczone. Na tle nieba rysowały się czarne, wypalone kształty. Gruzy jak okiem sięgnąć.

Błaszkiewiczowie zamieszkali w dwupiętrowym częściowo zniszczonym domu. Rury były popękane, szyby wybite, ściany zawilgły, a dach przeciekał. Według miejscowych władz dom był za duży dla sześcioosobowej rodziny, groziło im więc

dokwaterowanie. Inteligentny i ekscentryczny Zbigniew nie chciał się na to zgodzić. Nie tylko niczego w domu nie naprawił, ale dokonał też nowych zniszczeń, by odstraszyć potencjalnych lokatorów.

Chaos, w którym pogrążone było mieszkanie Wandy, znajdował odbicie w nieustannej walce o władzę w domu. Zbigniewa cechowały niecierpliwość i zupełny brak zainteresowania rzeczami praktycznymi. Wolał raczej opracowywać wynalazki, uprawiać nietypowe odmiany warzyw w przydomowym ogródku i hodować kozy na parterze domu. Skąpił Marii pieniędzy. Kiedy całkowicie stracił zaufanie do umiejętności żony w zarządzaniu wydatkami, obowiązek planowania rodzinnego budżetu powierzył czteroletniej wówczas Wandzie.

Trudno było zdobyć jedzenie, a przed sklepami stały niekończące się kolejki. Towary luksusowe, takie jak kawa czy czekolada, współczujący krewni z zagranicy przysyłali jedynie na Wielkanoc i Boże Narodzenie. Maria nie radziła sobie z rosnącym stresem, polegała całkowicie na najstarszej córce Wandzie, która sprzątała, obierała warzywa, stała w sklepowych kolejkach i opiekowała się rodzeństwem.

Sprytna Wanda szybko doszła do wniosku, że rozdzielanie zadań między młodszego brata i siostrę jest najlepszym sposobem wypełniania powierzonych jej obowiązków. Potem podobnie postępowała podczas wspinaczki.

– Rządziła bardzo sprawnie – mówił o Wandzie jej brat Michał Błaszkiewicz, wspominając dzieciństwo.

– Raczej bardzo surowo – poprawiła go siostra Nina Fies.

Nawet jako dziecko Wanda nie miała wiele czasu na dziewczęce zabawy. Kiedyś w zrujnowanej części domu znalazła niewiele ustępującą jej wielkością szmacianą lalkę. Zabawce brakowało

głowy. Rodzice znaleźli gdzieś głowę lalki z plastiku. Chociaż główka okazała się za mała i szmaciana kukiełka wyglądała z nią absurdalnie, a nawet nieco makabrycznie, to mała dziewczynka, jaka jeszcze tliła się w Wandzie, była bardzo szczęśliwa.

Opieka nad młodszym bratem Michałem nie była dla niej kłopotem, inaczej było jednak z siostrą. Różnica wieku między dziewczynkami była na tyle niewielka, że Nina cały swój czas chciała spędzać z Wandą, czego ta z kolei szczerze nie znosiła.

– Miałam wrażenie, że tracę wolność – twierdziła Wanda. Lata później trudno jej było odnaleźć jakieś miłe wspomnienia z tamtego czasu. – Nie pamiętam chwil, w których łączyłaby nas miłość i akceptacja... Przypominam sobie jedynie przykrości.[1]

Nina tylko uśmiecha się smutno na wspomnienie starszej siostry, którą podziwiała.

Po drugiej stronie ulicy był duży park, wspaniałe miejsce dziecięcych zabaw. Jednak dzieci jeszcze bardziej lubiły włóczyć się po pobliskich ruinach, kruszyć butami wybite szyby i budować domki z kamieni i cegieł. Bawiły się w chowanego i szukały zasypanych w gruzach niewybuchów.

Pewnego wiosennego popołudnia w 1948 roku Wanda z przyjaciółmi i starszym bratem znalazła granat. Wrzucili go do ogniska. Wanda była jedyną dziewczynką w tej grupie – chłopcy postanowili odsunąć ją od tej ekscytującej, zakazanej zabawy i odesłali ją do domu. Zła i zalana łzami opowiedziała matce, co zaszło. Ta wybiegła, by ratować dzieci, ale było już za późno. Miejsce tragedii zasnuwała gruba warstwa pyłu. Zginęli wszyscy, także brat Wandy. Psychiczna rana i świadomość kapryśnej natury śmierci nigdy już Wandy nie opuściły.

– Żyję tylko dlatego, że siedmioletni chłopcy nie lubią się bawić z pięcioletnimi dziewczynkami.[2]

* *
*

Dzieciństwo Wandy było typowe jak na tamte czasy. Życia w Polsce na pewno nie można było nazwać wygodnym. Pierwszy powojenny rząd, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN), chociaż składał się z obywateli polskich, został powołany przez Stalina, którego polecenia skrupulatnie wypełniał. Sowieci stworzyli system inwigilacji do walki ze szpiegami i sabotażystami. „Uwolnili" też posiadaczy ziemskich od ich własnych majątków, parcelując wszystkie prywatne tereny o powierzchni powyżej pięćdziesięciu hektarów na mniejsze działki. Te z kolei rozdzielili między chłopów. Jednak nawet chłopów nie pozostawiono w spokoju – zmuszano ich do oddawania części plonów państwu. A wszystko to w ramach reformy rolnej.

Po wojnie przez trzy lata prowadzono program masowych przesiedleń. Miliony ludzi wyruszyły w drogę. Niektórzy z nich ocaleli z obozów, inni byli powracającymi polskimi uchodźcami. Władza chciała zaludnić ziemie odzyskane na północy i zachodzie.

Szczególnie trudny okazał się rok 1947. Plony były marne, wprowadzono wiele rozporządzeń, które miały opanować rosnące zaniepokojenie społeczne. Usztywniono centralne planowanie. Statystyki gospodarcze objęto tajemnicą państwową, zawieszono wolną debatę publiczną. Do 1948 roku Sowieci skutecznie zaszczepili swój system polityczny nie tylko w Polsce, ale też we wszystkich kontrolowanych przez siebie krajach Europy Wschodniej. Zamknęli granice, zaostrzyli politykę bezpieczeństwa do poziomu z czasów wojny i ponownie wprowadzili pobór do wojska. Opróżnili skarbiec publiczny, wydając wszystkie pieniądze na cele wojskowe. Utworzyli nawet tajne policje na wzór tej działającej w Związku Radzieckim.

Wanda skupiała się na nauce i starała się ignorować otaczające ją szaleństwo. Szybko skończyła szkołę i zdecydowała się studiować na kierunku elektronicznym. Dziedzina ta wydawała się jej przydatna i jednocześnie interesująca. W wieku szesnastu lat została przyjęta na Politechnikę Wrocławską. Kiedy nie miała zajęć, jeździła na motocyklu. Mieszkała z rodziną i dorabiała, udzielając korepetycji z matematyki i fizyki. Chociaż młodzi mężczyźni chętnie odwiedzali Wandę w domu, bardziej niż rówieśnicy interesowali ją profesorowie.

Gdy miała ledwie osiemnaście lat, odkryła całkiem nowy świat, nietknięty okropnościami wojny. Pewnego sobotniego poranka starszy kolega ze studiów Bogdan Jankowski pokazał jej wspinaczkę na skałkach. Pojechali w Góry Sokole pod Jelenią Górę.

– Zaczekaj tutaj – powiedział Bogdan i wskazał Wandzie pieniek u podstawy jednej ze wspinaczkowych dróg. Kiedy był w połowie ściany, usłyszał głośne dyszenie dochodzące z komina tuż obok drogi, po której się wspinał. Spojrzał w dół i dostrzegł Wandę gramolącą się do góry bez asekuracji. Była przestraszona. Bogdan wszedł na szczyt skałki i zawiązał węzeł na linie, której koniec rzucił koleżance.

– Wanda, łap! – krzyknął.

Dziewczyna odrzuciła linę i wgramoliła się sama na czubek skałki.

Wanda wydawała się stworzona do wspinaczki: była lekka, silna i instynktownie wiedziała, jak złapać równowagę w skale. Fotografia, na której zamaszystym krokiem przemierza łąkę u stóp skałek ubrana w uprząż, przedstawia pewną siebie młodą kobietę o błyszczących oczach, żartobliwie prężącą muskuły, z szerokim uśmiechem na twarzy. Podekscytowana pisała w swoim dzienniku, że „pokochała wysiłek fizyczny, świeże powietrze, poczucie wspólnoty i dreszczyk emocji".

Wróciła tam w następny weekend. Za dnia mierzyła się z coraz trudniejszymi drogami, a noce spędzała w jaskiniach, ogrzewając się płomieniami ogniska i towarzystwem przyjaciół o podobnych zainteresowaniach. Wspinaczka pochłonęła Wandę od pierwszej chwili.

– Wiedziałam, że odciśnie jakieś piętno na moim dalszym życiu – mówiła. [3]

Wielu początkującym wspinaczka wydaje się pierwszym prawdziwym doświadczeniem wolności. Dla introwertycznej Wandy musiało to być szczególnie intensywne przeżycie. Odnalazła środowisko, w którym jej siła i ambicja mogły rozkwitnąć. W kraju zdruzgotanym przez wojnę odkryła krajobraz niezniszczony dotąd przez człowieka.

* *
*

Szczególnie zrujnowane były Katowice i ich okolice. Dorastał tam Jurek Kukuczka. Region ten uległ po wojnie daleko idącym przeobrażeniom. Fundamentem gospodarczego Planu Sześcioletniego przyjętego w 1950 roku był rozwój przemysłu ciężkiego. Katowice zostały jednym z jego głównych centrów. Sowieci zbudowali nawet linię kolejową łączącą miasto bezpośrednio z radziecką granicą. Mieli nią przewozić stal z Huty Katowice. To z tych okolic pochodzi duża społeczność wspinaczy ekstremalnych, którzy na Śląsku znaleźli źródło utrzymania.

Pomimo wdrażania planów ekonomicznych Polacy wciąż byli rozczarowani nowym systemem gospodarczym. Ich pensje nie rosły bez względu na to, jak dużo – lub jak mało – pracowali. Bezsilni wobec systemu wypracowali rodzaj biernego oporu, który niemal doprowadził kraj do gospodarczego zastoju. Drobne przekręty

i bumelka przełożyły się na słabą wydajność, niskie standardy i kiepską efektywność. Ludzie oszczędzali siły na „fuchy" i stanie w niekończących się kolejkach po chleb. Ich niechęć do władz pogłębiały niedawne cierpienia: wojna z Niemcami, wojna z ZSRR, fakt, że Polska była polem bitwy między tym krajami, sowieckie panowanie, okupacja. Polacy żywili niewielki szacunek dla niechcianej władzy. Koncentrowali się na własnym przetrwaniu.

A jednak w tej dusznej atmosferze Wanda dostrzegała otwierający się przed nią nowy świat – świat natury, skał, przyjaźni i poczucia wolności, daleki od szarych, brudnych ulic. Szybko zaczęła wyjeżdżać dalej niż na pobliskie skałki. Zasmakowała w wapieniach Jury Krakowsko-Częstochowskiej, w piaskowcach nieopodal granicy z NRD, a wreszcie w Tatrach Wysokich na granicy z ówczesną Czechosłowacją. Góry stały się dla Wandy oazą spokoju. Miała podobne podejście do wspinaczki jak do nauki – liczyła się systematyczność i wytrwałość.

– Wspinaczka działała na nią jak narkotyk, natychmiast weszła jej w krew i całkowicie ją pochłonęła. Wanda nigdy się nawet nad tym nie zastanawiała – mówiła później jej siostra.

Uroda Wandy rosła wprost proporcjonalnie do pewności siebie. Promienny uśmiech olśniewał większość jej wspinaczkowych partnerów.

* *
*

Pierwszy wyjazd w Alpy w 1964 roku zbiegł się z ukończeniem przez Wandę studiów. Miała dwadzieścia jeden lat. Z powodu poważnej infekcji wspinała się wówczas bardzo niewiele. Poznała jednak życzliwego lekarza z Innsbrucka, doktora Helmuta Scharfettera, który nie tylko ją wyleczył, ale także podniósł

na duchu, załatwiając jej udział w kursie ratownictwa górskiego. Później wspinał się z nią w Alpach Zillertalskich. Nawet w obszarpanych ubraniach wydała się doktorowi inteligentną, niesamowicie atrakcyjną kobietą. Scharfetter miał odegrać w życiu Wandy istotną rolę.

Wkrótce po jej powrocie do Wrocławia zadzwonił telefon: jakiś esbek zapraszał Wandę na kawę w najlepszej kawiarni w mieście. Alpinistka stawiła się na spotkanie o umówionej porze. Powitało ją dwóch smutnych panów w cywilu, którzy pokazali swoje legitymacje i poprosili, by usiadła. Zamówili gęstą, mocną kawę i spore kawałki szarlotki.

Wyższy uśmiechnął się delikatnie i skomplementował Wandę:

– Jest pani bardzo sławną w Polsce alpinistką.

– Tak, dużo się wspinam. Może jestem znana tu i ówdzie, ale na pewno nie sławna – odpowiedziała ostrożnie.

Drugi esbek, niski i blady, wtrącił między wielkimi kęsami ciasta:

– Wspinaczka jest trudna i niebezpieczna. – Przełknął ślinę. – Musi pani być bardzo silna. I wiele podróżować.

– Tak, podróżuję, aby się wspinać. Muszę to robić, jeśli chcę być prawdziwą alpinistką.

Mężczyźni pochylili się nieco w stronę Wandy, przyglądając się jej badawczo.

– Ostatnio wspinała się pani w Austrii. Jak było? Czy poznała pani jakichś interesujących ludzi?

Odchyliła się w swoim krześle, zyskując nieco przestrzeni.

– Tak, oczywiście. Zawsze poznaję interesujących ludzi. Wspinaczy.

– Jest pani bardzo uprzywilejowaną kobietą. Wyjeżdża pani z Polski i poznaje obcokrajowców. Czy chciałaby pani, aby tak pozostało?

Wanda nareszcie zrozumiała, do czego zmierzają. Chcieli, by zaczęła współpracować z bezpieką. Kiedy agenci składali jej propozycję, Wanda coraz bardziej kipiała ze złości. W końcu uderzyła pięścią w stół i krzyknęła:

– Czego ode mnie chcecie?! Szpiegowania dla Polski? To niemoralne i godne pogardy! Jak w ogóle śmiecie mi to proponować?

Radziecki aparat inwigilacji opierał się na „ochotnikach" – werbowanych tak jak Wanda i wspinacze z jej pokolenia obywateli często wyjeżdżających za granicę.

Ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach nadstawili ucha i patrzyli na Wandę, jak krzyczy i gestykuluje z pociemniałymi od gniewu oczami. Tajniacy próbowali ją uspokoić, zapewniali, że to niezobowiązująca pogawędka, nic poważnego. Wyższy strzelił palcami, aby przywołać kelnera. Zapłacił rachunek i przy pomocy drugiego mężczyzny wyprowadził Wandę z kawiarni. Wtedy ich zachowanie uległo zmianie. Ostrzegli, że jeżeli wspomni komukolwiek o rozmowie, może zapomnieć o kolejnych wyjazdach w Alpy czy opuszczaniu Polski w ogóle.

W odróżnieniu od wielu innych osób Wandy nie próbowano ponownie zwerbować. Liczni wspinacze po latach wyjawili jednak, że służby oczekiwały od nich sprawozdań po powrocie z każdej wyprawy. Taka współpraca pomagała w staraniach o paszport przed kolejną ekspedycją.

Służby interesowały się wspinaczami z wielu powodów. Uważały bowiem, że ludzie podróżujący i mieszkający przez dłuższy czas za granicą mogli ulegać „zepsuciu ideologią Zachodu". Co gorsza, mogli przywlec je ze sobą do Polski. Wymagali zatem uważnej inwigilacji. Bywali też przydatnymi obserwatorami zachodniego świata gromadzącymi ważne informacje o polityce, gospodarce,

stylu życia. Co najważniejsze, wspinaczy łatwo dawało się przekupić, oferując im swobodę podróżowania albo grożąc konsekwencjami ewentualnej odmowy – zakazem opuszczania kraju.

Stanowili zatem łatwy cel. Prezesi większości klubów regularnie spotykali się z funkcjonariuszami służb bezpieczeństwa, a w każdym z zespołów działali informatorzy. Niektórzy mówili o tej sytuacji otwarcie. Części z nich pozwalano po spotkaniach z agentami wyjeżdżać z kraju, innym nie. Mało prawdopodobne, aby do któregokolwiek ze znanych taterników albo wspinaczy obieżyświatów nie sięgnęły długie macki służb specjalnych.

* *
*

Podczas swojej czwartej wyprawy w Alpy, w 1967 roku, Wanda po raz pierwszy wspinała się na poważnie. Jej partnerką była Halina Krüger-Syrokomska – wulkan energii zamknięty w ciele małej kobiety, która lubiła rubaszne dowcipy, paliła fajkę i znakomicie się wspinała. Obie alpinistki wybrał i sponsorował Klub Górski. Była to dla nich wyjątkowa okazja. Rok później pojechały do Norwegii. Jako pierwszy w historii zespół żeński miały wspiąć się wschodnim filarem ściany Trollryggen – wysoką na ponad tysiąc metrów, jedną z najdłuższych w Europie skalnych dróg. Stanowiły mocny zespół: Halina była mózgiem, a Wanda – motorem.

Odniosły sukces i wróciły do domu jako minicelebrytki popularniejsze nawet niż ich koledzy dokonujący w Alpach imponujących wejść.

Chociaż ich historia stanowiła przyjemny wyjątek od codzienności polskiego życia, to jednak tymczasowa sława

w niewielkim stopniu wpłynęła na poprawę ich losu.

W latach 1961–1968 poziom egzystencji większości społeczeństwa był niewiele wyższy niż w czasie wojny. Jedynie urzędnicy partyjni i dyrektorzy kombinatów pławili się w zbytkach i luksusach. Ich samochody, prywatne wille i zagraniczne podróże doprowadzały do szału walczących o przeżycie za śmiesznie niskie pensje obywateli. Średnie miesięczne wynagrodzenie wynosiło wówczas trzy i pół tysiąca złotych (około trzydziestu pięciu dolarów amerykańskich). Nawet jeżeli Polak miał pozwolenie na wyjazd zagraniczny, to rodzima waluta okazywała się bezużyteczna za granicą. Obywatele PRL byli zatem niewolnikami własnego państwa.

Po wojnie zbudowano, głównie na terenach miejskich, ponad trzy miliony mieszkań w byle jakich blokach z cementu i gipsu w stylu radzieckim, widywanych we wszystkich państwach bloku wschodniego. Wykonano je niedbale i nie wszystkie wyposażono w takie luksusy, jak ubikacja czy centralne ogrzewanie. W niczym nie przypominały wystawnych domów partyjnej elity.

W grudniu 1970 roku rząd podniósł ceny żywności o dwadzieścia procent. Przeliczył się jednak w ocenie własnej siły i wpływów. Kiedy ludzie zaczęli protestować, na ulice wyprowadzono wojsko. Obywatele wściekali się już nie tylko z powodu podwyżki cen – byli rozsierdzeni całym reżimem, w tym także obezwładniającą cenzurą. Partia bowiem nie tylko kontrolowała informacje, ale też sama je tworzyła. Nikt nie dawał się oszukać ogromnym wiecom gromadzącym tysiące wiwatujących „zwolenników" rządu. Partyjna propaganda uwłaczała zwłaszcza wykształconym Polakom.

Długie kolejki, zanieczyszczone powietrze, ciągły niedostatek żywności, niszczejące domy, dręcząca biurokracja i żałosne warunki życia doprowadzały ludzi na skraj załamania. Wielu zaczęło topić

swe smutki w alkoholu. Szerzyła się depresja. Ulice wypełniał szary tłum. Królowała apatia.

* *
*

Rodzina Wandy ledwo wiązała koniec z końcem. Nieustannie brakowało im pieniędzy, gdyż próby opatentowania własnych wynalazków przez ojca spełzały na niczym. Stracił on zaufanie do ludzi, na każdym kroku spodziewał się zdrady. Wycofał się do wyimaginowanego świata utraconych szans. Zaczął się uczyć hiszpańskiego i miał nadzieję, że wyjedzie do słonecznej Ameryki Południowej. Wreszcie, głęboko rozczarowany, wyprowadził się z domu. Nina, siostra Wandy, przywołuje te smutne chwile:

– Ojciec bardzo różnił się od matki. Ona nie mogła pozbierać się po tym, jak w czasie wojny wszystko straciła... I teraz nagle mąż zostawił ją w rozsypującym się domu bez środków do życia. Wanda wzięła na siebie rolę męża, ojca, przyjaciela, córki. Była najsilniejsza w całej rodzinie.

Rozstanie nie było łatwe. Rodzice walczyli o majątek. Wanda wkroczyła na scenę jako nowa, nieoficjalna głowa rodziny i za pożyczone pieniądze wykupiła budynek. Dzięki temu matka i dzieci mogły pozostać razem. W życiu Wandy pojawiło się jednak dodatkowe obciążenie – była rozdarta między zobowiązaniami finansowymi a wspinaczką.

I chociaż radziła sobie z problemami finansowymi dość dobrze, to nie pozostały one bez wpływu jej decyzję o zamążpójściu, którą podjęła wiosną 1970 roku. Dobrze wybrała. Wojciech Rutkiewicz był wysokim i przystojnym matematykiem, synem wiceministra zdrowia. Poznali się podczas wspinaczki, którą on również uprawiał.

Wprowadzili się na piętro rodzinnego domu Wandy, a później przenieśli do Warszawy, gdzie Wojtek pracował.

Trzy miesiące po ślubie Wanda skorzystała z okazji i wzięła udział w polsko-radzieckiej ekspedycji do Pamiru. Wyprawą mającą państwową aprobatę dowodził znany kierownik Andrzej Zawada. Jej celem był mierzący 7134 metrów Szczyt Lenina, najwyższa z gór, na które Wanda miała dotychczas okazję się wspinać. Dla niej ta wyprawa była prawie jak miesiąc miodowy, tylko że bez Wojciecha.

CZĘŚĆ DRUGA

Polityka wspinaczkowa

A chodzi o to, by wszystko znajdowało oddźwięk w życiu. Niech Pan żyje teraz pytaniami. Może wówczas pewnego odległego dnia przeżyje Pan odpowiedź, dochodząc do niej stopniowo i niepostrzeżenie.

Rainer Maria Rilke, „Listy do młodego poety”
(tłum. Justyna Nowotniak)

Choć alpinizm miał w Polsce długą i barwną tradycję, polskim wspinaczom nigdy nie było łatwo. Już w 1924 roku, gdy kraj odbudowywał się po wojnie z bolszewicką Rosją, Polacy planowali wejścia na Mount Everest i K2.

W latach trzydziestych założyli własny Klub Wysokogórski, który odrodził się zaraz po II wojnie światowej. Jego sytuacja pogorszyła się w roku 1949, kiedy w Polsce zapanował stalinizm. Władze radzieckie co prawda nie zakazały wspinaczki, jednak zmieniły jej naturę. Z indywidualnego doświadczenia – określanego przez Sowietów jako „relikt burżuazyjnego alpinizmu” – stała się wspólnym wysiłkiem wprzęgniętym w machinę propagandową. Pierwszym odczuwalnym efektem tych zmian były surowe ograniczenia w dostępie do Tatr. Patrole graniczne przeszukiwały i przesłuchiwały wspinaczy. Mimo to zbuntowany z natury ludek taternicki chętnie zapuszczał się w zakazane rejony.

Nawet w czasie odwilży za rządów Chruszczowa i Gomułki obowiązywało wspinaczy wiele zakazów. Kiedy tylko w połowie lat pięćdziesiątych żelazna kurtyna zaczęła się delikatnie podnosić, wspinacze podążyli na Zachód, w Alpy. Próbowali dogonić swoich zachodnioeuropejskich kolegów. I mimo koszmarnego niedofinansowania dokonali imponująco wielu trudnych przejść.

Na początku lat sześćdziesiątych zwrócili się w stronę Hindukuszu, wysokich gór, do których łatwo się było dostać, a koszty utrzymania były niskie. Kiedy zgasła nadzieja na prawdziwą demokratyzację Polski, wspinacze szukali leku na szarość codziennego życia w górach poza granicami ojczyzny.

Jak na ironię to właśnie system, który uwięził ich w domu, podarował im później bilet do wolności. Władza ludowa cieszyła się z przynoszących Polsce chwałę międzynarodowych sukcesów i nagradzała wspinaczy pozwoleniami na zagraniczne wyprawy. Tym, którzy wyjeżdżali za granicę, radość wolności mąciła jedynie presja na osiągnięcie sukcesu. To ona, w połączeniu z rzetelnym przygotowaniem, uporem i umiejętnością zachowania spokoju w najtrudniejszych nawet warunkach, a także skłonnością do romantycznego heroizmu, dawała wybitne wyniki.

Wspinaczka stała się rozrywką dostępną dla członków wszystkich warstw społecznych. Polscy wspinacze stworzyli subkulturę. Pisarz Jan Alfred Szczepański, intelektualny przywódca polskich taterników pierwszej połowy XX wieku, pisał, że „wspinaczka nie jest symbolem ani poetycką metaforą życia – jest życiem samym w sobie”.[4]

W owym czasie rozwinął się styl wspinaczki oparty na klasycznych, sprawdzonych metodach. Liczyły się w nim nie tylko umiejętności wspinaczkowe, lecz także znajomość górskiej historii, tradycji, literatury i sztuki. Duchowe centrum tego ruchu

nie znajdowało się w klubowym biurze w Warszawie, ale w górskim schronisku nad Morskim Okiem. Tam podczas wieczorów przy świecach kończących długie dnie spędzane w górach rozkwitła tradycja gawędy. Śpiewano i marzono. Tam polscy wspinacze czuli się wolni.

Mówiło się, że życie wspinacza to dobre życie. Zagraniczne wyjazdy, przygody i nielegalny handel rozwijający się wokół wspinaczki przyciągał do klubów coraz więcej chętnych. Kiedy kluby połączyły się w 1974 roku w Polski Związek Alpinizmu, wzrosła biurokracja.

Każdy wspinacz otrzymywał oficjalną kartę, na której wpisywano czas i miejsce zdobycia uprawnień zezwalających na wspinanie latem lub zimą. W ten sposób *de facto* licencjonowano dostęp do gór. W 1979 roku w Polsce było dwa tysiące czterystu aktywnych taterników. Mnożyły się kluby, także na uniwersytetach, które korzystały z centralnego dofinansowania zajęć sportowych.

Jednym z przełomowych momentów w istnieniu ruchu wspinaczkowego było utworzenie w latach siedemdziesiątych Funduszu Akcji Socjalnej Młodzieży. Dawał on młodym ludziom możliwość zarobienia nisko opodatkowanych pieniędzy na najpilniejsze wydatki, takie jak zakup mebli.

Aby zachować kontrolę nad funduszami, zarobki te musiały przechodzić przez oficjalne kluby. Polski Związek Alpinizmu działał oficjalnie i był tolerowany przez socjalistyczny aparat władzy. Wspinacze to, co zarobili, przekazywali do swoich klubów, przeznaczając pieniądze nie na meble, ale na ekspedycje. Organizacje te stały się mikrospołecznościami wewnątrz społeczeństwa. Ludzie pracowali w klubach i dla klubów. Spędzali razem wolny czas. Trzymali się na uboczu dysfunkcyjnego systemu i porzucili aspiracje zawodowe. Wszystkie niespełnione nadzieje i tłumioną energię

przelewali na miłość do gór i przygody. Ich górski azyl stał się czymś więcej niż ucieczką od przykrej rzeczywistości – dawał możliwość samorealizacji i nadawał życiu sens. Wysoko na szczytach orwellowska rzeczywistość nie obowiązywała. Tam wspinacze mogli polegać na wartościach starszych niż te, które obowiązywały w totalitarnym państwie. Im większe sukcesy odnosili alpiniści, tym bardziej skryci się stawali. Rozwijali własną ideologię i sposób literackiego wyrazu.

W zaledwie kilka lat Polska stała się himalajską potęgą, co bardzo podobało się władzom. Rządowa propaganda wykorzystywała sukcesy wspinaczy, a wspinacze wykorzystywali system.

Najlepszym z nich wręczano nagrody i medale. Pozostali cieszyli się z wolności wędrowania po najwspanialszych pasmach górskich świata.

Jednak społeczność wspinaczy musiała stawić czoła dylematom moralnym. Większość z nich była przeciwna reżimowi i we wczesnych latach osiemdziesiątych włączyła się w budowanie struktur rodzącej się „Solidarności". Walczyli o demokratyzację kraju. Jednocześnie kusiło ich oficjalne wsparcie finansowe, a prawo zmuszało do członkostwa w klubach należących do struktur państwowych. Władze przyglądały się alpinistom, śledziły ich kroki i składały propozycje szpiegowania. Niektórzy na nie przystawali. Wrocławski wspinacz Alek Lwow mówił, że byli „posłuszni wobec oficjalnej propagandy w celu wydojenia władzy, wyssania z reżimu wszelkich możliwych korzyści".[5] Andrzej Zawada, który znał ówczesną rzeczywistość lepiej niż ktokolwiek inny, bronił takiego postępowania, twierdząc, że właściwie nie było ono gorsze niż zachowanie zachodnich wspinaczy oklejających ubrania szkaradnymi logotypami sponsorów. Niemniej istniało zbiorowe

poczucie winy. Wspinacze określali swoją sytuację jako „kąpiel w gnojówce" totalitarnego państwa.

Polscy alpiniści stali przed wyborem: przyjąć rządowe wsparcie albo zrezygnować ze wspinania. Wybrali wspinaczkę. Im więcej się wspinali, tym lepsi się stawali i wprawiali w zachwyt wysokogórski świat.

* *
*

Kiedy Andrzej Zawada zainteresował się wspinaczką, zapisał się do warszawskiego Klubu Wysokogórskiego. Klub powstał jeszcze w latach trzydziestych XX wieku. Odegrał decydującą rolę w zdefiniowaniu i rozwoju polskiego alpinizmu, a jego członkami byli najambitniejsi wspinacze. Oferował kursy na najwyższym poziomie. Działalność organizacyjną prowadzono według bardzo ścisłych reguł. Nowicjuszom nie było wolno wspinać się bez nadzoru, dopóki nie zdali licznych egzaminów.

Postępy czynione przez członków zapisywano w książkach wejść. Dopiero po osiągnięciu pewnego poziomu wykwalifikowany wspinacz mógł wyjechać w Tatry czy nawet Alpy. Jednak pewne rzeczy, na przykład wspinaczka solowa, były zabronione, a przyłapanemu na gorącym uczynku groziło wyrzucenie z klubu. Magazyn „Taternik" w cudacznym akcie autocenzury nie informował o samotnych wejściach na szczyt.

Czasami jednak udawało się wymknąć nawet tak ścisłej kontroli. Chociaż Koło Wrocławskie Klubu Wysokogórskiego działało bardzo prężnie, Wojtek Kurtyka do niego nie należał – przynajmniej nie na początku. Mimo to wspinał się jak opętany, zarówno w Polsce, jak i za granicą, uciekając się do różnych forteli na przejściach granicznych. Klubowe władze były niemile zaskoczone, gdy

odkryły, że jeden z najlepszych polskich wspinaczy skałkowych – mający już na koncie pierwsze zimowe przejścia w Tatrach i sukcesy w Alpach – nigdy nie uczestniczył w żadnym kursie przygotowawczym. Jako że Wojtek wspinał się od czasu do czasu pod szyldem klubu i z jego wsparciem, odpowiedzialność za jego zachowanie spadła na kierownictwo. Uczyniono go więc pełnoprawnym członkiem Polskiego Związku Alpinizmu w nadziei, że prawda o nielegalnych początkach jego kariery nie wyjdzie na jaw.

Z kolei postępujący zawsze zgodnie z zasadami Andrzej Zawada szybko stał się ulubieńcem Klubu Wysokogórskiego Warszawa. Ale nawet jego nieposzlakowana opinia doznała uszczerbku, kiedy zimą 1959 roku – wbrew narzuconym regułom – zrobił zimowe przejście całej grani Tatr. Poszukując wspinaczkowych partnerów, rozesłał notatkę o planach wyprawy. Klub udzielił mu wtedy surowej reprymendy, odradzając wyjazd jako zbyt niebezpieczny. Andrzej nie posłuchał. Jego ekipa przemierzyła około siedemdziesięciu pięciu kilometrów trudnej stromej, powietrznej wspinaczki, pokonując około dwudziestu dwóch kilometrów w górę i w dół. Andrzej uważał wyprawę za wielki sukces i ważny sprawdzian swoich umiejętności w warunkach zimowych. Ale według władz klubu było to ewidentne lekceważenie przyjętych zasad. Nie wpisano wyprawy do corocznego oficjalnego wykazu przejść, pozbawiając wspinacza prawa do tytułu do pierwszego przejścia.

Chociaż w następnych latach związek rekomendował wydanie Andrzejowi paszportu na kilka wyjazdów w Alpy, to przed zorganizowaną przez niego ekspedycją w rejon Rakaposzi w pakistańskiej części Karakorum władze nie wydały mu paszportu.

Z determinacją walczył o pozytywną rekomendację klubu, którą w końcu otrzymał. Tajniak chodził za nim krok w krok, więc kiedy

Andrzej dostał pozwolenie na poprowadzenie w 1970 roku ekspedycji w rosyjski Pamir, poczuł, że „wydostał się z klatki, jaką była Polska Rzeczpospolita Ludowa".

Wtedy też zaczęła rosnąć międzynarodowa sława Wandy jako utalentowanej alpinistki, więc klub ją także zaprosił do udziału w wyprawie.

Władze państwowe były przekonane, że sport może przynieść Polsce poważanie i prestiż na arenie międzynarodowej. Wspierały więc tych, których sukces wydawał się najbardziej prawdopodobny. Do tej grupy należeli wspinacze. Część funduszy na wyprawy płynęła z kasy państwa, a część pozyskiwano z instytucji publicznych i wielkich przedsiębiorstw państwowych. Proces pozyskiwania środków odbywał się za pośrednictwem klubowego Funduszu Himalajskiego.

Najlepszych polskich wspinaczy wysyłano za granicę na wyprawy sponsorowane częściowo lub w całości przez państwo. Kierownik ekspedycji wybierał ich spośród członków rekomendowanych przez klubową komisję sportową. Miał dużą władzę.

Była jednak zasadnicza różnica między wsparciem państwa dla alpinistów a pomocą oferowaną innym sportowcom. Piłkarzowi albo siatkarzowi najwyższej klasy zapewniano samochód, mieszkanie, stałe dochody. Dzięki temu cały swój czas mógł poświęcać na treningi. Z alpinistami było inaczej – chociaż ich sukcesy były paliwem dla machiny propagandowej, otrzymywali mniej pieniędzy, niż potrzebowali.

Pomimo poważania, jakim cieszyli się w świecie, własne państwo traktowało ich jako hobbystów czy amatorów. Alpinista musiał być jednocześnie organizatorem, magazynierem, pakowaczem, przewoźnikiem, tłumaczem, dyplomatą, księgowym, a nawet –

od czasu do czasu – żebrakiem. Wspinacze zajmowali się właściwie wszystkim poza trenowaniem. Dopiero po wielu miesiącach przygotowań – o ile pogoda pozwalała – wspinali się.

Mimo to otrzymanie finansowego wsparcia z klubu było dla każdego polskiego alpinisty wielkim szczęściem. Dlatego też trudno się dziwić, że zaproszenie Wandy do udziału w pamirskiej ekspedycji zdenerwowało wielu jej utalentowanych kolegów.

Jurek zawzięcie wspinał się w Tatrach, a Wojtek zdobywał uznanie dzięki pierwszym zimowym wejściom i wytyczaniu nowych, coraz trudniejszych dróg.

Szefom związku imponowały jednak bardziej egzotyczne wyprawy i odniesione podczas nich sukcesy. To one zapewniły Rutkiewicz udział w wyprawie kierowanej przez Zawadę.

Wanda nie znała zbyt dobrze pozostałych członków ekspedycji. To było również prawdopodobnie jej pierwsze spotkanie z Andrzejem, który w wieku czterdziestu dwóch lat zdążył już zdobyć sławę w Polsce nie tylko jako wspinacz, ale także jako lider, zręczny dyplomata i czarujący, oszałamiająco przystojny mężczyzna.

Wandę i Andrzeja łączył Wrocław, gdzie oboje studiowali. Oboje pochodzili z różnych środowisk, a i sposób, w jaki dowodzili wyprawami, był różny jak dzień i noc.

Andrzej pochodził z rodziny o długiej, wywodzącej się od hrabiego Antoniego Malczewskiego tradycji arystokratycznej. Malczewski, poeta romantyczny, uznawany niekiedy za prekursora alpinizmu w Polsce, jako pierwszy na świecie wszedł na niższą z Aiguille du Midi, a jako szósty zdobył Mont Blanc. Oba te sukcesy zapisał na swoim koncie już w 1818 roku. Chociaż Andrzej nie miał tytułu hrabiowskiego, był bardzo dumny ze swojego pochodzenia: ojciec Filip był doktorem prawa międzynarodowego, a matka Eleonora pracowała jako tłumaczka z niemieckiego

i rosyjskiego. Jednak największy wpływ na Andrzeja miał dziadek Tomasz. Walczył on w polskim wojsku w latach 1918–1919 i, jak później jego wnuk, uwielbiał ryzyko. Filip bardziej skłaniał się ku dyplomacji. Kiedy w 1920 roku zakończył sukcesem negocjacje o kształt polsko-niemieckiej granicy, otrzymał w nagrodę stanowisko konsula. Rodzina wyjechała na placówkę dyplomatyczną do Niemiec. Niedługo później Filip zachorował na gruźlicę i trafił na leczenie do Davos w Szwajcarii. Kuracja jednak nie pomogła i zmarł w 1931 roku, osierocając zaledwie trzyletniego Andrzeja. Eleonora, bojąc się, że dwaj synowie też mogą zachorować, po powrocie do kraju osiedliła się nieopodal Tatr. Zamieszkali w domku w stylu podhalańskim. Podnajmowali gościom pokoje – w ten sposób matka dorabiała do wynagrodzeń z tłumaczeń. Czasami jechali do posiadłości ciotki po stronie niemieckiej, jednak z podróżami tymi zawsze wiązały się liczne problemy. Musieli zdobyć wizy, a gdy już udało im się dostać na miejsce, byli świadkami brutalnego traktowania, jakie spotykało ich rodzinę – prześladowań i najść Gestapo, podczas których gestapowcy niszczyli meble i pomiatali domownikami. W końcu rodzinę wysłano do obozu pracy.

Andrzeja okrucieństwa te w większości omijały – dorastał, chroniąc się w cieniu Tatr. Wędrował po górach, zbierał jagody i grzyby. Podczas wojny dzięki znajomości języków Eleonora dostała pracę w szpitalu, gdzie leczono setki żołnierzy, których płuca ucierpiały od trujących gazów.

Czasem w przytulnym domu Zawadów spotykali się pod osłoną nocy działacze ruchu oporu. Organizowano też kameralne koncerty muzyki Chopina, którego twórczość była na okupowanych przez Niemców ziemiach zakazana.

Chociaż niemiecka okupacja była koszmarem, radzieckie „wyzwolenie" okazało się jeszcze gorsze. Sowieccy żołnierze – ranni, brudni, często pijani – napadali ludzi, kradli żywność. Właśnie wtedy Andrzej nawiązał kontakt z partyzantami. Będąc ciągle uczniem, ukrywał „pod ławką" karabin, a nocą przy łóżku trzymał granaty.

Nic dziwnego, że w wieku siedemnastu lat trafił do więzienia. Słyszał krzyki dochodzące z sąsiednich cel, gdzie torturowano i mordowano jego kolegów. Wszystko, co mógł dla nich zrobić, to zmienić opatrunek. Też był przesłuchiwany przez Sowietów, jednak, prawdopodobnie z uwagi na młody wiek, zwolniono go po miesiącu. Matka natychmiast wywiozła Andrzeja, by mógł ukończyć szkołę średnią. Gdy zaczął studiować geofizykę na uniwersytecie w Warszawie, a potem we Wrocławiu, wstąpił do klubu wspinaczkowego i w weekendy uczył się wspinania. Brał udział w zagranicznych naukowych ekspedycjach geofizycznych, którym zapewniał zaplecze logistyczne i sprzęt. Załatwiał pozwolenia, poznawał pracę w zespole i zaprawiał się w grach dyplomatycznych.

Gdy poznał Wandę, był już idealnie przygotowany do pełnienia funkcji kierownika wyprawy. Dużo podróżował, radził sobie w rozmowach z instytucjami i organizacjami rządowymi. Przewodził też grupom, które znajdowały się w sytuacjach podwyższonego ryzyka. Wanda natomiast zarządzała dotąd głównie rodziną, nadzorując rodzeństwo i robiąc codzienne zakupy. Oboje jednak potrafili się wspinać.

Andrzeja intrygowała ciemnowłosa piękność lawirująca między mężczyznami tworzącymi wielokulturowy zespół ekspedycji w Pamir. Mężczyźni flirtowali i drażnili się z Wandą, zabiegali o jej względy. Na początku bawiło ją, że traktują ją jak księżniczkę,

zmieniła jednak front, gdy zobaczyła, że nie chcą jej uznać za pełnoprawnego członka zespołu. Próbowała zyskać wiarygodność, pokonując ich w siłowaniu się na rękę i nosząc cięższe ładunki. Ale w ten sposób jeszcze bardziej zraziła do siebie kolegów. Byli przyzwyczajeni do dziewczyn wspinających się dobrze, jednak nigdy jako pierwsze na linie. A Wanda chciała prowadzić wyprawy i samodzielnie wchodzić na szczyty!

Zdegustowana nastawieniem partnerów uznała ekspedycję za nieudaną. Chociaż weszła na siedmiotysięcznik, przyrzekła, że nigdy więcej nie weźmie udziału w podobnej wyprawie. Wyjazd zabrał jej także miesiąc z ledwie rozpoczętego małżeńskiego życia, dlatego zaraz po powrocie zajęła się poznawaniem swojego męża. Podjęła pracę w Warszawskim Instytucie Maszyn Matematycznych.

W 1972 roku zamierzała ponownie wyruszyć w drogę, tym razem w afgański Hindukusz. Celem wyprawy był prawie siedmioipółtysięczny Noszak, drugi najwyższy szczyt w paśmie i najwyższy w kraju. Drugie w historii wejście na tę górę, położoną w Korytarzu Wachańskim oddzielającym Rosję i Chiny od Indii i Pakistanu, dwanaście lat wcześniej poprowadzili właśnie Polacy. Z powodu wojny i przejęcia przez Sowietów kontroli nad ich ojczyzną Polacy nie liczyli się wówczas w najwyższych górach.

Teraz wracali, chcąc nadrobić stracony czas i zdobyć potrzebne w wysokogórskiej wspinaczce doświadczenie.

Wnioski, jakie Wanda wyciągnęła z wyprawy w Pamir, upewniły ją, że powinna być niezależna i samodzielna. Nie chciała zaakceptować utraty niezależności, z którą wiązało się przyjęcie wsparcia finansowego od klubu. Przekazała zatem część prywatnie zdobytych pieniędzy na klubowy fundusz ekspedycyjny, a po powrocie pokryła z nich koszty związane z wyjazdem.

Jej sponsorem został Julian Godlewski, majętny Polak mieszkający w Szwajcarii. Jako mecenas polskiej kultury ufundował nagrodę w Konkursie Chopinowskim, finansował też kadrę olimpijską. Pasją Godlewskiego była wspinaczka wysokogórska. Dzięki niemu udało się zorganizować wiele wypraw w najwyższe pasma. Mając jego finansowe wsparcie, lider każdej wyprawy mógł udać się do państwowych instytucji: „Od Juliana dostałem już dwadzieścia tysięcy, ile wy możecie dać?".

Najtrudniejszym zadaniem było zdobycie obcej waluty. Dlatego do udziału w ekspedycjach zapraszano zagranicznych wspinaczy. Wnosili oni dolary, franki czy funty. Aby jak najwięcej kosztów opłacić w złotych, ekipy podróżowały drogą lądową, zabierając ze sobą cały potrzebny sprzęt oraz tyle jedzenia i paliwa, ile się dało. To dlatego Afganistan, do którego można było dostać się lądem, był wówczas jednym z najpopularniejszych celów wypraw. Przynajmniej do czasu radzieckiej inwazji, która w 1979 roku pogrążyła ten kraj w chaosie.

Organizacja ekspedycji była procesem niezwykle złożonym. W sklepach trudno było cokolwiek kupić. Namiotów, śpiworów, spodni i kurtek czy puchowych ubrań lub butów zwyczajnie nie było. Wszystko gromadzono od zera. W jednym miejscu wspinacze mogli kupić materiały, w innym zamki błyskawiczne, wszywane następnie przez matkę lub ciotkę. Szewc w Zakopanem robił im buty, a czekany kuł miejscowy kowal.

– Niewiele brakowało, a musielibyśmy sami skubać kaczki i gęsi, żeby zdobyć puch do kurtek – wspominała Wanda.

Jakby tego było mało, wspinacze na wszystko potrzebowali pozwoleń: jednego na zakup puszkowanego jedzenia, drugiego na czekoladę, a kolejnego, by móc cokolwiek wywieźć z kraju. Organizacja każdej wyprawy wysokogórskiej jest uciążliwa, ale

w Polsce wymagała wówczas podwójnego wysiłku. Po wielu miesiącach przygotowań jedenastoosobowa ekipa nareszcie była gotowa, by wyruszyć na Noszak. Drogi ZSRR przemierzali ciężarówką Star A-29, która ledwie mieściła himalaistów i ich sprzęt. Jednym z członków zespołu była Angielka Alison Chadwick, żona polskiego wspinacza Janusza Onyszkiewicza. Ta światowa kobieta intrygowała Wandę. Wydawała się stateczna – wręcz powolna – w ruchach, ale bardzo szybka w myśleniu. Wanda obserwowała, jak Alison radzi sobie z polską ekipą. Angielka pochodziła z kraju, w którym szanowano prawa człowieka, znalazła się jednak w towarzystwie ludzi wywodzących się z zupełnie innej kultury i o całkowicie odmiennej mentalności. Grupa ta oscylowała między pragnieniem demokracji a potrzebą rządów silnej ręki. Chcieli poszanowania praw jednostki, ale z trudem przyjmowali poglądy innych.

– Akceptowała nasze prawo do odmienności i po prostu ją ciekawiliśmy – stwierdziła Wanda.[6]

Wanda i Alison zaczęły rozmawiać o wspinaniu się w wyższych górach. Niewiele kobiet wybierało się wówczas na najwyższe szczyty Himalajów, potrzebowały więc wiary we własne możliwości. Alison i Wanda naradzały się, wspólnie piły herbatę, dzieliły się nie tylko liną, ale także marzeniami. Czy były wystarczająco silne? Czy miały odpowiednie umiejętności? Możliwe, że w czasie ekspedycji kluczowe byłyby zdolności przywódcze. Kobiety musiałyby przecież przezwyciężyć własny strach i słabości, maksymalnie wykorzystać swoje zalety, nauczyć się podejmowania samodzielnych decyzji, ponieważ w górach niezdecydowanie może być śmiertelne. Wanda była jednak pewna, że w parze z Alison może dokonywać rzeczy wielkich.

Polacy nie byli na Noszaku jedyną ekipą. Wspinała się tam też między innymi amerykańska chemiczka Arlene Blum, kierowniczka pierwszej kobiecej udanej wyprawy na Annapurnę.

Polska ekipa odniosła sukces, a cztery kobiety – Ewa Czarniecka, Alison i Wanda oraz Margaret Young z ekipy Arlene – zachwyciły świat wspinaczy wysokogórskich, wchodząc na szczyty w dobrym stylu. Teraz, kiedy osiągnęły już siedem i pół tysiąca metrów, co mogło je powstrzymać przed wyruszeniem na ośmiotysięcznik?

Miejsce z dala od cywilizacji, ekscytująca góra, grupa przyjaciół – to wszystko ułożyło się Wandzie w jedną całość podczas tej wyprawy.

– Fascynowały mnie niebezpieczeństwa wspinaczki, ponieważ pod ich wpływem cieszyłam się i zachwycałam zwykłymi rzeczami, takimi jak powiew wiatru na skórze, zapach rozgrzanej w słońcu skały, nagłe odprężenie czy kubek gorącej herbaty.[7]

* *
*

Podczas gdy Wanda zdobywała w wysokich górach doświadczenie i pewność siebie, Andrzej miał bardziej ambitne plany. Chciał zapewnić polskim wspinaczom poczesne miejsce w historii tej dyscypliny. Rok wcześniej, w 1971 roku, poprowadził pionierską ekspedycję na mierzący 7852 metry Kunjang Czhisz w zachodniej części Karakorum. Teraz, zaledwie kilka miesięcy po powrocie z Afganistanu, w samym środku zimy, prowadził na Noszak kolejną polską ekipę.

Rząd afgański wyraził obawy wobec jego zuchwałego pomysłu. Dlatego też przed wydaniem zgody zażądał zaświadczenia z Klubu Wysokogórskiego, że klub zna plany polskiej ekspedycji i ponosi

pełną odpowiedzialność za akcję górską. Z pewnymi trudnościami Andrzej przekonał klub do wydania takiego dokumentu.

Lepiej niż inni rozumiał on doniosłość projektu. Znał historię polskiego himalaizmu i wiedział o jego pechowych początkach. W 1936 roku, kiedy przy Klubie Wysokogórskim stworzono Komitet Himalajski, powstał pomysł ataku na K2. Gdy jednak odmówiono pozwolenia na taką wyprawę, w 1939 roku uwaga wspinaczy skupiła się na Nanda Devi East, niezdobytym, mierzącym 7434 metry szczycie w regionie Garhwal w Indiach. Pomimo złowieszczych ostrzeżeń tragarzy, że bogini zniszczenia odpłaci się, kiedy tylko Polacy postawią stopę na świętym szczycie, zespół skutecznie zaatakował wierzchołek. Kilka lat później nikt ze zdobywców góry już nie żył. Dwóch z nich zginęło w lawinie parę dni po wejściu na szczyt, a kolejnych dwóch zaginęło w tajemniczych okolicznościach po wojnie – jeden w Anglii, drugi w Polsce.[8]

Po wybuchu II wojny światowej wyprawy w Himalaje zamarły. Z powodu radzieckiej dominacji dla Polaków przerwa ta trwała dłużej niż dla wspinaczy z Zachodu. Góry były symbolem wolności – a to właśnie jej Sowieci bali się najbardziej. Kiedy Polaków poniewierał komunistyczny reżim, wspinacze z innych krajów weszli na wszystkie czternaście ośmiotysięczników. Pasmo sukcesów w 1950 roku rozpoczęli od Annapurny Francuzi, a skończyli je Chińczycy, osiągając w 1964 roku szczyt Sziszapangmy.

Polacy wyruszyli do Afganistanu dopiero w 1960 roku. Wyprawa ta zapoczątkowała serię ekspedycji w Hindukusz, podczas których wyszkolono kadrę wspinaczy. Andrzej poczuł, że Polska jest już gotowa, by zająć czołowe miejsce w światowej wspinaczce

wysokogórskiej. Zimowe wejście na Noszak mogło się do tego przyczynić.

29 grudnia 1972 roku ekipa Andrzeja zebrała się na warszawskim dworcu z trzema tonami sprzętu. Chociaż wyprawa była jego pomysłem, Zawada wyruszał do Moskwy pełen obaw, że wyznaczony cel może okazać się zbyt ambitny. Z jednej strony zimowa ekspedycja w wysokie góry wydawała się logiczną kontynuacją letnich wspinaczek w Alpach i Tatrach. Jednak z drugiej była krokiem w nieznane – nikt wcześniej nie porwał się na coś podobnego.

W czasie podróży pociągiem Andrzeja dręczyły wizje silnych opadów śniegu, śmiercionośnych lawin i odmrożonych stóp. Gdy telepali się, przemierzając ponure krajobrazy Kazachstanu, Zawada wpatrywał się w ciągnące się po horyzont zamarznięte pola przykryte śnieżną kołdrą. Temperatura spadła do minus trzydziestu stopni Celsjusza. Chwilę odmiany przyniósł wspinaczom Nowy Rok witany gruzińskim szampanem gdzieś w okolicy Orenburga nad rzeką Ural.

Kiedy ekspedycja dotarła pod Noszak, wspinacze odetchnęli z ulgą na widok niewielkiej pokrywy śniegu na zboczach. Było jednak przeraźliwie zimno. W dzień temperatura oscylowała wokół minus dwudziestu pięciu stopni, a nocą spadała o kolejne dziesięć. Słońce świeciło bardzo krótko.

W czasie zimowych burz wszystkim dokuczało przenikliwe zimno – w końcu wycofali się do bazy, aby ulżyć spękanym, zamarzniętym ustom i odmówić modlitwę alpinistów.

Pobłogosław, Boże, naszym górskim trudom,
W zamieci, w deszczu, podczas lawiny.
Wszędzie dostrzegamy Twą moc.

Licząc bezsenne godziny biwakowania,
Abyśmy przetrwali kolejną noc.
Wiszące cienie skalnych świątyń,
Wkrótce oświetli nas promień słońca.
Abyśmy szczęśliwie przetrwali dzień,
Abyśmy mogli z górskiego szczytu dosięgnąć gwiazd.

W połowie lutego Andrzej i jego wspinaczkowy partner, słynący ze swej niezłomności Tadeusz Piotrowski, wspięli się wystarczająco wysoko, by zaatakować szczyt. Jednak w przeddzień ataku temperatura jeszcze spadła, wzmógł się morderczy wiatr. W środku nocy z 12 na 13 lutego Zawada przebudził się z niespokojnej drzemki. Namiot przestał łopotać, panowała upiorna cisza. Andrzej wyszedł – było bezwietrznie. Stał, rozkoszując się ciszą i wpatrując w czarne, rozjaśnione milionami gwiazd niebo. To była ich szansa.

Po kilku godzinach odmrażania butów i gotowania wody na herbatę o jedenastej przed południem przecisnęli się przez rękaw wyjściowy z namiotu. Mieli do przejścia osiemset metrów. Dzień się wlókł. Przystanęli na zaśnieżonym płaskowyżu, by napić się herbaty. Andrzej omal nie zemdlał, gdy zauważył wysuszoną, sczerniałą rękę sterczącą spod śniegu. Należała do jednego z pięciu bułgarskich wspinaczy, którzy zaginęli podczas ostatniej wiosennej wyprawy na Noszak. Widok był jak ponure memento i osłabił ich determinację przed atakiem na szczyt. Słońce skryło się za grzbietem, a temperatura gwałtownie spadła.

Wzeszedł księżyc, oświetlając górę bladym, eterycznym blaskiem. Zdecydowali się kontynuować wspinaczkę. Cel wydawał się na wyciągnięcie ręki, więc przez radio poinformowali bazę, że wejście potrwa jeszcze tylko kilka minut. Kiedy osiągnęli wierzchołek, załamali się, bo do głównego szczytu mieli wciąż ponad kilometr. Było już dobrze po dwudziestej pierwszej, a wiatr

zaczął się wzmagać. Na szczyt weszli tuż przed północą. Twarze mieli odrętwiałe od mroźnego wiatru. O czwartej trzydzieści, po siedemnastu godzinach marszu, wrócili do namiotu. Szacowali straty: duże palce u obu stóp Tadka zamarzły na kość. Masował je jak szalony, po czym schował nogi do śpiwora tuż obok zamarzniętych skarpetek. Andrzej natomiast wyszedł z wyprawy bez szwanku.

Odnieśli sukces, choć okupiony uszczerbkiem na zdrowiu: jako pierwsi na świecie wspięli się w zimie na szczyt wyższy niż siedem tysięcy metrów. Teraz nasuwało się pytanie: co dalej? Zawada był młodym i silnym wspinaczem z wielkimi ambicjami. Podejmował ryzyko i radował się płynącym z tego smakiem wolności. Doceniał swobodę, która była w jego życiu jedną z największych wartości.

„Wiatr na policzkach, chłód w zimie i gorąco w lecie, dotyk granitu pod palcami (...) dają mi tak wiele radości”.[9]

Po wejściu na Noszak głowę miał pełną pomysłów. A dlaczego by nie spróbować ośmiotysięcznika?

* *
*

Kiedy Andrzej, pisząc nową historię polskiej wspinaczki wysokogórskiej, rozkoszował się zimowym sukcesem na Noszaku, Wanda wróciła do domu, aby zmierzyć się z kolejną rodzinną tragedią. W ogrodzie znaleziono rozczłonkowane zwłoki jej ojca. Został zamordowany we własnym domu przez lokatorów żądnych paru złotych. Osłupiali Maria, Wanda i Michał towarzyszyli milicji w identyfikacji ciała. Patrząc na zmasakrowane ciało, Wanda wpadła w szał. Przeklinała i przysięgała zemstę za ten bezsensowny akt okrucieństwa. Na koniec trzasnęła bramką i wypadła do ogrodu.

Po tym brutalnym morderstwie Wandę, wciąż rozpamiętującą straszną śmierć starszego brata, opanowały niepokój i paranoja. Przerażali ją nieznajomi, wciąż obawiała się, że i jej może przytrafić się coś okropnego. Wiedziała, że jej strach jest patologiczny i irracjonalny, więc starała się go przezwyciężyć. Zostawała sama w nocy w lesie, zdana tylko na siebie. Jednak mimo wysiłków nie potrafiła zapanować nad lękami. Aby nie słyszeć szelestu liści przypominającego odgłos kroków, chowała głowę w śpiwór.

Poza bratem i ojcem Wanda straciła również kilku wspinaczkowych partnerów z młodości, którzy zginęli w górach. Być może zbyt częsty kontakt z przedwczesną i niespodziewaną śmiercią sprawił, że – podobnie jak inni wspinacze – zamiast poddawać się lękowi, lekceważyła niebezpieczeństwo. W miarę jak mnożyły się zgony, ci, którzy pozostawali przy życiu, zaczynali czuć się nieśmiertelni.

Jednak nawet w chwilach refleksji Wanda przyznawała, że choć jej nałóg „może być drogą do śmierci", i tak nie byłaby w stanie z nim zerwać. Zaczęła wyznawać niebezpieczną filozofię. Nie tylko odrzuciła te z powszechnie uznawanych wartości, którymi się brzydziła, ale też pogodziła się z tym, że wspinaczka może wymagać najwyższego poświęcenia. Takim nastawieniem przesiąkło całe środowisko polskich wspinaczy, w miarę jak wyznaczali sobie coraz trudniejsze i bardziej niebezpieczne cele. Im bardziej się starali, tym byli lepsi. Ich sukces we wspinaczce rósł proporcjonalnie do ponoszonych strat.

We wrześniu 1973 roku, świeżo po sukcesie na Noszaku, Wanda wyruszyła w Alpy. W owym roku byli tam również Wojtek i Jurek, wzbudzając sensację pierwszym przejściem polską drogą północnej ściany Petit Dru wznoszącej się nad francuskim Chamonix. Wanda pojechała do pobliskiej Szwajcarii z zamiarem pokonania słynnej

północnej ściany Eigeru. Towarzyszyły jej dwie mocne polskie alpinistki. Od kiedy wzrosła jej wiara we własne możliwości, wolała wspinać się z kobietami. Motywowała to dwoma powodami. Pierwszym było to, że kobietom mogła łatwiej przewodzić.

– Nie czuję, że droga należy do mnie, dopóki nie jestem zmuszona pokonać lęku i samodzielnie podejmować ryzyka – mówiła.[10]

Wanda znała wiele dobrych polskich alpinistek, ale większość wspinała się z mężczyznami. Dotychczasowe wejścia w mieszanych zespołach pozwoliły jej zdobyć jedynie niewielkie doświadczenie we wchodzeniu jako pierwsza na linie i podejmowaniu decyzji. Podczas wspinaczek z kobietami to ona mogła być szefem.

Drugie uzasadnienie miało więcej wspólnego z rywalizacją. Wanda dorastała, współzawodnicząc w sporcie, dlatego uważała stosowanie do niej męskich kryteriów za niesprawiedliwe. Z natury lubiła rywalizację i pragnęła, aby była ona *fair*. Szukała kompetentnych, zaradnych himalaistek, z którymi mogłaby się wspinać i rywalizować.

Po przejściu niebezpiecznego filara Eigeru Wanda i towarzyszące jej Danuta Wach oraz Stefania Egierszdorff wróciły do Polski jako gwiazdy. Dziennikarze uwielbiali wypowiedzi Rutkiewicz, które świetnie nadawały się do cytowania: „Nie czujesz w pełni smaku życia, dopóki nie zaryzykujesz jego utraty". Wieści o jej przygodach w „wolnym świecie" elektryzowały innych polskich taterników, napełniając ich nadzieją i dając determinację, by samemu także zakosztować wolności.

Wanda była podekscytowana. Jednak kiedy gasły flesze, a reporterzy zaczęli się interesować innymi sprawami, wracała szara rzeczywistość. Pieniędzy było zawsze za mało, a na odpoczynek albo

trening między ekspedycjami nie wystarczało czasu. Wówczas wracała do codziennych obowiązków.

Miała też kłopoty małżeńskie. Stało się jasne, że wspinaczka, która początkowo połączyła ją z mężem, teraz ich rozdzieli. Alpinistka skupiała się głównie na swoich corocznych wyprawach zagranicznych. Przyznała później, że prawdopodobnie już wyjazd na pierwszą ekspedycję w Pamir tuż po zawarciu małżeństwa zadecydował o losach jej związku. Wanda i Wojtek rozwiedli się po zaledwie trzech latach wspólnego życia.

Niektórzy ludzie krytykowali ją za zaniedbanie małżeństwa, ale podejście Wandy do związku niewiele różniło się od nastawienia jej kolegów spędzających długie miesiące z dala od domu.

Wydawała się podchodzić do wspinaczki – i do życia w ogóle – po męsku. Była niezależna i miała jasno określone ambicje, liczyła jednak na wsparcie małżonka. Z tego też powodu osądzano ją dość surowo. Przez stratę starszego brata i ojca zajęła w domu pozycję mężczyzny i być może dlatego dominująca i odpowiedzialna postawa wydawała jej się naturalna.

* *
*

Chociaż kariera Wandy rozwijała się błyskawicznie, pojawiło się kilka komplikacji. Poczuła się obrażona i zlekceważona, kiedy Andrzej nie zaprosił jej do udziału w wyprawie na Lhotse zimą 1974 roku. Miała najlepsze osiągnięcia spośród wszystkich alpinistek w kraju: trudne przejścia w Tatrach – zarówno zimą, jak i latem – Eiger, Trollryggen i dwa siedmiotysięczniki. Po czasie dotarły do niej plotki, jakoby została wykluczona z zespołu nie z powodu braku doświadczenia, ale przez jej zbytnią ambicję. Zakładano, iż Wanda tak bardzo chciałaby wspiąć się na szczyt, że zagroziłaby sukcesowi

niektórych męskich uczestników ekspedycji. Zamiast niej zaproszono do udziału w wyprawie inną kobietę, która zaakceptowała rolę osoby wspierającej zespół.

Zespół szturmowy nie wszedł na szczyt. Andrzej tak opisał tę porażkę: „To największa porażka mojego życia, byłem tak blisko szczytu" (8250 m).[11] Jednak pomimo własnej frustracji Zawada rozumiał siłę oddziaływania mediów. Udało mu się przedstawić nieudaną wyprawę jako wielki sukces – w końcu pierwszy raz ktokolwiek przekroczył zimą wysokość ośmiu tysięcy metrów.

W latach siedemdziesiątych polskie kluby wysokogórskie wciąż zdominowane były przez mężczyzn. Wschodząca gwiazda krajowej wspinaczki Leszek Cichy tak wyjaśniał sytuację sprzed trzydziestu lat: „Mówiąc szczerze (...) kobiety w górach były wówczas czymś nowym. Mężczyźni traktowali ich udział jako swego rodzaju próbę uczestniczenia w czymś, co do tej pory należało wyłącznie do nich, tak jak wyprawy na biegun, podbój kosmosu, wspinanie się na niezdobyte szczyty. Byliśmy może nieco zbyt, hm... samolubni". Nie zgadzając się na taki stan rzeczy, Wanda zdecydowała się wziąć sprawy w swoje ręce.

W roku 1975, ogłoszonym Międzynarodowym Rokiem Kobiet, Rutkiewicz postanowiła zorganizować kobiecą ekspedycję na najwyższą niezdobytą górę na świecie – Gaszerbrum III w Pakistanie. Wielu polskich wspinaczy było przekonanych, że chciała nie tylko wspiąć się na szczyt, ale też udowodnić, że kobieta może poprowadzić ekspedycję na jeden z najwyższych światowych wierzchołków. Oficjalna aprobata i wsparcie żony pakistańskiego prezydenta Nusrat Bhutto dodatkowo zwiększyły presję sukcesu, jaka ciążyła na Wandzie.

Góra, położona w spektakularnym łańcuchu Karakorum, znajduje się w grupie sześciu Gaszerbrumów, z których każdy mierzy ponad

siedem tysięcy metrów, a wysokość dwóch z nich przekracza magiczną granicę ośmiu tysięcy metrów. Plan zakładał, że gdy Wanda poprowadzi elitarną grupę dziesięciu polskich himalaistek na Gaszerbrum III, wybitny warszawski alpinista Janusz Onyszkiewicz wraz z grupą siedmiu mężczyzn wspinać się będzie na Gaszerbrum II.

Ten pomysł od początku wydawał się dziwny. Alison, żona Janusza, odnosiła wrażenie, że mężczyźni znaleźli się tam jako „zespół ratunkowy" mający rozwiązywać ewentualne konflikty między muzułmanami a kobiecą wyprawą. Janusz przyznał później, że ich obawy co do miejscowych były zupełnie bezpodstawne: „Nie postrzegali oni naszych pań jako kobiet, ale jako białych mężczyzn żeńskiej płci".

Spośród kobiet zaproszonych przez Wandę do udziału w ekspedycji dwie – Anna Czerwińska i Krystyna Palmowska – miały już w Polsce ugruntowaną opinię silnych alpinistek. Poznały Wandę kilka lat wcześniej podczas treningów w podwarszawskich bunkrach. Wanda była przeświadczona, że przyszłość polskiego alpinizmu kobiecego zależy od zdobycia przez kobiety wspinaczy szerokiej palety górskich doświadczeń. To przekonało obie alpinistki. – Aby otrzymać wsparcie związku, musimy mieć na koncie coś więcej niż tylko kilka ważnych wejść w Tatrach – mówiła. Trzeba było zdobyć reputację na arenie międzynarodowej.

Mężczyźni i kobiety planowali rozstawienie na drodze kilku wspólnych obozów i podział obowiązków. Niektórzy członkowie zespołu wątpili, że Wanda poradzi sobie z prowadzeniem tak dużej ekspedycji. Ona sama natomiast nieco naiwnie oceniła wpływ, jaki może swoim despotycznym zachowaniem wywrzeć na grupę ambitnych kobiet. Gdy chcąc zaoszczędzić na wypłatach dla

tragarzy, kazała koleżankom nieść podwójny ładunek, te zwyczajnie ją zignorowały.

Wiele wymagała od innych, ale nie mniej od siebie. Dwudziestotrzyletni wówczas Leszek wspominał następującą sytuację. Podczas śniadania w jednym z wyższych obozów Wandzie zrobiło się niedobrze. Wybiegła z namiotu, zwymiotowała, a potem wróciła, umyła się i stwierdziła: „Dobra, czas ruszać". Nie pozwalała nikomu litować się nad nią ani nie zarządziła dnia odpoczynku.

Wanda nie po to oszczędzała pieniądze i organizowała wyprawę, nie po to przejechała pół świata, by odpoczywać.

Skupiła się na jednym – na szczycie. Gaszerbrum III stał się jej *idée fixe*.

Ale Wanda nie zawsze była tak opanowana. Po wyjątkowo trudnym dniu torowania drogi w śniegu jeden ze wspinaczy widział ją, jak tonęła we łzach, bo jej aparat fotograficzny przestał działać. Innym razem wybuchła gniewem, gdy nie radziła sobie z masztami namiotu. Wanda była pełna sprzeczności: silna mimo słabości, spokojna, choć emocjonalna, ciepła i zimna jednocześnie.

Sukces w górach nie przyszedł jej łatwo, szczególnie z powodu komplikacji w relacjach międzyludzkich. Wszystko zaczęło się psuć, kiedy wspinacze dobierali sobie partnerów – nie zawsze tak, jak Wanda by sobie tego życzyła. Kolejne problemy pojawiły się, gdy ich oficer łącznikowy Saeed zakochał się w Krystynie, pięknej blondynce o łagodnym głosie, i namówił ją, by zabrała go w drogę na szczyt. Zwłaszcza Alison sfrustrowało i zaskoczyło to, co uznała za dogmatyczną postawę Wandy w tej sprawie. Natomiast jej mąż Janusz miał poważne zastrzeżenia do górskiej strategii Rutkiewicz. Uważał ją za błędną. Krystyna broniła Wandy, twierdząc, że jej postawa była pragmatyczna, a nie dogmatyczna, gdyż swoją strategię ułożyła w taki sposób, by móc ją na bieżąco

dostosowywać do warunków i w ten sposób zwiększyć szanse na osiągnięcie sukcesu.

Film dokumentalny o wyprawie zatytułowany *Temperatura wrzenia* przedstawia wszystkie te konflikty i nieporozumienia. Kamery zarejestrowały, jak w szczególnie nerwowej scenie dwoje liderów, Janusz i Wanda, kłóci się o termin wejścia na szczyt. Według Janusza powinni byli spróbować wejść już trzy tygodnie wcześniej. Wanda broniła podjętej decyzji, mówiąc: „Nie wydaje mi się, aby uczestnicy byli bardzo wyczerpani", i dodała, że ona sama czuje się świetnie. Jeden z członków zespołu odparował:

– Nie mówiłem o tobie – ty jesteś niezniszczalna. Chciałem tylko powiedzieć, że plan ataku jest cholernie ryzykowny (...). Nie jestem kierownikiem, ponieważ – niestety – ty nim jesteś. I dlatego właśnie po siedmiu tygodniach zostało tylko siedmiu zdolnych do wspinaczki ludzi.

Marek Janas dodał:

– Aby dowodzić, musisz mieć określony poziom inteligencji i uczciwości, a ty nie osiągnęłaś ani jednego, ani drugiego.

– Koniec dyskusji – odpowiedziała Wanda, wyglądając na przybitą.

Nocą po kłótni poszła na samotny spacer. Musiała oczyścić umysł. Księżycowy blask oświetlał góry, a szum strumienia uspokajał jej nerwy. Wpatrywała się w krajobraz niemal godzinę, potem wróciła do namiotu i napisała w pamiętniku: „To moje miejsce. Bardziej niż jakiekolwiek inne. Należę do tych gór... Nie ma takich słów, by to przekazać. Słowa są nieważne. Milczenie jest najlepsze".

Wanda czuła, że musi być silna, zignorowała więc oczywiste napięcia w grupie. Świadomie zdecydowała się być bezwzględna – nie miało dla niej znaczenia to, czy uczestnicy wyprawy ją lubią.

Oceniła dynamikę zespołu jako mikrokosmos polskiego społeczeństwa: ludzie wołali o demokrację, ale potrzebowali czegoś zupełnie przeciwnego – twardego, zdecydowanego przywództwa.

Pod koniec wyprawy większość zwróciła się przeciwko niej. Tarcia pojawiły się też w dniu ataku na szczyt. Do ostatniej chwili Wanda nalegała, by tylko ona i Alison wzięły udział w pierwszej próbie wejścia na Gaszerbrum III jako niezależny kobiecy zespół wspinaczkowy. Halina Krüger i Anna Okopińska jako drugi zespół miały stanąć na szczycie następnego dnia.

Nie było natomiast mowy o włączeniu mężczyzn do grupy atakującej. Jednak himalaiści w bazie dostrzegli przez lornetkę, że na wierzchołek wspinają się cztery osoby, w tym dwaj mężczyźni.

– Halo, Wanda, halo, Wanda. Odbiór.

– Tutaj wszystko w porządku. Wchodzimy na szczyt. Odbiór.

– Poczekaj, powiedz nam tylko, czy podchodzicie wszyscy czworo.

– W tym momencie decyzja jest taka, że zmierzamy na górę wszyscy czworo.

Po tym komunikacie w bazie rozległ się głośny rechot. Wspinacze wyglądali na zdegustowanych.

– A więc ukrywała to do samego końca – parsknęła Ala Bednarz. – Gdyby powiedziała otwarcie, że ich czworo – w tym dwóch mężczyzn (Janusz Onyszkiewicz i Krzysztof Zdzitowiecki) – będzie się wspinało na szczyt, nikt nie rzekłby ani słowa. Oszukała nas.[12]

Anna i Halina, zamiast dołączyć do zespołu na Gaszerbrum III, zmieniły wówczas kierunek wspinaczki i zostały pierwszym kobiecym zespołem, który wspiął się na ośmiotysięcznik – Gaszerbrum II.

W końcu wszystko się udało, jednak niesmak pozostał.

Mężczyźni zdążyli już wspiąć się na Gaszerbrum II, co Alison skomentowała później słowami, że bardziej promowana kobieca ekspedycja na Gaszerbrum III zaowocowała wejściem przez trzech mężczyzn na Gaszerbrum II. Jednak Wanda zlekceważyła sprawy płci i cieszyła się z ich sukcesu tak samo jak z własnego: „Wydaje się, że więcej doświadczenia zdobywasz w czasie krótkiej ekspedycji niż podczas wielu lat zwyczajnego życia na dole. Wyprawa na Gaszerbrumy wzmocniła mnie fizycznie i psychicznie, przygotowując do następnych przedsięwzięć”.[13]

Nieczułość i łatwość zmieniania priorytetów w kierowaniu wyprawą na Gaszerbrum III stały się wkrótce charakterystyczną przypadłością Wandy, która nękała jej wszystkie ekspedycje. Można ją było oskarżać o egoizm i nieliczenie się z innymi, trudno byłoby jednak wyobrazić ją sobie w Himalajach, gdyby była cicha i potulna. Wanda jako przywódca na pewno nie inspirowała tak jak Andrzej, była jednak urodzoną wojowniczką. Wydawało się, że pobudza ją atmosfera walki.

Słabością dowodzenia Wandy była jej niezdolność do motywowania ludzi, by pracowali zespołowo. Po części dlatego, że – w odróżnieniu od Andrzeja – nie kierowała wyprawą z dołu. Andrzej, chociaż wspinał się dobrze – i czasami wysoko – za swoje miejsce uważał bazę. Wanda natomiast i kierowała, i sama się wspinała. Czasami jej własna ambicja brała górę nad dążeniami grupy. Chociaż nie była przywódcą idealnym, zaszczepiła kobietom ze swojego zespołu wiarę w siebie. Obudziła przekonanie, że mogą tworzyć swoją przyszłość. Wspinać się. Iść na czele grupy. Robić wszystko, cokolwiek zapragną. I osiągnąć to z mężczyznami lub bez nich.

Wanda postrzegała siebie nie tylko jako liderkę, ale także jako zdobywczynię szczytów. Później przyznała, że gdyby raz jeszcze

przyszło jej zarządzać zespołem, powściągnęłaby własną ambicję, aby móc lepiej dowodzić. Jednak zdawała sobie sprawę, że jest wizjonerką, a nie menedżerem.

* *
*

Wanda planowała, że wyprawa na Gaszerbrum III będzie wejściem wyłącznie kobiecym, na górze podczas ataku było wielu mężczyzn, z których część pomagała w zaporęczowaniu drogi i zakładaniu obozów. Krążyły też plotki, że dwóch z nich zatrzymało się pod Gaszerbrumem III, by panie weszły pierwsze. Ponadto wyprawa na Gaszerbrum spowodowała przejściowy kryzys, kiedy zamiast niej do wyprawy na Lhotse zaproszono Annę Okopińską.

Wyprawa na Gaszerbrum spowodowała przejściowy kryzys w przyjaźni Wandy z Alison i Januszem. Ale czas goi rany. Kiedy w 1981 roku Onyszkiewicz jako działacz „Solidarności" został internowany, Wanda chwaliła jego dowodzenie wyprawą na Gaszerbrum II jako „spokojne, przemyślane, demokratyczne (...). Rozwiązanie dla wielu, a nie dla jednostki".

Niestety, niewiele miała czasu na odbudowanie przyjaźni z Alison, bowiem ta trzy lata później zginęła na Annapurnie.

Podróż powrotna Wandy wiodła przez Rawalpindi, gdzie poznała sławnego autorytarnego niemieckiego kierownika wypraw dr. Karla Herrligkoffera. Planował on niemiecko-austriacko-polski atak na mierzący 8126 metrów Nanga Parbat w 1976 roku i zaprosił słynną już Polkę do udziału w wyprawie.

Wspinaczka trwała jednak krótko. Zaraz po rozpoczęciu podejścia na gigantyczną ścianę Rupal jeden z austriackich wspinaczy Sebastian Arnold odpadł i zginął. Karl kazał ekipie odnaleźć ciało kolegi i zakończył ekspedycję. Wandzie taka reakcja na tragedię

wydawała się nieodpowiednia. Przekonywała, że zmarły chciałby, aby reszta zespołu próbowała dalej wejść na szczyt. Nie była jedynym uczestnikiem wyprawy, który tak myślał, ale jej reakcję postrzegano jako coś okrutnego. Reputacja Wandy jako „twardej baby" wzrosła.

CZĘŚĆ TRZECIA

Wspinacze bez granic

Ludzie nie tylko wybierają role zgodne z ich wrodzonymi zdolnościami i cechami osobowości, ale równocześnie poszukują typu środowiska sprzyjającego ich naturalnym skłonnościom.

E.O. Wilson, „Konsiliencja: jedność wiedzy”
(tłum. Jarosław Mikos)

Podczas wspinaczki w wysokich górach śmierć czyha zarówno na nowicjuszy, jak i na doświadczonych alpinistów. Początkujący, by jej uniknąć, bardziej niż na doświadczeniu polegają na szczęściu. W miarę upływu czasu zaczynają jednak korzystać z rosnącej wiedzy i umiejętności, które – przynajmniej teoretycznie – powinny sprawić, że mniej będą zdawać się na pomyślność losu. To prawda, że niektórych niebezpieczeństw można uniknąć dzięki strategii albo doświadczeniu, ale inne wydają się zabijać w zupełnie przypadkowy sposób. Zdają sobie z tego sprawę wszyscy wspinacze i każdy z nich na własny sposób radzi sobie z tą świadomością.

Jurek mocno wierzył w Boga, który miał go chronić. Początkowa pewność siebie Wandy wynikała z jej wewnętrznej siły, lecz źródło to musiało się w końcu wyczerpać. Dla Wojtka wzorem był Jezus – nie jako postać religijna, ale jako archetyp męczennika – który

nauczył go traktować własną śmiertelność jako łaskę i podchodzić do niej ze spokojem.

Jako dziecko Wojtek często kłócił się z ojcem, również na temat religii. Gdy w życiu ojca doktryna chrześcijańska odgrywała fundamentalną rolę, syn ją odrzucał. Wojtek był tak przerażony wizją nieba i piekła, że postrzegał ją jako swego rodzaju szantaż religijny. Ojciec nalegał, by uznał on Chrystusa za człowieka godnego naśladowania, nawet jeżeli w niego nie wierzy. Jednak szczera odpowiedź Wojtka go zszokowała.

„Jak można nazywać doskonałym kogoś, kto podawał się za Boga? Albo jesteś Bogiem, albo człowiekiem!".

Minęło wiele lat, zanim Wojtek poczuł dla Jezusa jakiekolwiek współczucie. Zaczął doceniać go po obejrzeniu musicalu *Jesus Christ Superstar* – ujrzał w nim człowieka, który cierpiał i miał świadomość zbliżającej się śmierci. Najbardziej intrygowało Wojtka to, że chociaż Chrystus nie rozumiał, dlaczego ma umrzeć, to jednak przyjmował nieuchronność śmierci z pełnym godności spokojem. Osobowość Chrystusa poruszyła, a nawet zainspirowała wspinacza.

Szczególnie przemówiła do niego następująca kwestia wypowiadana przez Chrystusa w musicalu: „Teraz jestem smutny i zmęczony".

– Każdy alpinista na pewnym etapie swojej kariery słabnie – tłumaczył. – Wcześniej byłeś natchniony, a teraz jesteś smutny i zmęczony, nieszczęśliwy i przestraszony. W pewnym momencie odchodzi inspiracja, a jej miejsce zajmują zmęczenie i smutek.

Wchodzenie na wysoką górę nieuchronnie wiąże się z różnymi nieprzyjemnymi doznaniami, z którymi trzeba się jakoś uporać. Żeby zostać wspinaczem, trzeba umieć radzić sobie w trudnych – a nawet ekstremalnych – sytuacjach i umieć przezwyciężać rozpacz. Przytłoczony nagłą zmianą pogody, halucynacjami, ogarniającym

zmęczeniem czy utratą przyjaciela, w chwilach smutku wspinacz musi szukać motywacji głęboko we własnym wnętrzu. Alpinista powinien pogodzić się z tym, że nagroda rzadko przychodzi natychmiast.

Do Wojtka – mężczyzny, który stał się jednym z najlepszych polskich alpinistów i jako jeden z nielicznych żył wystarczająco długo, aby porozmyślać o swojej wspaniałej karierze – satysfakcja przyszła późno.

Kiedy był bardzo młody, wraz z rodziną przeniósł się ze wsi do zniszczonego wojną Wrocławia. Tak samo jak Wandę i Andrzeja, również i jego przygnębiały ponure i zatłoczone ulice. Przeprowadzka była pomysłem ojca, Tadeusza Kurtyki, znanego prozaika. Pisał on pod pseudonimem Henryk Worcell i zdobył uznanie krytyków oraz czytelników już swoją pierwszą książką – zbiorem opowiadań z życia kelnera krakowskiej restauracji pod tytułem *Zaklęte rewiry*. Opowiadania te stanowiły refleksję nad życiem klientów i obsługi lokalu, a ich wydanie wywołało w Polsce wiele dyskusji. Tadeusz Kurtyka – człowiek cichy, dobry obserwator życia i ludzi – zainteresował się też losami Niemców zamieszkujących okolice Wrocławia w przededniu ich wysiedlenia.

Miasto, które Tadeuszowi zapewniało dostęp do wydawców i literackiego życia, dla Wojtka okazało się piekłem.

Całe dnie spędzał w oknie sypialni, wpatrując się posępnie w pogrążone w strugach deszczu ulice, tęskniąc za kolorami i zapachami lasu. Popadł w dziecięcą depresję, dręczony koszmarami, w których mierzył się z dziwacznym i złym do szpiku kości duchopodobnym stworem. Wojtek stawał przed nim, próbując nawiązać kontakt. Robił jeden lub dwa śmiałe kroki w kierunku zjawy tylko po to, by za chwilę obudzić się z krzykiem.

Każdej nocy podchodził coraz bliżej. Im bardziej jednak zmniejszał dystans, tym bardziej realny stawał się sen, a strach ogarniający Wojtka się wzmagał. Koszmar ten zdawał się zwiastować doskwierające później alpiniście uczucie pierwotnego lęku – lęku przed upadkiem, przed śmiercią. Za każdym razem, kiedy mierzył się ze strachem w górach, nawiedzało go wspomnienie koszmaru z dzieciństwa.

Wojtek ukończył szkołę średnią i – podobnie jak Wanda – dostał się na wydział elektroniki. Tak samo jak Rutkiewicz i Kukuczka, kiedy tylko stanął u stóp skalnej turni, wiedział, że czeka go coś niezwykłego.

„Kiedy podszedłem do skały i położyłem na niej dłonie, moje palce same się zacisnęły i zacząłem wspinać się ku górze".

Skończył uczelnię i opuścił Wrocław w 1971 roku. Przez jakiś czas próbował żyć z naprawiania telewizorów, jednak praca ta nie wzbudzała w nim najmniejszej nawet satysfakcji. Znienawidził ją tak bardzo, że kiedy kilka miesięcy później zepsuł się jego własny telewizor, zamiast go naprawić, zadzwonił po technika. Swoją niechęć do regularnej pracy próbował przełamać, przyjmując posadę inżyniera w przemyśle hutniczym. I tym razem się nie udało. Zwyczajne zajęcia wydawały mu się na wskroś nudne. Intelektualne nastawienie do życia Wojtek przeniósł także do wspinaczki. Potrzebował zawiłości, problemów do rozwiązania, wytyczania nowych dróg i tym podobnych zajęć, które byłyby w stanie utrzymać jego zainteresowanie.

To właśnie wtedy odkrył dużo ciekawszy sposób zarabiania. Jak większość polskich alpinistów wyjeżdżających na ekspedycje do Azji zaczął parać się handlem.

Żywność, sprzęt turystyczny i inne tanie dobra przywiezione z Polski można było sprzedać w Azji za twardą walutę. Ta zaś miała

w kraju, pozostającym w sztucznie stworzonym radzieckim systemie ekonomicznym, olbrzymią moc nabywczą. Wojtek rozszerzył później swój biznes, importując kożuchy z baraniej skóry i inne wysokiej jakości towary z Afganistanu. Sprzedawał je we Francji, współpracując z tamtejszymi wspinaczami.

Bardzo modne wówczas kożuchy, starannie wykonane, z misternym haftem, Wojtek kupował za trzydzieści dolarów, a sprzedawał za sto pięćdziesiąt. W Polsce łatwo można było przeżyć za ledwie dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie, dzięki dochodom z handlu miał więc więcej, niż potrzebował.

Wspinacz prosperował w systemie, który napawał go obrzydzeniem. Obmyślając intrygi i strategie ułatwiające zdobywanie pozwoleń, pieniędzy i paszportów, wymykał się prawu, które zakazywało czarnorynkowego handlu. Szczycił się swoim biznesem. Porzucił wszelkie plany zawodowe związane z elektroniką i skupił się na górach.

Dzięki swoim nieoficjalnym importowo-eksportowym interesom drugą połowę lat siedemdziesiątych spędził, podróżując po świecie. Aby uzyskać paszport, musiał udowodnić, że ma taką ilość obcej waluty, która pozwoli mu na życie za granicą. Udawało mu się to dzięki kontom bankowym stale zasilanym twardą walutą ze sprzedaży przyjemnych w dotyku – i dochodowych – kożuchów z baraniej skóry. Poza intensywnym wspinaniem w Tatrach Wojtek przeszedł trudne drogi w Alpach i w Norwegii.

Jednak większość polskich wspinaczy, nawet ci, którzy parali się przemytem, wiecznie była w finansowym dołku. Zwłaszcza za granicą musieli oszczędzać na jedzeniu i noclegach. Wspinaczkowa mekka Alp – francuskie Chamonix – była dla Polaków niewyobrażalnie droga. Mimo to właśnie wspinacze z Tatr

– a nie walczący z bezrobociem i biedą Anglicy – zdobyli opinię „dających sobie wszędzie radę".

Podczas jednej z wypraw do Chamonix grupa polskich alpinistów bez grosza w kieszeni trafiła na dziwnie puste, ale urokliwe pole kempingowe. Wisiała tam tylko jedna tablica: „Camping Interdit".

Rozstawili namioty i ruszyli do miasta. Żandarm, który obserwował ich poczynania, podszedł, by się z nimi zaznajomić.

– *Bonjour, mes amis*. Gdzie obozujecie? Na kempingu was nie widziałem.

– Ależ my właśnie jesteśmy na polu namiotowym – odpowiedzieli.

– Na którym?

– Tuż obok. Nazywa się Camping Interdit.[14]

Zdawało się, że wstrząsy ekonomiczne i polityczne, przez które na drodze młodych alpinistów pojawiały się wciąż nowe przeszkody, tylko zaostrzają ich apetyt na przygodę. Wielu przyjezdnych wspinaczy dokonywało drobnych kradzieży w sklepach w Chamonix, lecz posądzenie Polaków o udział w tym nielegalnym sporcie byłoby dla nich wielką obrazą – byli wszakże oficjalnymi przedstawicielami Polskiego Związku Alpinizmu. Mimo wszystko jednak głodowanie w Alpach w porównaniu z monotonią życia w ojczyźnie jawiło się jako wyższa forma egzystencji.

Trudno było zorganizować nawet wyprawę w Tatry, bo leżą one na terenie Polski i dawnej Czechosłowacji, a przekraczanie granicy w górach było nielegalne. Jednak wytyczenie nowej drogi stanowiło pokusę, której polscy alpiniści nie mogli się oprzeć. Często ignorowali tak zwaną granicę przyjaźni. Najaktywniejsi z nich mogli pochwalić się w każdym sezonie co najmniej sześcioma nielegalnymi wspinaczkami po zakazanej stronie.

Pewnego letniego poranka młody wspinacz z Katowic Grzegorz Chwoła prześlizgnął się przez granicę, by przejść jedną z takich dróg. Zwykle podczas wspinaczki nosił kask budowlany, ale niedawno dostał od brata z Włoch prawdziwy, jasnopomarańczowy kask wspinaczkowy. Tego dnia odstąpił go swojej partnerce wspinaczkowej Elżbiecie Mierzejewskiej. Spakowała kask na wierzch plecaka, a Grzegorz zabrał swój stary i wyblakły.

Wstali wcześnie, dojechali do początku szlaku po polskiej stronie, a później, na niestrzeżonym odcinku granicy, bez problemu przeszli do Czechosłowacji. Zeszli do podstawy stupięćdziesięciometrowej ściany. Dzień był gorący. Kiedy dziewczyna wyjmowała kask z plecaka, wysunął się jej ze spoconych dłoni i stoczył na dno doliny. Czechosłowackiej doliny! Grzegorz zaklął. Nie było innego wyjścia – spakowali się i powędrowali w dół. Godzinami gramolili się przez obmierzłe piargowe zbocza i kłującą kosówkę. Kiedy ziemia nareszcie stała się płaska, zobaczyli drogocenny kask balansujący między głazami – nieuszkodzony i wciąż bardzo pomarańczowy. Ociekali potem, więc rozebrali się i zanurzyli w zimnym górskim strumieniu.

Chwilę później pojawili się strażnicy tatrzańscy, tak zwani filance.

– Dzień dobry, poproszę paszporty – powiedział jeden z nich, stając blisko pary wspinaczy i odwracając wzrok.

– Och, dzień dobry panom – powiedział Grzegorz, dla którego nie było to pierwsze zajście na granicy. – Jak to miło panów spotkać.

– Chciałbym zobaczyć państwa przepustki – usłyszał w odpowiedzi.

Przepustek nie mieli. Błagali więc, żeby strażnicy ich puścili, i opowiadali, jak to pomarańczowy kask wypadł z plecaka po polskiej stronie granicy i „uciekł" do Czechosłowacji. Strażnicy jednak nie kupili opowieści. Było gorąco i nie mieli nastroju

do dyskusji. Kazali im się ubrać i zawieźli ich na posterunek w Javorinie, gdzie zostali przesłuchani i napomnieni. Następnie przewieziono ich na Łysą Polanę, gdzie trafili na kapitana Baniaka, znanego służbistę z polskich Wojsk Ochrony Pogranicza.

Wrócili jako częściowi zwycięzcy – z pomarańczowym kaskiem, jednak bez nowej drogi.

* *
*

Pomimo licznych przeszkód polscy wspinacze nie tylko się nie poddali, ale też odnosili sukcesy w kraju i za granicą.

Wojtek, który okazał się wybitnie utalentowany, swoją pierwszą wyprawę do Afganistanu, ulubionego miejsca wysokogórskich treningów, odbył w 1972 roku. Celem ekspedycji krakowskiego klubu prowadzonego przez Ryszarda Kozioła były dwa potężne szczyty – Acher Czhisz (7017 m) i Koh-e Tez (6995 m). Pomimo imponujących umiejętności Wojtek niewiele wiedział o wspinaczce na tych wysokościach, doświadczenie zdobywał bowiem w dużo niższych Tatrach i Alpach. Przeczytał kilka relacji z wypraw wysokogórskich i miał niejasne pojęcie o wysokich obozach, a także o etapach aklimatyzacji. Teraz ten dwudziestoparolatek znalazł się w Hindukuszu pod siedmiotysięcznymi szczytami. Z naiwnym entuzjazmem chciał się wspinać po nich tak, jak wspinał się w Europie – w stylu alpejskim, bez obozów pośrednich, butli z tlenem i poręczówek.

Wspinacze na szczęście wiedzieli przynajmniej tyle, że najpierw trzeba przyzwyczaić organizmy do rozrzedzonego powietrza. Na szczyt Acher Czhisz weszli nową drogą po północno-wschodniej ścianie, po czym wykonali trzydniowe przejście północną ścianą. Wspinaczka ta była jednym z pierwszych wysokogórskich

technicznych przejść w stylu alpejskim – mało nagłośnionym w porównaniu z przeprowadzoną trzy lata później, w 1975 roku, przez Tyrolczyka Reinholda Messnera i Austriaka Petera Habelera przełomową wspinaczką na Gaszerbrum I, znany także jako Hidden Peak (Ukryty Szczyt). Chociaż droga na Gaszerbrum I nie była tak trudna technicznie jak ta pokonana przez polską ekspedycję, to zakończyła się na magicznych ośmiu tysiącach metrów, rozpalając wyobraźnię alpinistycznego świata.

W następnych latach polskich wspinaczy opanowało pragnienie zawładnięcia Hindukuszem. W 1976 roku wyruszyło tam trzynaście polskich ekspedycji – w sumie stu pięćdziesięciu jeden wspinaczy. W następnym roku były to już dwadzieścia dwie wyprawy – sto dziewięćdziesiąt trzy osoby wspięły się wówczas na sto dwa szczyty, poprowadzono dwadzieścia dziewięć pierwszych wejść. Hindukusz stał się wtedy bazą szkoleniową polskiej wspinaczki wysokogórskiej.

Wojtek wziął też udział w dowodzonej przez Zawadę ekspedycji na Lhotse zimą 1974 roku, jednak atmosfera wielkich narodowych wypraw zdecydowanie mu nie odpowiadała. Upewnił się w tym rok później, kiedy uczestniczył w szturmie na K2 północno-wschodnią granią – wyprawie prowadzonej przez innego znanego polskiego kierownika Janusza Kurczaba.

Zabrakło im dwustu metrów do skończenia nowej trudnej drogi wiodącej wzdłuż atakowanego przez wiatry grzbietu. Wojtek uważał, że sposób dowodzenia Kurczaba, z tajnymi głosowaniami i niekończącymi się dyskusjami o tym, kto pójdzie gdzie, kiedy i z kim, jest „zbyt demokratyczny". Andrzej Zawada prowadził wyprawy bardziej spontanicznie, Wojtek dusił się jednak w atmosferze silnie zhierarchizowanych i mało elastycznych ekspedycji. Czuł, że musi odnaleźć własną drogę.

* *
*

Wojtek w 1977 roku wrócił do Afganistanu, tym razem z młodym brytyjskim alpinistą Alexem MacIntyre'em. Alex był członkiem pokolenia dzieci kwiatów i wyglądał jak dzikus z burzą niesfornych czarnych loków i błyszczącymi oczami. Miał też zamiłowanie do haszyszu. Razem z Johnem Porterem brał udział we wspinaczkowej wymianie, którą Zawada zorganizował między Polskim Związkiem Alpinizmu a British Mountaineering Council. Ponieważ alpiniści z obu krajów stopniowo przezwyciężyli dzielące ich różnice ideologiczne, logiczną tego konsekwencją było rozpoczęcie wspólnego wspinania. Poza tym duże bezrobocie w Wielkiej Brytanii i niskie płace w Polsce dawały niewielką motywację do pozostawania we własnym kraju.

Wspinacze spotkali się w Warszawie i wspólnie wyruszyli pociągiem do Moskwy. Przez pięć dni przemierzali równiny ciągnące się od Wołgi po Orsk, później zaś przejechali od morza Aralskiego po Kaspijskie, do starożytnego miasta Termez nad rzeką Amu-darią wyznaczającą granicę radziecko-afgańską. Budżet ekspedycji był bardzo skromny, jako że w Afganistanie ceny były równie niskie jak w Polsce. Polacy zapewnili bilety, sprzęt, żywność oraz doświadczenie organizatorskie. Brytyjczycy wnieśli dewizy. Podział ten okazał się korzystny dla wszystkich.

Jadąc pociągiem, wymieniali się wiedzą wspinaczkową i opowiadali nieprzyzwoite dowcipy, racząc się polskimi przysmakami. Był jednak mały problem: obcokrajowcy nie mieli pozwolenia na wjazd do Termezu, gdzie za osiemnaście miesięcy miała się rozpocząć radziecka inwazja na Afganistan.

Aby przejść częste kontrole między radzieckimi republikami, Porterowi – nazywanemu Porterwicz – oraz MacIntyre'owi –

nazywanemu przez całą grupę Makinterski – kazano trzymać buzię na kłódkę, a w odpowiedzi na wszelkie pytania kiwać głową.

Podstęp działał aż do granicy afgańskiej, na której strażnik zażądał paszportów całej ekspedycji. Kiedy wyszło na jaw, że John i Alex nie mają wymaganych pieczątek, oficer wybuchł gniewem i kazał uwięzić „dwóch brytyjskich szpiegów". Rozmowy ciągnęły się kilka dni i wyglądało na to, że międzynarodowa wymiana dobiegła końca. Brytyjczykom groziło składanie wyjaśnień w Moskwie, a Polskiemu Związkowi Alpinizmu – uciążliwe naprawianie relacji po powrocie wyprawy do Warszawy.

Wojtek, zirytowany nieciekawą perspektywą, odciągnął strażnika na bok.

– Przeanalizujmy sytuację – zaczął. – Jeśli zgłosi pan nasze przeoczenie, czeka pana trwająca wiele dni papierkowa robota i prawdopodobnie surowa reprymenda przełożonych.

Strażnik kiwnął głową.

– Dlaczego po prostu o tym nie zapomnieć? – zapytał Wojtek. – Pan pozwoli im przekroczyć granicę. My będziemy mogli kontynuować wyprawę, a pan będzie cieszył się miłym dniem bez problemów.

Znużony kłótniami strażnik zastanawiał się tylko kilka sekund. Z grymasem dezaprobaty na twarzy przygotował potrzebne dokumenty i wskazał drogę na prom. Kazał głęboko spakować aparaty i poradził, żeby opuścili głowy i nie przyglądali się niczemu.

Pełni optymizmu zaczęli obmyślać plan, jak osiągnąć trudny cel – północno – wschodnią ścianę mierzącego 6868 metrów Koh-e Bandaka w środkowym Hindukuszu. Na ścianie, którą John opisał jako „ogromną, brzydką, ale fascynującą", polska ekspedycja połamała sobie zęby rok wcześniej.

Najpierw musieli przekonać Andrzeja, bo Bandaki nie było w oficjalnym planie wyprawy. Zawada jako kierownik był odpowiedzialny za całą ekipę i gdyby któryś z uczestników został ranny lub zginął, odpowiadałby przed komisją wspinaczkową. Przeżył męki po dwóch poprzednich wypadkach śmiertelnych, wiedział więc, że sprawa jest poważna – zwłaszcza gdy chodzi o obcokrajowców. Bandaka nie leży nawet w tej samej dolinie co Koh-e Mandaras, który Zawada obrał za oficjalny cel wyprawy. W końcu ustąpił jednak pod naciskiem Wojtka i reszty. Kiedy ciężarówki dotarły do Zebaka, zespół się rozdzielił: Andrzej i jego partnerzy ruszyli dalej do doliny Mandaras, a Wojtek, Jan Wolf, John i Alex rozpoczęli czterodniowy marsz do bazy pod Koh-e Bandaka.

Kiedy wspinacze zobaczyli złowrogą ścianę – dwa tysiące dwieście czterdzieści metrów kruchej skały i seraków – ich entuzjazm ostygł i zastąpił go strach. Przerażający łoskot osuwających się kamieni i potęga osuwiska niemal doprowadziły opanowanego zwykle Alexa do paniki. Najbardziej denerwowała go nieprzewidywalność dróg spadania głazów – milimetr w jedną stronę i słyszałeś tylko świst obok ucha; milimetr w drugą – i urywało ci głowę.

Aklimatyzacja trwała pięć dni. Jan nabawił się zapalenia oskrzeli i leżał w namiocie, a pozostali przechadzali się tam i z powrotem u stóp góry, co beznadziejnie ich nużyło.

„Romans z wielką ścianą nigdy nie jest szybkim numerkiem – pisał polski pisarz górski Tomasz Hreczuch. – To zawsze wymagające cierpliwości podchody i przeciągające się w nieskończoność przekomarzania”.[15]

Wojtek tracił cierpliwość i zastanawiał się, czy się nie wycofać. Pewnego wieczoru opuścił namiot i poszedł na samotny spacer.

Wpatrując się w ogrom ściany, poczuł, że ten górski krajobraz jest żywą istotą, do której nie można się zbliżyć.

– Byłem tak niedaleko, jednak nie mogłem nawiązać bliskiego kontaktu – wspominał. Było tak, jakby to wyjątkowe miejsce starało się do niego przemówić albo jakby już przemówiło, a on to przegapił.

Doświadczenie to, choć było frustrujące, zamieniło wspinaczkę na Bandakę w intensywne przeżycie duchowe.

Trzej przyjaciele analizowali drogi osuwających się kamieni i aktywność lodospadu. Dyskutowali nad strategią wspinaczki. Wreszcie po szczerej i trudnej rozmowie między Wojtkiem i Johnem o ryzyku i szansach na przetrwanie zdecydowali się ruszyć do góry. Spędzili sześć dni na coraz bardziej stromej skale, która ciągle się zmieniała: od kruchego piaskowca po granitowe katedry. Górną połowę pokonali po masywnych płytach i ostrej grani, a ostatnie siedemset metrów na szczyt podchodzili polem lodowym. Musieli wykazać się kreatywnością. Każdego dnia, kiedy słońce ogrzewało północno-wschodnią ścianę, lód spajający niewiarygodnie kruchą skałę rozpuszczał się, uwalniając potoki kamieni. Wyruszali więc dopiero popołudniem, kiedy robiło się spokojniej. Mimo że tak późno rozpoczynali wspinaczki, utalentowane trio przemierzało średnio dwanaście wyciągów na dobę. [16]

Po trzech dniach w ścianie zebrali się, by omówić dalszą drogę. Policzyli haki, które dla asekuracji wbijali w skalne rysy. Zostało ich kilka – wystarczająco dużo, aby kontynuować wspinaczkę, ale zbyt mało, żeby zjechać na dół.

Wiedzieli więc, że pozostało im tylko iść w górę. Napięcie opadło, skoncentrowali się na celu. Ostatnie siedemset metrów lodu pokrywał skomplikowany labirynt podstępnych, chwiejnych i przewieszonych seraków. Sforsował je w efektowny sposób Alex.

Zakończona sukcesem niebezpieczna sześćdziesięciowyciągowa wspinaczka była jedną z najbardziej imponujących dróg pokonanych w tamtych czasach w Himalajach. Członkowie zespołu połączyli swoją wiedzę i wspólnie znaleźli klucz do przejścia ściany, a co ważniejsze, pokonali własny strach. Rok później zachęciło ich to do podjęcia następnego wyzwania – tym razem w Indiach.

* *
*

Czangabang to mierzący 6864 metry szczyt w indyjskim regionie Garhwal. Geometryczny kształt trójkątnego monolitycznego szczytu nie zapowiadała łatwych dróg – wierzchołek z każdej strony osłaniają potężne lite ściany z granitu i lodu. Góra położona na brzegu rezerwatu Sanktuarium Nanda Devi nieomal wymknęła się wspinaczom z powodu skomplikowanych procedur uzyskiwania pozwoleń.

Wiele dni grupa torowała sobie drogę przez skomplikowany labirynt indyjskiej biurokracji. W końcu dotarli do kogoś, dla kogo rozmowa z nimi nie była stratą czasu. Ten ktoś dał im zgodę.

Po zachodniej stronie góra została już zdobyta dwa lata wcześniej, jednak Wojtek, Alex, John oraz inny polski wspinacz Krzysztof Żurek chcieli wejść południową ścianą. Mając jedynie trzydzieści pięć haków, trzy śruby lodowe, trochę sprzętu biwakowego i jedzenie na osiem dni, weszli za jednym podejściem na budzącą respekt tysiącsiedemsetmetrową ścianę. Noce spędzali w hamakach, dyndając w rozrzedzonym powietrzu, albo na wąskich platforemkach wyrąbanych w lodzie. To była ekscytująca napowietrzna droga z wieloma wstrzymującymi dech dwudziestopięciometrowymi lotami. Po ośmiu dniach wspinaczki Wojtek wiedział, że odnalazł własną ścieżkę: nie chciał już brać

udziału w żadnej dużej ekspedycji. Pokochał elastyczność, poświęcenie, kreatywność i niezależność małego zespołu. Co ważniejsze, wiedział już także, co go inspiruje: zgrabne łuki, stromizny, masywne geometryczne bloki skał i lodu. Dzięki swojej niezależności finansowej mógł podążać dalej ścieżką, na której czuł, że żyje.

CZĘŚĆ CZWARTA

Golonka

Musisz dawać wszystko, co masz.
Musisz kochać do utraty tchu,
pracować do utraty tchu,
maszerować do utraty tchu. (...)
Jedynym śmiertelnym niebezpieczeństwem
jest dla ducha brak niebezpieczeństw.
Świat jest cały z ognia.

Mark Helprin, „Żołnierz Wielkiej Wojny”
(tłum. Magdalena Konikowska)

Młoda brunetka Celina Ogrodzińska miała ochotę na filiżankę kawy. Dzień, w którym przekroczyła wraz z koleżanką próg katowickiej kawiarni, był dżdżysty i chłodny. Nie znalazły wolnego stolika. Kiedy już miały wyjść, trzej młodzi mężczyźni wstali i zaproponowali kobietom swoje miejsca. Jednym z nich był Jurek Kukuczka. Dziewczyny zgodziły się i usiadły. Mężczyźni spojrzeli po sobie i nie byli już pewni, czy chcą opuścić kawiarnię.

Czy mogą się przyłączyć?

Tak, oczywiście.

Ogrzewali ręce na gorących kubkach z kawą i gawędzili. Celina, z natury nieśmiała, milczała. Wolała obserwować i słuchać. Jeden

z chłopaków szczególnie ją zaintrygował: cichy, ciepły, nieco tajemniczy, o uprzejmym spojrzeniu.

Gdy godzinę później zbierali się do wyjścia, dwóch mężczyzn zaproponowało Celinie podwiezienie do domu. Pojechała z Jurkiem Kukuczką. Tak się zaczęło.

Na pierwszej randce w Katowickim Klubie Wysokogórskim poznała jego „plemię". Celina szybko pojęła, że klub był dla niego drugim domem i że swoje serce zostawił w górach. W następny weekend wspinali się na skałkach. Dziewczyna z powodu lęku wysokości nigdy więcej nie wróciła już do wspinaczki. Uwiodły ją jednak wyprawy pod namiot, opowieści, ogniska i koleżeństwo.

Podobnie jak Wrocław, również Katowice były ostoją polskiego alpinizmu. W tygodniu Jurek chodził na wykłady z teoretycznych podstaw tego sportu, a w niedziele uczył się wspinania.

Po kilku miesiącach zdobył uprawnienia skałkowe. Wziął udział w dwutygodniowym intensywnym kursie w Tatrach, który również pomyślnie ukończył, gotowy do samodzielnych wspinaczek. Jego organizm sportowca – wcześniej uprawiał podnoszenie ciężarów – mógł łatwo sprostać wymaganiom alpinizmu.

Został w Tatrach na dłużej, pokonując coraz trudniejsze drogi. Rok później ten beztroski żywot zakłóciło powołanie do wojska, co Kukuczka opisywał jako „poważną tragedię życiową". Służba w armii zabrała mu dwa lata. Po powrocie w Tatry zetknął się ze śmiercią. Była zima, wspinał się z przyjacielem Piotrem Skorupą. W połowie drogi uważanej za najtrudniejszą w całym paśmie Piotr spadł i zginął. Trzy tygodnie później Jerzy powrócił w góry i zrobił kilka pierwszych zimowych przejść.

Z powodu kiepskiej sytuacji finansowej Kukuczka niezbyt często wyruszał w Alpy. Towarzyszył w kilku wyprawach Wojtkowi. W 1974 roku śląska ekipa zaprosiła go do wyprawy na McKinley

na Alasce. Jednak już 4500 metrów nad poziomem morza dopadła go choroba wysokościowa. Wpełznął do namiotu i wył, zszokowany niemocą i bólem, które powaliły jego młode ciało. W końcu jednak wszedł na szczyt dzięki sile woli i niezwykłej odporności na cierpienie.

W Hindukuszu w 1976 roku Kukuczkę znowu dosięgła ta sama przypadłość. I znowu dzięki determinacji samotnie wspiął się na siedmiotysięczny Koh-e Tez.

W tym czasie spotykał się z Celiną.

– Odpowiadała mi jego osobowość – wspomina Ogrodzińska. – Nie był nerwowy, porywczy, ale cichy i zrównoważony.

Przyglądała się narastającej wspinaczkowej obsesji Kukuczki. Była świadoma ryzyka związanego z miłością do alpinisty.

– Kiedy był w górach, ciągle o nim myślałam, bo wiedziałam, jak łatwo może tam zginąć. Starałam się stłumić te myśli, ale świadomość ryzyka związanego z tym sportem tkwiła w mojej głowie – wspomina.

Jurek z kolei dostrzegł w Celinie kobietę, z którą chciałby spędzić życie – atrakcyjną, głęboko religijną i ceniącą tradycyjne wartości. Założyliby rodzinę, mieli dzieci i opiekowali się ogrodem. Z Celiną mógł mieć to wszystko, a jednocześnie się wspinać. Ale czy na pewno? Większość jego polskich kolegów i wspinaczy na całym świecie nie pogodziła wspinaczki z życiem osobistym. Wanda i Andrzej zdążyli już się rozstać z małżonkami.

Wielka alpinistyczna rodzina dawała swym członkom poczucie ciepła i wspólnoty, lecz intymność i napięcie związane z posiadaniem prawdziwej rodziny miały inny charakter. Celina i Jurek rozumieli, co im grozi. Celina czuła, że powodzenie ich małżeństwa zależy właśnie od niej. To ona będzie zostawać sama w domu, ona zajmie się wychowaniem dzieci. Wiedziała, że Jurek

jest dobrym człowiekiem, jednak do niej miała należeć tylko jego część – resztę posiadły już góry. Uczucie zwyciężyło. Po trzech latach znajomości, 22 czerwca 1975 roku, wzięli ślub.

* *
*

Odbyło się już kilka polskich wypraw w wysokie góry: zimowa próba na Lhotse w 1974 roku, ekspedycja Wandy na Gaszerbrumy w 1975, wyjazd Kurczaba na K2 w 1976, a także tragiczna wspinaczka na Broad Peak w 1975, kiedy podczas zejścia ze szczytu centralnego (8011 m) zginęło trzech spośród pięciu zdobywców. W 1977 roku Jurek wziął udział w organizowanej przez Klub Wysokogórski Katowice wyprawie na południowo-wschodnią ścianę Nanga Parbat tak zwaną drogą Schella. W górnych partiach pomylili jednak drogę i musieli się wycofać z powodu skalnych barier, na które natrafili w okolicach ośmiu tysięcy metrów, oraz doznanych odmrożeń. Po szybkim zlustrowaniu drogi zmienili plany i za cel obrali ścianę Rakhiot (7070 m, szczyt w północno – wschodniej grani masywu Nanga Parbat), by tamtędy zaatakować ośmiotysięczny Nanga Parbat. Musieli się jednak wycofać z powodu skalnych barier, na które trafili w okolicach ośmiu tysięcy metrów. Jurek wrócił z gór smutny, dławiony poczuciem klęski.

W latach 1978–1979[17] roku Polski Związek Alpinizmu starał się o pozwolenie na zorganizowanie wyprawy na Lhotse. Na wszelki wypadek poprosił też o zgodę na środkowy i południowy wierzchołek Kanczendzongi (8585 m). Niespodziewanie dostał wszystkie trzy pozwolenia. I wtedy pojawił się problem, jak wykorzystać te zgody. Adam Bilczewski, lider wyprawy na Lhotse, zaprosił do udziału w niej także Jurka – i to pomimo bolesnych doświadczeń z Alaski i porażki na Nanga Parbat.

Jurek musiał znaleźć sposób na sfinansowanie wyprawy – wybrał ten „made in Katowice". Dorastał w przemysłowym sercu kraju, otoczony wysokimi kominami hut. Kominy te trzeba czyścić i malować. I tam Jurek, podobnie jak całe jego pokolenie, znalazł swoją niszę w biznesie.

Miał talent negocjatorski. Opisał nawet swoją pierwszą wizytę w biurze dyrektora stalowni. Odwiedził go ze znajomym wspinaczem, kiedy chciał zarobić pieniądze na wyprawę na Lhotse. Na ścianie gabinetu wisiało polskie godło, a półki uginały się pod dziełami Lenina. Przez zakurzone okno widać było wysoki komin – powód ich spotkania.

Jurek nie tracił czasu i od razu przedstawił swoją propozycję. Dyrektor paplał na temat dużej katowickiej firmy, która także mogłaby wykonać to zlecenie. Jednocześnie sam zdawał sobie sprawę, że rzeczone przedsiębiorstwo zażądałoby za tę usługę fortuny. I że prace trwałyby długo. Zadał więc kluczowe pytanie: ile czasu Jurkowi zajęłoby pomalowanie komina?

Jurek spojrzał na wysoki zardzewiały komin. Jeszcze przed przestąpieniem progu dyrektorskiego pokoju wiedział, jak odpowie na to pytanie. Zmarszczył jednak czoło, udając, że ocenia sytuację.

– Około dwóch tygodni. Ale może udałoby się zdążyć w tydzień.

Dyrektor zaśmiał się z naiwności Kukuczki.

– Samo ustawienie rusztowania zajmie wam ponad tydzień – wypalił.

– Nie używamy rusztowań – odparł Jurek.

– Więc jak to robicie?

– Na linach.

Dyrektor wiedział, że komin musi być pomalowany, i to zaraz. Wymagały tego przepisy. Wiedział też, że wykonawca zatwierdzony przez władze malowałby co najmniej cztery razy

dłużej. Ale nie znał tych dwóch młodych facetów, którzy zapewniali, że poradzą sobie z zadaniem. Zaproponował kawę. Jurek wyczuł, że dyrektor gra na zwłokę. Było jasne, że spadli tak ważnej osobie i jej krzywemu kominowi z nieba. Trzymali dyrektora za gardło! Jurek wiedział, ile zażądać za pracę: milion złotych. Była to ogromna suma – równowartość dwustu miesięcznych średnich krajowych. Dokładnie tyle potrzebowali, by dostać się pod Lhotse.

– Ale my jesteśmy, wiecie, przedsiębiorstwem państwowym. Nie możemy zlecać tak poważnych robót osobom prywatnym – powiedział dyrektor. Byli i na to przygotowani. Wynagrodzenie miało być przekazane na Fundusz Akcji Socjalnej Młodzieży. Mieli także Dziennik Ustaw.

– Już dobrze, dobrze... Będę jeszcze musiał zasięgnąć opinii radcy prawnego. W razie czego... kiedy moglibyście zacząć?

W tej sytuacji wszyscy wygrywali.

* *
*

Pierwszy kontakt z Indiami był dla Kukuczki szokiem. Niewielki budżet (dwa dolary na noc) zmuszał ich do wynajęcia w Bombaju pokojów hotelowych najniższej klasy – były to brudne kabiny z łóżkami z dykty i szczurami biegającymi po korytarzach. Początkowo Jurek trzymał się z daleka od miejscowego jedzenia i nie chciał pić wody. Jednak coca-cola była za droga. Z czasem zasmakował w lokalnej kuchni i polubił ludzi, wyzbywając się europejskiego strachu przed Azją. W bazie pod Lhotse znów musiał zmierzyć się z chorobą wysokościową.

Wystarczyło, że wszedł na pięć tysięcy czterysta metrów, by w głowie zaczęło mu łomotać, a w żołądku ciążyć. Odkrył jednak, że nieustający ruch, praca i wysiłek łagodzą ból. Aktywność

zmuszała go do głębokiego oddychania i pobudzała krążenie krwi i tlenu w jego silnych nogach. Ciężka praca wydawała się lekarstwem na problemy. Kiedy wspinali się na Lhotse, Jurek nie mógł nie zauważyć, że ta sama droga do wysokości siedmiu tysięcy trzystu metrów wiodła na Mount Everest (8848 m). Potem rozdzielała się w lewo na najwyższy szczyt świata i w prawo na Lhotse. Zaczęła mu kiełkować myśl o zmianie celu wyprawy. Everest był przecież wyższy. Jednak zezwolenie obejmowało Lhotse i koniec końców zaproszono go do wspinaczki na tę właśnie górę. Poza tym w głowie wciąż mu łomotało.

Gdy zrozumiał, że nie ma co marzyć o Evereście, skupił się na celu wyprawy i puścił wodze fantazji. A gdyby tak zdobyć górę bez tlenu? Wówczas uważano, że wspinaczka na himalajskie giganty bez użycia butli tlenowych zakończyłaby się trwałym uszkodzeniem mózgu.

– Zobaczysz, stracisz połowę swoich szarych komórek i zgłupiejesz – ostrzegali go w bazie inni członkowie wyprawy.

Ta myśl go otrzeźwiła. Jednak wciąż chciał czegoś więcej niż tylko wejścia na Lhotse. Jakaś jego część odrzucała ideę grania o niższe stawki.

– Dla mnie istnieją tylko wysokie pule albo żadne – mówił. – To one mnie kręcą.[18]

Dwóch z czterech członków zespołu szturmowego optowało za użyciem butli. Andrzej Czok chciał obyć się bez nich. Jurek też. Jednak na wszelki wypadek zabrał dwie butle i aparat tlenowy. To dodatkowe dziesięć kilo na plecach.

Wyruszyli w czterech: dwóch korzystało z dodatkowego tlenu, a dwóch nie. Po godzinie wspinaczki odległość między nimi była ciągle taka sama. Jurek postanowił zostawić swój ładunek. Bez dodatkowego obciążenia ruszał się dużo żwawiej, lecz po trzech

godzinach dystans między wspinaczami z butlami tlenowymi a tymi bez nich się zwiększył. Na wysokości ponad ośmiu tysięcy metrów odległość dalej rosła. Kukuczka skupił się na oddychaniu i własnym rytmie. Dziesięć kroków. Odpocząć. Oprzeć się na czekanie. Oddychać głęboko. Nie siadać. Dziesięć kroków. Odpocząć. Oprzeć się na czekanie. Oddychać głęboko. Nie siadać.

Na szczycie, dysząc konwulsyjnie, grzebał w bagażu w poszukiwaniu proporca swojej górskiej drużyny harcerskiej i drugiego z katowickim emblematem. Po wejściu nie ogarnęła go euforia. Wiedział tylko, że musi zrobić kilka zdjęć, a potem odwrócić się i zejść.

Po dojściu do trzeciego obozu, gdzie mógł wypić herbatę i zjeść zupę, zamyślił się. Wsłuchiwał się w pracę swojego organizmu, który o mały włos nie odmówił mu posłuszeństwa. Teraz zaczął się uspokajać. Kiedy reszta ruszyła na dół następnego dnia, Jurek postanowił zostać jeszcze na górze. Zdążył się już zaaklimatyzować, a mgiełka odurzenia zniknęła z jego mózgu. Było wspaniale, dlaczego miał się spieszyć? Po raz pierwszy czuł się zdrowy i silny wysoko w górach – poczuł smak życia, które na niego czekało: życia na wysokości.

Wracając przez dolinę Khumbu, wspinacze – dumni z sukcesu – zatrzymali się w obozie we wsi Namcze. Kiedy rozpakowywali bagaże, przybiegło dwóch Szerpów.

– Pan Messner idzie! Wyprawa pana Messnera! – krzyczeli.

Zdumiony Jurek obserwował, jak Szerpowie rozbijają namiot Reinholda Messnera. Wyłożyli jego suche ubrania, powiesili lampę i przygotowali legowisko. Wkrótce pojawił się też sławny alpinista. Jurek był zaskoczony, że ta wspinaczkowa supergwiazda zachowuje się jak zwykły człowiek.

Po wymianie uprzejmości i pogawędce o tym, gdzie byli Polacy, a gdzie wybierał się Reinhold (na Ama Dablam – 6856 m), rozmowa zeszła na Nanga Parbat. Jurek opowiedział o swojej ekspedycji sprzed dwóch lat, kiedy dotarł do przełączki na wysokości około ośmiu tysięcy metrów, gdzie znalazł latarkę.

– Latarkę? – Reinhold wbił wzrok w Kukuczkę.

– Tak, zwykłą latarkę. Dziwiłem się, skąd się wzięła, bo przecież tam nie było jeszcze żadnej drogi... – odpowiedział Jurek.

Reinhold był wyraźnie wstrząśnięty. Opowiedział Jurkowi, jak w 1970 roku wspinał się ze swym bratem Güntherem na południową ścianę i jak stracił z nim kontakt. Był pewien, że właśnie nad tą przełączką jego brat wymieniał baterie. Reinhold poprosił Kukuczkę o odnalezienie latarki i powtórzenie, jak i gdzie ją znalazł. Potrzebował tych informacji do książki, którą pisał. Reinhold był wtedy w ogniu krytyki i spekulowano, że „zostawił Günthera na pastwę losu" przed szczytem. Latarka odnaleziona przez Jurka mogła dowodzić, że Günther zginął, schodząc flanką Rupal.

Jurek wrócił do domu 4 grudnia 1979 roku. Następnego dnia zadzwonił do Andrzeja Zawady, by przekazać mu radosną nowinę. Sprawdził się na wysokości, wchodząc na Lhotse, i miał ochotę na więcej. A to już było w rękach Andrzeja. Zawada złożył mu ofertę: zimowa wyprawa na Everest.

Everest! Jurek wpatrywał się w górę, marzył o niej. Teraz miał się na nią wspiąć – zimą! Był jednak mały problem. Musiałby wyruszyć w ciągu dwóch tygodni. Odrzucił propozycję. Celina była w ciąży, a rozwiązania spodziewała się w styczniu. Wcześniej poroniła córkę, Kukuczka musiał więc ją wspierać.

Maciek Kukuczka przyszedł na świat w sylwestrową noc 1979 roku, a Jurek był przy jego narodzinach.

Zawada miał jednak także nagrodę pocieszenia. Dostał jeszcze jedno pozwolenie na wejście na Everest najbliższej wiosny. Jurek mógł dołączyć do tej wyprawy. Mieli wytyczyć nową drogę.

CZĘŚĆ PIĄTA

Potrójny sukces na Evereście

Czym jest góra? Przeszkodą; transcendentnością;
a przede wszystkim skutkiem.
Salman Rushdie, „Szatańskie wersety”

Wszystkie górskie krajobrazy kryją w sobie opowieści:
te, które czytamy, te, które śnimy, i te, które sami piszemy.
Michael Kennedy, „Alpinista”
(tłum. Stanisław Gieżyński)

Do późnych lat siedemdziesiątych na Evereście (8848 m) dokonano wielu przełomowych wejść. W 1953 roku Nowozelandczyk Edmund Hillary i Szerpa Tenzing Norgay stanęli na wierzchołku jako pierwsi, wchodząc drogą z Przełęczy Południowej. Prawie ćwierć wieku później, w 1975 roku, udało się to pierwszej kobiecie – Japonce Junko Tabei. W tym samym roku ekspedycja prowadzona przez brytyjskiego wspinacza Chrisa Boningtona zachwyciła alpinistyczny świat, odkrywając tajemnicę południowo-zachodniej ściany. Trzy lata później Reinhold Messner i Austriak Peter Habeler przesunęli granicę niemożliwego, wspinając się na najwyższy szczyt świata bez użycia butli tlenowych.

Brytyjczycy, Austriacy, Japończycy, Nowozelandczycy, Nepalczycy i wielu innych zostawiło swój ślad na Evereście. Jednak

nie było tam żadnego Polaka. Polacy – nie tylko polscy wspinacze, lecz cały naród – byli więc głodni Everestu.

Po raz kolejny wielką rolę odegrała tu polityka. Tuż po zakończeniu II wojny światowej, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, nie można było opuścić kraju i wyruszyć na najwyższe łańcuchy górskie. System na to nie pozwalał, przekreślając szanse na jakiekolwiek pierwsze wejścia. Gdy na Evereście wytyczano najważniejsze drogi, polscy wspinacze dopiero nabierali wprawy.

Aby dogonić czy przegonić resztę wspinaczkowego świata, musieli szybciej się uczyć. Polski Związek Alpinizmu rozumiał to równie dobrze jak sami wspinacze i dlatego wspierał ich wysiłki.

W tym samym czasie rosła sława Wandy. W 1977 roku wróciła do Pakistanu, żeby wejść na mierzący 8126 metrów Nanga Parbat. Zimą następnego roku wyjechała w Alpy, gdzie wspięła się północną ścianą Matterhornu. To czysto kobiece wejście postrzegano wówczas jako spore osiągnięcie. Rutkiewicz uznano za jedną z najlepszych alpinistek świata. Często zapraszano ją do udziału w wyprawach, zwłaszcza europejskich. Jej życie kręciło się wokół ekspedycji: przygotowań, treningów, zbierania pieniędzy, podróżowania, wspinania i regeneracji. W swoim dzienniku wyznała, że jedynie w górach może się w pełni odprężyć i być sobą. To właśnie tam, w obozie, w towarzystwie podobnych ludzi, z daleka od polskich problemów, oddychając czystym górskim powietrzem, czuła się najbardziej u siebie.

W 1978 roku Wandzie się poszczęściło. Nadeszła jej szansa na Everest – i to nie z Polskiego Związku Alpinizmu, ale z Niemiec. Dr Karl Herrligkoffer poprosił ją, aby towarzyszyła mu w wyprawie na szczyt świata. Zebrał duży międzynarodowy zespół, który miał zaatakować Everest drogą klasyczną, a Wandę widział jako

drugiego zastępcę. Wybór ten wywołał rozgoryczenie niektórych członków ekipy. Uważali, że Rutkiewicz nie nadaje się do tej funkcji. Ona zaś uznała ich niezadowolenie za wyraz staroświeckiego męskiego szowinizmu. Była zbyt silna, by ugiąć się pod takim naciskiem. Miała szansę wspiąć się na najwyższy szczyt świata i niechęć kilku mężczyzn nie była w stanie jej przeszkodzić.

Karl zdawał sobie sprawę z konfliktu w zespole.

„Czegoś takiego nie widziałem podczas żadnej z moich wielu wcześniejszych ekspedycji" – pisał w relacji z wyprawy. Źródłem problemów była rzekoma rozbieżność między wyemancypowaniem i pewnością siebie Wandy a jej niezdolnością do dzielenia się zadaniami i obowiązkami – zwłaszcza z mężczyznami. „Wszystkie rozmowy przeradzały się w najbardziej demonstracyjny pokaz bezdusznego męskiego egoizmu, jaki kiedykolwiek widziałem" – podsumował.

Trudności narosły, kiedy Polka trafiła do drugiej grupy wchodzącej na szczyt. Jednym z jej obowiązków było asekurowanie niemieckiej alpinistki. Kiedy stało się jasne, że kobieta nie da rady iść wyżej, Karl poprosił Rutkiewicz, by sprowadziła koleżankę do bazy. Wanda odmówiła. Nie była tam, by sprowadzać kogokolwiek, ale po to, żeby się wspinać.

– Rób, co chcesz. – Karl z rozdrażnieniem machnął rękami.

Wanda wspinała się dalej. Konflikt nasilił się na Przełęczy Południowej, na wysokości około siedmiu tysięcy dziewięciuset metrów, kiedy pierwszy zastępca Sigi Hupfauer kazał Wandzie wnieść na szczyt dodatkową butlę tlenową. Protestowała, twierdząc, że jest już wystarczająco obciążona sprzętem filmowym. Mężczyzna rzucił jej kilka ostrych słów i ruszył z resztą ekipy. Została sama, sparaliżowana strachem, opuszczona przez kolegów tak blisko szczytu. Wtedy Szerpa Mingma zaproponował jej pomoc

w niesieniu butli. Dla pozostałych członków ekspedycji miał być to później dowód, że kobiety są za słabe na Everest.

Wanda weszła na szczyt piętnaście minut po niezbyt przyjaźnie nastawionych kolegach. Być może niedotlenienie sprawiło, że na moment zapomnieli o swarach – na zdjęciach ze szczytu widać Wandę w objęciach Williego Klimka. Jednak poczucie solidarności musiało w drodze powrotnej rozpłynąć się w rzadkim powietrzu. Po dotarciu do czwartego obozu Wanda nie mogła odnaleźć swojego śpiwora. Kiedy błąkała się po obozowisku, niemal padając z nóg, nikt nie zaproponował jej pomocy. W końcu austriacka legenda wspinaczki Kurt Diemberger zaoferował jej własny śpiwór. Twierdził, że łatwiej zniesie nadchodzącą zimną noc.

Wanda opuściła wyprawę, kiedy tylko dotarła do bazy. Cieszyła się z wejścia na szczyt, ale teraz desperacko pragnęła zniknąć.

Ekspedycja ta nie była w żadnym stopniu niezwykła. Karl dobrał członków ze względu na ich umiejętności, a nie zdolność współpracy. Tak samo było podczas wielu jego poprzednich wypraw. Wspinacze przeważnie nie pracowali zespołowo. Wszyscy byli równie ambitni i zmotywowani, a Everest czekał.

Chociaż ich zachowanie wobec Wandy ujawniało pewien szowinizm, co najmniej w równym stopniu wynikało także z silnej rywalizacji. Tylko nieliczni mogli dotrzeć na szczyt, a ta narwana, pewna siebie kobieta wyniesiona do kierowniczej pozycji zachowywała się według nich jak primadonna.

Jednak Wandę postępowanie kolegów i izolacja, jakiej doświadczyła, utwierdziły w przekonaniu, że w przyszłości najlepiej organizować całkowicie kobiece wyprawy. Po Evereście była pewna, że kobieta nigdy nie zdobędzie w mieszanym zespole równej pozycji. Zmęczyła ją ciągła walka o swoje prawa w górach.

Kiedy musiała zmierzyć się z problemem albo rozbieżnością zdań, dążyła do konfrontacji. Nigdy, zwłaszcza w górach, nie odpuszczała i nie szła na kompromis. Byłoby to dla niej oznaką słabości. Jednak ciągłe kłótnie i konieczność stawiania na swoim były męczące i nawet ktoś tak stanowczy jak Rutkiewicz z czasem miał tego dość.

Konsekwencja w działaniu też nie była mocną stroną Wandy. Nie wahała się również dla osiągnięcia celu użyć swoich kobiecych wdzięków. Jest wiele historii o tym, jak kusiła wspinaczy tylko po to, by pomogli jej w szczególnie trudnym czy uciążliwym zadaniu. Podczas wyprawy na K2 brytyjski lekarz zespołu, oczarowany jej wyrazistą urodą, przybiegł na jej wołanie, bo Wanda wypadła z namiotu, krzycząc, po tym jak znalazła kleszcza w swoich gęstych włosach. Wraz z kolegami z ekipy przeczesał starannie jej gęste, splątane włosy i w końcu wyciągnął dręczącego ją owada. Innym razem, kiedy meksykański alpinista Carlos Carsolio czekał od siedemnastu dni na pozwolenie na wspinaczkę w Pakistanie, Wanda, starannie umalowana, ubrana w najlepszą letnią sukienkę i buty na obcasach, wkroczyła do siedziby władz w Islamabadzie. Wróciła po kilku godzinach, triumfalnie prezentując zdobyte zezwolenie.

Jeśli tylko chciała, wiedziała, jak pokonać przeciwności. Najwyraźniej jednak na Evereście to nie działało.

Wanda była całkowicie nieprzewidywalna. Z żarliwego feminizmu popadała w przebiegłą zmysłowość. Było to przedmiotem wielu anegdot, ale też drażniło otoczenie. Nigdy nie wiedziano, czego się po niej spodziewać. Koledzy z zespołu i przyjaciele nie potrafili przewidzieć, czy przyjdzie im się zmierzyć z twardą zwolenniczką równości, czy z delikatną romantyczką.

Mimo niesmaku, jaki pozostał po wyprawie, wejście na Everest miało ogromne znaczenie i Wanda doskonale zdawała sobie z tego

sprawę. 16 października 1978 roku została trzecią kobietą na świecie – a pierwszą Europejką i pierwszą polską himalaistką – która zdobyła tę górę. Od pierwszego do ostatniego dnia wspinaczki do Polskiego Związku Alpinizmu docierały doniesienia prasowe.

„Wanda na Wierzchołku Południowym", „Wanda schodzi", „Wanda jest na Przełęczy Południowej".

Gdy z Nepalu płynęły te zapierające dech w piersiach informacje, Polacy oczekiwali także na wieści innej natury. W Rzymie kardynałowie wybierali nowego papieża. Wśród kandydatów był Polak.

Wanda wróciła z Everestu, martwiąc się reakcją kolegów na jej sukces. Pytała nawet sekretarza generalnego związku Hannę Wiktorowską: „Co mówią chłopcy? Czy są źli?".

Oczywiście nieco kręcono nosem, że pierwsza na Evereście była Polka, a nie Polak, jednak przeważało milczenie. Część wspinaczy, którzy wcześniej też marzyli o najwyższym szczycie świata, teraz straciła nim zainteresowanie. Ułożyli nawet rymowankę:

First Wanda climbs the peak –
then the rest of the clique.

(Kiedy Wanda szczyt zdobyła
kwestia Everestu się skończyła).

Mniej więcej w tym samym czasie Alek Lwow podzielił polski alpinizm w taki sposób:

1. Męski.
2. Kobiecy.
3. Wanda Rutkiewicz.

– Miała swoją własną kategorię – śmiał się.

Irytowało ich także to, że to Wanda skupiała na sobie całą uwagę publiczności, a ich wejścia z tego samego roku, i to podczas jednej wyprawy, na środkowy i południowy wierzchołek Kanczendzongi – dwa niezdobyte wcześniej ośmiotysięczniki – przeszły bez echa.

Z jednej strony mieli powody do irytacji – z punktu widzenia rozwoju światowego himalaizmu ich wejścia były trudniejsze i ważniejsze od zdobycia Everestu przez Rutkiewicz. To oni byli prawdziwie pierwsi. Z drugiej strony sami opowiadali się za czystszym podejściem do alpinizmu – uprawianiem go dla siebie, a nie sławy. Przynajmniej tak twierdzili. Wanda natomiast na równi ze wspinaczką zajmowała się autopromocją. Znała miejsce Polski w świecie alpinizmu. Everest leżał na tacy i ona go wzięła. Jako pierwsza.

Hanna Wiktorowska nie współczuła skarżącym się kolegom. – Zawsze powtarzałam, że Wanda miała wystarczająco dużo siły i determinacji, aby obdzielić nie pięć, nie dziesięć, lecz dwadzieścia pięć kobiet – mówiła. – Najzwyczajniej w świecie wszystkich wypunktowywała.

Dzień, w którym Rutkiewicz stanęła na szczycie Mount Everestu, okazał się dla Polaków wyjątkowy – ich rodaka, kardynała Karola Wojtyłę, wybrano na papieża. Przyjął imię Jan Paweł II.

Drugie z tych wydarzeń zwróciło uwagę świata na Polskę i wszystko, co z nią związane. Także na sukces Rutkiewicz. Wanda miała podobne szczęście jak Edmund Hillary. Zdobycie przez niego Everestu zbiegło się z koronacją Elżbiety II. I to jej zadedykował swój sukces.

* *
*

Papież Jan Paweł II odwiedził Polskę w czerwcu 1979 roku. Miliony Polaków wyszły na ulice w ogólnokrajowej demonstracji uczuć. W końcu mieli prawdziwego przywódcę. Papież nie był marionetką w rękach obcego mocarstwa – był człowiekiem, który swój autorytet zyskał dzięki wyznawanym wartościom. Nie krytykował ani nie robił wyrzutów. Mówił o miłości, przebaczeniu i wierze.

Niespodziewanie kraj doświadczony wieloma tragediami i niezauważany przez większość świata zaistniał na arenie międzynarodowej. Gospodarka się sypała, polityka opierała się na oszustwie, ale w tym, co naprawdę ważne – głębokiej wierze i religijności – Polska przewodziła światu. Poczucie własnej wartości niewyobrażalnie wzrosło w narodzie.

Ponieważ ich wielkie dni zbiegły się w czasie, zaplanowano spotkanie Wandy z papieżem podczas jego pielgrzymki do ojczyzny.

Kiedy alpinistka podarowała mu mały kamień ze szczytu Everestu, powiedział:

– Dobry Bóg tak chciał, że jednego dnia zaszliśmy tak wysoko.[19]

Dzięki tym dwóm szczęśliwym i krzepiącym wydarzeniom Polacy odzyskali nadzieję i siłę. Pozycja kraju rosła. Polska zyskała nowy, lśniący wizerunek w świecie dzięki wyborowi Wojtyły na papieża, a liczna Polonia zwróciła uwagę na problemy ojczyzny. Emigranci kierowali swoje wsparcie do rodaków w kraju, a nie do rządzącej partii. Polska nagle stała się widoczna. Kraj wkraczał w dekadę lat osiemdziesiątych – okres wielkich transformacji.

Wanda wspięła się na Everest jako pierwsza Europejka i pierwszy obywatel Polski w historii. Jednak ambicje Andrzeja Zawady sięgały wyżej. Chciał przekroczyć granicę tego, co uważano wówczas za możliwe, i zdobyć szczyt zimą.

Wielowyciągowe ściany w Tatrach były zawsze znakomitym miejscem treningowym dla polskich taterników. Zimowa wspinaczka zyskała popularność niemal tak dużą jak skałkowa. „Kto pierwszy wszedł tam zimą?" – to pytanie padało równie często jak inne: „Kto pierwszy przeszedł tę drogę?". Większość tatrzańskich dróg to drogi mikstowe, wymagające ciągłego przeplatania różnych technik wspinaczki skalnej ze wspinaczką w lodzie, a także piekielnej zręczności w wytyczaniu drogi. Wspinaczki te są trudne, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, bo rzadko można zapewnić sobie pewną asekurację na ścianie.

Człowiek wspinający się w Tatrach zimą najpierw odgarnia pierzasty śnieg, aby odsłonić każdą niedoskonałość skały albo być może małą półkę mogącą utrzymać raki. Uderza czekanem tak długo, aż znajdzie pewne oparcie.

Aby pójść wyżej, musi opuścić stabilne oparcie dla raków, ostrożnie stając na oczyszczonym stanowisku. Potem, nie tracąc równowagi, ciężar ciała rozkłada na wszystkie kończyny. Prostując nogi, aby uzyskać możliwie największy zasięg, ciągle powtarza te same ruchy, wspinając się centymetr po centymetrze po zaśnieżonej skale.

Tak wygląda zimowa wspinaczka w Tatrach – bezcenne doświadczenie przed wejściami na najwyższe góry świata.

Równie ważną umiejętnością zdobywaną przez polskich wspinaczy w Tatrach jest przetrwanie zimowej nocy pod gołym niebem. Biwakowanie zrobiło się popularne w latach siedemdziesiątych, kiedy między najlepszymi zaczęła się rywalizacja o to, kto wytrzyma więcej nocy bez schronienia. Ustanowiono reguły tej konkurencji: biwaki w namiocie się nie liczyły. Kto skorzystał z płachty biwakowej, ten tracił punkt, a ci, którzy ograniczali ochronę do ogrzewania nóg w plecaku, dostawali

najwyższą notę. Ostatecznym zwycięzcą „biwakowego konkursu" został Andrzej Heinrich, znany z odporności himalaista mający na koncie setki biwaków.

Po zimowych treningach w Tatrach i wspinaczkach w Hindukuszu Polacy wydawali się gotowi na więcej. I chociaż w Himalajach osiągnięto już wiele, jeszcze żadnego z ośmiotysięczników nie zdobyto zimą. Andrzej Zawada po sukcesie na Noszaku i bliskim powodzenia zimowym podejściu na Lhotse w 1974 roku, gdy gwałtowna burza zmusiła zespół do odwrotu na wysokości ośmiu tysięcy dwustu pięćdziesięciu metrów, wiedział, że wejście zimą na ośmiotysięcznik jest możliwe. Pragnął osiągnięcia na skalę światową i wiedział, że Polaków na nie stać.

Jednak nepalskie władze nie były tego aż tak pewne. Andrzej musiał czekać dwa lata, do 1979 roku, by dostać zimowe pozwolenie na Everest. Dotarło ono do Polski 22 listopada, a wejście mieli rozpocząć już 1 grudnia! Musieli wyjechać natychmiast. Następne tygodnie były czystym szaleństwem. – Zawada walczył w Polskim Związku Alpinizmu o pieniądze na bilety lotnicze do Katmandu. Brakowało czasu na transport ludzi i sprzętu ciężarówkami. Rosła presja, by szybko dotrzeć do bazy.

Andrzej wierzył, że porządny sprzęt to podstawa każdej udanej ekspedycji. Jednak w tamtym czasie w Polsce nie mógł po prostu wpaść do specjalistycznego sklepu z ekwipunkiem turystycznym i wspinaczkowym, płacąc kartą kredytową. Nie było ani takich sklepów, ani kart kredytowych. Dzięki sporemu wysiłkowi i wpływowym znajomym zdobył odzież puchową, liny poręczowe i kiepskiej jakości namioty. Jednak palniki, czekany, lekkie karabinki, butle tlenowe i liny wspinaczkowe musiał sprowadzić z zagranicy, i to szybko. Z myślą o wyprawie Zawada zaprojektował

specjalne buty wysokogórskie, których wykonanie zlecił szewcowi. Kilka par „na już!".

Tylko Andrzej mógł nad tym wszystkim zapanować. Zdobył już sławę charyzmatycznego, znakomitego gawędziarza zachwycającego słuchaczy fantastycznymi opowieściami, z których dla młodych wspinaczy płynął jasny przekaz: świat na was czeka. Elektryzował ludzi, umacniając ich pewność siebie i wiarę we własne pomysły. Zdobył nawet wsparcie finansowe zamożnego polonijnego filantropa Juliana Godlewskiego.

Po spotkaniu z Andrzejem wielu wspinaczy zyskiwało pewność, że i oni mogą dokonać w Himalajach czegoś naprawdę wielkiego. Zawada nie miał problemów ze skompletowaniem zespołu, ale wiedział, że powinien uważnie dobierać uczestników. Przygotował listę czterdziestu najlepszych polskich wspinaczy i rozesłał im kwestionariusze, dzięki którym zaszeregował ich według poziomu zainteresowania do zimowej bądź wiosennej ekspedycji na Everest, gdyż na tę drugą także uzyskał pozwolenie. Tak skompletował zespoły na obie wyprawy. Krzysztof Wielicki, ambitny i lubiący wyzwania taternik z Wrocławia, został przydzielony do ekipy wiosennej. Gdy jednak trzech członków zimowego zespołu musiało zrezygnować z ekspedycji z powodów osobistych, Krzysztof wskoczył na miejsce jednego z nich.

* *
*

Urodzony w 1950 roku Krzysztof wychował się w małej, otoczonej lasem wielkopolskiej wsi Szklarka Przygodzicka.

Ukształtowało go harcerstwo. Dwa miesiące każdego roku spędzał, prowadząc intensywne życie harcerza.

– Mieliśmy ładne mundury – wspominał.

Dowiedział się dużo o naturze, nauczył się orientować w terenie, rozpalać ognisko, rozstawiać obóz i łowić ryby. Poznał też zasady funkcjonowania w grupie: jak przygotować jedzenie i dzielić się nim. Jak respektować granice prywatności w ograniczonej przestrzeni obozu. Rozwinął swoje zdolności przywódcze do tego stopnia, że wzbudzał szacunek także wśród starszych kolegów. Harcerstwo przygotowało go do przyszłego życia w górach.

Chociaż jego dorastanie było zupełnie inne niż dzieciństwo Wandy, życie zaprowadziło ich oboje na studia do Wrocławia. Byli członkami tego samego Klubu Wysokogórskiego. Rutkiewicz jako starsza i bardziej doświadczona koleżanka na pobliskich skałkach uczyła Wielickiego podstaw wspinaczki.

Krzysztof miał w sobie coś z ryzykanta i już w swoim pierwszym sezonie spadł, łamiąc trzy kręgi lędźwiowe. Lekarze założyli mu gipsowy gorset sięgający aż do szyi. Wtedy też musiał zmierzyć się z problemem, jaki dla wspinacza stanowiła rodzina. Jego brat miał się żenić, a matka nie wiedziała nawet, że Krzysztof zaczął uprawiać wspinaczkę i że doznał kontuzji. Poprosił przyjaciół, żeby przynieśli mu do szpitala codzienne ciuchy. Nożem odciął górną część gipsu, resztę ukrył pod ubraniem i uciekł przez szpitalny balkon. Potem przebrał się w garnitur i poszedł na ślub brata.

Pech prześladował go dalej. Trzy lata później, podczas wspinaczki we włoskich Dolomitach, spadł na niego kamień. Uderzenie zniszczyło kask, a Wielicki na kilka chwil stracił przytomność. Zamiast się wycofać, nocował pod szczytem zalany krwią i wspinał się do końca. Następnego dnia miejscowy lekarz zszył mu ranę na głowie i ostrzegł przed uprawianiem wspinaczki. Krzysztof nie posłuchał jednak tej dobrej rady.

W 1977 roku pojechał w afgański Hindukusz, gdzie dołączył do Alka Lwowa i Jerzego Pietkiewicza wspinających się w stylu

alpejskim nową drogą na Koh-e Szachaur (7084 m). Krzysztof był gotowy na większe wyzwania. Dał dowód swoich umiejętności i niezwykłego opanowania, wiedział także, jak radzić sobie z bólem. Umiał pracować zespołowo. Andrzej Zawada, wybierając się na Everest na przełomie 1979 i 1980 roku, był przekonany, że Wielicki wniesie bardzo dużo do grupy.

W tym samym zespole znalazł się także Leszek Cichy, wysoki, jasnowłosy wspinacz z Warszawy. Leszek był wykładowcą, jednak jego miesięczna pensja – równowartość dwudziestu dolarów – nie była sumą, która zatrzymałaby go w kraju. Skorzystałby z szansy ucieczki w Himalaje, nawet gdyby wyprawa miała się odbyć w ciągu roku szkolnego.

Leszek był młody i wysportowany, jednak nie znajdował się na liście kandydatów do ataku szczytowego. Wcale go to nie martwiło. Tak jak Krzysztof cieszył się z zaproszenia do wyprawy i z tego, że będzie mógł wspierać bardziej doświadczonych wspinaczy.

5 stycznia polska ekipa rozłożyła bazę na południowej stronie góry. Pierwsze trzy obozy były gotowe już w dziesięć dni. Zastanawiali się więc, dlaczego nikt wcześniej nie próbował zdobyć Everestu zimą. Temperatura bardzo spadła i nasilił się wyjący nieustannie zimowy wiatr. Wspinacze wycofali się do bazy i czekali, aż minie najgorsze.

Podczas swoich poprzednich morderczych zimowych wejść Andrzej zdobył cenne doświadczenie. Zdawał sobie sprawę, jak ważna dla zmarzniętych i wyczerpanych wspinaczy jest gorąca kąpiel. Dlatego na Everest zabrał plastikową wannę. Z powodu niskiej temperatury plastik pękł. Zawada zastąpił więc wannę ogromną aluminiową miską kupioną w Katmandu. Napełnianie jej gorącą wodą nie stanowiło problemu, jako że w kuchni nieustannie

buzował ogień, nad którym rozpuszczano lodowe bloki, uzyskując wodę na herbatę i do gotowania. Wspinacze wracający z wysokości nurkowali w ciepłej kąpieli, ogrzewając przemarznięte ciała.

Nad bazą górowały dwie dwudziestometrowe aluminiowe anteny radiowe. O łączność dbał Bogdan Jankowski, wspinacz i genialny radioamator (to on pierwszy raz zabrał Wandę Rutkiewicz w skałki). Był też odpowiedzialny za trzy nadajniki o dużym zasięgu, osiem radiotelefonów i magnetofony do nagrywania rozmów między obozami. Dbał o generator wysokiego napięcia na ropę, dynama i baterie. Dzięki Jankowskiemu cały ten sprzęt działał.

Jankowski wysyłał do kraju codzienne sprawozdania, dzięki którym Polacy mogli śledzić poczynania swoich himalaistów na Everéście. Informacje płynęły w dwóch kierunkach. W Polskim Związku Alpinizmu sekretarka Hanna Wiktorowska była zasypywana przez rodziny wspinaczy ważnymi wiadomościami, które miała przekazywać himalaistom: „Zosi wyrósł jeden ząb na górze i jeden na dole... Co nowego w górach? Pamiętasz o ciepłych skarpetach?". Centrum komunikacji Bogdana było tak niezawodne, że nawet po wielu miesiącach, podczas sezonu wiosennego, zagraniczni wspinacze ustawiali się w kolejce, aby z niego skorzystać.

Ale żadna technologia na świecie nie mogła pokonać zimy na Everéście. Wiatr wyjący tygodniami smagał polskich wspinaczy, osłabiając ich silną wolę. Zostało już tylko czterech ludzi na tyle zdrowych, by funkcjonować w tych piekielnych warunkach. Byli wśród nich dwaj najmłodsi uczestnicy wyprawy – Krzysztof i Leszek. Andrzej przesuwał ich jak figury szachowe, szukając idealnego, magicznego ustawienia. Zawada był przekonany, że to

psychiczna, a nie fizyczna bariera powstrzymuje ich przed wejściem na górę.

11 lutego Krzysztof, Leszek i Walenty Fiut dotarli do Przełęczy Południowej. Leszek wrócił do trzeciego obozu. Pozostała dwójka wniosła na górę wytrzymały amerykański namiot, jednak jego konstrukcja była tak skomplikowana, że nie udało się go rozstawić na wietrze. Zadowolili się więc prostym, jednomasztowym namiotem, który rozłożyli na wyczyszczonej przez wiatr przełęczy. Musieli trzymać maszt przez całą przerażającą noc. Koledzy w bazie rozmawiali z nimi przez radio aż do świtu, dodając otuchy i pobudzając w nich wolę przetrwania. Rankiem Leszek zasugerował, że Walenty i Krzysztof są już na tyle blisko szczytu, że powinni wspinać się wyżej. Reszta zespołu była temu przeciwna.

Z nocnych rozmów radiowych wiedzieli bowiem, że dwójka wspinaczy jest już u granic wytrzymałości i dalsza wspinaczka byłaby samobójstwem. Zawada wyczuł, że nadszedł krytyczny moment dla wyprawy – nastroje niepostrzeżenie się pogorszyły.

Krzysztof z powodu odmrożeń stóp powrócił do drugiego obozu, gdzie miał wydobrzeć. Walenty zszedł aż do bazy. Andrzej zrozumiał, że sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– Jak bardzo bezsilny w takich chwilach czuje się każdy lider? – pytał. – Jeśli chciałem ratować ekspedycję, mogłem zrobić tylko jedno: wspinać się sam.

Od przyjazdu Andrzej nie doszedł nawet na wysokość trzeciego obozu, a teraz miałby wspiąć się na szczyt. Pomysł ten wydawał się niedorzeczny, ale już dwa dni później Andrzej znalazł się razem z Ryszardem Szafirskim na Przełęczy Południowej.

Zawada nie był wystarczająco zaaklimatyzowany, by wejść na szczyt, jednak musiał się tego podjąć, aby ocalić morale grupy. Zdobywanie Everestu zimą było przecież jego pomysłem. Choć

marzenie to wydawało się coraz bardziej nierozsądne, musiał, jak dobry generał, dać swojemu oddziałowi przykład.

Partia szachów trwała: ruch w górę, ruch w dół, w bok, na ukos. Wspinacze byli wykończeni, a czas uciekał – ich pozwolenie wygasało 15 lutego. Z Katmandu nadchodziły jasne rozkazy: żadnej wspinaczki po 15. Po tym terminie mogli już tylko uprzątnąć obozy i zejść. Andrzej wiedział, że do 15 nie dadzą rady, poprosił więc oficera łącznikowego, by wysłał do ministerstwa turystyki prośbę o przedłużenie pozwolenia. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że ten miał już dość całej ekspedycji: zimna, wiatru i ciągłego wysiłku. Bez wiedzy Zawady poprosił jedynie o dwa dni więcej. Dwa dni i jego męki miały się skończyć.

Dostali więc tylko tyle. Andrzej i reszta zespołu wrócili do bazy, na górze zostawiając jedynie najmłodszych, Krzysztofa i Leszka.

– Nigdy nie przypuszczałem, że to właśnie ja wejdę na szczyt – mówił Krzysztof. – Po prostu znalazłem się na właściwym miejscu we właściwym czasie.

Kiedy nadeszły wieści, że zostały im jedynie dwa dni, wiedzieli, iż nie mają już wyboru. Polska była Polską, a Everest – Everestem. Musieli na niego wejść. Krzysztof i Leszek po raz drugi dotarli do Przełęczy Południowej 16 lutego. Tamtej nocy temperatura spadła do minus czterdziestu dwóch stopni Celsjusza. Niebo było zachmurzone, a wiatr wciąż dął. Rankiem 17 lutego – ostatniego dnia przed wygaśnięciem pozwolenia – wyruszyli. Zmniejszyli maksymalnie obciążenie, biorąc tylko po jednej butli z tlenem. Krzysztof nie czuł stóp, mozolił się ku szczytowi ostatkiem sił. Prawie ze sobą nie rozmawiali, zresztą nie było takiej potrzeby – dokładnie wiedzieli, czego od nich oczekiwano.

Reszta zespołu w bazie nie mogła spokojnie usiedzieć.

– Napięcie było nieznośne – wspominał Andrzej. – Nadzieja mieszała się z rozpaczą. Godziny mijały, a radiotelefon wciąż milczał. Niepokój zaczął nas przytłaczać.

O 14.10 rozpoczęli nadawanie.

– Halo, halo! Leszek, Krzysztof!

Brak odpowiedzi. Obstawiali: uda się czy się nie uda? W żartach rozważali, czy nie zacząć obcinać sobie palców. Może ich ofiara przyniosłaby szczęście? Powinni odciąć jeden palec czy dwa?

O 14.25 głos Leszka gruchnął z radiotelefonu:

– Słyszycie nas? Odbiór.

– Nie słyszymy. Powtórz. Powtórz.

– Zgadnijcie, gdzie jesteśmy!

– Gdzie? Odbiór.

– Na szczycie! Na szczycie!

– Hura! Na szczycie! Całusy, uściski! Rekord świata! Odbiór.

Wspinacze w bazie krzyczeli, ale Zawada podniósł ręce, aby ich uciszyć. Musiał się upewnić, że Leszek i Krzysztof faktycznie dotarli na szczyt.

– Czy widzicie trójnóg? – jego głos zatrzeszczał w radiu.

Wspinacze zapewnili, że stoją tuż obok trójnogu, a na dowód zdobycia szczytu obiecali zostawić tam termometr maksymalny.

Andrzej przekazał wiadomość do Polskiego Związku Alpinizmu, gdzie cały czas, zdenerwowana i pełna obaw, czekała Hanna Wiktorowska.

„Dzisiaj, 17 lutego o 14.30 polska flaga została umieszczona na szczycie świata. Tym samym pobito światowy rekord zimowej wspinaczki. Pozdrowienia od wszystkich członków wyprawy. Zawada".

Krzysztof i Leszek przyznali potem, że gdyby nie chodziło o wejście na Everest zimą, pewnie zrezygnowaliby już kilka tygodni

wcześniej. Szczyt nie był jednak dla nich końcem wyprawy – musieli jeszcze wrócić na dół.

Kiedy dotarli do Wierzchołka Południowego, zapasy tlenu mieli już na wyczerpaniu. Czuli, jak postępują odmrożenia, a zawiewający śnieg smagał ich twarze i zmniejszał widoczność. Okulary spawalnicze Krzysztofa okazały się w tych warunkach bezużyteczne. Zawiodły też baterie w czołówkach, musieli więc trudny odcinek w dół pokonać w zupełnych ciemnościach. Krzysztof został z tyłu, tracąc Leszka z oczu, ale – mimo odmrożeń stóp – szedł. Tyłem, bokiem. W końcu zaczął się czołgać.

Po powrocie do namiotu najpierw zajął się stopami. Całą noc ogrzewał je nad płomieniem kuchenki. Przez następne dwa dni schodzili do położonego u podnóża góry obozu. Przywitano ich jak bohaterów. Dla Krzysztofa moment, gdy razem z Leszkiem dotarli do bazy, był najwspanialszym doświadczeniem w całym wspinaczkowym życiu. Otaczali go przyjaciele, płacząc ze szczęścia. Bo chociaż sami nie stanęli na Mount Everéście, czuli, jakby sukces kolegów należał także do nich. Żadna późniejsza wyprawa w Himalaje nie miała tak znakomitej atmosfery, silnego kierownictwa i dobrej współpracy zespołowej. Był to świetny początek kariery Krzysztofa w Himalajach.

W Polsce co wieczór wielu ludzi śledziło informacje o wyprawie. Krzysztof i Leszek natychmiast stali się bohaterami narodowymi. Jednak w pewnych kręgach międzynarodowej społeczności wspinaczy dało się zauważyć zazdrość. Częściowo tłumaczyć ją można było zamieszaniem, jakie wywołały pierwsze błędne doniesienia o zdobyciu szczytu bez pozwolenia. Reinhold Messner przez dwa lata utrzymywał, że szczytu zimą nie zdobyto, bo Polacy weszli na wierzchołek dwa dni po oficjalnym zakończeniu sezonu zimowego w Nepalu. Jednak specjalistka od historii Himalajów,

mieszkająca w Nepalu Brytyjka Elizabeth Hawley, trzymała stronę polskich himalaistów:

– Nie zgadzam się z formalistami.

Kiedy Hawley i wspinacze z innych krajów uznali wejście, Messner przyznał, że Polacy faktycznie weszli, ale zrobili to nielegalnie. Wtedy nepalski minister turystyki wydał oświadczenie, w którym napisał, że wejście odbyło się w „oficjalnym" zimowym okienku.

– W porządku, poddaję się. Wspięli się zimą – przyznał w końcu Messner.

Głos w dyskusji zabrał nawet w liście z 17 lutego 1980 roku papież Jan Paweł II:

> Cieszę się i gratuluję sukcesu moim Rodakom, pierwszym zdobywcom najwyższego szczytu świata w historii zimowego himalaizmu.
>
> Życzę Panu Andrzejowi Zawadzie i wszystkim Uczestnikom wyprawy dalszych sukcesów w tym wspaniałym sporcie, który tak bardzo ujawnia „królewskość" człowieka, jego zdolność poznawczą i wolę panowania nad światem stworzonym.
>
> Niech ten sport, wymagający tak wielkiej siły ducha, stanie się wspaniałą szkołą życia, rozwijającą w Was wszystkie wartości ludzkie i otwierającą pełne horyzonty powołania człowieka.
>
> Na każdą wspinaczkę, także tę codzienną, z serca Wam błogosławię.
>
> *Watykan, dnia 17 lutego 1980 r.*[20]
> **Jan Paweł II**

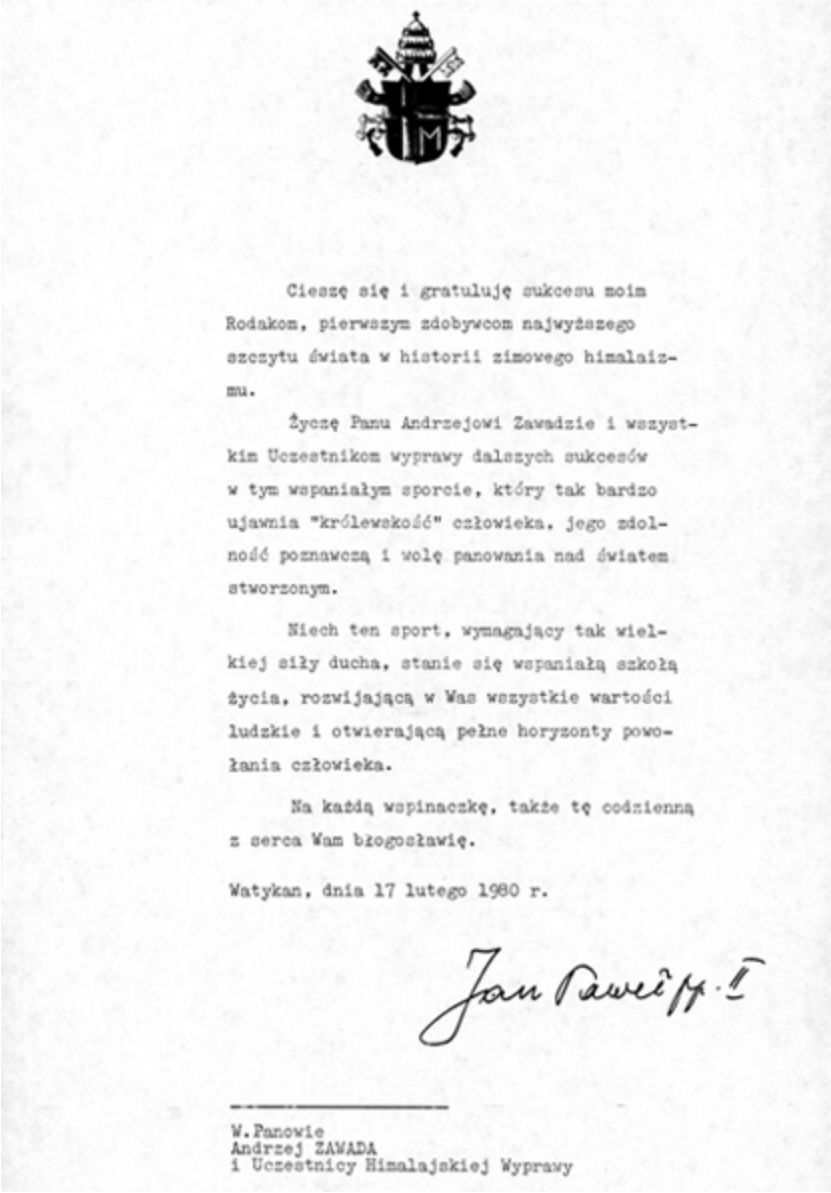

Cieszę się i gratuluję sukcesu moim Rodakom, pierwszym zdobywcom najwyższego szczytu świata w historii zimowego himalaizmu.

Życzę Panu Andrzejowi Zawadzie i wszystkim Uczestnikom wyprawy dalszych sukcesów w tym wspaniałym sporcie, który tak bardzo ujawnia "królewskość" człowieka, jego zdolność poznawczą i wolę panowania nad światem stworzonym.

Niech ten sport, wymagający tak wielkiej siły ducha, stanie się wspaniałą szkołą życia, rozwijającą w Was wszystkie wartości ludzkie i otwierającą pełne horyzonty powołania człowieka.

Na każdą wspinaczkę, także tę codzienną z serca Wam błogosławię.

Watykan, dnia 17 lutego 1980 r.

Jan Paweł PP. II

W.Panowie
Andrzej ZAWADA
i Uczestnicy Himalajskiej Wyprawy

List papieża gratulujący sukcesu zimowej ekspedycji na Everest. Anna Milewska, „Życie z Zawadą”

Polska jednak nie skończyła jeszcze z Everestem. Zawada miał drugie pozwolenie i chciał je wykorzystać. Co porównywalnego z sukcesem Wandy albo niedawnym zimowym wyczynem mogli jeszcze osiągnąć? Tylko jedno: wytyczyć nową drogę. Do tego Andrzej potrzebował w swoim zespole Kukuczki.

Jurek zrezygnował z zimowej wyprawy z powodu narodzin syna, ale już wiosną 1980 roku był gotów wyruszyć razem z resztą ekipy do Katmandu – nie mógł się doczekać wspinaczki.

Pojawiły się jednak pewne problemy: wspinacze nie mieli pieniędzy, ich lider wciąż był w Polsce, a pozwolenie tajemniczo się zawieruszyło. Zamiast czekać na przyjazd Andrzeja, który mógł się opóźnić z powodu zamieszania wokół pozwolenia, zespół, określając się jako „grupa trekkingowa", wyruszył do bazy pod Everestem.

Zawada miał opinię nieco źle zorganizowanego człowieka, zwłaszcza w sprawach papierkowych. Na środku jego imponującej „górskiej" biblioteki stało wielkie, zawalone dokumentami biurko, prawdziwa góra papierów. Zwykle znajdował dokumenty, których szukał, ale Jurek wiedział, że na odnalezienie pozwolenia, które prawdopodobnie zalegało na biurku w Warszawie, być może trzeba będzie poczekać.

Po dotarciu do Everestu, wciąż nie mając pozwolenia, rozpoczęli wspinaczkę. Kiedy w połowie kwietnia przyjechał Andrzej – z dokumentami i oficerem łącznikowym – byli już w trzecim obozie. Nareszcie wszystko stało się legalne. Prowadzili nową drogę na południowej ścianie między południowym filarem a południowo-wschodnim żebrem. Nad czwartym obozem, na wysokości około ośmiu tysięcy metrów, napotkali pionową barierę skalną. Kukuczka ocenił ją na w skali trudności na pięć – bardzo techniczną i stromą.

– Przejście czegoś takiego na tej wysokości kosztowało mnie tak wiele, że w pewnym momencie z wysiłku omal nie zmoczyłem spodni – mówił później. – Czasami traciłem ostrość widzenia.[21]

Razem z Ryszardem Gajewskim pierwsi pokonali przeszkodę i przygotowali poręczówki, tak aby następni wspinacze mogli rozstawić ostatni obóz na wysokości ośmiu tysięcy trzystu metrów.

Poręczówki zakładali na całej długości, więc poruszali się bardzo wolno.

W końcu stało się jasne, że nie wystarczy czasu na zaporęczowanie całej drogi aż do wysokości ośmiu tysięcy sześciuset metrów, gdzie powinni już osiągnąć w miarę bezpieczną grań. Jurek zaproponował atak na szczyt z piątego obozu bez używania poręczówek. Andrzej Czok radził, żeby zrezygnować z butli tlenowych. Byłoby to jednak ryzykowne.

Zaczęły się długie rozmowy, kto powinien wchodzić na szczyt jako pierwszy. W zespole było dziewięć gwiazd polskiej wspinaczki, z których każda była zmotywowana i zdolna sprostać zadaniu. Ostatecznie lider musiał podjąć decyzję sam. Andrzej miał zdolność wyczuwania nastroju panującego w obozie. Umiał przekonać wspinaczy, że podsunięty przez niego plan był ich autorstwa, nawet jeśli nie była to prawda. Ci, którzy na początku się z nim nie zgadzali, zazwyczaj – z perspektywy czasu – doceniali słuszność jego decyzji. Szanowano jego opinie. Wspinacze, którzy często uczestniczyli w wyprawach organizowanych przez Andrzeja, byli pieszczotliwie nazywani „chłopcami Zawady", co wcale im nie przeszkadzało.

Po wysłuchaniu sugestii wszystkich wspinaczy i długiej ciszy przemówił Andrzej: „Pierwsi pójdą Kukuczka i Czok". Wydawali się w najlepszej kondycji fizycznej.

Wytypowani poszli do namiotów przygotować się do ataku. Następnego ranka Jurek czuł się niezwykle silny – w szybkim tempie dotarł po poręczówkach do piątego obozu. Musieli zdecydować, co z tlenem: czy będą go używać, czy nie. Gdy pili herbatę i odpoczywali, baza wielokrotnie kontaktowała się z nimi przez radio, nakłaniając ich do użycia butli. Argumentowano, że dzięki temu wspinaczka będzie bezpieczniejsza, a szanse

powodzenia wzrosną. Kukuczka i Czok niechętnie włączyli tlen i poszli spać.

O 5 rano opuścili ostatni obóz. Jurek ustawił przepływ tlenu na dwa litry na minutę.

Gruba warstwa śniegu i strome skały spowalniały marsz. O 14 dotarli do Południowego Wierzchołka. Płuca Kukuczki coraz gorzej radziły sobie z wysiłkiem. Kiedy próbował zwiększyć przepływ tlenu, zauważył, że butla jest pusta. Tak samo jak butla Andrzeja.

Spojrzeli na siebie. Góra czy dół? Mimo braku tlenu wybrali górę. Przekazali decyzję do bazy, dalsze rady mieli w nosie.

– To były nasze płuca, mroczki przed naszymi oczami, nasze być albo nie być – uzasadniał Jurek.[22]

O 16 dotarli na szczyt. Mieli nadzieję, że znajdą termometr i różaniec papieski zostawione przez Leszka Cichego i Krzysztofa Wielickiego podczas ich zimowego wejścia kilka miesięcy wcześniej. Uprzedził ich jednak zespół baskijski. Jurek i Andrzej zatknęli polską flagę, a godzinę później ruszyli w drogę powrotną, na pamiątkę zabierając ze sobą chorągiewkę Basków. Z powodu niedotlenienia Kukuczka poruszał się jak we mgle, jakby znalazł się poza własnym ciałem. Była godzina 21, szesnasta godzina od rozpoczęcia wędrówki, gdy zwalili się na karimaty w namiocie.

Kiedy następnego dnia chwiejącym się ze zmęczenia krokiem weszli do bazy, zasypano ich gratulacjami. W bazie wyczuwało się jednak pewne napięcie. Pomimo silnej pozycji Zawady jako kierownika doszło do niesubordynacji. Wyszło na jaw, że dwóch wspinaczy – Genek Chrobak i Wojciech Wróż – postanowiło zaatakować szczyt, nie informując o tym reszty. Epoka w himalaizmie, w której wszyscy w zespole czuli się zwycięzcami bez względu na to, kto stanął na szczycie, dobiegła końca. Teraz indywidualne osiągnięcia liczyły się bardziej niż sukces zespołu.

Zadaniem kierownika było trzymanie ekipy razem i sprostanie oczekiwaniom wszystkich członków wyprawy wszelkimi możliwymi sposobami. Czasami liderowi się to udawało, jednak nie tym razem.

Kiedy Zawada odkrył, co się stało, wezwał na dół wszystkich poza atakującymi szczyt. Ekspedycja była zakończona. Siedmiu gwiazdorom polskiej wspinaczki odebrano możliwość wejścia na Mount Everest nową drogą. Nastrój w bazie był daleki od radości panującej tam zimą. Wspinacze zachowali stoicki spokój, skrywając gorycz rozczarowania. Jurek czuł ją w sobie jak drzazgę.

Do Polski wrócili w glorii chwały. Na lotnisku oczekiwali na nich reporterzy, a wkrótce wręczono im złote medale Za Wybitne Osiągnięcia Sportowe. Pomimo że wyprawa nie cieszyła się takim zainteresowaniem społeczeństwa jak ekspedycja zimowa czy wejście Wandy, wśród wspinaczy na świecie polska ekipa zdobyła uznanie i szacunek. Jurka po powrocie do fabryki powitano transparentem „Zdobywca Everestu".

Polska zrehabilitowała się za lata nieobecności na czubku Ziemi. Wanda Rutkiewicz weszła tam jako pierwsza w historii Europejka. Polska ekipa jako pierwsza zdobyła Everest zimą, a teraz Polacy wytyczyli nową drogę. Polski Związek Alpinizmu był usatysfakcjonowany.

Nie wszyscy jednak byli równie zadowoleni. Pewni wysoko postawieni urzędnicy państwowi mieli dość sukcesów na Evereście, a specjaliści od propagandy zaczęli bliżej przyglądać się wspinaczom. Byli podejrzliwi. I chociaż Polska pławiła się w blasku sławy papieża, a także Wandy i zdobywców Everestu, wszyscy oni byli jednostkami. A jednostki przyciągające tak wiele uwagi stanowiły bez wątpienia niebezpieczne zjawisko. Przewrażliwienie władz rosło – i, jak się później okazało, nie bez powodu.

CZĘŚĆ SZÓSTA

Od „Solidarności” do stanu wojennego

Ceną rzeczy jest ilość tego, co nazwałbym życiem
które należy za nią wymienić – natychmiast
albo w ostatecznym rozrachunku.

Henry David Thoreau, „Walden”
(tłum. Halina Cieplińska)

Latem 1980 roku Polska pogrążyła się w chaosie. Kiedy komunistyczny rząd wprowadził podwyżki cen żywności, fabryki w całym kraju zastrajkowały. Oczywiście protesty były nielegalne, a partia próbowała je tłumić metodą kija i marchewki. Ta strategia sprawdzała się wcześniej wielokrotnie, ale nie tym razem. Nie wzięto pod uwagę pewnego niezwykle upartego robotnika – Lecha Wałęsy. Urodzony w tym samym roku co Wanda elektryk z gdańskiej stoczni był już wielokrotnie aresztowany za działalność podziemną. Kiedy w Stoczni im. Lenina zaczął się protest, Wałęsa przeskoczył przez płot i przejął kierownictwo komitetu strajkowego.

Dwadzieścia tysięcy robotników zabarykadowało się w stoczni, a tysiące dodawało im otuchy za bramą. Hasło: „Robotnicy wszystkich zakładów, łączcie się” zelektryzowało kraj. Oczy nie tylko Polski, ale też całego świata były skierowane na Stocznię im.

Lenina. Po kilku dniach komitet Wałęsy wynegocjował porozumienie, które zakończyło strajki w całym kraju. Tak narodziła się „Solidarność". Narodziny wolnych związków były pierwszym krokiem Polski na długiej drodze do demokracji.

Pomimo całego tego zamieszania skromne polskie życie toczyło się dalej. Kobiety stały w wielogodzinnych kolejkach po frustrująco małe przydziały jedzenia. W podobnych kolejkach czekali mężczyźni na stacjach benzynowych. Jedyną pozytywną stroną kolejek było to, że obywatele, stojąc w nich, mogli porozmawiać. O wojnie, o rodzinie, o rządach partii, o „Solidarności" i oczywiście o nadziejach i marzeniach. Im bliżsi się sobie stawali, tym bardziej rosła ich determinacja, by zmieniać kraj. Z czasem komunistyczny reżim zaczął pojmować, jak trudno jest zniszczyć tradycje i marzenia upartych Polaków.

Optymizm i duma jeszcze wzrosły, gdy w 1980 roku polski pisarz Czesław Miłosz otrzymał Literacką Nagrodę Nobla. Oczy świata znów zwróciły się na Polskę. Najpierw papież, teraz Nobel.

* *
*

Gdy kraj cieszył się rosnącym poczuciem wspólnoty, niedawni bohaterowie Himalajów cieszyli się chwałą. Gwiazda Wandy – zdobywczyni Everestu – świeciła najmocniej. Natomiast jej osobiste życie się rozpadało. Sława nie wzmacnia człowieka, jest czymś, co przychodzi z zewnątrz.

Im większa była popularność Wandy, tym bardziej rosła jej izolacja w środowisku wspinaczy. Rutkiewicz przypisywała ich chłód zazdrości kolegów i swoim skrajnie feministycznym poglądom.

W tym samym czasie inne wspinające się kobiety, które Wanda motywowała i wspierała, stawały się znane i akceptowane we wspinaczkowym środowisku. Anna Czerwińska i Krystyna Palmowska tworzyły mocny zespół, który coraz śmielej patrzył na himalajskie giganty. Wizja Wandy marzącej o budowie mocnego kobiecego środowiska himalaistek się urzeczywistniała – ale bez niej.

Choć znów stała się sławna, jej sytuacja ekonomiczna się skomplikowała. Musiała przeprowadzać się z jednego byle jakiego mieszkania do drugiego. Żyła samotnie, wydawała się niezdolna do utrzymania poważnego związku uczuciowego. Miała wielu partnerów, ale każdego tylko na chwilę. Jak nomada wciąż przenosiła w miejsca w miejsce swoje ubrania, ważne zdjęcia i sprzęt wspinaczkowy w nieustannym zamieszaniu. W tej chaotycznej atmosferze straciła zdolność jasnego myślenia, zaczynały ją ogarniać stany lękowe. W nocy spała niespokojnie. Miała zmartwienia i wątpliwości. Bezproduktywnie spędzała czas, usiłując sobie przypomnieć, co i komu obiecała. Była zmęczoną, wychudzoną i nieszczęśliwą młodą kobietą. Tylko dla dziennikarzy była nadal atrakcyjna, wciąż pytali: „Jak było na Evereście?". „Jakie masz plany?". „Jaki jest twój kolejny cel, Wando?".

– Im więcej razy opowiadałam wciąż te same historie, tym bardziej obco mi brzmiały – mówiła. – Tak jakby nie miały ze mną nic wspólnego.[23]

Sława sprawiła, że w 1978 roku zaproponowano jej napisanie autobiografii. Zgodziła się. Kolejne terminy mijały. W wydawnictwie uważano, że nic nie robi sobie z ponagleń. A przecież Wanda nie była pisarką. Nie miała pojęcia, że opisanie własnej historii to ciężka praca, która wymaga wiele czasu. Zdesperowany wydawca zwerbował uznaną dziennikarkę Ewę

Matuszewską do pomocy. Ewa była zafascynowana światem gór i schlebiało jej, że może pracować z tak sławną osobą.

– Wanda była kobietą ceniącą luksus – wspomina Matuszewska. – Lubiła zbytek, markowe perfumy, dobre ubrania.

Zaczęły się spotykać codziennie. Obiad, herbata, długie spacery, wywiady, nagrania. Stawały się przyjaciółkami. Ale praca postępowała powoli. Wydawca stracił cierpliwość i zagroził rozwiązaniem umowy.

Wanda przystała na sugestię Ewy, by spędziły dwa tygodnie na intensywnej pracy w izolacji, z daleka od świata. Wykorzystując swoje koneksje, zorganizowała wyjazd do rządowego, wojskowego ośrodka nad Morzem Bałtyckim. Mimo rosnącej popularności „Solidarności" takie luksusy wciąż dostępne były tylko dla wybranych. Na kartki sprzedawano już wszystko – benzynę, jedzenie, buty.

Ośrodek był położony na brzegu niespokojnego, stalowoszarego Bałtyku i tam dwie panie spędzały dni, spacerując po pustych plażach.

Rozmawiały o górach, wspinaniu, pisaniu, o przyjaźniach. Ewa nagrywała każde zdanie. Gdy tak walczyły o uratowanie umowy, Wanda zdała sobie sprawę, że jej miłość do wspinaczki wyblakła. Zrozumiała, że powinna porzucić to zajęcie. Choć jej kariera nie była zbyt długa, to Everest wydawał się jej logicznym zakończeniem.

Nie miała jednak żadnego planu na przyszłość. Wspinanie było dotąd dla niej wszystkim. Określało ją i wypełniało całe jej życie. Teraz pojawiła się pustka. Wanda potrzebowała napięcia i niebezpieczeństw, regularnych kopów adrenaliny. Szukała źródła nowych doznań.

Jak wielu innych ze środowiska wspinaczy wstąpiła do „Solidarności". Rozgorzała w niej na nowo miłość do ciężkich,

przejrzystych dźwięków muzyki współczesnej. Były to interesujące sprawy, ale nie dość podniecające. Ponieważ Wanda zawsze lubiła ostro jeździć, zaczęła brać udział w wyścigach samochodowych, wkładając w nie pieniądze, które zarobiła na sprzedaży filmów z wypraw.

Według Ernesta Hemingwaya tylko trzy sporty zasługują na uwagę: wyścigi samochodowe, wspinaczka i walki byków. Teraz Wandzie został do spróbowania już tylko ten trzeci.

Pewnego wieczoru podczas wizyty u znajomych Wanda przypomniała sobie, że potrzebuje specjalnych opon do swojego auta. Zdobycie ich było prawie niemożliwe w tamtych czasach, lecz ona zwykle zdobywała to, co chciała. Zadzwoniła do największej polskiej fabryki opon. Jej nazwisko nadal robiło ogromne wrażenie. Połączono ją bezpośrednio z dyrektorem, który nie tylko z nią porozmawiał, ale też posłał jej komplet opon. Wiedziała, jak używać swojego nazwiska, jeśli czegoś potrzebowała.

Wkrótce wyścigi straciły dla Wandy blask i znów zaczęła się wspinać. Trudno jej było wyrzucić z życia pasję, która pochłaniała ją od młodości. Wróciła w Tatry. Potem, w 1981 roku, zaczęła organizować nadzwyczaj ambitną wyprawę kobiecą do Pakistanu, na K2, drugi szczyt świata. Dla tego projektu otrzymała dość tajemnicze wsparcie.

4 lutego 1981 roku kilku przyjaciół zebrało się w mieszkaniu Wandy, by świętować jej urodziny. Po kilku godzinach jedzenia i picia usłyszeli dzwonek do drzwi.

Jakiś młody chłopak grzecznie zapytał o Wandę. Kiedy podeszła do drzwi, wręczył jej zawiniątko. Ostrożnie wzięła paczkę i otworzyła. Była w niej duża suma pieniędzy od anonimowego darczyńcy. Resztę wieczoru zebrani zastanawiali się, kto mógł nim być. Uznali w końcu, że to pewnie bogata kobieta z Zakopanego,

która od dawna bardzo interesowała się karierą Wandy. Ta gotówka była zaczątkiem budżetu pierwszej ekspedycji Rutkiewicz na K2.

Wiosnę Wanda spędziła na Kaukazie z międzynarodową grupą wspinaczy, którzy trenowali na Elbrusie. Na zlot, zorganizowany przez radziecką federację dla wspinaczy z bloku wschodniego, przyjechali Czesi, Słowacy, Bułgarzy, Niemcy z NRD, Rosjanie i Polacy.

Absurdalne przepisy i specjalne rosyjskie zasady sprawiły, że obóz przypominał koszary wojskowe. Każdego ranka uczestnicy dostawali zadania wspinaczkowe. Wieczorem zdawali relację z postępów w specjalnym dzienniku treningowym.

Od kiedy w Polsce eksplodował ruch „Solidarności", nosiło się w klapie znaczki ruchu. Wszyscy polscy wspinacze mieli takie emblematy, Rosjanie natomiast uwielbiali małe znaczki przypinane do ubrań i chcieli się nimi wymieniać. Kiedy rozbawieni Polacy zapytali, czy wiedzą, jaki ruch reprezentuje ten znaczek, wyszeptali, że wiedzą.

Po oficjalnym bankiecie powitalnym, na którym pito wyborny koniak, Janusz Fereński wpadł na szatański plan. Rosjanie dostaną znaczki pod warunkiem, że staną na węgierskim bębnie ze sprzętem i trzy razy głośno krzykną: „Breżniew, spierdalaj!".

Większość wspinaczy z ZSRR, szczególnie Gruzini, z radością podjęła wyzwanie. Po każdym występie Wanda, najbardziej znana z całej grupy, przypinała znaczek schodzącemu z bębna.

Tylko jeden wspinacz odmówił współpracy. Okazało się, że to dyrektor sportowej komisji i oficjalny reprezentant rządu. Biedaczek też chciał jednak mieć znaczek „Solidarności".

Naradzał się z Wandą przez kilka minut i w końcu znaleźli rozwiązanie. Wanda zaprowadziła go do drugiego pokoju. Wszyscy czekali w napięciu. Kiedy wrócili, zakomunikowała, że wszystko

odbyło się zgodnie z protokołem, i wręczyła mu nagrodę. Nikt nie wie, co wydarzyło się za drzwiami, ale Rosjanin był zadowolony i wpiął znaczek „Solidarności" w klapę.

Kilka dni później ta radosna atmosfera nagle się rozwiała. Podczas wspinaczki jeden z alpinistów, obsuwając się, uderzył w Wandę. Zjechała po zboczu dwieście metrów. Od razu zrozumiała, że jest poważnie ranna. Jej kość udowa była zgruchotana.

Zespół ratunkowy zniósł ją z gór, wsadził do ambulansu i przewiózł do najbliższego szpitala. Lekarze zoperowali jej nogę, założyli metalową płytkę i zespolili kości. Kiedy Wanda wybudziła się z narkozy, wyczuła, że nogi nie poskładano porządnie. Błagała, by lekarze jeszcze raz się jej przyjrzeli. Odmówili. Okazało się, że miała rację: wkrótce kość trzeba było złamać i złożyć raz jeszcze. Chciała jak najszybciej wydostać się ze szpitala, ale wypuszczono ją dopiero wtedy, gdy zaczęła strajk głodowy. Kiedy jej brat Michał zobaczył ją po wypadku, był zszokowany. Była zmęczona, blada, ubrana w pokrwawiony dres, przerażona i przekonana, że już nigdy nie wróci w góry, a co gorsza, że może zostać kaleką. Michał i każdy, kto znał Wandę, rozumiał, że to by ją zniszczyło.

* *
*

Wojtek był szmat drogi od Wandy, w Nepalu, w bazie pod zachodnią ścianą Makalu. „Solidarność" nie zniszczyła jego biznesu i nadal realizował się jako międzynarodowy wspinacz. Ale w tym momencie potrzebował partnera.

Dawno już odszedł od wielkich, narodowych ekspedycji. Wolał małe grupy wspinające się na lekko, czyli bez wsparcia licznych zespołów i zakładania kolejnych stałych obozów. To dawało elastyczność.

Jurek pracował w ogrodzie swojego letniego domku, podziwiając przyrodę rozkwitającą na wiosnę, kiedy otrzymał list z Nepalu.

„Jurek, przyjeżdżaj. Byłem pod zachodnią ścianą Makalu z Alexem MacIntyre'em i innymi. Nie powiodło się, doszliśmy tylko na 6700 metrów. Ale wierzę, że jest to do pokonania. A może płd. ściana Lhotse? Zostało mi trochę pieniędzy na koncie krakowskiego klubu, resztę musisz jakoś zdobyć i przywieźć. Liczę na Ciebie! Wojtek".

Jurek się ucieszył. Nie trzeba go było długo namawiać. Pożyczył trochę pieniędzy z Wojewódzkiego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu w Katowicach, po czym pozbierał kartki – potrzebował zapasów, które daleko przekraczały zwykły miesięczny przydział w wysokości dwóch kilogramów mięsa i kilograma cukru. Sklepy były puste. Gdy w magazynach miał odebrać swój przydział, odkrył, że te są wypełnione żywnością po dach. Zdziwiony spytał, dla kogo to. „To są rezerwy państwowe" – wyjaśnił magazynier, co znaczyło, że jedzenie zarezerwowano dla ważniejszych osób.

Gdy wracał z magazynu z wózkiem wyładowanym konserwami z mięsem, zaczepił go przechodzień. „Sprzedajesz to? Skąd to masz? Dobrze ci zapłacę". Jurek musiał użyć siły, by dotrzeć do samochodu i przerzucić skarby do bagażnika.

Potem, pudełko po pudełku, bardzo dyskretnie przenosił te nieosiągalne przysmaki z samochodu do piwnicy. Pojawiły się jednak plotki, że „ten Kukuczka z dziewiątego" to jakiś spekulant. Nie były całkiem bezpodstawne, bo niektórzy wspinacze sprzedawali część żywności zdobytej na wyprawę. Znany był fakt, że podczas ekspedycji jedli lepiej niż w domu – przywilej zawodowy.

Jurek, pochylony, wypełniał w piwnicy beczki konserwami, batonami, słodyczami i mięsem, a każdą z nich starannie opisywał,

by wiedzieć, gdzie jest jego ulubiona golonka. Te cenne beczki trafiły do obozu pod Makalu, gdzie Jurek, Alex MacIntyre i nawet wegetarianin Wojtek pałaszowali ich zawartość ze smakiem. Śmiali się, kiedy Wojtek tłumaczył, że jest wegetarianinem wierzącym niepraktykującym, tak jak wielu Polaków jest wierzącymi niepraktykującymi katolikami.

A Jurek zdobył nowe przezwisko – „Golonka" – bo tak łakomie zajadał golonki.

Wspinacze zdecydowali się zostać pod Makalu, zamiast przenosić się pod inną górę, i zabrali się do roboty.

Poprowadzili swoją techniczną drogę do około siedmiu tysięcy ośmiuset metrów, gdzie trafili na wyjątkowo trudną pięćsetmetrową, częściowo przewieszoną skalną barierę. To był klucz do tej ściany.

We wspinaczce nadchodzi taki moment, kiedy nikt do nikogo nic już nie mówi, tylko jeden drugiego obserwuje, i widać, jak wola zwycięstwa słabnie. Jurek wspominał: „Tempo spada, wszystko idzie coraz wolniej, oporniej...".[24]

Wojtek rozładował napięcie, przyznając: „Nie widzę szans, nie zrobimy tego". Jurek chciał, żeby szli dalej, żeby może zmienili trochę drogę. Ale Wojtek miał dość i jego zdanie jako najbardziej doświadczonego członka zespołu było decydujące. Zeszli. W bazie Jurek nie ustępował. Zgodził się z Wojtkiem, że ściana jest za trudna, ale samą górę można zdobyć. Jednak Wojtek i Alex trzymali się pierwotnego celu – wytyczenia nowej drogi na zachodniej ścianie. Jurek był rozczarowany Wojtkiem, swoim starym partnerem. Zauważył, że staje się on coraz mniej elastyczny i kiedy zniknął pierwotny cel, stracił całą energię.

Ale ta góra była warta każdej wspinaczki, niezależnie od drogi. Jurek znów naciskał, ale Wojtek nie dał się przekonać. Powiedział

więc: „W takim razie spróbuję sam". Wojtek był zaskoczony.

To była niezwykle zuchwała deklaracja. Doświadczenie wysokogórskie Jurka było małe, miał kłopoty z wysokością i na Alasce, i w Hindukuszu, nie wszedł na Nanga Parbat, bardzo źle się czuł na Lhotse, a na Evereście używał tlenu. Teraz chciał się wspinać na ośmiotysięczny szczyt samotnie i bez tlenu, drogą, której nie znał.

Zaczął około południa. Chciał dojść pod ścianę, by zobaczyć, jak mu się będzie szło i co go czeka, po biwaku zamierzał zaś zdecydować, co dalej. Dotarł do ściany około 15. Uznał, że nie ma powodu stawać, więc ruszył na ścianę z płachtą biwakową. Pogoda była dobra, a gdy wieczór zmienił się w noc, księżyc w pełni oświetlił drogę. Około 21, zmęczony marszem i próbą rozłożenia płachty biwakowej, cudem znalazł na wpół zagrzebany w śniegu namiot, który pozostawiła poprzednia ekspedycja. Zachwycony odkryciem odkopał go i wpełzł do środka.

Spał aż do 11 następnego dnia i uznał, że czas już rozpocząć schodzenie. Zrobił herbatę i spakował plecak. Gdy jednak wyszedł z namiotu, odkrył, że choć wieje wiatr, widoczność jest cudowna, a niebo kobaltowobłękitne. Założył raki, zarzucił plecak na ramiona i zaczął chodzić w tę i z powrotem. W dół czy w górę? W końcu postanowił iść w górę.

Wspiął się w kierunku Makalu La na 7410 metrów, gdzie znalazł namiot, który zostawił podczas wejścia aklimatyzacyjnego. Następnego ranka, po dobrze przespanej nocy i przy słabnącym wietrze, zaczął wspinaczkę niezdobytą północno-zachodnią granią. Jurek nie miał zielonego pojęcia, co może zastać na grani ani czy jest ona do przejścia. Na ośmiu tysiącach metrów wykopał platformę w śniegu i ustawił namiot. Zaczął gotować herbatę, gdy nagle poczuł, że nie jest sam i że w rzeczywistości gotuje dla dwóch osób.

Zaczął rozmawiać z widmowym gościem. Wysokość i wysiłek zaczęły zbierać swoje żniwo.

Następnego dnia rano jego wyimaginowany towarzysz zniknął, a Jurek ruszył na lekko, tylko z aparatem fotograficznym, dziesięcioma metrami liny, trzema hakami i dwiema śrubami lodowymi. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, na co się decyduje. Nie mógł popełnić najmniejszego błędu. Teraz albo nigdy. Był zdany wyłącznie na siebie.

Kiedy osiągnął trudny technicznie fragment, stosował autoasekurację. Wbijał hak w skałę, przywiązywał do niego linę „na sztywno" i wspinał się na długość liny – dziesięć metrów. Wbijał kolejny hak, przywiązywał do niego linę i schodził do poprzedniego haka. Wybijał go i raz jeszcze wspinał się asekurowany z górnego haka. Dzięki temu w razie wypadku spadłby najwyżej dwadzieścia metrów. Pod warunkiem, że asekuracja wytrzyma. To dawało mu poczucie bezpieczeństwa, ale pochłaniało czas i siły. Był dużo powyżej ośmiu tysięcy metrów i brak tlenu go osłabiał.

Po 16.30 stanął na szczycie i wyjął plastikową biedronkę, którą zabrał rocznemu synowi. Zrobił kilka zdjęć, wiedząc, że musi szybko zacząć schodzić. Zbliżała się noc, a do wschodu księżyca było jeszcze daleko. Gwiazdy, które zalały niebo, nie świeciły wystarczająco jasno. Zszedł do namiotu bardzo późno, a do bazy – następnego popołudnia. Był zmęczony, blady, miał zapadnięte policzki.

Wojtek wyszedł mu naprzeciw.

– Jak tam było?

– Wszedłem na szczyt.

Gdy odpoczywał, pił i napychał się golonką przez kilka kolejnych dni. Zdał sobie sprawę, że był to jego trzeci ośmiotysięcznik. Żaden

inny Polak nie dokonał tego co on. Pomyślał, że powinien zdobyć kolejne.

Na Makalu okazało się, że Jurek i Wojtek, mimo ich pozornego zgrania, wyznają inne wartości i mają inne podejście do gór.

Wydawało się, że Jurek ma większą gotowość do podejmowania ryzyka niż Wojtek, który był bardziej nastawiony na konkretny cel niż na wchodzenie na szczyt jakąkolwiek drogą za wszelką cenę. Ich reakcje i decyzje na Makalu ujawniły dzielące ich fundamentalne różnice, które w przyszłości miały stać się zarzewiem konfliktu.

* *
*

Sukcesy w górach i wynikający z nich optymizm polskich wspinaczy szły w parze ze wzrastającą popularnością i znaczeniem „Solidarności".

Obywatele odzyskali wiarę we własne siły: wszystko wydawało się możliwe, a losy polskich wspinaczy były tego dowodem. Lecz ta głęboka zmiana nastrojów zaniepokoiła władzę, która była już zmęczona próbami kontrolowania i opanowywania związku. W nocy z 12 na 13 grudnia na ulice wyjechało wojsko. Wczesnym rankiem Polacy obudzili się w miastach, których ulice pełne były czołgów.

Duch w narodzie upadł. Nikt nie wiedział, co się jeszcze wydarzy. Zamknięto wszystkie sklepy i biura. Telefony nie działały, autobusy przestały kursować.

Jurek doskonale pamiętał tamtą atmosferę: „Poczuliśmy się zamknięci, a ja sam miałem wrażenie, jakbym był w klatce". Dziesiątki tysięcy ludzi zostało aresztowanych i po sfingowanych procesach wtrącono ich do więzień jako internowanych.

Krzysztof, aktywny zwolennik „Solidarności”, pierwszej nocy stanu wojennego jeździł i sprawdzał, czy koledzy z ruchu są bezpieczni. Potem do rana chował i niszczył w domu związkowe dokumenty.

Wielu jego przyjaciół aresztowano. Trafili do obozów internowania, w których częste były pobicia, a nawet miały miejsce przypadki śmierci. Z wprowadzeniem stanu wojennego ograniczono wolność słowa, zaś prawo do swobodnego przemieszczania się i wyrażania poglądów stało się tylko odległym wspomnieniem. Armia wypowiedziała wojnę polskiemu społeczeństwu. Jurek, tak jak wielu rodaków, podupadł na duchu.

* *
*

Stan wojenny spowodował ogromne obniżenie standardu życia. Produkt krajowy brutto spadł o piętnaście procent. Dług publiczny osiągnął trzydzieści miliardów dolarów, a przepaść między tym, ile ludzie zarabiali, a tym, co za to mogli kupić, urosła. Prawdę mówiąc, w ogóle nie można było niczego kupić, bowiem sklepy świeciły pustkami. Mimo że Polska była pełna bogactw naturalnych, kraj na długo pogrążył się w chaosie i kryzysie żywnościowym. USA wprowadziły sankcje gospodarcze wobec Polski i ZSRR.

* *
*

Wanda była na odczytach w NRD, kiedy wojsko przejęło władzę. Po powrocie do Polski miała mieć kolejną operację nogi, ale z powodu sytuacji w kraju odwołano jej zabieg.

Skontaktowała się więc z dr. Helmutem Scharfetterem z Innsbrucku. Pomagał jej kiedyś i miała nadzieję, że tym razem też pomoże. Doktor rozwiódł się z żoną kilka lat wcześniej i mieszkał

z dwoma synami w górach Tyrolu. Ten znany, kulturalny, a obecnie także samotny mężczyzna był zachwycony wizytą Rutkiewicz i zachęcał ją, by została na Zachodzie. Jego synowie słuchali jej niezwykłych opowieści o górskich przygodach, a ona bardzo chciała odpocząć od Polski.

Dlaczego nie? – pomyślała. Lepszy jest ten wspaniały człowiek niż czołgi na ulicach. Po kilku miesiącach wzięli ślub. Wanda stała się obywatelką Austrii i mogła swobodnie podróżować ze swoim nowym austriackim paszportem.

Dr Scharfetter zorganizował operację Wandy i zajmował się nią podczas długiej rekonwalescencji. Niecierpliwie wyczekując powrotu w góry, wykorzystała ten czas, by zaplanować letnią ekspedycję na K2 w 1982 roku.

Stan wojenny sparaliżował Polskę i znikły dotychczasowe źródła finansowania ekspedycji, więc Wanda zajęła się pozyskiwaniem sponsorów. Wkrótce znalazła mocne wsparcie w osobie Reinholda Messnera. Towarzyszyła mu w jego odczytach i korzystała z tego, że przedstawiał ją swoim sponsorom.

Nawet gdy chodziła o kulach, jej czar i entuzjazm były zaraźliwe, dzięki czemu korporacje hojnie wypisywały jej czeki. Wsparcie sponsorskie wraz z pieniędzmi od tajemniczego adoratora dało jej finansowe i sprzętowe zaplecze, jakiego wcześniej nigdy nie miała.

Nie była jedyną osobą, która zagięła parol na K2. Pomimo stanu wojennego środowisko alpinistyczne było zdeterminowane, by pokazać rządowi, że wspinacze nie dali się zastraszyć. To wspinaczka podtrzymywała ich na duchu przez wszystkie trudne powojenne lata. Byli zdecydowani uprawiać ten sport bez względu na koszty. Podporządkowanie się systemowi zabiłoby w nich ducha. Sprzeciwiając się stanowi wojennemu, podkopywali społeczne zaufanie do władz i co ważniejsze, chronili wyznawane

przez siebie wartości. Byli polskimi wspinaczami – gdyby postanowili się wspinać za granicą, zrobiliby wszystko, by urzeczywistnić swoje plany.

Wanda i jej kobiecy zespół chcieli zdobyć K2 drogą przez Żebro Abruzzi. Ponieważ noga goiła się wolno, było jasne, że Wanda nie będzie się wspinała – komuś tak ambitnemu trudno było się z tym pogodzić. Musiała jednak zadowolić się tym, że będzie kierowała wyprawą z bazy i w ten sposób wesprze koleżanki w zdobyciu szczytu.

Choć Wojtek i Jurek też byli na liście wyprawy organizowanej przez Rutkiewicz, zgodzili się wspinać osobno. Liczyli, że zrobią nową drogę na wschodniej lub południowej ścianie. Inny spory zespół polskich wspinaczy z Krzysztofem Wielickim, Leszkiem Cichym i innymi, prowadził też na K2 Janusz Kurczab. Chcieli oni wytyczyć nową drogę na północno – zachodniej grani. Wojtek próbował ją zdobyć już w 1976 roku, wchodząc północno-wschodnią granią. Wanda i Jurek po raz pierwszy oglądali wspaniały K2. Góra zrobiła na nich piorunujące wrażenie.

Widok tego geologicznego cudu – niemal perfekcyjnej piramidy ze skały i lodu – wprowadził Jurka w stan podenerwowania, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Wiedział, że ta góra zabija bez litości. Nawet stan wojenny nie mógł się równać z krwiożerczością tego giganta.

Zespół kobiecy zaczął wspinanie Żebrem Abruzzi. Jako że Jurek i Wojtek obiecali Wandzie, iż nie będą wchodzić kobietom w drogę, wybrali się na sąsiedni Broad Peak, by tam aklimatyzować się przed próbą wytyczenia nowej drogi. Nie planowali wejścia na szczyt, choć tego nie wykluczali. Oficjalnym powodem zapuszczenia się na zbocza tego ośmiotysięcznika było zrobienie teleobiektywem zdjęć kobiecego zespołu. I tak się zaangażowali w fotografowanie,

że stanęli na czubku. W konsekwencji tego „przypadkowego sukcesu" wybuchła afera, bo przecież nie mieli zgody na wejście.

Ta „ukradziona" wspinaczka przyniosła Jurkowi wielką satysfakcję. Broad Peak stał się jego prywatną górą. Wojtek i Jurek, inaczej niż zwykle, nie powinni byli mówić nikomu o tym sukcesie, niestety jednak już następnego dnia musieli podzielić się tajemnicą. Schodząc, spotkali Reinholda Messnera, i choć on nie pamiętał Jurka z ich wcześniejszego spotkania, to znał Wojtka wystarczająco dobrze, by zacząć rozmowę. Zapytał, gdzie byli, a Wojtek dziwnie dobierał słowa, mówiąc coś o aklimatyzacji blisko wierzchołka. Messner się dopytywał, chcąc wiedzieć, czy zdobyli szczyt. Odpowiedź Wojtka, że byli dość wysoko, była dla Messnera jasna. Uśmiechnął się tylko, gdy poprosili, żeby zatrzymał tę wiedzę dla siebie.

Wrócili na K2, lecz na wschodniej ścianie poczynili małe postępy, co sprawiło, że przerzucili się na południową. Ale i tam im się nie poszczęściło. Zespół Wandy też walczył bezskutecznie, musztrowany przez szefową, która wsparta na kulach dowodziła z dołu. Krystyna Palmowska była na Wandę wściekła, że wywiera ona na ekipę zbyt duży nacisk. Jej styl kierowania, który rozwinął się na Gaszerbrumie III, znów przyniósł jej kłopoty. Ponieważ wchodząc do bazy o kulach, zawiesiła sobie poprzeczkę bardzo wysoko, równie wysokie oczekiwania miała wobec koleżanek. Wanda traktowała swoje ciało jak narzędzie do realizacji postawionego celu. Tę filozofię przeniosła też na ludzi, którymi kierowała. To budziło ich opór.

– Nikt nie lubi być traktowany jak przedmiot, który jest tylko środkiem do osiągnięcia celu – skarżyła się Krystyna.

Co gorsza, w obozie drugim nagle zmarła Halina Krüger-Syrokomska. Po sześćdziesięciu dziewięciu dniach w górach kobiety

się poddały. Pomimo tragedii i porażki Wanda, schodząc, była nastawiona bojowo. Wiedziała, że musi wrócić, by się policzyć z K2. Ta najpiękniejsza na świecie góra zakpiła z jej marzeń i ambicji.

Większy i bardzo doświadczony męski zespół Kurczaba wspinał się nową drogą, aż trafił na barierę, którą próbował ominąć po północnej stronie. Tam zaczął się problem, ich droga skrzyżowała się bowiem z drogą japońskiej wyprawy na północnym filarze.[25]

Japończycy przetrawersowali na lewo i osiągnęli szczyt przed załamaniem pogody. Polacy byli blisko, ale musieli się poddać na wysokości ośmiu tysięcy dwustu pięćdziesięciu metrów. Wszystkie trzy pokonane polskie teamy wróciły do Islamabadu, gdzie dowiedziały się, że informacja o zdobyciu Broad Peak wyciekła.

Wściekłe ministerstwo maglowało Wandę, żądając wyjaśnień na temat nieautoryzowanego wejścia, ona jednak trzymała się wersji, że Wojtek i Jurek wspinali się w charakterze fotografów, robiąc zdjęcia K2 z niższej flanki Broad Peak. Ostatecznie jej opowieść zadowoliła władze.

Przed powrotem do Polski wspinacze pojechali z Islamabadu do Delhi, gdzie upłynnili trochę przemyconych polskich produktów oraz zakupili ubrania i kawę, by przywieźć je do Polski.

Młody wspinacz Artur Hajzer spotkał zespoły z K2 w polskiej ambasadzie kilka dni przed odlotem. Był zaskoczony, a nawet lekko onieśmielony, widząc tak wiele gwiazd razem: Kurczab, Wróż, Cichy, Wielicki i Kurtyka. Szczególnie fascynowała go ukryta za ciemnymi okularami pociągła twarz Wojtka. Wspominał, że ten sławny alpinista, nieobecny duchem, spędzał całe dnie w ciszy, słuchając jazzu na walkmanie i opalając swoje piękne ciało. Kiedy słońce zachodziło, wspinacze gromadzili się wokół stołu w jadalni i rozmawiali. Nowicjusze, wśród nich Artur, tylko słuchali.

– Wielickiego nie trzeba było długo prosić, by opowiedział o wyprawie – mówił Artur. – On czuł, że musi o tym dużo mówić.

Artur był ciekawy, dlaczego ekspedycja się nie udała – nie brakowało im przecież sprzętu ani jedzenia. Oficjalna wersja brzmiała: zła pogoda. Ale Artur widział, że zespół japoński, który był tam w tym samym czasie i przy tej samej pogodzie, z powodzeniem pokonał drogę na szczyt.

Krzysztof opowiedział, co wydarzyło się w najwyższym obozie. U jednego z czwórki wspinaczy rozwinęła się choroba wysokościowa. Nie umiał zbudować sensownego zdania. Największe problemy sprawiały mu czasowniki. Potrafił jedynie wydukać „łopata" i „platforma". Następnego ranka było z nim jeszcze gorzej. Inni próbowali sprawdzić jego zdolności kojarzenia, przepytując go z tabliczki mnożenia, ale w głowie miał tylko szum. Było jasne, że trzeba go szybko sprowadzić na dół, jednak nikt z nim nie chciał zejść. Wszyscy myśleli o wejściu na szczyt, a opuszczenie obozu oznaczało koniec marzeń. Po nerwowej dyskusji Krzysztof zaoferował, że będzie towarzyszył choremu, choć nie był jego partnerem.

Gdy Wielicki skończył opowieść, w pokoju zapanowała cisza. Młodzi byli zdziwieni altruizmem Krzysztofa. Nie pasował do niego. Wiedzieli, że nie oddawał szczytów tak łatwo. Dolewając sobie herbaty, Krzysztof wyjaśnił, że decyzja była tylko z pozoru wspaniałomyślna. Ocenił, że na wejście na szczyt nie ma szans. Był za daleko. Po co tracić energię? Zdecydował, że zejdzie pod pozorem poświęcenia się dla kolegi i zaoszczędzi siły na kolejny atak. Jego ocena okazała się trafna, ale czy działał z właściwych pobudek?

Artur przestał słuchać dalszej opowieści. To, co usłyszał, przytłoczyło go. Był zmieszany i przygnębiony, gdy dowiedział się, że tak podziwiani wspinacze mogą zachowywać się tak cynicznie.

Przez lata uczono go czegoś innego. Miał kilka lat doświadczeń i myślał, że rozumie etykę wspinaczki oraz sens braterstwa w górach. Czy mogło być tak, że pod najwyższymi szczytami wszystko się zmienia? Czy teoria i praktyka mogą się tak różnić?[26]

Wanda Rutkiewicz jako mała dziewczynka jedzie na rowerze z ojcem i ze starszym bratem [WANDA RUTKIEWICZ/ARCHIWUM PRYWATNE]

Młoda Wanda Rutkiewicz próbuje wspinaczki [WANDA RUTKIEWICZ/ARCHIWUM PRYWATNE]

Portret młodej Wandy Rutkiewicz [WANDA RUTKIEWICZ/ARCHIWUM PRYWATNE]

Wanda właśnie odkryła radość wspinaczki [WANDA RUTKIEWICZ/ARCHIWUM PRYWATNE]

Dzieci w ruinach Warszawy w czasie Powstania [Członek rodziny Jarka Tuszyńskiego/Album Rodzinny (Domena publiczna/wikimedia commons)]

Z powodu ostrzału ulic podczas Powstania Warszawskiego powstała sieć przejść [STEFAN BAŁUK (DOMENA PUBLICZNA/WIKIMEDIA COMMONS)]

Polscy wspinacze w drodze na Alaskę [JERZY KUKUCZKA/ARCHIWUM PRYWATNE]

Andrzej Zawada [BOGDAN JANKOWSKI]

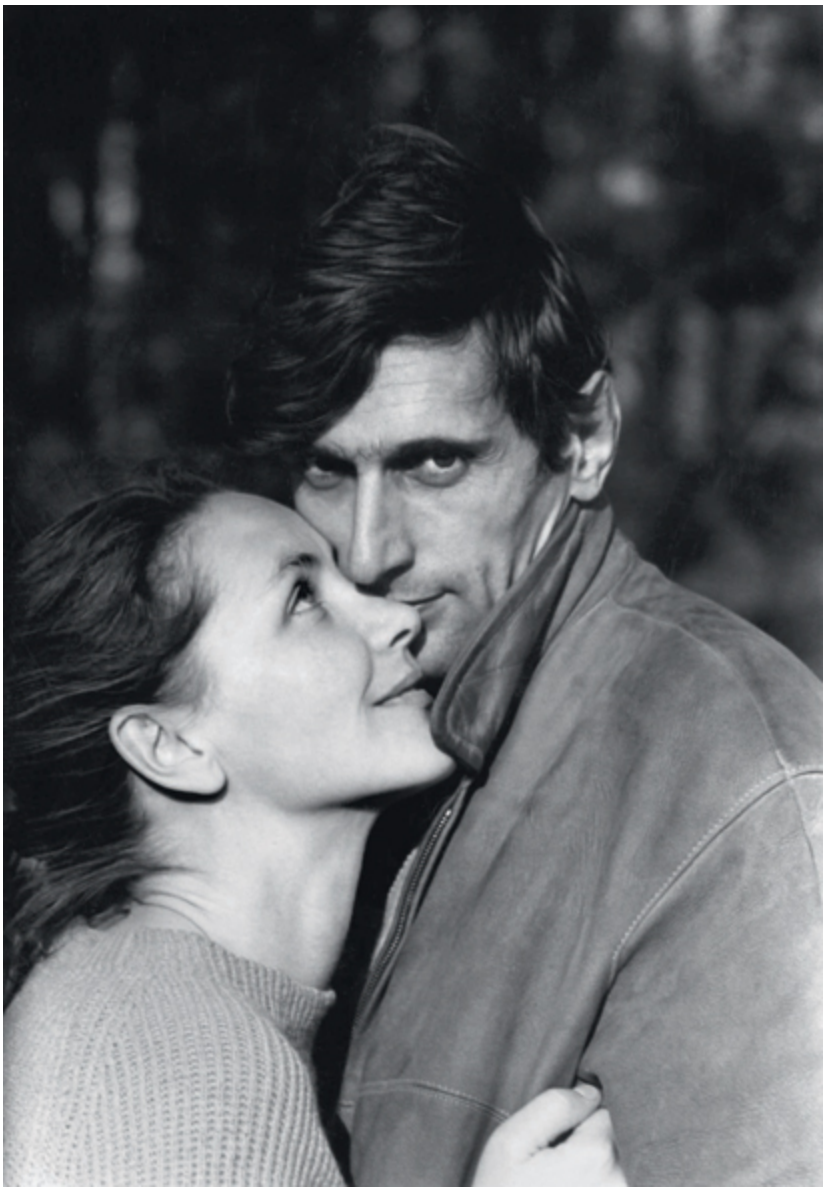

Andrzej Zawada i Anna Milewska [ANDRZEJ ZAWADA/ARCHIWUM PRYWATNE]

Polski zespół w drodze do Karakorum [ANDRZEJ ZAWADA/ARCHIWUM PRYWATNE]

Polscy wspinacze na Kunjang Ćhiś, 26 sierpnia 1971, od lewej Andrzej Heinrich, Jan Stryczyński, Ryszard Szafirski [RYSZARD SZAFIRSKI]

Alison Chadwick i Wanda Rutkiewicz w Tatrach po powrocie z Hindukuszu w 1971 roku [JANUSZ KURCZAB/ARCHIWUM PRYWATNE]

Gaszerbrum II i III [R. JUCHA]

Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Wanda Rutkiewicz i Krzysztof Zdzitowiecki na Gaszerbrumie III [JANUSZ ONYSZKIEWICZ]

Wojtek Kurtyka, 1974 [BOGDAN JANKOWSKI]

Zespół wyprawy na Lhotse '74 w Warszawie. Po lewej Andrzej Zawada, lider ekspedycji, drugi z prawej Wojtek Kurtyka wyglądający na poważnie zmartwionego [J. BARCZ]

Tadek Piotrowski i Wojtek Kurtyka w trzecim obozie (7300 m) na południowej ścianie Lhotse, w oczekiwaniu na poprawę pogody. Polska ekspedycja jesień-zima 1974 [BOGDAN JANKOWSKI]

Andrzej Zawada, lider jesienno-zimowej wyprawy na Lhotse w 1974 roku [BOGDAN JANKOWSKI]

Wanda Rutkiewicz w górach czuła się jak w domu [WANDA RUTKIEWICZ/ARCHIWUM PRYWATNE]

Młody Jerzy Kukuczka odkrywa wspinaczkę skałkową [JERZY KUKUCZKA/ARCHIWUM PRYWATNE]

Jerzy Kukuczka negocjuje ze strażą graniczną na polsko-czechosłowackiej granicy w Tatrach [CELINA KUKUCZKA]

Wojtek Kurtyka, Krzysztof Żurek, John Porter i Alex MacIntyre na warszawskim lotnisku po powrocie z Changabang [WOJTEK KURTYKA/ARCHIWUM PRYWATNE]

Młody brytyjski wspinacz Alex MacIntyre [WOJTEK KURTYKA/ARCHIWUM PRYWATNE]

Młody Krzysztof Wielicki w mundurze harcerskim [KRZYSZTOF WIELICKI]

Ryszard Kozioł, lider wyprawy, Alicja Bednarz i Wojtek Kurtyka przybywają do bazy pod Koh-e Tez po dramatycznym zejściu. Właśnie poprowadzili nową

drogę w stylu alpejskim na 7015 m w afgańskim Hindukuszu. To druga nowa droga tej wyprawy [WOJTEK KURTYKA/ARCH. PRYWATNE]

CZĘŚĆ SIÓDMA

Razem czy osobno

Góry inspirują naszą wyższą jaźń. Gdy trafiamy na nie na odludziu, osiągamy szczyt własnej pokory. Niezależnie, czy stoimy na wierzchołku, czy też składamy im hołd z nizin, ogarnia nas bezgraniczny podziw. Być może to właśnie jest zalążek religii.

Terry Tempest Williams, *„Extreme Landscape”*
(tłum. Stanisław Gieżyński)

Nigdy nie poznałem towarzysza, który byłby tak towarzyski jak samotność.

H.D. Thoreau, *„Walden”*
(tłum. Halina Cieplińska)

Wojtek Kurtyka myślał, że znalazł idealnego partnera do wspinaczki w osobie Alexa MacIntyre’a. Anglik, brunet z dziką grzywą kręconych włosów i ładną krągłą twarzą, wyraźnie kontrastował z żylastym, surowym z wyglądu Wojtkiem. Mieli też różne charaktery. Alex bał się tylko kamiennych lawin, lecz poza tym wydawał się oazą spokoju. Wojtek był nerwowy i dręczyły go lęki.

Podziwiał wyobraźnię Alexa w górach i jego strategię wspinania polegającą na tym, by noc przed wspinaczką upić się na umór. Miał zabawną teorię, według której niszczenie szarych komórek przed

wspinaczką powodowało, że deficyt tlenu zabijał ich mniej podczas wspinaczki. Strategia aklimatyzacji według Alexa, którą opisał on w magazynie „Mountain", była jeszcze bardziej niedorzeczna.

Alex radził, by jeść dużo czosnku. Inne jego zalecenia to: „Kochać się godzinami, robiąc przy tym pompki na pięściach, i wskakiwać na zbocze na jednej nodze przy muzyce Wagnera płynącej z przenośnego, obciążonego ołowiem japońskiego kaseciaka".[27]

Wojtek i Alex przeszli przez Himalaje jak burza. Ich wspinaczka w stylu alpejskim na wschodnią ścianę Dhaulagiri była punktem zwrotnym w światowej wspinaczce himalajskiej. Wykonali też dwie próby wejścia na zachodnią ścianę mierzącego 8485 metrów Makalu, w tym jedną z Jurkiem Kukuczką w 1981 roku.

Wojtek wpadł na pomysł, który chciał zrealizować z obydwoma wspinaczami: chciał strawersować leżące w Karakorum Gaszerbrumy – pierwszy i drugi. Ten zuchwały plan był do zrealizowania, choć miał wiele niewiadomych. Jeśli jednak komuś miało się udać, to właśnie tej trójce. Byli zgodni, że trzeba spróbować.

Tydzień przed spotkaniem Wojtek był w polskiej ambasadzie w Delhi. Pewna grupa wspinaczy właśnie wróciła z K2.

– Wojtek, słyszałeś o Alexie? – rzucił jeden z nich.

– Co z Alexem?

Po pytaniu Wojtka zapadła cisza.

– Co z Alexem? – powtórzył.

– Zginął na Annapurnie.

Wojtek ostatni raz widział Alexa na Makalu. Tam uzgodnili, że zaczną kolejną przygodę tak szybko, jak tylko się da. Po Makalu Wojtek tak pisał w „Mountain" o nieprzeciętnych umiejętnościach Alexa: „Czy zobaczę Cię znów? O tak, za tydzień znowu zobaczę Alexa, pełnego stoickiego spokoju i pewności siebie. Kiedy

spoglądam wstecz na moje górskie przygody, a zwłaszcza na niespokojne powroty w doliny, widzę, że tych właśnie cech zawsze mi brakowało i zawsze chciałem je posiąść. Spotkamy się ponownie i Alex sprawi, że uwierzę przez chwilę, iż mogę odnaleźć spokój raz jeszcze".[28]

A teraz Alex już nie żył.

Zszokowany Wojtek skoncentrował się na wspinaczce z Jurkiem, swoim partnerem na Gaszerbrumie. Pomimo śmierci Alexa i dzielących ich różnic, które uwidoczniły się na Makalu, stali się zespołem prawie nie do zatrzymania.

Stopniowo pięli się w górę w środowisku niezwykle utalentowanej polskiej braci wspinaczkowej, aż osiągnęli szczyt mistrzostwa. Tworzyli zespół najlepszy z najlepszych i byli tak ze sobą zgrani, że niemal nie musieli rozmawiać. Mieli kompletnie różne osobowości, a potrafili przebywać ze sobą tygodniami jak dobrana para. Inni wspinacze patrzyli zdziwieni na to, jak koegzystują w małym namiocie, wspólnie gotują i radzą sobie ze stresem powodowanym przez wysokość i różne niebezpieczeństwa. Jakoś dochodzili do porozumienia w trakcie trudnych i naładowanych emocjami dyskusji przy wytyczaniu drogi.

Wojtek miał dobre pomysły, a Jurek wnosił do zespołu wiarę i motywację. Świadomość ich indywidualnych zalet była kluczem do zespołowego sukcesu. Wojtek śmiał się z tych różnic. „Kiedy ja cały zwijałem się z bólu, widziałem, że Jurek tylko zdradzał tylko małe jego oznaki. Kiedy się bałem, Jurek był spokojny. Kiedy byłem skrajnie przerażony, Jurek tylko trochę się martwił".

Na jednej szali leżały drobiazgowe planowanie i przygotowywanie Wojtka, a na drugiej intuicyjne i agresywne

metody Jurka. Smukłą budowę Wojtka i jego techniczne zdolności wspinaczkowe uzupełniała niezwykła siła i wytrzymałość Jurka.

– Jurek był największym psychologicznym nosorożcem, jakiego spotkałem pośród alpinistów – mówił Wojtek. – Był niesamowicie odporny na ból i nieustraszony w zmaganiu z niebezpieczeństwami. Miał też zalety bardzo charakterystyczne dla wszystkich urodzonych pod znakiem Barana – ślepy wewnętrzny przymus, aby przeć do przodu. Tacy ludzie przebijają mur głową, obojętnie jakiej byłby grubości. Walą w przeszkodę, dopóki jej nie skruszą albo sami się o nią nie rozbiją.[29]

Przez trzy lata dominowali w himalajskim wspinaniu. Nie mogli być już szczęśliwsi, bo spełniały się ich marzenia. Krzysztof Wielicki opisał ich relację jako „magiczną".

* *
*

By□móc sfinansować tę magię, Wojtek i Jurek do perfekcji opanowali sztukę „międzynarodowego handlu", zbierając dokładnie tyle pieniędzy, ile potrzebowali, by płacić za swoje przygody. Jak wielu polskich wspinaczy kupowali tanie rzeczy w Polsce i Rosji – buty sportowe, tytanowe śruby lodowe, śpiwory i czeskie kryształy – wwozili je do Azji (razem ze sprzętem wspinaczkowym) i sprzedawali po dużo wyższych cenach. W drodze powrotnej oprócz kieszeni pełnych twardej waluty mieli ze sobą na sprzedaż trudne do zdobycia w Polsce produkty. Amerykański alpinista Greg Child wspominał, jak polscy wspinacze nagabywali go, by sprzedał im swój wysokiej klasy namiot i sprzęt za absurdalnie niską cenę. Greg uważał, że czasami byli nachalni, wręcz niegrzeczni. Negocjując ceny, próbowali wywołać poczucie winy: wspinacze z Zachodu

powinni się czuć zobowiązani do współpracy ze „wschodniakami", ponieważ byli bogaci, a Polacy biedni.

Często koledzy z Zachodu namawiali Polaków do ucieczki. Dlaczego nie? Co mieli do stracenia? A jednak mogli stracić o wiele więcej, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Wspinacze z Tatr wypracowali szczególny system zarabiania w ramach ich dysfunkcyjnego państwa. I chociaż wydawało się to niezrozumiałe dla obcokrajowców, działał on dobrze. Ważniejsze było jednak to, że są Polakami, a Polska jest ich domem. W żartach poruszali czasem temat ucieczki, ale niewielu się na nią zdecydowało.

Wielkie ciężarówki zmierzające do Azji załadowane były „sprzętem" używanym rzekomo do wspinania. Ale nawet celnicy wiedzieli, o co chodzi, gdy przemytnicze numery zbliżały się do granicy absurdu. Wrocławski wspinacz Alek Lwow zdradził, jak robił interesy z pogranicznikami: „Piliśmy z nimi". W końcu, po przyjęciu odpowiedniej ilości alkoholu, celnik przekazywał ważną pieczątkę najtrzeźwiejszemu członkowi grupy, prosząc, by ten podbił dokumenty.

Wielu wspinaczy wracało do Polski bogatszymi, niż wyjechało. Wspinanie nie było tylko hobby czy modą, było życiem. Można było kupić jedzenie, ubranie, samochód, a nawet zbudować dom z tych nielegalnych profitów. Znana jest historia pewnego szmuglera alpinisty, który wyjechał z Polski z paczką gumy do żucia. Sprzedał ją w Indiach, po czym kupował i sprzedawał towar, przekraczając różne azjatyckie granice w tę i z powrotem, aż wrócił z kasą, która wystarczyła mu na mercedesa.

Przemyt stał się wielkim, lukratywnym biznesem polskich wspinaczy. Od czasu do czasu napotykali jednak problemy.

* *
*

Latem 1983 roku Jurek i Wojtek przybyli na granicę indyjsko-pakistańską w pobliże Amritsaru ciężarówką wyładowaną sprzętem wspinaczkowym i jedzeniem na ekspedycję Gaszerbrum '83. W niektórych beczkach wyprawowych była też whisky. Normalna procedura wyglądała tak: po przybyciu na granicę hinduską trzeba było rozładować ciężarówki, przejść przez indyjską kontrolę celną, pokonać pas ziemi niczyjej, przeładować bagaż do pakistańskich aut i w końcu przejechać przez pakistańską odprawę graniczną.

Tym razem było jednak inaczej. Hinduscy celnicy byli podejrzliwi i wzięli się za Polaków. Kazali rozładować ciężarówki i otwierali każdy bęben wyprawowy. Wojtek, mocniejszy niż inni w angielskim, zaczął protestować: „Człowieku, czego ty szukasz? Przecież my opuszczamy wasz kraj, a nie wjeżdżamy do niego...". Celnik odburknął, że takie jest polecenie. Zerknął tylko do każdego bębna i zameldował dowódcy, że wszystko wydaje się w porządku. Szef posądził go o partactwo i zaczęli razem sprawdzać wszystko jeszcze raz.

Przeglądali beczkę po beczce, od początku do końca. Wojtek i Jurek poczuli się niepewnie. Whisky nie wchodziła do niezbędnego zestawu żywnościowego, a już na pewno nie należała do ekwipunku wspinaczkowego. A mieli jej dużo. Jurek krążył nerwowo, w końcu usiadł w skąpym cieniu półciężarówki i zrezygnowany zapalił papierosa, przewidując katastrofę.

Słyszał, jak Wojtek z furią krzyczy:

– Czego wy, do cholery, szukacie?! – Jurek słyszał gniew i strach w głosie kolegi. – Chcesz wszystko obejrzeć? Dobrze, proszę bardzo.

Zostały jeszcze trzy bębny. W każdym po kilka butelek „Jasia Wędrowniczka". Wojtek pakował je osobiście, był bowiem przewrażliwiony na tym punkcie i miał własne patenty. Teraz złapał jeden z trefnych bębnów i zaczął wyrzucać zawartość razem

z whisky zawiniętą w śpiwór. Butelki jakimś cudem nie wypadły ze śpiwora. Blef się udał. Celnicy doszli do wniosku, że tracą czas. Jeśli ten zwariowany wspinacz sam rozwala pakunki, to pewnie nie ma nic do ukrycia. Skończyli przeszukiwać ładunek i pozwolili wspinaczom odjechać.

Wojtek i Jurek wyplątali się z indyjskiej kontroli i przenieśli się na granicę pakistańską.

– Czy macie alkohol? – padło rutynowe pytanie.

– Nie, proszę pana. Nie mamy.

Sprytna para odebrała podstemplowane dokumenty i odjechała w pośpiechu. Wizja azjatyckiego więzienia się oddaliła, a jej miejsce zajęły połyskujące górskie zbocza.

Jednak ich problemy jeszcze się nie skończyły. W Islamabadzie mieli dwa ważne zadania: sprzedać whisky za sumę wystarczającą na sfinansowanie dojścia do bazy oraz uzyskać zgodę na wspinaczkę na Gaszerbrum I (inaczej Hidden Peak) i zapłacić za nią.

Sprzedanie whisky było łatwe – Wojtek wiedział, gdzie i jak to zrobić. Ich partyzanckie działania miały w sobie dużo czaru. Ciemność poranka, rozświetlona małymi lampami, kieliszek czy dwa wódki podczas przeglądania bębnów, by wybrać, co tego dnia sprzedadzą na rynku. Wznosili toasty ze śmiechem, czuli się jak piraci na pełnym morzu.

Potem poszli do ministerstwa turystyki po zgodę na wspinaczkę. To była osobliwa rozmowa i prawie nie dotyczyła Gaszerbrumów. Urzędnika głównie interesował Broad Peak. Był zrzędliwy – może z powodu postu, bo trwał właśnie ramadan, a może przez nieznośny upał.

– Panowie, jak to było w ubiegłym roku z tym Broad Peakiem? Byliście na szczycie czy nie?

– Na jakim szczycie? – Polacy usiłowali zbagatelizować sprawę.

W 1982 roku Jurek i Wojtek doszli na szczyt, ale bez zezwolenia. Nie zgłosili tego. Wanda zgłosiła wejście po swojej ekspedycji i ponoć załagodziła sytuację. Chyba jednak nie do końca. A może problemy były pokłosiem książki Messnera o jego wyprawie na Broad Peak? Urzędnik upierał się, że dokumenty związane z wejściem na Broad Peak są niekompletne, więc Jurek i Wojtek powinni je uzupełnić – natychmiast.

Wojtek wił się jak piskorz, przekonywał i wyjaśniał, zaś ostatecznie spłodził ledwie czytelny, bardzo ogólnikowy raport. Po kilku godzinach ostrożnego ściemniania wyszedł, triumfując. Mieli pozwolenie na jeden z Gaszerbrumów.

Kiedy tylko osiągnęli bazę, zaczęli realizować drugi etap planu: posłali list z prośbą o zgodę na Gaszerbrum II. To była ich strategia. Od początku udawali roztargnionych, by nie płacić za obie zgody z góry. Musieli najpierw upłynnić pozostałe towary. Liczyli na to, że podanie dotrze do ministerstwa turystyki, gdy będą już na szczycie, i urzędnicy wyrażą zgodę. To była skomplikowana żonglerka: whisky, celnicy, czarny rynek, ministerstwo turystyki i manewr z zapomnianym zezwoleniem. Wszystko po to, by nie stracić płynności finansowej.

Po wszystkich swoich ryzykownych kombinacjach z władzami kilku krajów z ulgą wrócili do wspinania.

Zrobili kilka aklimatyzacyjnych podejść, by rozprostować nogi i przewentylować płuca. Następnie pokonali całkowity trawers Gaszerbruma II, na który mieli zezwolenie. Czuli się gotowi, by zaatakować południowo-zachodnią ścianę Gaszerbruma I. Szwajcarska ekspedycja, która opuściła rejon, dała im dodatkowe trzysta kilogramów żywności (dwanaście bębnów).

Jurek był w siódmym niebie. Kochał gotować i jeść. Gdy śnieżne dni ciągnęły się bardzo wolno, eksperymentował z nowymi

produktami. Sardynki w serowym sosie, czekoladowe fondue, bekon z ziemniakami. Przedzierali się przez górę smakołyków. Coraz bardziej skomplikowane i dziwne dania stawały się najważniejszym punktem każdego dnia. Gdy nie jedli, rozmawiali o przyszłych, wspólnych ekspedycjach, o rodzinie, o polityce i oczywiście o jedzeniu.

Jurek mógł gadać o potrawach bez końca: o ulubionym rodzaju śledzi, o smakowitej golonce i najsmaczniejszych ze wszystkiego golonkach. Z każdym dniem ich ochota na konwersację opadała, aż zostało tylko jedzenie. Po dwóch tygodniach złej pogody, w czasie których kruki dostarczały im jedynej rozrywki, woleli pozostawać w swoich namiotach, by nie irytować się nawzajem.

Wojtek czytał. Jurek głównie spał. Wiedzieli, że na ścianie Gaszerbruma przybywa śniegu. Że to dla nich wielkie zagrożenie i pułapka.

Jurek śnił każdej nocy koszmary o przekraczaniu ogromnych śnieżnych kotłów, do których zjeżdżają lawiny. Budził się oblany zimnym potem. Myślał o domu. Po trzech tygodniach tych tortur zaczął tracić zainteresowanie miejscem i ścianą.

Nagle się wypogodziło. Mocny front wysokiego ciśnienia obiecywał kilka dni wytchnienia od śnieżyc.

Wypełzli z namiotów. Wpatrywali się w ścianę, w jeden jej punkt – ogromny, opuchły od śniegu, złowrogi kocioł. Przecięcie go byłoby samobójstwem.

Nagle zauważyli migotanie w najwyższym punkcie góry. Biel toczyła się po bieli. Kłębiła. Rosła. Dobiegł ich przytłumiony huk. Patrzyli zdumieni, jak ogromna lawina zjeżdża z góry. Choć po jej przejściu kocioł nie został kompletnie wyczyszczony ze śniegu, to było go dużo mniej. Spojrzeli na siebie i zrozumieli się bez słów. Jutro ruszają w górę.

Ale ich czas się kończył i zgodnie z planem za dwadzieścia cztery godziny mieli przybyć tragarze. Co robić? Byli doskonale zaaklimatyzowani, pogoda i góra wyglądały wyśmienicie. Wojtek wymyślił, że ukryją pieniądze i paszporty, a tragarzom narysują mapę góry ze strzałkami wskazującymi miejsce swojego pobytu.

Mieli nadzieję, że tragarze znajdą plan i zrozumieją, że muszą poczekać kilka dni, a to wystarczy wspinaczom, by wspiąć się na niezdobytą ścianę. Zostawili też tragarzom dużo jedzenia. Wystartowali przed godziną 3 rano. Z duszą na ramieniu musieli przejść przez ten piekielnie groźny śnieżny kocioł. Wojtek tak opisywał to doświadczenie:

„Wyłączyliśmy rozum i zagłębiliśmy się w niebezpieczeństwo, a dziesięć minut później wyszliśmy po drugiej stronie".[30]

Wspinali się przeszło dwa dni. Byli gotowi do zdobycia wierzchołka, gdy szczytowa bariera skalna zmusiła ich do odwrotu i rozbicia jeszcze jednego biwaku. Wtedy stała się rzecz straszna. Gdy zjeżdżali na linie, rak Wojtka zsunął mu się z buta i spadł. To był poważny problem.

Następnego ranka, mimo straty raka, zdecydowali się kontynuować wspinanie. Chwilę po starcie Wojtek usłyszał radosne przekleństwo Jurka. Znalazł raka! Rak spadł niedaleko i uwiązł w śniegu.

Kiedy osiągnęli południowe żebro, stanęli przed trudniejszym wyzwaniem. Powyżej ośmiu tysięcy metrów Wojtek zaczął majaczyć: zobaczył nieznanego mężczyznę z ciężkim plecakiem, który szedł w złym kierunku. Próbował z nim rozmawiać, ale obcy nie odpowiadał.

W końcu zniknął, a Wojtek z Jurkiem poszli dalej, osiągając cel o 19.30. Wojtek spojrzał na ogromne morze falujących szczytów Karakorum, czując nieuchwytne, ale doskonale znane

powinowactwo z całym wszechświatem. Odnalazł tam wewnętrzne ukojenie.

Jurek przypomniał mu, że dzień się jeszcze nie skończył – czekali na nich tragarze. Wspinacze zbiegli do nich z góry, a ci z godnością oświadczyli, że nie korzystali z pozostawionej im żywności. Dziwnym sposobem jednak ukryty depozyt z najlepszymi smakołykami znikł. Nie zmartwili się tym bardzo. Byli przecież na dole bezpieczni i mieli tragarzy.

Gdy wrócili do Islamabadu, złożyli raport z wyprawy w ministerstwie turystyki. Nie mieli żadnej informacji zwrotnej na temat drugiego zezwolenia, ale sądzili, że sprawa się rozwiąże, jeśli tylko za nie zapłacą. Mylili się. Urzędnicy byli rozsierdzeni, że Polacy wspięli się na dwa szczyty, choć zezwolenie mieli tylko na jeden. Jurek i Wojtek tłumaczyli to swoim roztrzepaniem i prosili o wybaczenie. Po dziesięciu dniach targowania się dostali w końcu wymagane dokumenty i zgodę na opuszczenie kraju. W Polsce czekały na nich pochwały i uznanie za niezwykłe osiągnięcie – dwie nowe drogi na dwóch szczytach, powyżej ośmiu tysięcy metrów, zrobione przez dwójkowy zespół w stylu alpejskim. Nierozstrzygnięta pozostała jedna mała kwestia płatności za drugi szczyt.

Jurek i Wojtek złożyli rachunek do Polskiego Związku Alpinizmu i byli dobrej myśli. Większość członków komisji zgodziła się, że opłata za zezwolenia była małą ceną za tak wielkie osiągnięcie polskich alpinistów. Tylko jeden członek komisji miał inny pogląd na tę sprawę i wciąż wracał do sprawy Gaszerbruma. Jurek i Wojtek obawiali się, mogą zostać uziemieni w Polsce.

Andrzej Zawada też miał problemy z rozliczeniem swojej ostatniej wyprawy. Urzędnicy wydawali się szczególnie wyczuleni na straty

sprzętowe, ponieważ większość namiotów, lin i reszty ekwipunku należała do PZA.

Jeśli dziesięć namiotów opuściło kraj, dziesięć powinno wrócić. Andrzej i inni starali się wytłumaczyć, że namioty spadały w szczeliny, były rwane przez wiatr, zasypywane. Ale te tłumaczenia nie wystarczyły biurokratom. Może słyszeli o przemycie. Być może myśleli, że namioty rzadziej kończyły w szczelinach, a częściej w sklepach w Katmandu, wystawiane za bardzo wysokie ceny!

Ostatecznie PZA zapłacił za zezwolenie i puścił Jurka i Wojtka, ograniczając się do ostrej nagany.[31]

* *
*

Dream team powrócił do Pakistanu w 1984 roku pod Broad Peak, tym razem ze zgodą. Tak przynajmniej myśleli polscy wspinacze. Pierwotny plan zakładał, że dołączą do szwajcarskiego zespołu, ale kiedy osiągnęli Islamabad, wynikł problem. Urzędnicy, być może pamiętając o grzechach z poprzednich lat, odmówili dopisania Polaków do szwajcarskich zezwoleń.

Szukając rozwiązania, natknęli się oni na Janusza Majera. Ten młody, mocno zarośnięty brunet, twardy wspinacz z Katowic, prowadził czteroosobowy polski zespół na Broad Peak, przenieśli się więc do niego. Wprawdzie szczyt mieli zaliczony (choć nielegalnie), ale tym razem chcieli spróbować trawersu wszystkich trzech wierzchołków przed wyruszeniem na Gaszerbrum IV, na który mieli zezwolenie. W zespole Janusza był Krzysztof Wielicki, słynny już po zimowym wejściu na Everest.

Cała baza była pełna gwiazd. Znajdował się tam zespół wysokogórskich filmowców – austriacki wspinacz Kurt Diemberger

i brytyjska alpinistka Julie Tullis. Byli legendarny Reinhold Messner oraz trzy najjaśniejsze polskie gwiazdy: Jurek, Wojtek i Krzysztof.

Jurek i Wojtek chcieli wejść na Broad Peak dziewiczą jeszcze południową granią, otwierając sobie drogę do skompletowania całego trawersu. Ich pierwszy rekonesans ujawnił trudności, więc wycofali się i spędzili kilka dni, debatując nad innymi drogami. Choć Jurek nie był zadowolony z tej decyzji, zgodził się z Wojtkiem, który chciał poprowadzić drogę północną ścianą na północny wierzchołek, następnie przejść wzdłuż grzbietu przez środkowy na główny, by na koniec zejść zachodnią ścianą.

Mieli tylko jeden problem, który nazywał się Wielicki.

Krzysztof okazał się cudownym wspinaczem. Był utalentowany, szybki, ambitny i zaradny, miał też więc wysokie mniemanie o sobie. Nie zadowalało go wejście normalną drogą na Broad Peak, a taki był cel polskiego zespołu, z którym przyjechał. Wojtek zrozumiał, że Krzysztof chce dołączyć do nich i wspólnie wykonać ten ambitny trawers, jednak wolał działać w zespole dwójkowym, a nie w trójkę. Sytuacja była patowa. Trzej wspinacze przyglądali się sobie.

Krzysztof miał smutne oczy o ciężkich powiekach, zwodniczo łagodny głos, głębokie poczucie ironii i humoru. Jego zmęczoną życiem twarz częściowo zakrywały niesforne wąsy. Żwawy, niespokojny, zawsze czymś zajęty, wulkan energii, biegał z jednego namiotu do drugiego.

Sam zauważył swój nerwowy nastrój: „Byłem niespokojny i nie mogłem znaleźć sobie miejsca w obozie". Wojtek był skoncentrowany na planie i jeśli nie robił nic konkretnego, to po cichu wycofywał się do namiotu, czytał, słuchał muzyki i pisał. Jurek gotował. Czasem razem przechadzali się po bazie, rozmawiali

o tym i owym, nie poruszając jednak problemu, czy trawersować we dwóch, czy we trzech.

W końcu Wojtek zapytał Krzysztofa:

– Co planujesz?

– Och, mam plan, nie martwcie się.

Ale jaki? Zakłopotanie i napięcie w grupie rosło.

W tym momencie Wojtka olśniło i zaproponował Krzysztofowi:

– Czemu nie wejdziesz „na szybko"? Nie mogę zaprosić cię do zespołu – przykro mi, ale wspinamy się we dwójkę – jednak ty możesz zrobić coś równie śmiałego. Przygotuj obozy, a potem wejdź w jeden dzień na górę.

W pierwszym momencie Krzysztof uznał ten plan za niemożliwy do zrealizowania, ale nie odrzucił go zupełnie. Pomyślał, że może warto spróbować. Martwiła go tylko jedna rzecz: omdlenia. Co zrobi, jeśli wejdzie zbyt szybko? Był zbudowany jak ptak, w osiemdziesięciu procentach z mięśni, kości i ścięgien, ale obawiał się, że ogromny wysiłek w bardzo rozrzedzonym powietrzu może spowodować utratę przytomności.

Minęły dwa tygodnie. Wojtek powtórzył propozycję.

– Mam swój własny plan – odparł Krzysztof. Następnego dnia wszedł do namiotu Wojtka i zakomunikował, że spróbuje wejść na szczyt w jeden dzień, tak jakby sam wpadł na ten pomysł.

Wojtek stłumił swoją pierwszą reakcję.

– Dobrze, to świetna myśl – wymamrotał pod nosem.

Gdy wyruszyli na ich wielki trawers, zapomnieli o wszystkich gierkach w bazie. Mieli ręce pełne roboty. Rozpoczęli prawdziwą przygodę, w zupełnie nieznanym miejscu.

Zaangażowanie było ogromne. Kiedy przeszli najtrudniejszą część wspinaczki na północny szczyt i zeszli na przełęcz pod szczytem

środkowym, nie mieli już możliwości odwrotu. Gdyby nadeszła burza, utknęliby w pułapce.

Tam, wysoko na grzbiecie, między dwoma szczytami, Wojtek dostąpił jednego z najbardziej mistycznych doświadczeń w całej swojej górskiej karierze. Biwakowali na wysokości około siedmiu tysięcy sześciuset metrów, było jeszcze dość wcześnie, około 15. Jurek chciał, by przeszli kilkaset metrów niżej, ale Wojtek był pewien, że będą mieli problem z postawieniem namiotu, nalegał więc na wczesny postój.

– Widok był cudowny, fantastyczny. Mogłeś zobaczyć absolutnie cały świat – opowiadał. – Wspominam to jak delirium. Chodziłem dookoła. Po prostu nie mogłem wejść do namiotu. To było fantastyczne doświadczenie rzadkiej jakości, głęboko duchowe. Oczywiście góry zawsze są piękne, ale tym razem było wyjątkowo cudnie.

Choć był z Jurkiem, nie podzielił się z nim tym duchowym doświadczeniem. Byli tak przyzwyczajeni do siebie, że nie czuli potrzeby rozmawiania. Bardziej praktyczny Jurek został w namiocie, przygotowując picie i jedzenie, a Wojtek błąkał się w estetycznej euforii. Z każdą zmianą światła pryzmatyczne właściwości lodu sprawiały, że odsłaniały się głębsze, ukryte dotąd odcienie piękna.

Wojtek starał się wyjaśnić tę intensywność doznań:

– Piękno to jakby laserowe połączenie z wyższym światem. Tego się nauczyłem właśnie pośrodku naszego trawersu, między dolnym a środkowym szczytem – mówił.

Następnego dnia, gdy wspinali się niekończącą, falistą granią do środkowego wierzchołka, wiatr stopniowo się wzmagał. Gdy przywarli do szczytu, pojawił się nowy problem – jak bezpiecznie zejść na przełęcz po drugiej stronie. Wiatr pędził z przerażającym

hukiem. Gdy opuszczali się na cienkich zjazdówkach, czuli się, jakby zjeżdżali do zimnego okrutnego piekła.

Główny szczyt zdobyli następnego dnia. Kiedy schodzili drogą klasyczną, po wielu dniach na ekstremalnych wysokościach i nieustannego narażenia na niebezpieczeństwo, Wojtek na chwilę stracił koncentrację. Trawersując nad drugim obozem wyprawy Janusza na sześć tysięcy czterysta metrów, natknął się na starą poręczówkę. Chwycił się jej na chwilę, by złapać równowagę. Lina pękła. Zaczął coraz szybciej ześlizgiwać się po zboczu pokrytym lodem. Jego raki i lodowy czekan ledwo rysowały twardą jak marmur powierzchnię.

Musiał zmobilizować wszystkie siły, by wyhamować i nie zostać wyrzuconym z uskoku. Po tym ocaleniu nie poczuł jednak szczególnej ulgi. Po prostu się udało.

Mimo wysokości, złej pogody i cudem unikniętej katastrofy Jurek i Wojtek zachowali dużo zimnej krwi.

Powietrzny trawers spowodował, że byli gotowi zaakceptować wszystko, czego góra i żywioły od nich wymagały, włącznie z najwyższym poświęceniem. Zrozumieli, jaki jest sens tej pięcioipółdniowej wspinaczki dziesięciokilometrową granią. Wiedzieli, że drogi takie jak ta, wymagające największego poświęcenia, motywują ich w najwyższym stopniu.

Gdy wrócili do bazy, wszyscy im gratulowali, sądząc, że wspinacze runą zmęczeni do namiotów.

Ale Jurek pomaszerował do namiotu kuchennego i zjadł ogromny gar spaghetti, który starczyłby dla całego obozu. Potem, zamiast iść spać, przyłączył się do poobiedniej partyjki kart, która przeciągnęła się do rana. Krzysztof kręcił głową z podziwem: „On był fizycznie niezniszczalny”.

* *
*

Gdy Jurek z Wojtkiem robili trawers, Krzysztof wszedł na Broad Peak w dwadzieścia dwie godziny i dziesięć minut. Było to światowy rekord wspinania na ośmiotysięczniki i pierwsze wejście w jeden dzień. Nikt nawet nie próbował czegoś podobnego na himalajskich gigantach. Ponad trzy tysiące metrów do góry i tyle samo w dół w niecałą dobę.

Wystartował chwilę po północy 14 lipca 1984 roku. Do malutkiego plecaka włożył: dodatkowe wełniane ubranie i kombinezon przeciwwiatrowy, płachtę NRC, dwa haki, jedną śrubę lodową, trzy taśmy asekuracyjne, aparat fotograficzny, jedną czołówkę, zapasową baterię, trochę jedzenia i dwa litry soku pomarańczowego.

Wyszedł z namiotu, poprawił czołówkę, ukląkł na jedno kolano i zamocował do buta ostry jak brzytwa rak, potem drugi. Naciągnął jednopalczaste rękawice na rękawice wewnętrzne, chwycił czekany i ruszył. Zamienił się w dobrze naoliwioną wspinaczkową maszynę. Księżyc w pełni oświetlał upiornie białe stoki. Zimne powietrze szczypało. Pomimo dynamicznego marszu Krzysztof marzł. Zaczął tracić czucie w stopach, dlatego zatrzymał się w obozie drugim ekspedycji Janusza, by wypić coś i poczekać na słońce.

Zniecierpliwiony i sfrustrowany tym, że stracił dwie godziny, wystrzelił w górę o świcie, gnając po zboczu. Szedł po śladach kolegów, którzy wcześniej byli wysoko w górach. O 16 osiągnął szczyt. Samotny, zatrzymał się na kilka minut, by uświadomić sobie, czego dokonał.

– Kiedy jesteś sam, twoje myśli biegną różnymi torami – mówił później. – Bardziej niż kiedykolwiek w całym życiu zacząłem tęsknić

za towarzystwem drugiego człowieka. Tam trzeba nauczyć się radzić sobie z samotnością.

Jego sprinterska wspinaczka nie była estetycznym przeżyciem, przypominała raczej wyczyn sportowy. Musiał dokonać go sam, bo nikt by za nim nie nadążył.

Zrobił kilka zdjęć, zebrał kilka kamieni i ruszył w dół. Minął kolegów i pędząc, osiągnął bazę o 22.30.

Zatrzymał się dopiero w namiocie. Cały drżał. Niespokojnie omiatał przestrzeń wzrokiem, jakby czegoś szukał. Wszystko było dokładnie takie samo jak w chwili, gdy opuścił bazę dwadzieścia dwie godziny i dziesięć minut wcześniej. Dziwne to. Nic się nie zmieniło z wyjątkiem rekordu, który ustanowił. Krzysztof udowodnił sobie, że może na chwilę oszukać ciało. Tak szybkie wejście nie dawało mu czasu na to, by się zorientować w sytuacji i zareagować na brak tlenu. Ale wiedział, że nie można tego robić bezmyślnie. Wystarczy przecież jakaś przerwa, opóźnienie w sprincie – mała kontuzja albo problem z wysokością – a może zginąć. Znał dobrze swoje ciało i słuchał go uważnie.

Przez następne dwa lata Wojtek i Krzysztof nie rozmawiali o Broad Peak. Wojtek miał żal do Krzysztofa w związku z jego decyzją, by wspiąć się w jeden dzień. Mówiąc wprost, chciał zostać doceniony za ten pomysł. Kilka lat później zdziwił się, słysząc wywiad z Krzysztofem. „Muszę powiedzieć, że to Wojtek wymyślił moje wbiegnięcie na Broad Peak w jeden dzień" – oświadczył Krzysztof w ogólnopolskim radiu.

Wojtek ucieszył się, złapał za telefon i zadzwonił do Wielickiego. Podziękował mu za to, co powiedział, i za to, że w ten sposób zasypał rów niechęci między nimi.

Był świadom do bólu, że jednym z największych wyzwań na wyprawie wspinaczkowej jest mądre kierowanie ambicjami

i ego wspinaczy.

– Pod Broad Peak były wszystkie gwiazdy: Jurek, Krzysztof i ja – powiedział. – Byłem bardzo dumny z tego, że po wspinaczce pozostaliśmy przyjaciółmi, poradziliśmy sobie z naszymi ambicjami i zrobiliśmy coś interesującego.

Choć Krzysztof był krytykowany przez niektórych za swój wyścigowy styl, jego obrona była prosta: chciał wspinać się w górach w oryginalny sposób i to właśnie robił.

* *
*

Trawers Broad Peak był ostatnią wspólną wspinaczką Jurka i Wojtka. Zaraz potem napięcie między nimi zaczęło rosnąć, aż doszło do eksplozji. Przyglądali się zachodniej ścianie Gaszerbruma IV przez kilka lat. Wielu ludzi uważało, że ta ogromna, stroma i technicznie trudna ściana jest nieosiągalna dla dwuosobowego zespołu. Wojtek przekonał Jurka, że da się tam poprowadzić drogę, a kiedy Jurek dał mu się przekonać, nie chciał już odpuścić. Jest wiele sprzecznych wersji przebiegu awantury między nimi. Część wspinaczy mówiła, że pogoda się pogorszyła, inni, że była dobra. Część uważała, że Wojtek bał się tej ściany, inni sądzili, że Jurek stracił zainteresowanie Gaszerbrumem IV, bo nie wznosił się on ponad osiem tysięcy metrów.

W czasie tej dyskusji, kiedy padło wiele mocnych słów, Jurek powiedział Wojtkowi, że chciałby wejść na wszystkie ośmiotysięczniki. Dzielił ten pomysł z Reinholdem Messnerem. Wojtek w tym momencie stracił szacunek dla aspiracji Jurka.

W „Mountain" napisał, że zbieracze szczytów to „patologiczne ofiary bezrozumnej konsumpcji". Był zły, że Jurek wpadł w tę pułapkę. Wyzłośliwiał się nawet: „Jestem pewien, że pewnego dnia

jakiś szalony chłopak zrobi wszystkie ośmiotysięczniki w rok. Potrzeba tylko helikoptera i farta do pogody. Spójrzcie, idioci, jakie to proste".

Wojtek sam udowodnił, że to możliwe, w 1990 roku, gdy ze Szwajcarami Erhardem Loretanem i Jeanem Troilletem w zaledwie sześć dni wspiął się nowymi drogami na Czo Oju i główny wierzchołek Sziszapangmy. Miał więc teoretycznie jeszcze trzysta pięćdziesiąt dziewięć dni na osiągnięcie pozostałych dwunastu ośmiotysięczników. Przyznał, że swoje komentarze pisał w żartobliwym tonie, ale teoretycznie było to możliwe.

Wojtek próbował spojrzeć z dystansu na przyczyny swojego bolesnego rozstania z Jurkiem. „W 1984 roku Jurek i ja byliśmy trochę sobą zmęczeni. Nadal mieliśmy dobre relacje, ale główny problem był prosty. On ścigał się z Messnerem na ośmiotysięczniki".

Jednak to nie ten wyścig niepokoił Wojtka najbardziej, lecz coś poważniejszego. Jurek często mówił, że wspinaczka to sport, więc musisz udowodnić, że jesteś najlepszy. Trudno się dziwić – Jurek w młodości był ciężarowcem.

Wojtkowi współzawodnictwo, przynajmniej w górach, było zupełnie obce i wstrętne. Udowadnianie przewagi było dla niego równoznaczne z utratą człowieczeństwa, bo we wspinaczce wydawało się nieuchronnie prowadzić do cierpienia. Nie fizycznego, z którym umiał sobie dobrze radzić, ale duchowego i umysłowego. Jego zdaniem wybujałe ego i ambicje zawsze prowadziły do cierpienia. Wspinaczka pomagała mu uwolnić się od przerostu ambicji.

Wojtka motywowała, jak to określał, „klasyczna opozycja instynktu samozachowawczego i potrzeby rzucenia wyzwania własnej śmiertelności". Dla niego na pełnej i wyjątkowej drodze życia przeplatały się elementy sportu, sztuki i mistyki. Sukces albo

porażka mniej były zależne od brutalnej siły, a bardziej od natchnienia. Okiełznanie inspiracji stanowiło wyzwanie. „Inspiracja pojawia się i znika jak chęć, aby zatańczyć, i zdaje się tak tajemnicza jak fenomen życia". Porównał kolekcjonowanie szczytów do bluźnierczego materializmu, gdzie wspinacz musi raczej posiąść góry, niż zaakceptować ich tajemnicę i zostać przez nie zaakceptowany.

Dwaj wspinacze ostatecznie zrozumieli, że się różnią. Jurek chciał zdobywać ośmiotysięczniki. Wojtek wolał wytyczać interesujące drogi. Wojtek przyznał, że Jurek był przynajmniej absolutnie szczery, ujawniając swoje ambicje. Zastanawiał się nawet, czy jego intencje nie były jaśniejsze niż jego własne, gdyż on nieustannie starał się zrozumieć i opisać swoją motywację.

Były to interesujące rozważania, lecz zażarta bitwa między dwoma gwiazdami doprowadziła do ich ostatecznego rozstania. Już nigdy nie wspięli się w dwuosobowym zespole. Choć pozostali przyjaciółmi, Wojtek tak spuentował tę sytuację: „Nasza wspinaczkowa przyjaźń była jak rozbite małżeństwo. Przestaliśmy się sobie wydawać atrakcyjni".

* *
*

Po kłótni o Gaszerbrum IV opuścili rejon wspinaczki różnymi drogami. Pełen gniewnej energii Jurek wszedł na dziewiczy, mierzący 6781 metrów Biarchedi. Następnie poszedł w kierunku rzadko uczęszczanej przełęczy Maszerbrum La. Kucharz wyprawy zapewnił go, że przełęcz jest dostępna, ale radził, by na wszelki wypadek wziął dziesięć metrów liny. Po kluczeniu w labiryncie szczelin w górnej części lodowca – bardzo niebezpiecznych dla samotnego człowieka – Jurek zobaczył łąki u jego podnóża. Między

nim a miękkim dywanem zieleni piętrzyła się jednak lodowa ściana. Setki bloków wielkości domów opierały się i nakładały na siebie, tworząc chaotyczne rumowisko. Szedł przez nie ostrożnie, aż dotarł do ostatniego bloku.

Wkręcił śrubę lodową, wyjął linę, zamocował ją i zrzucił do ostatniego zjazdu. Brakowało pięciu metrów do lodowca poniżej. Zdjął plecak i zrzucił go na lodowiec. Wpiął przyrząd zjazdowy i pomału zaczął się opuszczać na jednej żyle.

Może się rozciągnie?

Z czekanem w jednym ręku zjeżdżał w dół. Patrząc przez ramię, wyginał się, by zobaczyć, gdzie jest bliżej do dna lodowca. Nagle – koniec liny. Ześliznął się i poleciał w dół. Walnął o lód, wbił czekan i zatrzymał się. Miał szczęście – upadł na solidny kawałek lodu, a nie na niepewny śnieżny most. Otrząsnął się, złapał plecak i pobiegł na łąkę, gdzie usiadł na trawie, zadowolony, że żyje. Przygoda na Maszerbrum La dała mu tak wiele satysfakcji jak trawersowanie Broad Peak. Nikogo nie przekonywał, z nikim nie negocjował. Każda decyzja należała tylko do niego. Westchnął, odetchnął głęboko bogatym w tlen powietrzem i zasnął zadowolony.

* *
*

Jurek długo smakował doświadczenia z Maszerbrum La. Wojtek po powrocie do kraju stał się osobliwą postacią w polskim świecie wspinaczkowym. Choć jego nazwisko wciąż nie było szeroko znane wśród niewspinających się rodaków, reszta świata uważała go za najlepszego alpinistę w Polsce, a być może nawet na świecie.

Zmienił charakter himalajskiej wspinaczki, udowadniając, że możliwe jest wspinanie się trudnymi drogami, na wielkich

ścianach i w małych zespołach. Do jego dokonań należy zaliczenie trzynastu wielkich ścian w Himalajach, z czego sześć miało ponad osiem tysięcy metrów.

Chociaż Wojtek był raczej nieznany szerszej publiczności, niemal każdy polski alpinista miał na jego temat jakąś opinię. Leszek Cichy, partner Wielickiego w zimowym ataku szczytowym na Everest, pisał o Wojtku Kurtyce jako o największej osobowości w polskim wspinaniu skalnym: „To człowiek, który tworzył aurę mistycyzmu wokół gór". Niezwykle praktyczny Krzysztof tak nakreślił sylwetkę Wojtka: „Nie był tak bardzo napalony jak ja".

Inny wspinacz zauważył, że Wojtek jest trochę inteligentniejszy niż reszta. Wielu opisywało go jako człowieka enigmatycznego, który starał się unikać ryzyka podczas wspinaczki na najtrudniejsze himalajskie ściany. Według Messnera Wojtek był „inteligentny, rozsądny i ludzki". Wszystkie te opinie były prawdziwe i czyniły z Wojtka człowieka jedynego w swoim rodzaju, skomplikowanego intelektualnie i emocjonalnie, który nawet podczas odpoczynku przetwarzał w głowie ogromne ilości informacji i pomysłów.

Po każdej wielkiej wspinaczkowej przygodzie spojrzenie Wojtka na życie codzienne całkowicie się zmieniało. Góry były dla niego jak ogromna miotła, która wymiata wszelkie śmieci, wszystkie drobiazgi i stresy związane z codziennym życiem.

Wojtek zawsze wracał z gór odmieniony, oczyszczony – mówiąc językiem zgodnym z jego informatycznym wykształceniem, zresetowany. Podobne doświadczenia stały się udziałem norweskiego odkrywcy Borge Ouslanda, który tak wyjaśnił swoje zamiłowanie do solowych ekspedycji w polarne regiony: „Idę tam, ponieważ mnie obnażają, staję się jak zwierz i odnajduję swoje prawdziwe oblicze".

Po każdej ekspedycji Wojtek zdawał się bardziej otwarty na piękno i wsłuchany w świat. Łatwiej akceptował negatywne aspekty życia, takie jak stawanie się słabszym, starszym, chorym. Ale taki stan nie trwa wiecznie i w końcu potrzebował kolejnej przygody, by oczyścić się i wzmocnić nadwątlonego ducha. Starał się odnaleźć podobne oczyszczające doznania w ogrodnictwie, życiu rodzinnym czy wypoczynku na łonie natury, lecz to przede wszystkim wspinanie, siła i moc, którą odczuwał w wysokich górach, dawały mu mistyczne przeżycia, których tak bardzo pożądał. Pewnie nie nazwałby tej siły Bogiem, gdyż nie był człowiekiem religijnym – bliżej mu było do idei animistycznych.

Dzięki wspinaniu odkrył najbardziej proste i podstawowe prawdy o sobie: kim jest, czym jest i dokąd zmierza. Zrozumienie siebie zmieniło jego wizję życia tak fundamentalnie, że wyjawił ją podczas prezentacji w Katowicach na festiwalu filmowym w 1988 roku i opisał w kilku czasopismach. Nazwał ją „Ścieżką Góry".

Ideę ścieżki wziął z filozofii, religii i tradycji Wschodu, buddyjskiej drogi środka i samurajskiej drogi miecza. Czerpał pełnymi garściami z drogi samuraja, dostrzegając, że ma ona wiele wspólnych elementów ze wspinaniem. Konfrontacja ze śmiercią, wymóg odwagi, dążenie do psychicznej i fizycznej doskonałości albo pojęcie stylu i poczucie honoru. [32]

Była to droga życia definiowana przez kodeks etyczny i system technicznych instrukcji rządzących praktyką dnia codziennego, odnoszących się do diety, medytacji i oddychania. Przez przestrzeganie tych wytycznych Ścieżka Góry mogła pomóc zaprowadzić na wyżyny mądrości, a nawet doskonałości. To alpinizm otworzył Wojtkowi drzwi do samodoskonalenia, które było kombinacją rozwoju fizycznego i duchowego. Cenił intensywności doświadczeń, które większość ludzi uznałaby

za negatywne – strach i niepokój, zmęczenie, rozpacz, głód i pragnienie. Po każdym dłuższym okresie przeżywania takich doznań przychodziło poczucie spokoju i pewności siebie, pewien rodzaj wyciszenia.

Górskie widoki były ważnym elementem tej ścieżki. Wojtek uważał, że koncentrując się na prawdzie natury, mógł nawet poczuć jej istotę. Przez „istotę" rozumiał różnorodność form w górach: skały, piarg, woda, lód. W trójwymiarowości górskiego pejzażu mógł w pełni docenić subtelność natury. Widok z równiny w przeciwieństwie do górskiego był dla niego tylko dwuwymiarowy. Lecz powroty z zawrotnych wysokości sprawiały, że doceniał cud natury – barwę zieleni. Wojtek jak wielu wspinaczy po zejściu z biologicznie pustych najwyższych miejsc na świecie podziwiał wszelkie oznaki życia.

Emocjonalne połączenie z naturą, które odczuwał, oglądając wspaniałe górskie krajobrazy, było najistotniejszą częścią Ścieżki Góry. Dla Wojtka bowiem w krajobrazie tkwiła jakaś moc, która wskazuje na istnienie ducha. „Ta imponująca siła wywołuje pragnienie, by być częścią tego ducha – pisał. – Doświadczenie górskiego krajobrazu dotyka najgłębszych pokładów naszej osobowości". [33]

* *
*

Gdy Wojtek i Jurek po wybraniu różnych dróg rozwoju oswajali się z rozpadem ich zespołu, Wanda miała własne kłopoty. W 1985 roku było jasne, że zostawiła serce w Himalajach, a nie w Austrii, przy mężu. Jego oryginalne zachowania zaczęły ją irytować. Jako zadeklarowany naturalista unikał wielu cywilizacyjnych udogodnień (takich jak choćby mydło) i pozwalał, by jego

zwierzęca menażeria buszowała po domu. Krytykował Wandę, że jest korumpowana przez sponsorów, i naciskał na nią, by była wspinaczem amatorem, a nie profesjonalnym himalaistą, z czym nie mogła się pogodzić.

Mieszkanie w Austrii było wygodne w czasie, gdy przechodziła kolejne operacje i rehabilitację nogi, ale teraz ją ograniczało. Czuła się zdrowa i mocna. Zastanawiała się nawet, czy nie czas na dzieci i rodzinne życie, ale w zaufaniu mówiła siostrze Ninie, że choć chciałaby zajść w ciążę, to na pewno nie teraz – może po kolejnej ekspedycji. Czasem myślała o tym, jak wyglądałoby jej życie, gdyby góry nią nie zawładnęły. Czy byłoby łatwiejsze, bardziej normalne?

Jej przyjaciółka Ewa próbowała wyobrazić sobie Wandę z dziećmi i uważała tę wizję za absurdalną: „Jej całe życie kręciło się wokół gór. Gdyby miała zacząć żyć normalnie, z pewnością by zwariowała".

Nina myślała jednak inaczej. Była pewna, że Wanda chce tego samego co większość kobiet – domu, męża, dzieci – ale rozumiała jej dylemat. Wanda nie mogła pozwolić sobie na rodzinę. Cena byłaby zbyt wysoka.

Helmut przyznał, że ich szybka decyzja o małżeństwie podjęta została pod presją sytuacji politycznej w Polsce. Po trzech latach samotnego małżeństwa gorzko oceniał Wandę: „Trzeba by mieć nie wiadomo ile tolerancji, by żyć z kimś takim jak Wanda. Była egoistką, zupełnie nieliczącą się z innymi, szukającą wokół siebie tylko wielbicieli, którzy wspieraliby ją bez zastrzeżeń i zapracowywaliby się dla niej na śmierć". [34] Żałował, że jego żonie brakuje emocjonalnej głębi. Uważał, że jest niezdolna do budowania silnych więzi z ludźmi. Wanda podjęła kroki rozwodowe, a on natychmiast zgodził się na rozwód.

Znów była samotna. Przeprowadziła się do Warszawy i zaczęła zarabiać prezentacjami i pisaniem o swoich wyprawach. Była w końcu profesjonalną alpinistką.

Do Pakistanu wróciła w 1985 roku. Pojechała pod Nanga Parbat, dziewiąty najwyższy szczyt świata i jeden z najtańszych. Wspinała się z trzema partnerkami z K2: Anną Czerwińską, Krystyną Palmowską i Dobrosławą Miodowicz-Wolf zwaną „Mrówką". Wszystkie prócz „Mrówki" weszły na szczyt. Dla postronnego obserwatora wejście na Nanga Parbat mogło się jawić jako przełomowe osiągnięcie kobiecego alpinizmu, lecz od środka wyglądało inaczej.

Był to czas, gdy zaczynała być widoczna rywalizacja między polskimi himalaistkami. Były mocne, ambitne, nastawione na sukces – miały przecież jeszcze tyle pierwszych wejść do zrobienia!

Na Nanga Parbat Wanda czuła się wykorzystywana przez partnerki. Narzekała na zbyt wiele obowiązków organizacyjnych, które zabierały jej energię potrzebną do wspinania.

Inne powody zmęczenia podawały jej koleżanki: kłopoty z nogą, wiek, szukanie sponsorów zabierające czas na trening. Była też ogólnie rozczarowana życiem osobistym. Krystyna wyznała, że Wanda nie wydawała się już tak mocna jak wcześniej. Ekspedycja na Nanga Parbat była ostatnią, podczas której ten pełen energii zespół czterech kobiet wspinał się razem. Po nim kolejne partnerstwo dokonało żywota.

CZĘŚĆ ÓSMA

Ten trzeci

Kim jest ten trzeci, który zawsze idzie obok ciebie?
Gdy liczę nas, jesteśmy tylko ty i ja
Lecz gdy spoglądam przed siebie w biel drogi
Zawsze ktoś jeszcze idzie obok ciebie.

Thomas Stearns Eliot, *„Ziemia jałowa”*
(tłum. Czesław Miłosz)

Gdy Jurek Kukuczka koncentrował się na wyścigu z Messnerem, Wojtek Kurtyka został sam na sam ze swoimi obsesjami. Jedną z nich była zachodnia ściana Gaszerbruma IV. Ta mierząca 2500 metrów zerwa zwana jest „świetlistą ścianą”, przez jej środek biegnie bowiem pasmo marmuru, które połyskuje w wieczornym świetle. Elegancka równa piramida lodu i skały zapowiadała trudną wspinaczkę na szczyt. Pięć wcześniejszych ekip próbujących wejścia na zachodniej ścianie zawróciło gdzieś w połowie.

Wojtek nauczył się tej ściany na pamięć. Odczytał jej słabości i pułapki. Uznał, że kluczem do niej jest ogromny kuluar na prawo od środka. Dziwiło go, że żadna z pięciu wypraw nie użyła go do wejścia. Choć był stromo nachylony, dawał bezpośredni dostęp do serca ściany. Kuluar zbierał lawiny, Wojtek czuł jednak, że przy dobrych warunkach można go szybko i bezpiecznie przejść, omijając

skalne bariery, które zatrzymały poprzednie zespoły. Przebieg akcji ścianowej rozpracowali jeszcze razem z Jurkiem, ale to Austriak Robert Schauer został partnerem Wojtka podczas tej jedenastodniowej, niezwykle trudnej wspinaczki.

Urodzony w Grazu w 1953 roku Robert rozpoczął himalajską karierę w 1974 roku od wejścia na Pumari Czhisz (7492 m). Potem zdobył Gaszerbrum I, poprowadził nową drogę na Nanga Parbat, wszedł na Everest, Makalu i Broad Peak oraz zimą na Eiger. Był więc wystarczająco doświadczony, by wejść na Gaszerbrum IV. Uznali z Wojtkiem, że mogą stworzyć dobry zespół. Chcieli wspinać się w trójkę, ale Austriak Georg Bachler wycofał się w ostatniej chwili, tłumacząc, że za dużo go z Robertem różni.

Robert i Wojtek oglądali ścianę z bazy. Z ulgą zauważyli, że z powodu długiej suszy zalega na niej stosunkowo mało śniegu. Dobra pogoda się utrzymywała. Nie mieli dostępu do prognoz, więc zaufali swemu nosowi.

Zapakowali do plecaków tylko linę, płachtę biwakową, śpiwór, kurtki, jedzenie i paliwo. W ten sposób, na lekko, mogli wspiąć się kuluarem szybko i bez asekuracji. Dopiero w połowie ściany, gdy osiągnęli stromą marmurową barierę, zaczęli się asekurować.

I tu pojawiły się problemy. Skalne płyty odbijały mlecznobiałe światło. Były okrutnie gładkie, pozbawione jakichkolwiek słabości i pęknięć. Nie mogli znaleźć miejsca na bezpieczne stanowisko asekuracyjne. To, które znalazł Wojtek, dawało raczej wsparcie psychiczne niż realne zabezpieczenie. Wiedzieli, że haki nie siedzą dobrze. Każdy krok w górę musiał więc być wyważony. Żadnych szybkich ruchów, koncentracja na zachowaniu równowagi. Ciągle w górę. Wojtek opisywał przerażający obraz: „Jak pięknie przerażająco długa lina fruwała w lufcie”.[35]

Zdawało się, że wpadli w śmiertelną pułapkę. Wojtek obawiał się wspinaczki w nieznane, ale nie był jeszcze gotowy na wstydliwy odwrót. Starał się zachować godność, idąc coraz wyżej, wbrew logice. Czuł radość i wdzięczność, gdy przy każdym ruchu udawało mu się pokonać strach, lecz zaraz potem zmuszał się, by dojść do kolejnej bariery i ponownie zmierzyć się z demonem lęku – sam siebie terroryzował.

Po sześciu dniach potwornie trudnej wspinaczki, zimna i niewygodnych biwaków na wąskich eksponowanych listwach osiągnęli ostatnie płyty wiodące na śnieżne pole przed szczytem. W nocy zaczął padać śnieg. Gromadził się na płachtach biwakowych, grożąc zepchnięciem ich z powietrznej grzędy.

Czekali cały dzień na przerwę w burzy śnieżnej, ale ta nie nadchodziła. Byli na siedmiu tysiącach ośmiuset metrach bez jedzenia i paliwa, a więc także bez picia. Nie mieli jak zjechać. Potrzebowaliby o wiele więcej niż dziesięć haków, by dojechać do podstawy masywnej ściany, na którą się wspięli. Mogli tylko czekać. Upłynął drugi dzień. Śnieg nadal padał. Wpadali w malignę, a niedotlenienie i odwodnienie pozbawiało ich sił. Obaj czuli złowieszczego ducha gór, który wydawał się stawiać im opór, rosnący z każdym dniem.

Robert był przekonany, że w ich zespole jest ktoś trzeci, i tego wyimaginowanego partnera winił za opóźnianie wspinaczki. Gdy przechodziły nad nimi lawiny, czuł, jak ten trzeci próbuje zepchnąć go z półki skalnej w przepaść. Wspinacze byli skrajnie niewyspani, głodni i nadzwyczaj zestresowani. Wielu alpinistów czuło w podobnej sytuacji obecność jakiejś trzeciej osoby. Halucynacja Roberta była o tyle nietypowa, że jego zjawa była wrogiem. Zwykle ten trzeci wydawał się pomocny i przyjacielski. Groźny kompan Roberta był zapewne sygnałem narastającego strachu.

Wojtek reagował inaczej. Przeprowadzał na sobie dziwne eksperymenty: szczypał się po udzie, by sprawdzić, czy nadal czuje ból. Półprzytomny myślał, że to udo – kawałek żywego ciała – za kilka dni stać się może bryłką lodu. W ten sposób przygotowywał się psychicznie do faktu, że niebawem zamieni się zapewne w martwy lodowy blok. Jak śpiewał Johnny Cash: „Zraniłem się dzisiaj, by zobaczyć, czy jeszcze coś czuję”.[36] Ale Wojtek się nie poddawał. Załamanie się w tej sytuacji oznaczałoby skazanie się na śmierć. Podobnie jak bohater *Jesus Christ Superstar* Wojtek przygotowywał się do śmierci, ale jeszcze się na nią nie zdecydował. A to wielka różnica. Drżąc na półce, rozważali różne możliwości. Kiedy Wojtek powiedział, że mogą się wycofać ze ściany, duch Roberta upadł i jego wiara w partnera zaczęła się chwiać.

Do tej pory czerpał siłę z Wojtka, który był rozważny i praktyczny. Czyżby po przejściu przez cały ten przerażający teren tracił kontakt z rzeczywistością? Robertowi przestało zależeć na wejściu na szczyt, ale wiedział, że odwrót też nie wchodzi w grę. Musieli dosięgnąć grani. Myślenie Wojtka zaczęło skręcać w niebezpiecznym kierunku. Często zastanawiał się nad procesem umierania i uważał, że najważniejsze jest, by przeżyć go w pełni świadomie.

To, że jego egzystencja teraz się kończy, było tak oczywiste, że zastanawianie się nad tym nie miało sensu. Ważniejsze było zrozumienie cudu ulatującego życia.

Gdy tak rozmyślał nad realnością końca, martwił się też o Roberta. Niemal święte doświadczenie bliskości śmierci było przerażające, lecz zarazem ważne. Gdyby Robert był nieświadomy tego, jak doniosła jest to chwila, popełniłby coś w rodzaju profanacji. Wojtek zastanawiał się, czy podzielić się z nim tymi

przemyśleniami. Zaczął ostrożnie, łamiącym się, zachrypłym od zmęczenia i zimna głosem.

– Robert, chciałbym...

Robert zrozumiał, co Wojtek chce powiedzieć, i przerwał mu cicho, ale zdecydowanie.

– Tak, wiem, co masz na myśli. Jestem gotów. Nie musisz się martwić.

W nocy temperatura spadła. Niebo się oczyściło. Następnego ranka, gdy słońce zaczęło ogrzewać ich zmarznięte ciała, sprawdzali, w jakim stanie są ich kończyny. Rozciągali palce, bolące ramiona i zesztywniałe nogi, próbowali poruszać palcami u stóp w stwardniałych na kamień butach. Wypełzli ze swoich śnieżnych trumien i zaczęli przedzierać się przez głęboki do pasa śnieg. Zabrali ze sobą jedzenie i paliwo na maksymalnie pięć dni, a to był już ich ósmy biwak.

Jak jednak rzekł kiedyś pewien twardy Brytyjczyk Doug Scott: „Najedzony nigdy nie znajdziesz oświecenia”.[37]

Gdy osiągnęli późnym popołudniem grań szczytową, nie dyskutowali – decyzja była oczywista. Mimo że byli osłabieni i dręczyły ich halucynacje, ich osąd był wyjątkowo jasny. Patrzyli na pozornie łatwy trawers na szczyt znajdujący się tylko dwadzieścia pięć metrów wyżej, ale nie poszli nim, lecz zaczęli zjazd dziewiczą północno-zachodnią granią. Gdy tylko ruszyli w dół, uczucia, które nękały ich całymi dniami, odpłynęły zastąpione przez urojone stworzenia i cudowne miraże.

Każdy krok w głębokim śniegu wymagał niezwykłego wysiłku. Ruszyć obolałym biodrem, podnieść nogę, pchnąć ścianę bieli, posunąć się o kilka centymetrów, opuścić nogę. Spróbować zdobyć przewagę nad grawitacją ciągnącą nieubłaganie w dół. Robert zatrzymał się, dysząc, wsparty na lodowym czekanie.

Spojrzał w górę, zobaczył krążącego nad nim kruka i wpatrywał się w niego jak urzeczony, wyobrażając sobie siebie jako tego ptaka szybującego w powietrzu bez wysiłku i patrzącego w dół na ledwo żywy wrak człowieka uczepionego góry.

Po jakimś czasie, posuwając się granią, poczuł, że ten trzeci wrócił. Opadł na śnieg, zasłonił oczy przed mocnym światłem.

Wojtek przemówił:

– Robert, chciałbym ci coś powiedzieć, coś bardzo dziwnego.

Robert zatrzymał się i oparł ciężko na czekanie.

– Wiem, o czym mówisz – wydyszał. – Czujesz go, tę trzecią osobę.

– Tak. Ty także?

W tym czasie wydawało im się, że trzecia osoba jest pełna współczucia i obaj wspinacze poczuli, że ich szansa na przeżycie ogromnie wzrosła.

Halucynacje Roberta przybrały przyjemną formę. Znalazł się w wielkiej masie ludzi, którzy emanowali ciepłem. Zszedł na zatłoczoną ulicę i wstąpił do supermarketu, gdzie próbował najsmaczniejszych kiełbas, jakie kiedykolwiek jadł.

Równie szybko przeniósł się do ekskluzywnej restauracji w rodzinnym Grazu, jadł soczystą pieczeń wieprzową i wyśmienite chrupiące bułeczki w maśle. Jadł aż do bólu brzucha i wtedy ogarnęła go senność.

Wizje te sprawiły, że poczuł się znakomicie i zrozumiał, że nie ma się czego bać. Wojtek przekrzywił głowę i starał się wyraźniej usłyszeć dochodzące z oddali dźwięki, które brzmiały jak znana piosenka Barbry Streisand. Zatrzymał się i zdumiony potrząsnął głową. Muzyka ucichła.

Wyprostował się, podniósł czekan i kontynuował wędrówkę w dół. Muzyka wróciła, wyraźnie słyszał melodię i rytm. Znów się zatrzymał i znów nastała cisza. Zafascynowany i zaciekawiony

na zmianę ruszał i stawał, zastanawiając się, skąd płynie dźwięk. Doszedł do wniosku, że to nie mogą być halucynacje, bo przecież wówczas słyszałby muzykę przez cały czas i nie milkłaby, kiedy się zatrzymywał. Zastanawiał się, czy to nie dźwięk liny sunącej po szorstkiej powierzchni śniegu tworzy muzykę, której kroki nadają rytm. Kiedy jednak zszedł niżej, zjawisko ustało.

Dotarłszy do obozu, wspinacze osunęli się z nóg. Wojtek nie mógł przestać myśleć o piosence Streisand i próbował wyobrazić sobie, co się z nim działo. Doszedł do wniosku, że były to dźwięki psującej się ludzkiej maszynerii[38] i że niektóre zakątki mózgu uruchamiają się tylko w sytuacjach ekstremalnych. Himalajska wspinaczka dała mu dostęp do tych sekretnych miejsc. Był to jeszcze jeden prezent, który podarowała mu jego pasja.

* *
*

Przez lata Wojtek nie mógł sobie wybaczyć, że nie osiągnęli szczytu Gaszerbruma IV. Z czasem jednak zaakceptował porażkę, a nawet poczuł wdzięczność do losu.

– Są takie przedsięwzięcia, które trzeba przerwać tuż przed końcem, bo jest się zbyt słabym. Dzięki temu są jeszcze piękniejsze – powiedział. Zrozumiał, że porażka może z biegiem czasu zmienić się w sukces. Życie ma wiele zwrotów, a niektóre z nich prowadzą w dół.

Słabość, choroba, utrata bliskich, starzenie się... Doznane porażki, które przeżywa się w pokorze, mogą przygotować człowieka na nieuchronne załamania.

Wojtek twierdził, że największą korzyścią, którą odniósł ze wspinaczki na Gaszerbrum IV, było zrozumienie śmierci. Podczas godzin zadumy, której siłą rzeczy oddawał się na biwaku, zachował

poczucie spokoju i godność. Przygotowało go to na resztę życia. Dni grozy prawie na pewno miały wpływ na jego przyszły styl wspinaczki i odporność na ryzyko: za każdym razem wykazywał czujność, czego nie można było powiedzieć o jego partnerach wspinaczkowych.

* *
*

Międzynarodowe środowisko himalaistów nazwało ich wyczyn wspinaczką wieku. Wojtek był bardziej sceptyczny i używał innych określeń: „Wielka radość tworzenia", „doskonała pułapka", „złuda", „cierń". Szydził ze wzniosłego określenia używanego przez innych, mówiąc: „Jaki sens ma ogłaszanie wiersza wieku? Czy możesz wybrać kobietę wieku?".

„Czy ktokolwiek powtórzy Gaszerbrum IV, by potwierdzić nasze iluzje?" – pytał.[39] Nie zrobił tego nikt aż do 1995 roku, kiedy to koreański zespół oblegał ścianę, ale na zupełnie innej drodze. Nawet dziś wielu uznaje, że choć dużo wejść dorównało temu z 1985 roku, żadnego nie wykonano lepiej.

Ogromny podziw społeczności wspinaczy nie był tylko czczym zachwytem. Wyczyn Roberta i Wojtka określił nowe kryteria oceny wspinaczki. Szczyty przestały być najważniejsze, zaczęły się natomiast liczyć wyjątkowe cele i styl.

Messner także nazwał wspinaczkę na Gaszerbrum IV wyśmienitą. Doug Scott utrzymywał, że wejście odbyło się w nieskazitelnym alpejskim stylu, a wspinacze pokonali najbardziej trudne technicznie skały i lody, jakie można spotkać na tej wysokości. Powszechna akceptacja sprawiła, że Wojtek uznał swoją wspinaczkę za „dzieło skończone", znak, że alpinizm stał się bardziej sztuką niż sportem.

– Tylko w sztuce to, czego brakuje, określa znaczenie dzieła – powiedział.

Mimo ich spektakularnego dokonania Robert i Wojtek nigdy więcej nie wspinali się razem. Różnice w relacjach ze wspinaczki spowodowały nawet, że na jakiś czas popadli ze sobą w konflikt. Niestety, więź, jaka między nimi powstała, gdy przygotowywali się na wspólną śmierć wysoko na Lśniącej Ścianie, nie wytrzymała presji niższych wysokości.

* *
*

Wojtek wszedł na duchowe wyżyny i stał się niezwykłym wizjonerem, lecz podobnie jak miało to miejsce w wypadku wielu alpinistów, jego pasja wygrała konfrontację z życiem osobistym. Krótko po powrocie z Gaszerbruma IV żona Ewa poprosiła go o rozwód. Choć żyli razem w Krakowie przez prawie czternaście lat, czuła się coraz bardziej zmęczona jego ciągłą nieobecnością. Czuła się samotna. Była wyczerpana jego obsesjami.

– Jeśli budzisz się ze swoimi wspinaczkowymi marzeniami w środku nocy, to nie jest to do zaakceptowania przez twojego partnera – wyjaśniał Wojtek ze smutnym uśmiechem.

Jego problem nie ograniczał się do nocnych marzeń. Za dnia zdarzało się, że gdy fantazjował o jakiejś wspinaczce lub drodze, na jego dłoniach pojawiały się drobne krople potu. Nazywał ten efekt „magiczną pompką", która wypychała krople płynu z jego ciała. – Nienawidzę magicznej pompki, ponieważ złamała moje pierwsze małżeństwo – opowiadał rozgoryczony.

Po rozstaniu z Ewą w życiu Wojtka miały miejsce kolejne rozstania. Jego małżeństwo nie było oczywiście jedynym, które ucierpiało przez to, że jedno z małżonków oddawało się

alpinizmowi. Trudno w takich okolicznościach utrzymać ustabilizowane życie rodzinne.

Wojtek wierzył, że aby uprawiać prawdziwą wspinaczkę, trzeba oddać się jej całym sercem, znieść wiele cierpienia i mieć wielką motywację. Porównywał ją do sztuki, podkreślając, że bycie poważnym poetą czy muzykiem także z pewnością odbija się na związku. Bagatelizował jednak fakt, że uprawianie wspinaczki wzmaga napięcie w małżeństwie, a także wiąże się z niebezpieczeństwem śmierci.

Nie tylko nieobecności i wspinaczkowe obsesje Wojtka tworzyły przepaść między nim i jego partnerkami. Kiedy wracał z gór, był inną osobą, całkowicie zrelaksowaną. Ale ta zmiana była bardziej fundamentalna. Jego wewnętrzny spokój był tak wydestylowany przez górski kontekst, że w codziennym życiu nie mógłby go osiągnąć. Stąd brał się dystans między nim i innymi.

– Kiedy jesteś wyciszony, kiedy panuje w tobie prawdziwy spokój, inaczej patrzysz na świat – wyjaśniał. – Jesteś wolny od trosk. Potrafisz zaakceptować to, że umrzesz pewnego dnia.

Słoweński wspinacz Tomaž Humar też wierzył, że każda wspinaczka odmienia cię na najgłębszym poziomie. Nazwał to „wzrastaniem w świadomość" – jego doświadczenia także były bardzo osobiste. Austriacki wspinacz i filmowiec Kurt Diemberger mówił zaś o „uczuciu zadowolenia, którego nigdy nie opiszesz słowami, a które widać w oczach".

I kiedy kobiety zaglądały Wojtkowi w oczy, wiedziały, że przynajmniej na jakiś czas jest dla nich stracony. Wojtek nie potrzebował sukcesu, by osiągnąć podwyższony poziom spokoju. Wyliczał przypadki – nie wyłączając czterech prób wejścia na K2 – kiedy pomimo tego, że był całkowicie pokonany, nauczył się doceniać małe wyraźne przejawy piękna wokół siebie,

a intensywność przeżyć, których wówczas doznawał, dochodziła prawie do granicy bólu.

Czasami piękno emanowało z natury, innym razem z idei. Greg Child wspominał pewien wieczór w bazie pod K2 w 1987 roku po wielu tygodniach silnych wiatrów i wywołanych nimi frustracji. Zaszedł do namiotu Wojtka, który lśnił w blasku samotnej świecy. Zamiast wściekać się na pecha, Wojtek spokojnie czytał coś po francusku, szlifując język i delektując się samotnością.

Uważał ciągłe sukcesy za niebezpieczne, nie zostawiały bowiem czasu na radowanie się pięknem spokojnego samotnego wieczoru. Zbyt wielu polskich wspinaczy – i nie tylko polskich – wierzyło, że miarą ich sukcesu jest ich ostatnia wspinaczka, a ich wartość jako ludzi opiera się na ciągłym odnoszeniu zwycięstw.

Uwierzyli – lub ulegli powszechnemu mniemaniu – że sukces wart jest każdego ryzyka, łącznie z kontuzją i śmiercią. W rezultacie zbyt wiele dzieci, partnerów i rodzin cierpiało katusze, jakie niosła ze sobą miłość do wspinającego się męczennika.

Rodzina Wojtka uniknęła tego losu, bowiem on mierzył swoje cele za pomocą innych kryteriów.

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

Sztuka cierpienia

Prawda, że istnieją ludzie,
którzy za zbliżaniem się wielkiego bólu
słyszą właściwie rozkaz przeciwny
i którzy nigdy nie spoglądają dumniej,
waleczniej, szczęśliwiej, jak wówczas,
gdy burza nadciąga; a nawet ból sam
daje im najwyższe chwile! To są ludzie heroiczni.

Friedrich Nietzsche, *„Wiedza radosna”*
(tłum. Leopold Staff)

Kiedy Jurek i Wojtek znów się spotkali, Kukuczka zaproponował kolejną wspólną wyprawę. Wiedział, że planowanych jest kilka polskich zimowych ekspedycji na ośmiotysięczne Dhaulagiri i Czo Oju. Czy Wojtek jest zainteresowany?

Nie. Kurtyki nie pociągało wspinanie zimą, Jurka – tak. Dwa ośmiotysięczniki w sezonie do kolekcji. Plan był ekstremalny i nietypowy – oba szczyty w zimie i do tego dość od siebie oddalone. Nie był więc do końca szczery z liderami każdej z tych wypraw, bo żaden z zespołów nie byłby zadowolony z tego, że Jurek nie poświęci mu wystarczająco dużo uwagi i wysiłku.

Andrzej Zawada, kierownik ekspedycji na Czo Oju, przejrzał prawdziwe intencje Jurka, ale nic nie mówił, darzył go bowiem

wielkim szacunkiem. Adam Bilczewski kierujący wejściem na Dhaulagiri nie był już tak wyrozumiały. Rozpoczęły się trudne rozmowy o tym, kto powinien opłacić podróż Jurka, skoro nie pracował na katowickich kominach tak dużo jak inni członkowie wyprawy. Nie potraktowano go w końcu jak poważnego członka wyprawy i kiedy nie wszystkie bębny zmieściły się na ciężarówce, zostawiono dwa z nich – oba Jurka.

Nie robił z tego problemu i nie zmienił planów. Był małomówny, skryty i zamknięty w sobie. Nie sprawiał kłopotów, ale nie był też uległy. Kiedy raz się na coś zdecydował, trudno go było od tego odwieść. Jeśli ktoś się z nim nie zgadzał, zostawiał go. Jego niezwykła siła, wyśmienite zdrowie i sprawność fizyczna pozwalały mu osiągać wszystko, co sobie założył, niezależnie od tego, czy koledzy postanowili mu pomóc, czy nie. Pasmo jego górskich sukcesów było tak niesamowite, że ludzie głęboko wierzyli, iż zawsze zrealizuje każdy swój plan. Nieliczne porażki wywoływały u niego niedowierzanie i szok, ale nawet wtedy nie narzekał. Rzadko wybuchał gniewem. Obecność Jurka w ekspedycji podnosiła wiarę w sukces i wzmacniała morale zespołu. On po prostu się wspinał, póki nie osiągnął szczytu. W tym był najlepszy.

* *
*

Ekspedycja na Dhaulagiri ruszyła bez niego. Jurek miał jednak własne źródła finansowania, dotarcie do Nepalu nie zabrało mu więc wiele czasu. W Katmandu spotkał się zespołem na Czo Oju i ujawnił swój plan. Chciałby zacząć od Dhaulagiri, wspiąć się na ten szczyt i popędzić pod Czo Oju, by złapać ekspedycję przed finałowym atakiem. Część zespołu polsko-kanadyjskiej ekspedycji,

nie wyłączając zaprzyjaźnionego z Jurkiem Zygmunta Heinricha, protestowała, uważając, że to jest nie fair.

Liczyli na jego pomoc w zakładaniu obozów i poręczowaniu ściany. Ciężką robotę będą musieli wykonać za niego. Była to wszakże zimowa ekspedycja, z ogromem prac w surowych warunkach. Liczył się każdy człowiek, a Jurek był jednym z najsilniejszych.

Dyskusja trwała. Głosy były podzielone. Spojrzeli na Zawadę, swojego kierownika, a on spoglądał na nich, swoich „chłopców". Każdy z nich ciężko pracował, by być na tej ekspedycji. Malowali kominy, organizowali sprzęt, ćwiczyli i pożegnali swoje żony i dzieci z pełną świadomością, że mogą nigdy nie wrócić. Zasługiwali na to, by traktować ich uczciwie.

Na koniec Zawada popatrzył na Jurka – niesamowitego superwspinacza. Oczy Kukuczki lśniły w oczekiwaniu, na twarzy miał wyraz pewności siebie, był wytrenowany i gotowy.

– Namyśliłem się – rzekł Andrzej. – Jurek może iść na Dhaulagiri. Poczekamy na niego pod Czo Oju. To wspaniały, choć szalony pomysł, ma jednak szanse, by się powieść – powiedział. Wiedział, że Jurek jest wyjątkowy. Andrzej umiał patrzeć szerzej, nie tylko z perspektywy jednej wspinaczki czy jednego zespołu. Był wizjonerem. Porywał się na rzeczy, których nikt wcześniej nie próbował. Ustanawiał standardy i dzięki niemu w oczach świata to Polska je ustanawiała. Andrzejowi nie przeszło nawet przez myśl, by powstrzymywać Kukuczkę. Znalazł się w sytuacji, w której uczeń przerósł mistrza, i był na tyle dojrzały, by to zaakceptować i się tym cieszyć.

Jurek spakował się i wyjechał pierwszym autobusem do Pokhary, największego z miast w pobliżu Dhaulagiri. Był 20 grudnia. Kupił bilet na najbliższy lot dwudziestoosobowym fokkerem do Jomsom

niedaleko Marfy, wioski leżącej jeszcze bliżej góry. By fokker mógł wystartować, warunki musiały być idealne. Minęły dwa dni, nie startowano. Trzeciego dnia kilku pasażerów gotowych do lotu weszło na pokład, ale i ten lot odwołano. 24 grudnia Jurek zaczął podupadać na duchu. Była Wigilia, najważniejsza noc dla jego rodziny, a on spędzał ją uwięziony w Pokharze w tanim, zimnym, pustym pokoju, przy złej pogodzie i bez przyjaciół.

Jego myśli skierowały się w stronę domu, Celiny i dwóch synów. Rozmyślał o cieple, świetle i miłości obecnych podczas rodzinnego świętowania. Czuł na podniebieniu smak delikatnego tradycyjnego kompotu z suszonych śliwek. Niemal widział świąteczne prezenty i smakołyki. Samotny zapalił świeczkę, podgrzał zupę, otworzył puszkę sardynek, przeczytał fragment z Biblii i przyjął opłatek, tak jak nakazywała tradycja.

Bożonarodzeniowy poranek zastał go znów w samolocie na lotnisku w Pokharze. Kolejny lot odwołano. Było jasne, że plan Jurka, którego efektem miało być zaoszczędzenie czasu, skutkuje jego roztrwonieniem. Przez pięć dni oczekiwania Jurek mógł dotrzeć do Dhaulagiri na piechotę.

Drugiego dnia świąt wylecieli. Mały samolocik wznosił się długo nad wąską doliną, walcząc z wiatrem, podrzucany i miotany, jakby był rozbrykanym dzikim rumakiem. Jurek zaczął się modlić.

W Marfie na drogę do bazy wynajął – za sumę dwukrotnie większą niż ta, którą zapłaciłby w lecie – młodego tragarza. Był zadowolony, bo tragarz wyglądał na wysportowanego. Zapewniał, że zna drogę, i nawet zaproponował, że będzie gotował. Zimowa podróż mogła być wymagająca. Droga wiodła przez dwie przełęcze położone na wysokości ponad pięciu tysięcy metrów. Zaraz po wyjściu sytuacja pogorszyła się radykalnie. Tragarz nie znał drogi, umiał co najwyżej zrobić herbatę i wlókł się za Jurkiem,

a Polak torował drogę i niósł większość ładunku. Młodzian był tylko obciążeniem. Do bazy doszli po czterech dniach. Jurek odesłał „przewodnika" do wioski i dołączył do zespołu, który do tej pory zdążył założyć dopiero drugi obóz.

Było jeszcze wiele pracy do zrobienia. Wspinacze byli już trzy tygodnie na dużej wysokości, Jurek martwił się więc, czy nie ma za dużych braków w aklimatyzacji. Nie tylko musiał dotrzymać kroku kolegom, ale też włożyć dużo siły w ustawianie obozów i zakładanie poręczówek.

Kontrolował organizm, uważając, by nie wejść za wysoko w zbyt dużym tempie. Przez pierwsze dni jego puls wahał się w okolicach siedemdziesięciu uderzeń na minutę, czyli był na przeciętnym nizinnym poziomie. Z upływem dni i wzrostem wysokości jego tętno spadało, aż osiągnęło poziom około czterdziestu ośmiu uderzeń. U większości osób zachodzi odwrotna reakcja – tętno przyspiesza wraz z wysokością – ale organizm Jurka wydawał się stworzony do wspinaczki. Im wyżej wchodził, tym sprawniejszy się stawał. Było tak, jakby góry zapewniały mu spokój, dzięki któremu mógł funkcjonować na najwyższym poziomie wydajności.

Chodzili w górę i w dół, wiele dni przepychając się przez sięgający pasa śnieg, w ciągłym zagrożeniu lawinowym. Obóz czwarty założyli na siedmiu tysiącach metrów, mając nadzieję, że będzie ostatnim obozem przed szczytem.

Andrzej Czok i Janusz Skorek zaatakowali następnego dnia, ale przed południem osiągnęli tylko osiem tysięcy metrów. Wiedzieli, że do końca dnia nie wejdą na szczyt, więc zawrócili i zeszli aż do bazy. Przetaczały się zimowe zamiecie i padał śnieg.

Choć droga północno-wschodnią granią nie była technicznie trudna, a obozy były rozstawione, to duża ilość śniegu stale zasypywała ślady i namioty. Widoczność rzadko przekraczała

piętnaście metrów. Pewnej nocy zaciekły, zimny wiatr zniszczył obozy, roznosząc rzeczy w promieniu pół kilometra. Zdzierał namioty z masztów, wystawiając zaskoczonych, skulonych w śpiworach wspinaczy na pastwę żywiołów.

Kierownik wyprawy Adam Bilczewski wyznaczył dwa zespoły szturmowe. Jurek znalazł się w drugim. Pierwszy nie wszedł ponad czwarty obóz. Jurek i Andrzej Czok, będący w drugim obozie, zaczęli wchodzić, przewidując, że niebawem dostaną szansę ataku na szczyt. Kiedy osiągnęli trzeci obóz, ten był zupełnie zasypany śniegiem, wspinali się więc dalej. Do czwórki dotarli późno w niezwykłym mrozie. Z wcześniejszych doświadczeń wiedzieli, że muszą przenieść obóz wyżej, jeśli chcą z niego zaatakować szczyt.

Następnego ranka lawina wylądowała na ich namiocie, niemal ich miażdżąc. Wyskoczyli w panice, łapiąc z trudem powietrze. Materiał cudem wytrzymał, a namiotowe maszty były tylko pogięte. Odkopali ekwipunek, wyprostowali rurki i wynieśli wszystko na siedem tysięcy siedemset metrów.

Teraz byli na grani, wystawieni na pełną siłę wiatru. Zmarznięci i zmęczeni, ale gotowi iść na szczyt. Tylko to się liczyło.

W ciasnym namiocie Andrzej był dziwnie cichy. Odwrócił się do Jurka plecami i masował stopy, na próżno próbując przywrócić w nich czucie. Były odmrożone, ale Andrzej nie dał nawet znaku, że chce wracać.

Następnego ranka wypełzli z namiotu i ruszyli w górę. Padał śnieg. Za każdym razem, gdy osiągali jakiś wierzchołek, dostrzegali kolejny, jeszcze wyższy. Posuwali się cal za calem wzdłuż grani szczytowej.

Nagle z mgły wynurzyła się stroma grzęda, zupełnie ich zaskakując. Nie mogli stanąć, by założyć stanowisko asekuracyjne. Zamarzliby na śmierć. Zamiast tego zastosowali lotną asekurację

i wspinali się równocześnie. Ta metoda jest mniej bezpieczna i nie przewiduje odpadnięć, ale innej możliwości nie widzieli.

Gdy doszli do kolejnego, jeszcze wyższego punktu, odkryli bambusową tyczkę. Zaskoczeni rozejrzeli się wokoło, ale nie widzieli żadnego wyższego wierzchołka niż ten, na którym stali. Byli na szczycie. Zamienili ledwie parę słów. Twarze oblepione mieli lodem. Jurek zrobił szybko kilka zdjęć i zaczęli schodzić. Spieszyli się tak bardzo, że aż do 16 nie zawiadomili nawet bazy przez radio. Zimowe dni są krótkie. Błyskawicznie zrobiło się ciemno i Jurek z Andrzejem zgubili się na grani. Zdali sobie sprawę, że mogą się potknąć w zdradzieckim stromym terenie. Musieli się zatrzymać. Zimowy biwak powyżej ośmiu tysięcy metrów to przerażająca perspektywa. Wykopali małą jamę w miękkim śniegu i osunęli się na swoje plecaki. Było minus czterdzieści stopni Celsjusza. Nie mieli nic do jedzenia i picia.

Jurek skupił się na jednym – aby nie zasnąć. Chwilami zapadał w letarg, by obudzić się kilka minut później z przerażającą myślą, że minęły godziny i zamarzł na śmierć. Noc ciągnęła się bez końca. Uderzali się nawzajem, by przywrócić krążenie krwi w ramionach i nogach. Rozmawiali cicho, dodając sobie otuchy i odwagi. Skoncentrowali się na oddychaniu, na przeżyciu.

Gdy zaświtało, rozprostowali zmarznięte, skostniałe ramiona i nogi. Ruszyli. W ciągu pół godziny doszli do namiotu, z którego nawiązali łączność. Koledzy w bazie odetchnęli z ulgą. Pytali ich o kondycję i o to, gdzie są. Jurek i Andrzej następne kilka godzin spędzili w namiocie. Parzyli herbatę, masowali i ogrzewali stopy Andrzeja.

O 14 opuścili namiot. Byli pewni, że szybko i bez problemów zejdą do obozu drugiego albo niżej, ale źle ocenili swój stan. Schodzili tak wolno, że nie mieli szans dotrzeć do obozu trzeciego.

Zapowiadało się na kolejny biwak. Jurek rozumiał, że grozi im katastrofa. Każdy nieplanowany biwak na tej wysokości stawał się coraz trudniejszy. Jurek czuł, że da radę przetrwać jeszcze najwyżej kilka takich zimowych biwaków, i nie chciał niepotrzebnie tracić bezcennej energii.

Nagle Andrzej zniknął mu z oczu. Jurek zmusił się, by wstać, i ruszył śladem partnera. Wpadł w panikę. Zaczął trawersować nad miejscem, gdzie jego zdaniem powinien być trzeci obóz. Nic nie widział. Krzyczał. Żadnej odpowiedzi.

Wrócił po śladach na grań i znów krzyczał. Stracił orientację. Zaczął schodzić granią, ale był przekonany, że idzie w złym kierunku. Gdzie jest właściwa droga i gdzie jest Andrzej?

Gdy nadeszła ciemność, Jurek nadal był na grzbiecie. Schodził po omacku. Zdał sobie sprawę, że spędzi kolejną noc pod gołym niebem. Wciąż wierzył, że przetrwa, ale był załamany. Potrzebował ciepła i gorącego płynu. Jego wiara się zachwiała. Może jednak ta noc będzie jego ostatnią. Nagle stracił oparcie pod stopami i zaczął spadać. Wbił czekan w lód i spowolnił zjazd. Zatrzymał się. Wiedział, że nie może iść dalej. Wykopał małą nyżę, by choć trochę wtulić się w śnieg i osłonić od wiatru. Otwierając plecak, zgubił latarkę. „Siadam na plecaku – zaczyna się walka o przetrwanie nocy”. [40]

Miał szalone halucynacje. Był w jasno oświetlonej wiosce cztery tysiące metrów niżej, pił i jadł, było ciepło i bezpiecznie. Tracąc i odzyskując przytomność, przetrwał noc. Cały czas siedział prosto i bez ruchu, żeby więcej nic nie zgubić. Wiatr wdzierał mu się pod ubranie, zabierając resztki ciepła. Jurek popadł w stupor. Obraz jego ulubionego schroniska w Morskim Oku przesuwał się przed oczami. Sześciu kolegów siedziało wokół stołu w miękkim blasku świecy

i przy wielkim dzbanku herbaty. Rozmawiali, śmiali się, opowiadali historie. Późnym wieczorem ściszyli głosy.

Któryś zapytał: „Czy dotknąłeś już zwierciadła, czy zerknąłeś w nie?".

Jurek rozejrzał się, by zobaczyć ich reakcje.

Na twarzach niektórych rysowało się zaskoczenie, nie rozumieli pytania, ale inni wymienili porozumiewawcze spojrzenia z Jurkiem, po czym spuścili wzrok. Oni zerknęli w lustro, podobnie jak Jurek. Wiedzieli, jak człowiek się czuje, dochodząc do tej cienkiej czerwonej linii.

I wiedzieli, że powrócą w góry, aby znów doświadczyć największego z możliwych adrenalinowych kopów.

Jurek nalał sobie kolejną wyimaginowaną filiżankę herbaty, ogrzewając zmarznięte dłonie.

O świcie wciąż żył.

Zataczając się, zszedł do drugiego obozu i zawołał ochrypłym głosem. Jego koledzy wyskoczyli z namiotów. Andrzej też tam był, bezpieczny, jedynie z odmrożeniami stóp i palców u rąk. Spakowali się, by zejść do obozu pierwszego, szczęśliwi, że są razem, i spokojni o to, co przyniesie dzień.

Do jedynki jednak nie doszli. Śnieg był tak głęboki i szli tak wolno, że musieli rozbić jeszcze jeden biwak. Dla Jurka był to trzeci „kibel" w ciągu ostatnich trzech dni. Jednak dzięki maszynce do gotowania, nieco wyższej temperaturze, gęstszemu powietrzu i zupom to doświadczenie nie było tak okrutne jak poprzednie. Następnego popołudnia osiągnęli bezpieczną, wygodną bazę.

Stopy i palce Andrzeja były w fatalnym stanie, poważnie odmrożone. Zespół zmobilizował się do szybkiej ewakuacji niżej, gdzie Andrzej mógł otrzymać opiekę medyczną. Zjedli ostatni posiłek razem i ruszyli w dół. Wszyscy oprócz Jurka.

On miał jeszcze jeden szczyt do zdobycia i najkrótsza droga do niego nie wiodła w dół, lecz na przełęcz Francuzów.

Śnieg sypał nieprzerwanie przez ostatnie kilka tygodni, więc Jurek nie był zaskoczony, że zapada się w nim po piersi. Pomimo ogromnego wysiłku nie robił wielkich postępów i zaczął poważnie wątpić, czy przejdzie.

Mógł zawrócić, dołączyć do zespołu i dotrzeć do Katmandu, a stamtąd dojechać pod Czo Oju dłuższą drogą. Ale dni biegły i drugiej ekipy mogłoby tam już nie być. Jeśli chciał ich złapać, musiał się pośpieszyć. Był 25 stycznia. Zezwolenie na Czo Oju kończyło się 15 lutego.

Metr po metrze, młócąc rękami, wycinał tunel w śniegu. To była bezsensowna, głupia walka, która momentami doprowadzała go do łez. Po całym dniu wysiłku podnosił wzrok i wciąż widział miejsce swojego ostatniego biwaku.

Co noc badał stopy – ich stan pogarszał się w szybkim tempie. Lekko je odmroził, schodząc z Dhaulagiri, a teraz nowe bąble pojawiały się każdego dnia. Z zainfekowanych ran sączyła się cuchnąca ropa. Zaczęły gnić. Przemywał je najdokładniej, jak mógł, i owijał bandażami. Kiedy dotarł do wioski, wszedł do domu, w którym mieszkał poprzednio.

Rodzina patrzyła na niego, tę nieszczęsną zjawę, z niedowierzaniem. Przygarnęli go, nakarmili i zaopiekowali się nim. Jurek czuł się tak, jakby trafił do raju. Jego szczęście ulotniło się jednak, kiedy dowiedział się, że nie będzie żadnych lotów przez trzy dni. Nie miał innego wyjścia, musiał iść na coraz bardziej ropiejących stopach.

Znalazł tragarza, z którym w trzy dni przeszedł dystans do Pokhary, standardowo zajmujący tydzień. Tam złapał taksówkę i dotarł do stacji, w chwili gdy ruszał autobus do Katmandu.

Wskoczył do niego i dojechał na miejsce o 22. Pobiegł prosto do agencji, która utrzymywała łączność radiową z Czo Oju.

„*Polish Cho Oyu expedition. Polish Cho Oyu expedition*. Odezwijcie się, proszę".

„Przyjeżdżaj. Wsiadaj w samolot. Czekamy na ciebie".

Jurek kupił bilet do Lukli, ale musiał bezsilnie czekać, bo przez dwa dni loty odwoływano. Wystartował trzeciego dnia. Musiał się spieszyć jeszcze bardziej. Złapał tragarza, który zgodził się pokonywać trzydniowe odcinki w jeden dzień. Stopy Jurka były zdrętwiałe i ciekła z nich żółta maź, mimo to drugiego dnia przeszli kolejny trzydniowy odcinek. Trzeciego tragarz miał dość i zastrajkował.

Na szczęście pojawił się kurier z polskiej bazy. Przejął od tragarza pakunki, a Jurek szedł za nim, próbując dotrzymać mu kroku. 8 lutego o godzinie 14 przybyli pod Czo Oju. Ekspedycja była gotowa do drogi. Pomimo pierwszych ocen Andrzeja, że licząca dwa tysiące osiemset metrów ściana jest piekielnie niebezpieczna, dwuosobowe zespoły walczyły dzielnie od kilku tygodni z zimnem i niebezpieczeństwami. Wszystkie obozy na nowej drodze południowo-wschodnim filarem były gotowe, a w czwórce do ataku szykowali się wspinacze. Nie zważając na swoje chore stopy, Jurek przepakował plecak, zmienił skarpetki i przygotował się, by wyjść o świcie. Dołączył do niego Zyga Heinrich, twardy, rozsądny polski wspinacz, który tak jak Jurek był gotów do poświęceń.

Jurek i Zyga bez problemów osiągnęli jedynkę. Kolejny dzień był jednak trudniejszy. Przemykali się pomiędzy chwiejącymi się serakami i próbowali uwolnić poręczówki przysypane przez lodowe turnie. Powoli brnęli pod górę i czekali na dzień, kiedy pierwszy zespół szturmowy zaatakuje szczyt.

Gdy Jurek i Zyga byli gdzieś wysoko na górze, atmosfera w bazie była napięta. Przez lornetkę zespół bazowy widział, że na szczycie hula wiatr. Dostrzegł też dwie malutkie kropki pełznące przez górny lodowiec trochę poniżej wierzchołka. Jedna znikła, a zaraz po niej druga. Zawada złapał radio.

– Halo, słyszycie mnie? – Usłyszał jednak tylko szum wiatru. – Jesteście na szczycie?

W końcu nadeszła odpowiedź:

– Nie wiem, nie wiemy, ale wyżej już nie można wejść.

Dwóch Maciejów – Pawlikowski i Berbeka – było na szczycie. Leżeli płasko, aby nie zdmuchnął ich ze ściany huraganowy wiatr. Andrzej nie mógł się opanować:

– Ale radość! Taka wspinaczka, takie wejście, i do tego zimą!

Nadszedł czas na ruch Zygi i Jurka. Cztery dni po przybyciu do bazy Kukuczkę czekało pionowe wejście do położonej tysiąc metrów wyżej czwórki częściowo po niebezpiecznym i technicznie trudnym terenie. Jakby tych niebezpieczeństw było mało, niektóre z poręczówek, które zawiesili poprzednicy, zniknęły. Były potrzebne wyżej.

Z powodu przewyższenia, trudności drogi i krótkiego zimowego dnia zmrok zastał Zygę i Jurka na najtrudniejszym odcinku. Jurek znów zgubił swoją czołówkę.

Przez ostatnie sto sześćdziesiąt metrów wspinał się jak ślepiec. Metodycznie wbijał czekany mocno i najpewniej, jak to możliwe, w twardy, stromy lód, oceniając po dźwięku, czy ostrze jest dobrze osadzone. Kiedy oba czekany dobrze trzymały, mógł podnieść jeden but z rakiem, wbić go w lód i sprawdzić, czy trzyma. Następnie podnosił drugą nogę i tak raz za razem rozpoczynał kolejny ruch, upewniwszy się, że kolce raków oraz czekany mocno siedzą w lodzie. Nie było miejsc na pomyłkę.

Jurek asekurował Zygę, gdy ten odpadł, zrobił wahadło i zawisł pod stopniem lodowej ściany. Jurek trzymał go, ale Zydze trochę zajęło, nim znów stanął na nogach i wrócił na drogę. Kukuczka nie miał pojęcia, co się działo, poza tym, że ich powolne posuwanie się zamarło.

– Co tak długo? Co się działo? – pytał.

– Odpadłem na trawersie – wydyszał Zyga. – Mam już dość.

Byli już pewni, że nie ziszczą się ich marzenia o wygodnym namiocie czwartego obozu. Musieli się zatrzymać i przygotować sobie jakąś osłonę. Wyciągnęli płachtę NRC, wykopali malutką półeczkę w śniegu, usiedli na plecakach, przytulili się do siebie i czekali. Temperatura spadła, a wiatr szarpał ich osłoną, niebezpiecznie wychładzając ciała.

Poranek odsłonił okrutny widok: namiot był najwyżej sześćdziesiąt metrów dalej. Wypełzli z zimnej, śnieżnej dziury i zataczając się, dotarli do schronienia. Wczołgali się tam, zwalili na stertę rzeczy i zaparzyli herbatę. Chcieli tylko zrobić sobie krótką przerwę, najwyżej godzinkę przed wyruszeniem na szczyt. Minęła godzina, potem kolejne. Wspinacze przysypiali w ciepłych śpiworach. Pili kolejne herbaty. Dzień przeszedł, po nim noc. Obudzili się rankiem 15 lutego, ostatniego dnia objętego zezwoleniem na wspinaczkę.

Nie było co gadać, mieli tylko jeden kierunek – w górę. Po kilku godzinach widać było, że Jurek wspina się bardzo wolno, choć był przekonany, że jest pełen sił i dobrze zaaklimatyzowany. Zyga także miał problemy. O 16 wciąż mieli spory kawał do szczytu.

– Co robimy? – zapytał Jurek. – Jeśli dojdziemy do szczytu przed zachodem słońca, to dobrze. Czeka nas wtedy zejście po ciemku i zapewne kolejny biwak.

Jurek nie miał w zwyczaju schodzić bez osiągnięcia celu, dlatego jego pytanie było dość osobliwe. Jakby oczekiwał od Zygi, że powie: „Jest zbyt późno i zbyt niebezpiecznie. Schodzimy".

Jurek wiedział, że Zyga jest ostrożnym wspinaczem i przedkłada życie nad zdobywanie szczytów. Był więc pewny, że powie, by schodzić.

– Jesteśmy za blisko szczytu, idziemy do oporu – wychrypiał Zyga.

Jurek był zaskoczony. To Zyga? Co się stało? Odwrócił się i zaczął posuwać się do góry, pewny, że następnym razem będą biwakować blisko ośmiu tysięcy metrów. Wspinacze byli tak przyzwyczajeni do spania na tej wysokości, że w ogóle się nad tym nie zastanawiali.

O 17.15 stanęli na szczycie w czerwonym blasku zachodzącego za granią słońca. Szczytowa platforma tonęła w ciepłej purpurowej poświacie. Nie było jednak ciepło. Gdy słońce zaszło, temperatura błyskawicznie spadła. Po zrobieniu kilku zdjęć zaczęli schodzić. Następne dni były przerażające. Zmęczenie, odmrożenia, wysokość i zimno zbierały swoje żniwo. Jurek spadł ze stromego seraka i kiedy Zyga zjechał do niego, zdecydowali się zatrzymać, nim się wykończą do cna. Biwak – jak i poprzedni – wypadł im na siedmiu tysiącach siedmiuset metrach. To była najzimniejsza noc od rozpoczęcia wspinaczki. Termometr w bazie odnotował aż minus trzydzieści trzy stopnie.

Cały kolejny dzień spędzili w czwartym obozie, odpoczywając i uzupełniając płyny. Kolejnego dnia z trudem dotarli do drugiego obozu i po przespaniu nocy planowali dojść do jedynki najszybciej, jak się da. Niestety, z powodu ogromnego osłabienia wyszli bardzo późno. Kiedy dotarli do granicy lodowca, na którym stał obóz, zobaczyli zmierzające ku nim malutkie punkciki. To zespół z bazy

szedł z pomocą. Na Heinricha i Kukuczkę spłynął spokój. Byli wdzięczni kolegom, że dołączą do nich i ich sprowadzą – raz jeszcze szli po nocy.

Następnego dnia zwinęli obóz i opuścili teren.

Nawet Jurek ledwo stał na nogach. Stan jego stóp, które zwykle radziły sobie całkiem dobrze w zbyt dużych butach, pogorszył się bardzo i parę dni później Jurek leczył odmrożenia w szpitalu w Delhi.

Andrzej, kierownik wyprawy, który bywał krytykowany za swoją obsesję na punkcie zimowych wejść, które przysparzały wspinaczom tak wiele cierpień, był dumny z tego, czego dokonali. Tym razem jednak największą radość czerpał nie tyle z wyjątkowych osiągnięć wspinaczkowych, ile z zespołowej pracy w duchu wspólnoty. Andrzej, który kierował niejedną ekspedycją, wiedział, że poczucie koleżeństwa nie zawsze zwycięża nad indywidualnymi ambicjami. Na Czo Oju zwyciężyło.

Jurek siedział w Delhi odcięty od świata przez dziesięć dni, czekając na lot Aeroflotu do Polski. Kiedy zadzwonił do domu do Celiny, usłyszał chłopięce chichoty i odgłosy dziecięcej zabawy w tle. Przymusowy postój dał mu dużo czasu do myślenia. Na dobre rozpoczął wyścig z Messnerem. Jego wejścia na dwa szczyty zimą w jednym sezonie sprawiły, że wynik był otwarty. Nie tylko miał Messnera w zasięgu, ale też wspinał się w dużo lepszym stylu.

Na wszystkie dotychczasowe szczyty poza jednym wszedł albo zimą, albo nową drogą, lub też spełniając oba te warunki.

Był jednak zmęczony i postanowił odpocząć. Celina i chłopcy byli tak fajni, pocieszni i cieplutcy... Marzył, żeby wśliznąć się do łóżka i spać, nie myśleć o Himalajach. Przetrwanie kolejnego biwaku na ośmiu tysiącach metrów było teraz trudne

do wyobrażenia. Na szczęście jego palce u nóg udało się uratować, ale po leczeniu stały się bardziej podatne na odmrożenia. Ostatnie dwie wspinaczki mocno nadszarpnęły jego zdrowie. Przydałaby się przerwa, ale Messner przecież nie odpoczywał.

* *
*

Mimo że Jurek naprawdę potrzebował rekonwalescencji, odetchnął tylko chwilę. W maju tego samego roku był już w drodze pod Nanga Parbat z dużym polskim zespołem. Raz jeszcze wspinał się z Zygą. Doszedł na szczyt 13 czerwca 1985 roku przez niebezpieczną i zagrożoną lawinami nową drogę południowo-wschodnim filarem. Znów nie obeszło się bez wypadku. Piotr Kalmus, gdy przekraczał kuluar niedaleko drugiego obozu, został porwany przez lawinę i zginął.

Jurek nie pozwolił się przytłoczyć tej tragedii. Nanga Parbat był numerem dziewiątym, a jesienią wszedł na Lhotse, ośmiotysięcznik, który zdobył już wcześniej. Jurek zdecydował bowiem, że w wyścigu z Messnerem jego zasady współzawodnictwa będą obejmowały też styl. Chciał wchodzić na ośmiotysięczniki albo nowymi drogami, albo zimą. Poprzednio wszedł na Lhotse latem 1979 roku normalną drogą, wrócił więc teraz mimo zmęczenia.

Przyjechał do Nepalu miesiąc po zespole i kiedy dotarł do bazy, reszta ekipy była już na ośmiu tysiącach metrów, wspinając się po ogromnej, technicznie trudnej i dziewiczej południowej ścianie. Prawdziwy problem zaczynał się właśnie tam. Pierwszy zespół szturmowy próbował kilku wariantów. Bez sukcesu. Następni – Jurek z Rafałem Chołdą – musieli się wycofać. Gdy schodzili bez asekuracji do obozu, Chołda poślizgnął się i spadł. Zginął kolejny

z jego partnerów. Jurek zszedł przekonany, że wspinaczka jest skończona.

Większość zespołu czuła to samo przytłoczona tragedią. Nie wzięli jednak pod uwagę energii i ambicji Artura Hajzera, ich młodego, jasnowłosego kolegi z zespołu. Krążył on wokół bazy niczym pijany, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Nie chciał takiego końca ekspedycji, ale nie zamierzał stać się jej kolejnym tragicznym bohaterem. Problemem była ostatnia bariera blisko szczytu. Nikt dokładnie nie wiedział, jak bardzo jest trudna i wysoka. „Jeśli ktoś czuje, że może przekroczyć tę wielką barierę i się nie poddaje, idę z nim – powiedział w końcu Hajzer do zespołu.[41] – Mogę iść na drugiego ten odcinek, ale nie dam rady prowadzić".

Nie było chętnych, większość głosowała za zwinięciem ekspedycji. Jednak członek pobliskiej francuskiej wyprawy zaproponował, że poprowadzi ten trudny podszczytowy odcinek, jeśli Artur z nim pójdzie. Kierownik Janusz Majer uznał, że to może się udać. Jurek cały czas był u góry i Artur myślał, że może połączy się z nim w finałowym ataku. Po sześćdziesięciu dniach ekspedycji nawet Artur był jednak skrajnie wyczerpany, tak jak inni. Miał obrzmiałe usta, spaloną twarz, przekrwione oczy. Był wychudły i obolały.

Uważał jednak, że grzechem byłoby nie spróbować. Ustawiono sześć wyposażonych obozów i rozpięto kilometry poręczówek, w tym na stumetrowym odcinku wielkiej bariery blisko szczytu. Pogoda była dobra i za barierą pozostało tylko dwieście metrów wspinania w nieznanym terenie. Oczywiście ceną mogło być ich życie. Co więc pchało ich prosto na szczyt?

Dawno już zniknęła presja wywierana przez państwo na wczesne polskie ekspedycje pod wpływem nacjonalistycznej ideologii. Problemy finansowe także się zmniejszyły. Gdyby się poddali,

prawie na pewno mogliby wrócić tu za rok. Lecz ostatni wysiłek podjęli pod wpływem osobistych ambicji, motywowani zwłaszcza przez Artura.

Zdecydowali się na jeszcze jeden atak, ale uzależnili go od decyzji Jurka, ten zaś szybko ich zawrócił. Artur zrobił, co mu kazano, ze względu na ogromny szacunek dla Kukuczki, ale nigdy w pełni się nie zgodził z jego decyzją. Jurek przyznał później, że na tak szybkie zakończenie wspinaczki miało wpływ jego nadzwyczajne wyczerpanie.

* *
*

Tym, czego Jurek naprawdę potrzebował, był rok odpoczynku. Dwanaście miesięcy z Celiną i chłopcami. Poszczęściło mu się, że miał żonę, która akceptowała jego górską pasję i prawie samotnie wychowywała dzieci. Kiedy po raz pierwszy zdradził jej, że myśli o dwóch zimowych wejściach w sezonie, Celina była w ciąży z ich drugim dzieckiem Wojtkiem. We wrześniu 1984 roku Jurek dopiero co wrócił z Pakistanu i dostał propozycję listopadowego wyjazdu. Był nieobecny przez większą część zimy.

Rodzice Celiny i Jurka zgodzili się wspólnie udzielić jej pomocy, a Jurek uzyskał w ten sposób możliwość osiągnięcia celu.

Wojtek urodził się 26 października 1985 roku, podczas końcowych przygotowań Jurka do wyjazdu. Życie Celiny w tym czasie nie było łatwe. Przestała pracować, aby móc wychowywać dzieci. Dla niej rodzina była najważniejsza. Wychwalała Jurka jako ojca: „Jest świetnym tatą, oczywiście kiedy jest w domu" – mówiła.

Jurek mocno angażował się w życie rodzinne, bawił się z dziećmi, rozmawiał o ich wychowaniu, zajmował się domem, wykonywał drobne naprawy. Przez większość roku Celina była jednak samotną

matką i starała się cierpliwie, z miłością akceptować tę rolę. Był tylko jeden temat, którego nigdy nie poruszali – wspinanie Jurka.

Celina dowiadywała się czasami o jego planach z drugiej ręki – napomknień przyjaciół albo artykułów prasowych. Nawet pomysł zdobycia przez Jurka czternastu ośmiotysięczników nigdy nie wypłynął w ich rozmowach. Jego życie dzieliło się na dwa odrębne światy – wspinanie i rodzinę. Celina czasem zastanawiała się, jak by to było, gdyby rzucił wspinanie, aby być z nimi, ale wiedziała, że to niemożliwe.

Wspinanie było jego życiem. Trwałość ich związku w wielkiej części była oparta na tym, że Celina akceptowała podwójne życie Jurka. Wiele innych małżeństw wspinaczy – związki Wandy, Wojtka, Krzysztofa – nie przetrwało napięć. W wypadku Jurka było jednak inaczej – krótki odpoczynek w domu był mu bardzo potrzebny.

* *
*

Wyścig z Messnerem jednak się nie skończył i pod koniec października 1985 roku Jurek pojechał spod Lhotse do Katmandu, by spotkać się ze szpicą przygotowującą polską zimową wyprawę na Kanczendzongę. Znalazł się na liście ekspedycji, ale czuł lęk i niepewność. Przecież tego właśnie pragnął. Wszak żył i wspinał się w największych górach Ziemi. Dlaczego więc tęsknił za rodziną? Dlaczego prawie do bólu pragnął domowych wygód?

Po spotkaniu, zamiast od razu dołączyć do zespołu, wskoczył do samolotu i uciekł do swojego domku w Istebnej sto kilometrów na południe od Katowic. Miał tam chatkę z widokiem na jasnozielone zbocza pobliskich gór. Jadł, spał i wypijał

niezliczone kubki herbaty. Bawił się z chłopcami, rozmawiał z Celiną i rozkoszował radością domowego ogniska.

Przez ich dom przelewali się wspinaczkowi przyjaciele, którzy przychodzili, by zjeść, napić się i dzielić górskimi historiami aż do nocy.

Wiedział jednak, że w końcu opuści to ustronie. 12 grudnia wyleciał znów do Katmandu. Zespół na Kanczendzongę składał się z samych polskich gwiazd: Artura Hajzera, Krzysztofa Wielickiego, Andrzeja Czoka i innych. Ich celem było wejście drogą normalną wiodącą południowo-zachodnią ścianą. Jurek był przekonany, że jest to wykonalne nawet zimą. Po wakacjach w Istebnej był wypoczęty i znów czuł się zjednoczony z górami. Jego stopy były wyleczone, a samopoczucie dobre.

Jeśli zdobędzie ten szczyt, będzie tylko dwie góry za Messnerem. Ponadto Kanczendzonga miała długą i szacowną polską historię: pierwsze wejście na południowy wierzchołek, pierwsze na centralny, nowa droga na Jalung Kang. Do pełni szczęścia brakowało tylko wejścia zimą na główny wierzchołek.

Oczywiście w zespole przepełnionym wspinaczkowymi gwiazdami czuć było atmosferę współzawodnictwa. Każdy z jego członków mógł być kandydatem do ataku i każdy miał takie ambicje. Kiedy nadszedł czas na wytypowanie zespołu szczytowego, wszyscy wspinacze spotkali się w namiocie kuchennym, podnieceni i zdenerwowani.

Negocjowali do późna w nocy, nim ustalono zespoły. Artur Hajzer miał się wspinać z Bogusławem Probulskim. Nie doszło jednak do tego, bo następnego ranka Probulski opuścił obóz.

– Poszedł solo, by zdobyć szczyt – mówił podniesionym głosem Artur. – Mój partner uciekł mi i reszcie zespołu.

Po tym nieudanym początku dwa inne zespoły już zgodnie z planem ruszyły w górę. Gdy się wspinali, słyszeli przewlekły kaszel Andrzeja. Sądzili, że to efekt wysokości i zimna, choć było to dziwne, biorąc pod uwagę jego naturalne zdolności aklimatyzowania się na wysokości i niezwykłą siłę. Jego rekordy były imponujące: osiem tysięcy metrów na K2 nową drogą, Lhotse bez tlenu, nowa droga na Everest, zachodnia ściana Makalu i Dhaulagiri. Kanczendzonga miała być jego piątym ośmiotysięcznikiem zimą. Ale kaszel Andrzeja nasilał się, im wyżej wchodzili. Suche zimne powietrze dawało mu się we znaki.

W obozie czwartym stało się boleśnie oczywiste, że Czok musi zejść. Tylko Jurek i Krzysztof mieli iść wyżej. Ruszyli 11 stycznia o 5.45, mając przed sobą osiemset metrów ciężkiego podejścia w rozrzedzonym i zimnym powietrzu. Wkrótce stracili czucie w nogach.

O 10 oświetliło ich i ogrzało słońce, przywracając trochę czucia w kończynach. Wspinali się niezwiązani liną, każdy we własnym tempie. Ponieważ teren nie był zbyt stromy, nie musieli się asekurować. Krzysztof pierwszy osiągnął wierzchołek, odwrócił się i zaraz zaczął schodzić. Jurek spotkał go pod szczytem, nie zamienili słowa. Ich umysły były otępiałe. Działali jak roboty. Po zrobieniu kilku zdjęć na szczycie Jurek też ruszył szybko w dół. Dobrnęli z trudem do obozu i połączyli się z bazą, by poinformować o sukcesie.

Odpowiedź z bazy była dziwnie stonowana, już wtedy bowiem w niższych partiach masywu rozgrywał się dramat. Andrzej był bardzo poważnie chory. W połowie drogi między obozami czwartym i trzecim osłabł do tego stopnia, że ledwie szedł. Do trzeciego obozu został praktycznie opuszczony przez kolegów. Tam stłoczeni w jednym wielkim namiocie spędzili noc,

na przemian gotując napoje i aplikując środki moczopędne kaszlącemu stale choremu. Jego stan pogarszał się z minuty na minutę. W pewnym momencie Andrzej przestał oddychać. Wszelkie próby reanimacji się nie powiodły.

Wstrząśnięci członkowie ekspedycji pochowali Czoka w szczelinie blisko trzeciego obozu. Jurek długo stał, wpatrując się w miejsce ostatniego spoczynku Andrzeja, miał łzy w oczach. Ponieważ był głęboko religijny, zmagał się z pytaniem, dlaczego Bóg zabiera tak dobre osoby.

Kiedy wrócili do Katmandu do hotelu Tukche Peak, w którym najczęściej się zatrzymywali, byli pogrążeni w głębokiej żałobie. Zdobyli zimą Kanczendzongę, ale śmierć Andrzeja Czoka była ceną zbyt wysoką. To była trzecia z rzędu ekspedycja Kukuczki, która kończyła się tragicznie. Polska obsesja zimowej wspinaczki i pragnienie, by zawsze być pierwszym, zbierała tragiczne żniwo. Zdumiewająca liczba zgonów sprawiła, że polska dominacja przypominała raczej spiralę śmierci.

Jurek zmuszał się, by ignorować te tragedie. Tylko tak mógł przetrwać.

CZĘŚĆ DZIESIĄTA

Góra śmierci

Krajobrazy są kulturą, nim jeszcze staną się naturą,
konstruktami wyobraźni rzuconymi na drzewa, wodę i skały.
Simon Schama, „Krajobrazy i pamięć”
(tłum. Stanisław Gieżyński)

Każdy, kogo znam, w końcu odchodzi.
Trent Reznor, *„Rana”*
(tłum. Stanisław Gieżyński)

Rok 1986 był niezwykły dla K2. Pakistan uznał, że trzeba czerpać z ekonomicznego potencjału, jaki daje góra, i udzielił w sezonie aż dziewięciu zezwoleń na wspinaczki, więcej niż kiedykolwiek. Wspinacze rozpełzli się po górze: zespół polski zaatakował drogę na południowym filarze zwaną Magic Line, międzynarodowa ekipa i ekspedycja południowokoreańska wybrały Żebro Abruzzi, natomiast Brytyjczycy ruszyli na grzbiet północno-zachodni.

Trójka wspinaczkowych partnerów Wandy spod Nanga Parbat znalazła się w polskim zespole prowadzonym przez Janusza Majera. Wandy wśród nich nie było.

Z Nanga Parbat wróciła do Polski z tarczą, zrelaksowana i finansowo zabezpieczona dzięki sukcesowi jej ostatnich filmów.

Nieprzyjemną niespodziankę sprawił jej tylko Polski Związek Alpinizmu, oskarżając ją o defraudację funduszy z wyprawy. Ostatecznie wyjaśniła sprawę, ale ogłosiła, że nigdy w życiu nie została tak niesprawiedliwie potraktowana. Szybko kupiła miejsce we francuskiej ekspedycji na K2, gdzie mogła współzawodniczyć, a nie współdziałać, ze swoimi rodakami.

Wszystkie trzy Polki w zespole na Magic Line były przekonane, że decyzja Wandy, by wspinać się z Francuzami, była decyzją strategiczną. Udział w tym małym zespole, który przybywał pod K2 wcześniej niż Polacy, dawał Wandzie przewagę nad rodaczkami w wyścigu o tytuł pierwszej kobiety na świecie, która zdobyła drugi szczyt świata. Anna Czerwińska czuła, że Wanda porzuciła ideę polskiego kobiecego wspinania. Po prostu dała sobie z nim spokój. Miała szansę wejść na szczyt i obrała taką taktykę, by być pierwsza.

Baza zakwitła kolorowymi namiotami wspinaczy z całego świata. Wszyscy mieli jeden cel – wejść na mierzący 8611 metrów K2.

Działania Koreańczyków były najbardziej kosztowne: kilometry poręczówek, armia tragarzy wysokościowych i mnóstwo butli z tlenem. Ich namiot kuchenny, w którym oferowano szesnaście rodzajów herbaty i szeroki wachlarz filmów, szybko stał się miejscem spotkań. Wanda pisała z bazy do do swojej przyjaciółki Ewy:

> **Droga Ewo,**
> Najlepsze życzenia i całusy ślę via ta kartka. Jesteśmy na czole lodowca Baltoro. Stanowimy zgrany zespół, choć czuję się trochę izolowana, ponieważ nie znam francuskiego. Jest tu wiele ekspedycji i wielu przyjaciół. Czuję się jak w domu. Lokalni tragarze rozpoznają mnie i traktują jak swoją. Zawsze wykrzykują na mój widok: „Abi Wanda good!". Tak naprawdę nie wiem, co to znaczy, ale myślę, że coś dobrego.

Nie zapominaj o mnie. Pocałunki i najlepsze życzenia dla najbliższych przyjaciół i rodziny.

Wanda

Nie zważając na swoje pierwotne plany, wspinacze krążyli wokół góry, zmieniając drogi wejścia zależnie od pogody, aklimatyzacji i umiejętności. Było to oczywiście nielegalne, gdyż powinni się trzymać przydzielonych dróg, ale wyglądało na to, że nikt nie egzekwował przepisów, i wkrótce na niektórych odcinkach zrobił się zamęt i tłok.

W czteroosobowym francuskim zespole oprócz Wandy byli Michel Parmentier i francuskie małżeństwo Liliane i Maurice Barrard. Wysoki, mocno zbudowany, wąsaty Maurice z siwymi włosami i jego żona, drobna szatynka, tworzyli uroczą parę. Wanda podziwiała Barrardów, a nawet im zazdrościła, opisując ich jako doskonałe małżeństwo.

Mniej podobał jej się Michel. Wszystko ją w nim irytowało: niesforne rude loki, brązowe oczy i palenie mocnych papierosów czy rozmawianie z Barrardami po francusku, co wykluczało ją z konwersacji, a także pewność siebie graniczącą z arogancją.

Reprezentował wszystko, czego Wanda nie lubiła. On także nie pałał do niej sympatią. Był dziennikarzem i zamierzał napisać historię pierwszej kobiety na K2, którą miała być Francuzka Liliane, a nie Wanda. Bliskość wymuszona przez wspólny namiot tylko powiększała różnice między Wandą a Michelem.

To była trzecia próba Rutkiewicz na tym szczycie i znała ona drogę do wysokości 7350 metrów. Lecz jej zespół wspinał się jako pierwszy w sezonie, nie miał więc żadnych udogodnień wynikających z działania wcześniejszych grup, takich jak obozy, przetorowana droga, godne zaufania poręczówki. Celem wspinaczy było Żebro Abruzzi. Chcieli iść na lekko bez dodatkowego tlenu

i zamierzali zrobić to w rekordowym czasie pięciu dni tam i z powrotem.

Była to śmiała strategia. Postanowili nie przygotowywać tradycyjnych wysokościowych obozów składających się z namiotów i śpiworów. Zamiast tego planowali rozmieszczenie wzdłuż drogi składów żywności i paliwa. Woleli nieść ultralekkie namioty i śpiwory, by móc nocować, gdzie będzie potrzeba, zależnie od pogody, sił i pory dnia. To dawało im większą elastyczność, ale stawiało ich w gorszej sytuacji w wypadku nastania częstych górskich burz, które mogły ich uwięzić z dala od przygotowanych składów.

Taki styl wspinaczki był dla Wandy nowością. Uznała go za interesujący, choć zdawała sobie sprawę z ryzyka. Nie bała się jednak i założyła, że jeśli Liliane sobie poradzi, to ona też.

Kurt Diemberger, który był pod K2 z brytyjską partnerką wspinaczkową Julie Tullis, dostrzegł, może wyraźniej niż Wanda, zuchwałość pomysłu francuskiego zespołu, który wspinał się jako pierwszy. W książce *The Endless Knot* napisał: „Nie da się porównać wyników osób wspinających się w stylu na lekko na początku i na końcu sezonu, gdyż w obu wypadkach droga jest w zupełnie innym stanie".

Mógł to być zawoalowany komentarz do sukcesu francuskiego wspinacza Benoît Chamoux, który późnym latem wbiegł na górę w dwadzieścia trzy godziny. A może chciał po prostu podkreślić niepodważalny fakt, że droga z poręczówkami i ustawionymi obozami jest zupełnie inna, łatwiejsza do pokonania przez tych, którzy przybywają pod koniec sezonu.

Wanda pisała:

> **Droga Ewo**
> Maurice i Liliane są w porządku (...). To naprawdę rzadko spotykany przykład małżeństwa wspinaczkowego. Są bardzo

> ze sobą związani i działają najlepiej, kiedy są razem (...). Ona jest zawsze z Maurice'em, podczas gdy ja jestem przykuta do Michela. To największy egoista i egocentryk, jakiego spotkałam w życiu (...), zupełny narcyz zainteresowany tylko sobą. Rości sobie prawo do decydowania o wszystkim. To znaczy – ogranicza moją wolność. Wczoraj zapytał mnie: „Dlaczego jesteś z nami, Francuzami, a nie z Polakami? Ja cię nie potrzebuję, ale ty potrzebujesz mnie i jesteś z tego powodu gorsza". Po tym wydarzeniu zaczynam się przygotowywać do samotnego ataku na K2.
> **Wanda**

Gdy partnerzy Wandy ruszyli w górę, ona została w bazie, gdyż miała atak wysokiej gorączki i zapalenie migdałków. Po kilku dniach odpoczynku poczuła się gotowa, by dołączyć do trójki Francuzów. Dokładnie trzy tygodnie po przybyciu do bazy zaczęli atak szczytowy. Był 18 czerwca. Wspinali się, metodycznie pokonując Żebro Abruzzi. Noc spędzili w obozie pierwszym, następnie przeskoczyli obóz drugi i wybrali biwak na siedmiu tysiącach stu metrach na grani Czarnej Piramidy. Tu złożyli część sprzętu, by mieć lżejsze plecaki.

Potem na siedmiu tysiącach trzystu pięćdziesięciu metrach znów ominęli zwyczajowe miejsce na obóz trzeci i biwakowali na siedmiu tysiącach siedmiuset metrach. Wanda tak opisała to miejsce: „To było pod wielką przewieszoną barierą seraków na komfortowej łacie śniegu, gdzie było tylko trochę niebezpiecznie".[42]

W tym czasie strategia wejścia odbiła się na zespole. Kiedy Wanda i Barrardowie dotarli do zawalonego śnieżnego mostu nad szczeliną niedaleko od ich miejsca biwakowego, uznali, że czas wyjąć linę.

Ale Michel, który miał ją w plecaku, był już daleko w przedzie, bo kiedy tamtędy przechodził, most był jeszcze nietknięty. Załamał się dopiero pod jego ciężarem, gdy przeskakiwał na twardy grunt.

Trójka pozostałych wspinaczy musiała zdecydować się więc na niebezpieczne i wyczerpujące obejście szczeliny, które kończyło się trudną trzymetrową przewieszką.

Techniczna wspinaczka staje się bardzo wyczerpująca na wysokości powyżej ośmiu tysięcy metrów.

Tego dnia osiągnęli tylko siedem tysięcy dziewięćset metrów i zdecydowali się na kolejny biwak. Czasochłonne obejście śnieżnego mostu zmusiło ich do dodatkowego biwaku na ekstremalnej wysokości. Jak się potem okazało, był to fatalny błąd.

W tym czasie relacje między Wandą i Michelem stały się tak toksyczne, że Wanda wolała pożyczyć mały namiocik, by uniknąć spania z Francuzem. Nie mogła znieść jego widoku i papierosowego oddechu. „Trzy namioty na cztery osoby to było trochę za dużo, ale większa waga mojego plecaka była ceną za niezależność" – tłumaczyła.[43]

Zdecydowali się zrezygnować z liny. Pokazuje to, może bardziej niż cokolwiek innego, jak wysoki był poziom umiejętności czwórki wspinaczy i jak doskonałą mieli kondycję. Podejście do stromych i często oblodzonych górnych partii K2 wymaga niezachwianej wiary we własne siły.

Wanda komentowała później: „Byłoby cudownie znaleźć tam poręczówkę, ale kto by ciągnął ze sobą liny na taką wysokość".[44]

Niewyobrażalna byłaby dla niej sytuacja, która przydarzyła się dwadzieścia lat później, gdy mimo pajęczyny poręczówek jedenaście osób zginęło w górnej partii K2. Wanda i jej koledzy byli w strefie śmierci, gdzie kondycja stale się pogarsza. Ich największym problemem był bardzo głęboki śnieg.

Torujący drogę przepychał masy utwardzonego przez wiatr białego puchu, co jest bardzo trudne na tej wysokości. Wyciągał

jedną nogę ze śniegowej dziury, by zaraz wpaść w kolejną, jeszcze głębszą, próbując opierać się na czekanie i łapiąc oddech po tej ciężkiej robocie.

Ogromny wysiłek wykańcza wspinacza torującego szlak, natomiast idący za nim wychładzają się, bo tempo marszu nieuchronnie spada. Najpierw się zamieniali, potem jednak Michel, który okazał się najsilniejszy, zajął się tą uciążliwą pracą.

Znalazł małą platformę skalną na wysokości ośmiu tysięcy trzystu metrów, gdzie mogli biwakować po raz ostatni. Mieli jeden palnik na dwie osoby i nie mieli śpiworów. To była ich trzecia noc powyżej siedmiu i pół kilometrów.

Przed nimi rozciągała się górska panorama. Przewieszona ściana lodowa, pod którą się wspinali, znana jako Bottleneck (Szyjka Butelki), Czarna Piramida, House's Chimney (Komin House'a) i rozciągający się najniżej lodowiec Godwin Austen.

Techniczne trudności były za nimi i mieli już niedaleko do szczytu.

Wanda była przyciśnięta do Michela, gdy spali „na łyżeczkę" w malutkim namiocie. Odskakiwała jak oparzona, gdy ją dotykał.

Różne myśli kłębiły się jej w głowie, powtarzała sobie raz po raz, co czeka ich następnego dnia – w dniu ataku na szczyt. Czuła się mocna – może nie była tak silna jak Michel, ale cały czas miała trochę rezerw.

Obudzili się wcześnie rano 23 czerwca. Dzień był piękny, słoneczny i bezchmurny. Wanda, która jako ostatnia opuściła namiot, dogoniła pozostałych, gdy zatrzymali się, by zrobić przerwę na zupę. Była zdziwiona tym niespotykanym zachowaniem, wylegiwaniem się i gotowaniem tak blisko szczytu. Czyżby miała halucynacje? Nie miała. Trójka francuskich wspinaczy usiadła na lunch.

Wandę rozśmieszyła ta galijska obsesja ucztowania, odrzuciła ich zaproszenie i ruszyła dalej sama. Zdawali się tego nie zauważać.

W wieku czterdziestu trzech lat była silna i pewna siebie jak nigdy wcześniej w wysokich górach. Była u szczytu swych fizycznych możliwości.

O 10.15 stanęła na K2 jako pierwszy polski wspinacz i pierwsza kobieta na świecie, która zdobyła drugą górę świata. Śmiała się i płakała, uklękła i się modliła. W tej chwili czuła się tak, jakby dostała dar nieśmiertelności. „Nie czułam się jak triumfator, ale czułam się, jakby Bóg był blisko mnie".[45]

Następnie na kawałku kartki napisała swoje nazwisko, a obok nazwisko Liliane Barrard, dokumentując w ten sposób pierwsze kobiece wejście.

Wsunęła zwitek do plastikowej torebki, którą włożyła pod kamień niedaleko głównego szczytu. Liliane jeszcze nie doszła, może więc jej działanie było trochę przedwczesne, a może trochę zbyt wspaniałomyślne. Żeby jednak wszystko było jasne, bardzo wyraźnie zaznaczyła czas swojego wejścia, 10.15, a przy imieniu Liliane zostawiła wolne miejsce na godzinę.

Wanda usiadła na szczycie i czekała. Niebo było bezchmurne, lecz dzień nadzwyczaj zimny. Aby się nie wychłodzić, zeszła nieco niżej na północno – wschodnie siodło i zebrała kilka kamieni na prezenty. Wróciła na wierzchołek i czekała dalej. Zaczęła w myślach układać listę przyjaciół, którym mogłaby podarować cenny kamień z K2. Pierwszy na tej liście był na pewno Charlie Houston, Amerykanin, który szturmował szczyt w 1938 i 1953 roku. Lubiła Charliego i czuła, że to on zasłużył na pierwsze wejście, a nie Włosi. Jemu należał się kamień ze szczytu.

Gdy zimno zaczęło wnikać głęboko, zorientowała się, że musi zacząć schodzić. Gdy tylko ruszyła południową ścianą, zauważyła

partnerów pracowicie podążających jej śladem do góry, więc zawróciła. Ostatecznie dołączyli do niej na szczycie około 11, wymieniając ze sobą radosne uściski.

W południe zmęczona i zmarznięta czwórka zaczęła schodzenie, najbardziej niebezpieczną część każdej wspinaczki. Torująca drogę Wanda dotarła do miejsca ich biwaku na ośmiu tysiącach trzystu metrach i zatrzymała się na krótki odpoczynek. Kiedy przybył tam słabnący Maurice Barrard, oświadczył, że spędzą tam noc. Wanda się zgodziła, choć wiedziała, że jeszcze jedna noc na tej wysokości może spowodować tylko większe wycieńczenie.

Może nie chciała rozstawać się z zespołem, a może wpływ wysokości zmącił jej osąd. Później tak opisała ten kluczowy moment: „Byłam zdziwiona, ale nie zaniepokojona. Pomyślałam: nie muszę schodzić dzisiaj. Byłam zmęczona, ale nie wyczerpana. Nie martwiłam się, a przecież powinnam. Siedząc w słońcu, nie wiedziałam, że idzie po nas śmierć".[46]

Raz jeszcze ścisnęli się w dwuosobowym namiocie bez śpiworów. Po niespokojnej i zimnej nocy wstali jeszcze bardziej zmęczeni. Wanda wzięła pod wieczór dwie i pół tabletki nasennej, więc rano była otumaniona. Michel się niecierpliwił, chciał schodzić. Barrardowie byli cisi.

Szli nadal bez liny, a czekały ich dwa najbardziej niebezpieczne odcinki na tej górze. Posuwali się centymetr po centymetrze, drogą przez zalodzony, opadający w dół trawers o nachyleniu pięćdziesięciu stopni. Szli świadomi, że konsekwencje upadku byłyby śmiertelne.

Wanda koncentrowała się na utrzymywaniu równowagi i walczyła z działaniem pigułek nasennych. Michel poruszał się szybciej i jako pierwszy doszedł do słynnego Bottleneck, wąskiego oblodzonego żlebu pełnego luźnych skał pokrytych sypkim

śniegiem. Nagle kątem oka Wanda zobaczyła, jak Michel spada, toczy się coraz szybciej, po czym ląduje bez obrażeń w zaspie na dnie. Nawet się nie obejrzał, otrzepał się i ruszył dalej.

Gdy minął chwilowy szok i poziom adrenaliny opadł, Wanda skoncentrowała się na tym, co było teraz najważniejsze. Napominała się z każdym krokiem: „Uważaj, Wanda, uważaj. Nikt ci teraz nie pomoże, nikt cię nie sprowadzi, jesteś zdana na siebie".

Jej koncentracja była tak intensywna, że zapomniała o Barrardach. Wiedziała jednak, że są razem, gdy ona była sama.

Kiedy zbliżyła się do dolnej krawędzi żlebu, zatrzymała się, by złapać oddech, i spojrzała za siebie. Zobaczyła parę poruszającą się wolno niedaleko górnego fragmentu Bottleneck. Maurice był ponad Liliane i Wanda odczuła ulgę: choć Bottleneck był stromy, nie było tam lodu, tylko dużo miękkiego śniegu.

Gdy znów ruszyła w dół, napłynęły chmury, przesłaniając jej widok na rozciągające się przed nią śnieżne pole poryte szczelinami. Nawet przy dobrej widoczności poruszanie się po tym pełnym dziur terenie było niebezpieczne, teraz zaś stało się samobójcze. „Byłam jednak opanowana i czułam euforię. Moje przekonanie o własnej nieśmiertelności było dla mnie zagrożeniem, ale też pozwalało mi funkcjonować bez zahamowań i nie wpadać w panikę. To uratowało mi życie. Wspinałam się na najwyższym poziomie moich umiejętności, a szczęście mnie nie opuszczało".[47]

Wanda czerpała z lat doświadczeń poruszania się w takim terenie. Miała przytępiony umysł, lecz jej pamięć mięśniowa była mocna, a instynkt niezawodny. To kumulacja wiedzy – nie tylko szczęścia – pozwoliła jej iść bez liny przez cały dzień wysoko na K2.

Złapała Michela na wysokości siedmiu tysięcy siedmiuset metrów. Tej nocy nękani przez śnieg i wiatr, który smagał ich namiot, nie mogli zbytnio wypocząć. Następnego ranka Michel

powiedział jej, że chce poczekać na Barrardów, ale ponieważ kończyło się paliwo, namawiał Wandę, by schodziła z kilkoma Baskami i Włochami, którzy biwakowali w pobliżu. Zgodziła się i ruszyła. Padał śnieg, a w dodatku gęsta mgła okryła górę. Wyczerpana długim wspinaniem i nocami spędzonymi powyżej ośmiu kilometrów Wanda nie mogła nadążyć za innymi i wkrótce została sama. Wysilała się, by wypatrzyć szlak, ale wiatr szybko zacierał ślady w świeżym śniegu. W dodatku zgubiła gogle i musiała używać rezerwowej pary, która była zbyt cienka na taki mróz. Nagle zobaczyła dwa ciemne paski na białym tle – kijki narciarskie. I tuż poniżej poręczówki. Poczuła niezmierną ulgę, że bezpiecznie dotarła do tego miejsca, i wciąż zamroczona uznała, że to Baskowie musieli zostawić dla niej te kijki. Wzięła je i gramoliła się w dół, trzymając się kurczowo liny, by wiatr, który przerodził się w szalejącą wichurę, nie zwiał jej ze stoku. Zatrzymała się.

I wtedy dotarła do niej straszna wątpliwość – a jeśli kijków nie zostawiono dla niej, tylko zrobiono to po to, by oznaczać początek poręczówek dla wszystkich schodzących? Teraz ci za nią mieli dużo trudniej. Wiedziała jednak, że jest za daleko, by wrócić i naprawić szkodę – musiała schodzić, by przeżyć. Skoncentrowała się na powtarzaniu chroniących życie ruchów: wpiąć karabinek do poręczówki, opuścić go, przepiąć do kolejnej poręczówki. Nie mogła stracić koncentracji nawet na moment. Później opisała to desperackie schodzenie jako najgorszy dzień na K2. Był wieczór, kiedy dotarła do namiotu u stóp Czarnej Piramidy.

Opadła na sprzęt i zasnęła. Przeleżała dzień i noc. Zbierała siły, podgrzewając wodę i jedząc co nieco. Najmniejszy ruch sprawiał jej ból. Odmrożone ręce utrudniały wykonywanie zwykłych czynności, takich jak zapięcie kurtki, rozpalenie palnika, otwarcie paczki z zupą,

utrzymanie płynu w menażce, by się nie wylewał. Wspinacze z jej zespołu nie nadchodzili. Z wysiłkiem przypominała sobie, jak po raz ostatni patrzyła na Maurice'a i Liliane, gdy posuwali się drogą w dół Bottleneck. Czy ich pozycja na stoku mogła coś znaczyć? Czy coś pominęła? I gdzie Michel?

Była pewna, że gadali w namiocie na siedmiu tysiącach siedmiuset metrach, ale może tak nie było? Nie była już pewna niczego. Czuła się straszliwie przygnębiona. Czy to możliwe, że tylko ona z całego zespołu przeżyła? Traciła i odzyskiwała świadomość. Powoli mieszało jej się, kto był na górze i w którym miejscu. Wszystko, co jeszcze w niej żyło, krzyczało: uciekaj z tej góry, póki możesz! Wcisnęła do plecaka żałosne resztki ekwipunku pozostałe po jej wspinaczce: palnik, pusty pojemnik po paliwie, garnek inkrustowany zaschniętymi resztkami zupy i zawilgocony śpiwór. Gdy wyczołgała się z namiotu, zobaczyła postać na stoku. Był to Benoît Chamoux. Szedł do góry, by pomóc Michelowi, który podał przez radio, że jest na poręczówkach i dramatycznie potrzebuje pomocy.

Benoît wyjaśnił, że w śnieżycy Michel nie mógł znaleźć poręczówek i że dopiero on przez radio sprowadził go metr po metrze z górnych partii góry. Rutkiewicz pomyślała o kijkach. Czy to, że je zabrała, przeszkodziło Michelowi?

Barrardowie nadal nie dawali znaku życia.

Gdy spotkała dwóch polskich wspinaczy idących w górę, opanowana zwykle Wanda zupełnie się rozkleiła. Wtuliła się w nich i zaczęła cicho łkać. Po tym całym okresie osamotnienia, nieustannego współzawodnictwa i rozgoryczenia był wreszcie ktoś, kto zaoferował pomoc, zaopiekował się nią.

Miała odmrożoną twarz, ręce i nogi. Kiedy brytyjski filmowiec Jim Curran patrzył, jak kulejąc, zbliża się do bazy, był przerażony jej

wyglądem. Przed wspinaczką promieniała energią, a teraz sprawiała wrażenie o dziesięć lat starszej. Stało się to w dziesięć dni. „Jej twarz jakby się zapadła” – powiedział.

* *
*

Gdy na górze toczył się dramat Wandy, jej rodacy nie próżnowali. Polacy prowadzeni przez Janusza Majera byli na Magic Line, drodze określanej jako „ostatni wielki problem K2”. Na Sickle Couloir na południowej ścianie działali Jurek i Tadek Piotrowski.

To był znak potęgi polskiej społeczności wspinaczy. Tylko Polacy mogli wystawić trzy osobne zespoły równocześnie na trzy powszechnie uznawane za najtrudniejsze wysokogórskie drogi Ziemi.[48]

Niezależnie od tego, czy wszyscy weszli na szczyt, Polacy dominowali tego roku na K2.

Tadek był jednym z najbardziej utalentowanych polskich wspinaczy znanym z treningów pływackich w lodowatej wodzie. To on zarezerwował dwa miejsca dla siebie i Jurka w ekspedycji na K2 prowadzonej przez Karla Herrligkoffera. Była to pierwsza międzynarodowa wyprawa, do której dołączył Jurek. Boleśnie odczuł różnice w zasobności między Polakami a resztą zespołu. Pojawiające się nieplanowane wydatki, takie jak napiwki, specjalne dopłaty, zwiększone taryfy, które dla wspinaczy z Zachodu nie stanowiły problemu, u Polaków powodowały niemal panikę. Udowodnili oni już nieraz, że potrafią spędzać ogromne ilości czasu w Himalajach, ale jednym z ich sekretów była oszczędność.

Kiedy Karl rozdawał tragarzom markowe, nowe buty Adidasa czy delikatne wełniane skarpetki, Jurek patrzył na to z zazdrością. Atmosfera w grupie była trochę irytująca, tak jak zachowanie

niektórych członków wyprawy. Do ekipy weszło wielu szwajcarskich przewodników. Jurek szydził z jednego z nich, twierdząc, że jest „wysmukły jak chart, który przez całe życie nie robi nic innego, tylko biega po Alpach".

Figura Jurka nie była zła, ale kiedy jeden z przewodników, gapiąc się na jego lekko wystający brzuch, skomentował: „Wcale nie wyglądasz na alpinistę", Jurek poczuł się obrażony.

– Pogadamy na ośmiu tysiącach metrów – zamruczał pod nosem i odszedł.

Zachodnioeuropejscy wspinacze byli oburzeni, kiedy Karl poparł polski pomysł wytyczenia nowej drogi na południowej ścianie. – Wasza dwójka będzie grała pierwsze skrzypce. Dostaniecie wszystko, czego tylko będziecie potrzebowali – oświadczył ku przerażeniu reszty zespołu.

Szwajcarów i Niemców interesowała tylko zwykła droga na K2 lub Broad Peak. Żadnych ekstremalnych wyczynów nie mieli w planach, czekały przecież na nich wygodne życie i dobra praca.

Natomiast dla Jurka i Tadka nie było na świecie nic ważniejszego od wspinania się w górach po nowych i trudnych drogach. Ta oczywista różnica skłaniała Jurka do refleksji, że zachodni wspinacze byli jak ich samochody. Znakomicie sprawdzały się na dobrych drogach, ale stare polskie modele jechały nawet wtedy, kiedy drogi zamieniały się w wertepy.

Karl nie zamierzał pozostawać w górach przez cały czas trwania wyprawy. Jego dwudziesta czwarta już ekspedycja w Himalaje stanowiła zaledwie element obchodów siedemdziesiątych urodzin. Zdrowie mu szwankowało, więc wkrótce wezwał helikopter, by zabrał go z bazy do bardziej komfortowego miejsca na niższej wysokości. Wówczas zespół się podzielił i mniej ambitni wspinacze udali się na łatwiejsze drogi. Jurek i Tadek zaczęli się wspinać

południową ścianą. Jurek znał ją, bowiem w 1982 roku doszedł tam do sześciu tysięcy czterystu metrów z Kurtyką.

W drodze do pierwszego obozu towarzyszyło im czterech innych uczestników ekspedycji, do kolejnego już tylko dwóch. W końcu zostali sami. Założyli poręczówki tak wysoko, jak mogli, i wrócili do bazy, by przeczekać burzę śnieżną. Byli zaaklimatyzowani i gotowi do ataku na szczyt. Teraz wszystko zależało od pogody.

Czekali dziesięć dni. Pod koniec czerwca słońce znów się pojawiło. Odczekali kolejne dwa dni, by świeży śnieg się zbił, a jego masy osiadły na lodowej powłoce. Ruszyli. Pierwszego dnia doszli na wysokość 6400 metrów, drugiego na 6950, trzeciego na 7400, czwartego na 7800, a piątego zatrzymali się na 8200 metrach.

Następnego ranka opuścili namiot, mając tylko trzydzieści metrów liny, trzy haki, śrubę lodową i czekany. Zamierzali dojść do szczytu i wrócić do najwyższego obozu. Nie udało im się to jednak – przed nimi wyrosła stumetrowa bariera, prawie pionowa skała pokryta luźnym, niezwiązanym śniegiem. Przeszedł dzień, nim zdołali pokonać ten fragment trudnego technicznie terenu, gdzie każdy ruch był wyczerpujący. Pięli się w górę z wielkim trudem centymetr po centymetrze. Jurek uznał, że była to jego najtrudniejsza w życiu wspinaczka na takiej wysokości.

Ten kluczowy moment pod szczytem K2 przeszli niewątpliwie dzięki temu, że przez wiele lat trenowali na mikstowych drogach w Tatrach. Kiedy pokonali największe trudności, było za późno, by iść dalej. Zaczęło padać.

Zjechali do miejsca biwaku z ostatnich nocy. Gdy szykowali się do gotowania, upuścili palnik. Spadł tysiąc metrów w dół. Brak ognia oznaczał brak jedzenia i, co bardziej niepokojące, brak płynu. Mieli za sobą dzień psychicznego i fizycznego wysiłku powyżej ośmiu tysięcy metrów i musieli spędzić biwak bez wody.

Wysuszeni na wiór przeżyli noc, ale zdecydowali, że zrewidują plan. Zamiast wspinać się na szczyt i zjeżdżać drogą na południowej ścianie, postanowili zejść, najszybciej jak się da, normalną drogą przez Żebro Abruzzi, gdzie mieli nadzieję znaleźć jakiś dobrze wyposażony obóz. Uznali, że nie mają innej możliwości, choć plan ten był ryzykowny, bo żaden z nich nie znał tej drogi. O 14 następnego dnia pokonali barierę raz jeszcze i wyszli na łatwiejszy teren grani. Dzień się wlókł, śnieg sypał, a widoczność spadała. Nasiliły się burze.

Czasem znajdowali ślady pierwszej tegorocznej wyprawy normalną drogą. Byli więc w dobrym miejscu. Kontynuowali wchodzenie, odnajdując drogę po omacku, ale około 18 zaczął zapadać zmrok. Jurek był pewny, że są blisko szczytu. Doszedł do bariery seraków i oparł się ciężko na czekanie, by złapać oddech. Kiedy tak wpatrywał się tępo w śnieg, prawie upadł z wrażenia. Zobaczył dwie francuskie paczki po zupkach w proszku. Musiały należeć do zespołu Rutkiewicz, wiedział bowiem z jej opisu, że biwakowali pod barierą na około ośmiu tysiącach trzystu metrach. Te opakowania były więc z jej biwaku. Prawie zwymiotował z rozczarowania. Oznaczało to bowiem, że mają do szczytu jeszcze długą drogę. Gdy wpatrywał się w nieszczęsne opakowania, nadszedł Tadek.

– Patrz na te cholerne opakowania. Myślę, że jesteśmy na biwaku Wandy. To niżej, niż myślałem, tylko osiem tysięcy trzysta metrów.

– Kto wie – odpowiedział Tadek zmęczonym głosem. – Jest tak mglisto, że nie mamy szans dowiedzieć się, gdzie jesteśmy. Możemy się tu zatrzymać i iść dalej jutro.

– Nie. Nie możemy tego zrobić. Jeśli tu zabiwakujemy, nie będziemy mieli sił iść do góry jutro. – Jurkowi wróciła energia.

– Dobra, więc co robimy?

– Wstawaj, napieramy. Pójdę za ten serak i zobaczę, co tam jest. Może coś wypatrzę.

– Dobrze – mruknął Tadek.

Ruszyli i chwilę później Jurek odwrócił się i krzyknął. Zobaczył szczyt, był bardzo blisko. Opakowania z francuskich zupek pochodziły z dziwnego przedszczytowego lunchu towarzyszy Wandy, a nie z biwaku. Przeszedł te ostatnie kilka kroków do góry i padł na ziemię, łapiąc ze świstem oddech. Pogrzebał w plecaku, wyjął aparat i zaczął robić zdjęcia. Krótko potem, chwiejąc się, nadszedł Tadek. Padli sobie w ramiona, klepali się po plecach, sapali, smakując ciężko wywalczone zwycięstwo nad K2, na najtrudniejszej drodze wspinaczkowej, jaką kiedykolwiek poprowadzono na tej górze. Po piętnastu minutach przypomnieli sobie, że ich sukces nie będzie miał znaczenia, jeśli zginą. Zaczęli schodzić.

Dotarli do miejsca, gdzie pozostawili trochę rzeczy, i tam przygotowali jamę na kolejny zimny, śnieżny biwak na ośmiu tysiącach trzystu metrach. Padało całą noc. Bez wiatru góra była niesamowicie cicha, podczas gdy miękki zabójczy kocyk stawał się coraz grubszy. Śnieg padał nadal następnego ranka, sprawiając, że znalezienie drogi w dół stało się jeszcze trudniejsze. Chociaż schodzili po stosunkowo łatwym terenie, wszystko wyglądało tak samo i było nowe i obce. By nie zabłądzić, szukali śladów po tych, którzy szli tamtędy wcześniej. Czasem znajdowali kawałki starej liny wskazujące, że są na dobrej drodze. Często jednak schodzili z drogi i wyczerpani zmuszali się, by wrócić po własnych śladach na szlak.

Po zmierzchu do austriackiego obozu, w którym mieli nadzieję się przespać, był jeszcze kawał drogi. Nie było wyjścia – kolejny biwak, kolejna noc obumierania. Już czwarty raz zatrzymywali się

na ekstremalnej wysokości. Nie chciało im się nawet wykopać porządnej śnieżnej jamy. Wygrzebali jedynie wgłębienie, które tylko trochę chroniło przed wiatrem. Nawet niezniszczalny Jurek cierpiał. „Wiem, czuję to, widzę, że jesteśmy u kresu sił – napisał później. – Nasz biwak był nawet gorszy niż noc wcześniej. Przez dwa dni nie mieliśmy kropli wody, a płachty biwakowe były pełne dziur. Noc była absolutną torturą – dygotaliśmy w strasznym zimnie, a śnieg wciskał się do każdej szczeliny i zakamarka. Zasypialiśmy tylko na chwilę".[49]

Zamieć skończyła się o świcie. Otępiali wychylili się ze śpiworów. W szarówce wydawało im się, że są nad austriackim obozem – Jurek miał wrażenie, że widzi namioty. Wyszedł trochę naprzód i krzyknął do Tadka, że szlak jest czysty. Przypomniał mu, by zabrał linę, na której siedział w nocy.

– Dobrze, dobrze, idź dalej! – odkrzyknął Tadek.

Jurek ruszył w dół. Odwrócił się i zobaczył, że Tadek ledwo się porusza – miał zaburzoną koordynację. Jurek zatrzymał się, by na niego poczekać, i momentalnie zasnął wsparty na czekanie. Kiedy się ocknął, Tadek był już przy nim. Pod nimi było strome zbocze, a w dole namioty.

– Użyjmy liny na tej stromej części – zaproponował Jurek.

– Nie, nie będziemy jej potrzebować. Poza tym zostawiłem ją na górze.

Jurek podniósł się, ruszył. Kroczył, wybijając stopnie. Jego myśli wędrowały ku ciepłemu obozowi, który był niemal na wyciągnięcie ręki. Tymczasem zbocze okazało się bardziej strome, niż sądzili, a śnieg zlodowaciał. Musiał być teraz ostrożny. Z impetem wbijał ostrza czekanów. „Stawiaj kroki pewnie. Żaden problem. To mała odległość. Skoncentruj się" – powtarzał w myślach.

Zerknął w górę, Tadek spokojnie szedł za nim po jego śladach. Wtem coś mu mignęło przed oczami: rak Tadka odczepił się i zleciał z jego nogi. Jurek krzyknął ostrzegawczo, a wtedy stało się niemożliwe – Tadkowi zsunął się drugi rak. Jurek zawołał: „Trzymaj się!".

Tadek próbował. Jego czekan był mocno osadzony w śniegu, ale nie mógł go dłużej utrzymać – nagle cały ciężar Tadka przeniósł się na ramiona, a buty bezskutecznie skrobały lodowate zbocze. Poleciał w dół, krzycząc.

Jurek był dokładnie pod Tadkiem. Chwycił swoje czekany tak mocno, jak tylko mógł, i przycisnął się do zbocza. Poczuł mocne uderzenie w plecy. Po paru sekundach uzmysłowił sobie, że jakimś cudem wciąż jest przyczepiony do zbocza.

Podniósł głowę i się rozejrzał. Na powierzchni lodowej ściany zostało tylko kilka niewyraźnych śladów i małe kawałki lodu sunące w dół.

Oszołomiony zszedł zboczem, u dołu którego zaczynało się urwisko, szukając Tadka. „Tadek! Tadek! Odpowiedz mi! Gdzie jesteś?" – wołał. Po chwili wsparł się na czekanach i znowu zasnął, ale obudził się prawie natychmiast. Tysiące metrów przepaści ziało pod nim. Przez pięć i pół godziny przemierzał cal po calu pozostałe dwieście metrów trawersu do austriackich namiotów.

Wpełzł do jednego z nich i przetrząsnął wszystko, szukając czegoś do picia lub jedzenia. Znalazł puszkę owoców i pochłonął je wszystkie. Znalazł też maszynkę i trochę paliwa, zaczął topić śnieg. Napił się i na chwilę zasnął. Zauważył radio, połączył się z bazą, by powiedzieć o wypadku. Nie działało dobrze, ale Jurkowi wydawało się, że słyszy niewyraźną odpowiedź. Osunął się i zasnął z radiem przy uchu. Wreszcie wszedł do śpiwora i przeturlał się na bok namiotu, zostawiając miejsce dla Tadka, który przecież

niedługo się pojawi. Musi się pojawić. W domu czekają na niego żona i córka.

Ciągle widział spadającego Tadka. Czy wiedział, że zaraz umrze? Jurek oddałby wszystko, by cofnąć się w czasie, spowolnić wydarzenia, wcisnąć reset.

Obudził się dwadzieścia godzin później. Był już kolejny dzień, druga po południu. Znów próbował połączyć się z bazą przez radio, ale nie mógł nawiązać kontaktu. Okazało się, że wcześniej z nikim nie rozmawiał, bo w radiu nie było baterii. Tylko w wyobraźni słyszał głosy z bazy.

Tymczasem Janusz Majer był na drodze Magic Line ze swoim siedmioosobowym zespołem, do którego należały poprzednie partnerki wspinaczkowe Wandy: Anna Czerwińska, Krystyna Palmowska i Dobrosława Miodowicz-Wolf zwana „Mrówką".

Oprócz ekipy Janusza jeszcze trzy ekspedycje otrzymały pozwolenie na wejście tą drogą: zespół amerykański, włoski team Quota 8000 i sławny samotny alpinista Renato Casarotto. Amerykanie i Włosi dotarli tylko do sześciu tysięcy ośmiuset metrów, gdy John Smolich i Alan Pennington zginęli pod lawiną 21 czerwca, u stóp zbocza poniżej przełęczy Negrotto. Amerykanie się poddali, Włosi opuścili filar, wybierając Żebro Abruzzi, na które wspinali się Wanda i jej ekipa. Renato zaś dwukrotnie osiągnął osiem tysięcy dwieście metrów na filarze, ale za trzecim razem także się wycofał.

Została więc tylko ekipa polska podzielona na dwa zespoły; jeden składał się z czterech mężczyzn, drugi z trzech kobiet. Założyli poręczówki i rozbili obozy na filarze. Po dwóch biwakach powyżej ośmiu tysięcy metrów trzech wspinaczy z grupy męskiej – Wojciech Wróż, Przemek Piasecki i Słowak Peter Božik – weszło na szczyt 3

sierpnia. Ponieważ ich droga okazała się bardzo trudna, zdecydowali się tak jak Jurek i Tadek schodzić Żebrem Abruzzi.

Przemek ostatnie pięćdziesiąt metrów zjechał po poręczówce. Za nim Petr. Czekali na Wojciecha, by razem zejść do czwartego obozu, bo dalsza droga była nieoporęczowana. Była 1.30 w nocy, gdy nagle usłyszeli przerażający metaliczny odgłos. Obawiali się najgorszego, ale wciąż czekali. Półtorej godziny później spotkali schodzącego wspinacza koreańskiego, który powiedział, że Wojciecha nigdzie nie widać. Zrozumieli, że Wojciech spadł. Zaczęli schodzić do czwartego obozu, gdzie natknęli się na mały namiot Brytyjczyka. Alan Rouse i „Mrówka" zaprosili ich do środka. Przemek i Petr nie byli pewni, co się stało, ale podejrzewali, że Wojciech spadł w przerwie między poręczówkami. Dopiero później dowiedzieli się, że przerwę tę zrobił nieumyślnie jeden z Koreańczyków, który odciął linę, żeby przyłączyć ją do innego brakującego odcinka poręczówki.

Janusz, Krystyna i Anna też zaczęli się wspinać. Byli zdenerwowani.

– Atmosfera była niezdrowa – zapamiętała Anna. – Wracasz i dowiadujesz się, że ktoś nie żyje. Chwilę później, że ktoś inny zginął. Zaczynaliśmy tracić zmysły.[50]

Pogoda była dobra, każdego dnia wspinali się o jeden obóz wyżej.

– Góra wciągała nas w pułapkę – wspomina Anna. Założyli biwak na ośmiu tysiącach dwustu metrach gotowi, by następnego dnia wejść na szczyt. 4 sierpnia wczesnym rankiem dowiedzieli się o śmierci Wojciecha Wróża. Janusz usiadł w śniegu, ukrył twarz w dłoniach i zawodził: „Dosyć, to już, kurwa, za dużo!".

Decyzja była jednogłośna. Spakowali się i zaczęli schodzić. Nadeszła mgła, zaczął padać śnieg. Ta nagła zmiana pogody

nastąpiła w dniu, w którym duża grupa wspinaczy na Żebrze Abruzzi rozpoczęła swój marsz na szczyt. Następnego dnia pogoda jeszcze bardziej się pogorszyła, wiatr był tak silny, że stare poręczówki pokryte dwucentymetrowymi soplami układały się poziomo. Janusz i kobiety uciekali z góry, walcząc o życie w nawałnicy. Ewakuowali wszystkie swoje obozy po drodze do bazy.

Góra się o nich nie upomniała, zajęta wspinaczami na Żebrze, których zmagania dopiero się zaczynały.

– Góra nas uwolniła – mówiła Anna. – Pamiętam widok światła mojej lampy... Tak wielu ludzi odeszło. A głupia bateria ciągle działała. Byłam wstrząśnięta, gdy to sobie uzmysłowiłam.[51]

Dotarli do bazy. Cały dzień i całą noc nawadniali się, jedli i suszyli ubrania. A gdzie ekipa z Żebra Abruzzi? – zadali sobie pytanie. Dlaczego nic o nich nie słychać? Była tam ich partnerka „Mrówka". Opuściła filar, bo wydał się jej zbyt niebezpieczny, i ruszyła na Żebro wspinać się z Alanem Rouse'em.

* *
*

Jurek wyczołgał się z austriackiego namiotu i przez dwa dni posuwał się w dół po poręczówkach do bazy. Tadek był piątą ofiarą K2 w tamtym roku.

Wanda mówiła zawsze, że Jurek może przeżyć bardzo długo na diecie złożonej z himalajskich kamieni i wyjść z tego cały i zdrowy. Ale nie Tadek. Była to kolejna, czwarta wyprawa, na której Jurek stracił towarzysza.

Nowa droga na K2 była wyjątkowa – wymusiła taki styl wspinaczki, który otworzył całkiem nowy wymiar alpinizmu. Jurek nie czuł jednak radości. Jego doświadczenia na tej górze były zbyt

tragiczne, a cena sukcesu zbyt wysoka. Magiczna Linia Majera też była kamieniem milowym, lecz dla Janusza śmierć Wojciecha także przekreśliła radość z sukcesu. Obie wspinaczki przez całe lata były pomijane, przesłonięte przez tragedie na K2.

* *
*

Każdy na górze narażony był na kaprysy pogody, a burza na K2 przybierała na sile. Sytuacja stawała się dramatyczna. Renato Casarotto wpadł w szczelinę, kiedy samotnie wracał z Magicznej Linii. Udało się go wyciągnąć, ale umarł chwilę później. Barrardowie nie wracali. Ciało Liliane pojawiło się niedługo potem na dolnym lodowcu, przyniesione przez falę lawin.

Na wysokości siedmiu tysięcy dziewięciuset metrów siedmiu wspinaczy spotkało się w czwartym obozie Żebra Abruzzi, jedni w drodze na górę, inni na dół. Wszyscy byli na granicy wytrzymałości, a brakowało namiotów i śpiworów. Tam, wśród resztek obozu i w drodze w dół, zginęło kolejnych pięć osób: Julie Tullis, Hannes Wieser, Alfred Imitzer, Alan Rouse i „Mrówka". Przeżyło tylko dwóch – Kurt Diemberger i Willi Bauer. Kiedy tragarz wysokościowy Mohammad Ali zginął pod lawiną kamieni, liczba ofiar na K2 sięgnęła trzynastu.

Co poszło źle? Kto, jeśli ktokolwiek, był odpowiedzialny za te tragedie na górze? Powszechnie uznawano, że na rozmiar tragedii – jak w przypadku zespołu Wandy – wpłynęło zbyt długie przebywanie w strefie śmierci.

– Wydaje się oczywiste, że pod żadnym pozorem nie można wspinać się z myślą, że jedyne, co się liczy, to wejście na szczyt, a reszta jest nieważna – komentował później Janusz.

Kurt był zdruzgotany, gdy stracił Julie, swoją górską bratnią duszę. Michel czuł się odpowiedzialny za Barrardów. Wdowa po Renato miała złamane serce. Jim był cały czas w bazie, próbując zrozumieć dziejący się dramat. Filmował wykończonych ocaleńców snujących się od namiotu do namiotu i po cichu dzielących się opowieściami. Cienkie ściany nie mogły stłumić kaszlu i łkania. Wanda zamknęła się w sobie, nie chciała odsłaniać głębi swojego smutku. Żal mieszał się z poczuciem winy. Mało było powodów do świętowania.

Ku zdumieniu tych, którzy zostali w bazie, Wanda mimo odmrożeń, znużenia i przygnębienia rozpoczęła przygotowania do natychmiastowego wejścia na niedaleki Broad Peak. Mając na uwadze to, co się działo i co przeżyła, można było sądzić, że straciła kontakt z rzeczywistością. Zaczynała działać irracjonalnie, mogła rozmawiać tylko o ośmiotysięcznikach. Przyznała, że nie odczuwała przyjemności, wchodząc na szczyt K2 – straciła tam zbyt wielu przyjaciół. Mimo to przygotowywała się do kolejnego wyczynu. Była taka jak inni skomplikowani, dręczeni obsesją wyczynowcy, niezdolna do przeżywania spełnienia przez dłuższy czas, poszukująca ciągle nowych wrażeń i wyzwań.

A może był to rodzaj autoterapii? Wanda pisała w dzienniku: „Pewne wydarzenia dochodzą do mnie dopiero po długim czasie (...). Moja reakcja na agresję, katastrofę czy tragedię jest opóźniona. Pewnych wydarzeń, które przeżyłam, po prostu nie mogę zaakceptować".

Sponiewierana i załamana Wanda kierowała się samotnie ku Broad Peak, aby spróbować samotnego wejścia w stylu alpejskim. Nie dotarła nawet do pierwszego obozu, gdy zawróciła.

Do 1986 roku podczas wspinaczki na K2 zginęło dwunastu ludzi. Teraz zginęło ich więcej w jednym sezonie.

Wanda miała wystarczające doświadczenie, by zdiagnozować przyczyny tragedii, jakie zdarzyły się na Żebrze Abruzzi. Zbyt dużo ekip nie było profesjonalnymi zespołami, tylko zbieraniną niezależnych wspinaczy. Nawet jeśli formowały się dwójki i trójki w obrębie większej grupy, gdy sytuacja się komplikowała, ujawniał się bardzo niski poziom wzajemnej lojalności. Wielu szło przez Żebro Abruzzi, uważając, że jest to łatwiejsze wejście niż inne. Prowadziło to do dewaluacji trudności drogi w oczach wspinaczy.

Jednak nie tylko ci, którzy szli w górę Żebrem, wpłynęli na fatalny rozwój wypadków. Wspinacze schodzący po zdobyciu K2 innymi drogami też przyczynili się do zatłoczenia czwartego obozu. Ich niespodziewane przybycie na pewno komplikowało sytuację.

Tuziny wspinaczy podejmowały decyzje, które wydawały się przemyślane, jednak zabrakło im wiedzy i zdolności przewidywania. Sądzili, że podejmują ryzyko na poziomie nie większym niż zwykle. A jednak ich wyprawy zakończyły się zaciekłą walką o przetrwanie.

Jurek był pewny, że wszystko jest pod kontrolą, aż do momentu, gdy Tadek w niego uderzył. Janusz stracił apetyt na ryzyko, gdy dowiedział się o śmierci towarzysza. Wanda natomiast nawet po tragedii wydawała się chętna, by podjąć jeszcze większe wyzwanie na Broad Peak.

Nie obwiniała nikogo o śmierci na K2, dręczyło ją tylko jedno: wolne tempo wspinaczki Kurta. Poprzez skomplikowane ciągi skojarzeń doszła do wniosku, że powolność jego i Julie wywołała efekt domina. A ponieważ Kurt podczas zejścia nie był w stanie bądź nie chciał uratować jej bliskiej przyjaciółki „Mrówki", Wanda nie mogła się pozbyć urazy do niego. Być może jej złość na Kurta brała się stąd, że uświadamiała sobie, iż sama mogła postąpić tak samo. Mogła czuć się też winna, bo to ona zasugerowała „Mrówce" zmianę trasy.

Gdy Jurek wrócił do Polski po K2, Artur Hajzer przyjechał do Warszawy, by się z nim spotkać. Przywitali się niezbyt wylewnie. Artur nie pytał o Tadka, a Jurek słowem nie wspomniał o wejściu. Jadąc na południe, w kierunku Katowic, Artur napomknął o przygotowaniach do wyjazdu na Manaslu. Jurek skinął głową, patrząc w dal.

– Spakowaliście bębny? – spytał.

– Tak – odparł Artur. – Wyjeżdżamy za trzy tygodnie. – Czekał na odpowiedź Jurka.

Przez chwilę Jurek nie mówił nic, a potem kiwnął głową.

– Dobrze. Będę gotowy.

Celina odprowadza Jerzego Kukuczkę przed jego wyjazdem na ekspedycję na Alaskę [JERZY KUKUCZKA/ARCH. PRYWATNE]

Zyga Heinrich, Jerzy Kukuczka i Sławomir Łobodziński w jaskini lodowej na 7900 m podczas wejścia na południową ścianę Nanga Parbat, 1985 rok [CARLOS CARSOLIO/ARCH. PRYWATNE]

Zyga Heinrich, Jerzy Kukuczka i Sławomir Łobodziński zbliżają się do szczytu Nanga Parbat, 1985 rok [CARLOS CARSOLIO/ARCH. PRYWATNE]

Jerzy Kukuczka [MAREK PRONOBIS]

Wanda Rutkiewicz na szczycie Mount Everestu, który zdobyła jako pierwsza Europejka i pierwszy wspinacz z Polski [FOT. BOGDAN JANKOWSKI/ARCH. PRYWATNE]

Polscy wspinacze pracują na katowickich kominach [KRZYSZTOF WIELICKI]

Spotkanie papieża Jana Pawła II z Wandą Rutkiewicz podczas jego pierwszej pielgrzymki do Polski [WANDA RUTKIEWICZ/ARCH. PRYWATNE]

Bogdan Jankowski i jego centrum komunikacji w zimowej bazie pod Everestem [BOGDAN JANKOWSKI]

Krzysztof Wielicki w Tatrach, 1973 rok [BOGDAN JANKOWSKI]

Portret Wandy Rutkiewicz [WANDA RUTKIEWICZ/ARCH. PRYWATNE]

Krzysztof Wielicki i Leszek Cichy w bazie pod Everestem, dwa dni po pierwszym zimowym wejściu, 17 lutego 1980 roku [BOGDAN JANKOWSKI]

Wojtek Kurtyka i Alex MacIntire na Makalu, 1981 rok [JERZY KUKUCZKA/ARCH. PRYWATNE]

Wanda Rutkiewicz wykończona ciągłymi rozmowami z dziennikarzami po zdobyciu przez nią Everestu [WANDA RUTKIEWICZ/ARCH. PRYWATNE]

Wojtek Kurtyka, Jerzy Kukuczka, Alex MacIntyre na Makalu, 1981 rok [JERZY KUKUCZKA/ARCH. PRYWATNE]

Ewa Waldeck-Kurtyka (pierwsza żona Kurtyki), Wojtek Kurtyka i Zbigniew Czyżewski w latach 80. Wojtek nazwał to zdjęcie „Małolat" ze względu na Zbigniewa, który był jednym z najbardziej błyskotliwych i utalentowanych wspinaczy w Tatrach, a który zginął w młodym wieku [WOJTEK KURTYKA/ARCH. PRYWATNE]

Jerzy Kukuczka, Makalu, 1981 rok [JERZY KUKUCZKA/ARCH. PRYWATNE]

Ciężarówka polskiej ekspedycji na K2 wyrusza spod Dworca Centralnego w Warszawie, 1982 rok [MIROSŁAW WIŚNIEWSKI]

Wanda Rutkiewicz wciąż o kulach, 1982 rok [WANDA RUTKIEWICZ/ARCH. PRYWATNE]

Wanda Rutkiewicz w bazie pod Nanga Parbat [WANDA RUTKIEWICZ/ARCH. PRYWATNE]

Krzysztof Wielicki w bazie pod Broad Peak z usytuowaną najwyżej na świecie ekipą filmową – Austriakiem Kurtem Diembergerem i Julie Tullis [KRZYSZTOF WIELICKI/ARCH. PRYWATNE]

Wojtek Kurtyka i Jerzy Kukuczka w bazie pod K2, 1982 rok [JANUSZ KURCZAB]

Artur Hajzer w bazie zimowej wyprawy pod Annapurną [ARTUR HAJZER/ARCH. PRYWATNE]

Jerzy Kukuczka i Artur Hajzer – jeden z „Magic Teams" złotego wieku polskiego himalaizmu [ARTUR HAJZER/ARCH. PRYWATNE]

Wojtek Kurtyka i Jerzy Kukuczka przybywają do bazy pod Gaszerbrumami po zrobieniu nowej drogi na Gaszerbrum I [JERZY KUKUCZKA/ARCH. PRYWATNE]

Ładując bębny na autobus w drodze pod K2, 1986 rok [JANUSZ MAJER]

Wojtek Kurtyka podczas ostatniego treningu w Katmandu (a może po prostu entuzjazm młodości) [WOJTEK KURTYKA/ARCH. PRYWATNE]

Lśniąca ściana Gaszerbruma IV [WOJTEK KURTYKA/ARCH. PRYWATNE]

Wojtek Kurtyka na Gaszerbrumie II [WOJTEK KURTYKA/ARCH. PRYWATNE]

Zachodnia ściana Gaszerbruma z zaznaczoną drogą Kurtyka – Schauer [JANUSZ MAJER/TRASA: JANUSZ KURCZAB]

CZĘŚĆ JEDENASTA

Wykuci ze stali

Macie bowiem wiedzieć, że są dwa sposoby walczenia...
trzeba być lisem i lwem.

motto *„Konrada Wallenroda”* Adama Mickiewicza zaczerpnięte
z *„Księcia”* Niccola Machiavellego

Stało się jasne, że polscy wspinacze są wyjątkowi. Byli twardzi, wytrwali i nad wyraz skupieni na swych celach. Jak stwierdził Reinhold Messner, byli „głodni sukcesu i bardzo, bardzo silni”.

Carlos Carsolio, meksykański wspinacz, który też wspinał się z Polakami, był pewny, że ich triumfy to efekt ciężkiego dzieciństwa. „Kiedy jesteś zbyt rozpieszczany, tracisz odporność na cierpienie, tracisz siłę płynącą ze spokoju – mówił. – Austriacy i Niemcy też byli silni, ale tylko to powojenne pokolenie”. Carlos wspinał się też ze Słoweńcami, w tym ze sławnym Stanem Belakiem-Šraufem, który prowadząc trudny wyciąg na szczyt w Alpach Julijskich, wyszedł na całą długość liny, ponieważ nie mógł znaleźć odpowiedniego miejsca na stanowisko asekuracyjne. Wieść niesie, że jego towarzysz krzyknął: „Šrauf, koniec liny!”, a Šrauf odkrzyknął: „To ja decyduję, kiedy jest koniec liny!”. Kontynuował wspinaczkę, zmuszając swojego towarzysza do pójścia z lotną asekuracją, dopóki nie znaleźli odpowiedniego miejsca do założenia stanowiska. Carlos śmiał się z tej historii, dodając:

„Właśnie takie podejście charakteryzowało Šraufa, Słoweńców i Polaków, a w szczególności Jurka". Nie wspomniał o rozpieszczonych wspinaczach z Europy Zachodniej, Amerykanach czy Brytyjczykach.

Wydawca amerykańskiego magazynu alpinistycznego Christian Beckwith był przekonany, że polska wspinaczka to synonim „pięknego" cierpienia, zaś umiejętność wykrzesania z siebie resztki sił w celu osiągnięcia szczytu określił mianem „alpejskiej transcendencji". Messner zgodził się, że wspinaczki na najwyższe wysokości były związane z cierpieniem, ale wypowiadał się w bardziej przyziemnym tonie: „Nie wierzę nikomu, kto twierdzi, że czerpie przyjemność ze zdobywania najwyższych szczytów".

Zachodnioeuropejskie wyprawy zjawiały się w Himalajach perfekcyjnie wyszkolone i wyposażone w świetny ekwipunek, ale to Polacy zostali tam na dłużej, często prześcigając swoich europejskich kolegów. Ponosili koszta w postaci opuszczonych rodzin, odmrożeń, uszkodzeń ciała i ofiar śmiertelnych, których liczba wciąż rosła.

Ludzie z zagranicy mieli następującą teorię: Polacy cierpieli na głębokie poczucie niższości i nieustannie musieli coś udowadniać. Przez wieki walczyli i przegrywali niezliczone wojny, byli biedni, nie liczyli się poza granicami swego kraju. Dla obcokrajowców Polska była miejscem „gdzieś tam" – w Europie Wschodniej. Polski ekwipunek i ubrania były gorsze niż zachodnie, Polacy mieli też za mało pieniędzy, by wynajmować tragarzy i ciężarówki czy kupować zagraniczną żywność. Musieli bardziej się starać tylko po to, by dotrzymać kroku kolegom z Zachodu, których w końcu i tak prześcignęli.

To ciekawa teoria, ale większość polskich wspinaczy w całości ją odrzucała. Mieli przeświadczenie, że ich hart ducha i poczucie dumy

pochodziły nie z poczucia niższości, lecz przeciwnie – z polskiej tradycji szlacheckiej i rycerskiej: wieków zamków i mieczy, żołnierzy maszerujących przez lasy i broniących Polski, a także z pokoleń wyrosłych pod niemieckim i rosyjskim butem. „Życie między młotem a kowadłem" – tak nazywał to Wojtek Kurtyka. Walka o niepodległość. Nieustanna czujność, gotowość, odwaga, siła. A dziś góry zastąpiły zamki i maruderów. Czekany zastąpiły miecze. Trudno nie zauważyć podobieństwa pomiędzy aktywnością Polaków w górach i ich zachowaniem na wojnie.

Polska sztuka i literatura zna wielu znamienitych bohaterów, których szlachetne losy napawają otuchą. Ogniste emocje i heroiczne czyny opisywane w dziewiętnastowiecznej epice narodowego wieszcza Adama Mickiewicza wywarły olbrzymi wpływ na jego rodaków.

On i inni pisarze stworzyli niezwykłe postaci, których duma i cierpienie wpływały na kolejne pokolenia oraz na polską filozofię życia. Wieki bitew naznaczone były wizerunkiem skrzydlatej husarii, dostojnych rumaków gnających przez lodowate rzeki i zielone równiny, łopoczących sztandarów, dobywanych mieczy, krwi przelewającej się nieustannie w posępnych brzozowych lasach. Były to obrazy męstwa, które pozwalało prowadzić Polakom wojny pokolenie po pokoleniu i wyzwolić się z żelaznego uścisku komunizmu, nim udało się to Czechom i wschodnim Niemcom. Dawały siłę, by wspiąć się na najwyższą górę świata.

Wojtek porównywał specyficznie polską wytrzymałość do japońskiego etosu samurajów, który głosił, że jeśli człowiek został pokonany, to znaczyło, że istnieje moc silniejsza od niego. A to z kolei oznaczało, że jest słaby, co prowadziło do tragicznej w skutkach utraty godności i honoru. Taki sposób myślenia mógł prowadzić do przyjęcia bushido zwanego „drogą wojownika".

Bushido wyrosło ze starodawnej feudalnej więzi, która zmuszała wasala do niezachwianej lojalności. Wiele zapożyczeń przyszło do niego z buddyzmu zen i konfucjanizmu. W swojej najpełniejszej wersji kodeks podkreślał wartość lojalności wobec pana, osobistego honoru, cnót prostoty i surowości, poświęcenia i niewrażliwości na ból, a jeśli było to konieczne, także śmierci. Można wątpić, czy większość wspinaczy była świadoma, czym jest bushido; mimo to stanowili oni żywy dowód istnienia tej tradycji przez całą swoją wspinaczkową karierę, czasami prowadzącą do śmierci.

Kolejnym wzorcem wpływającym na hart ducha polskich wspinaczy był Jezus Chrystus: w jego życiu jest oczywiście przede wszystkim męstwo, ale także poświęcenie. Polska tendencja do naśladowania Chrystusa zaczyna się w XVIII wieku, gdy kraj został najechany i podzielony przez sąsiadów. Głęboko katoliccy i dotknięci biedą Polacy zaczęli patrzeć na swój los przez pryzmat mesjanistycznego cierpienia. Wierzyli, że chociaż Polska została ukrzyżowana przez sąsiadów, jest jej przeznaczony chwalebny powrót, tak jak Chrystusowi. Kiedy podczas drugiej wojny światowej alianci zawiedli i nie wsparli Polaków, ci poprowadzili analogię jeszcze dalej, rozbudowując ją o opowieść o zdradzie Judasza. Ich wiara była jednak silna i twierdzili, że tak jak Chrystus przyniósł zbawienie rodzajowi ludzkiemu, tak Polska przyniesie zbawienie Europie.

Adam Mickiewicz w *Dziadach*, swoim najsławniejszym dramacie, przedstawił Polskę jako „Chrystusa Narodów". Pisał: „Zaprawdę, powiadam Wam, nie Wy macie uczyć się cywilizacji od cudzoziemców, ale macie ich uczyć prawdziwej cywilizacji chrześcijańskiej" i „jesteście wśród cudzoziemców jako Apostołowie wśród bałwochwalców".

Mimo że wpływ Kościoła katolickiego osłabł, wielu Polaków wciąż widzi siebie jako „naród męczenników", a Chrystus był przecież męczennikiem największym.

Były też bardziej bezpośrednie powody polskiej wytrzymałości. Polacy późno wkroczyli na himalajską scenę i mieli sporo do nadrobienia, by zapewnić sobie miejsce w historii alpinizmu. Podjęli wyzwanie, nie zostawiając sobie miejsca na błędy. Coraz większe żniwo śmierci pokazało, że była to niezwykle ryzykowna strategia.

Polscy wspinacze borykali się z mnóstwem trudności. Mieli kłopoty z pieniędzmi, paszportami i wizami – niekończąca się papierkowa robota. I co, mała chmura na niebie miała sprawić, że zawrócą pięćset metrów przed szczytem? Mało prawdopodobne. Po przezwyciężeniu wszelkich biurokratycznych przeszkód i problemów finansowych decyzji nie było łatwo podjąć o powrocie na tarczy. W przeciwieństwie do Polaków członkowie zachodnich wypraw wracali bez przeszkód, gdy tylko mieli dość wspinania.

Kiedy grupa Francuzów nie zdołała wejść na szczyt, zbierali się w bazie, trochę podowcipkowali, pijąc wino. Polacy także pili, ale ich napoje były mocniejsze, a w sercach czuli gorycz – udrękę wspólnej porażki. Podobnie jak Japończycy, ze wstydem opuszczali głowy. Artur Hajzer określił to bez ogródek: „Niestety, Polak woli być martwym bohaterem niż żyjącym przegranym".

Była też druga strona polskiej wytrzymałości, tej „sztuki cierpienia", jak ją określił Wojtek. By przeżyć w niesamowitym zimnie z małą ilością pożywienia, wody i w stanie ledwo opanowywanego przerażenia, potrzeba dzikiej zawziętości. W alpinizmie jest ona wręcz postrzegana jako pożądana cecha.

Mówi się o niej z podziwem – człowiek zawzięty to „twardziel". Wewnętrzna siła jest godna podziwu, ale jak wygląda z zewnątrz? Często przypomina znieczulicę i egoizm. Łatwiej jest skoncentrować się na swojej własnej, osobistej walce z wyczerpaniem i trwogą, niż przejmować się problemami mniej krzepkiego partnera. Ten rodzaj wewnętrznej głuchoty, zaniku widzenia i stwardnienia serca jest rozpowszechnionym skutkiem ubocznym walki o przetrwanie w górach.

Krzysztof Wielicki, prawdziwy wojownik, przyznawał, że poziom egocentryzmu wśród alpinistów jest wysoki, i był świadom reperkusji tego stanu. „Jeśli chcesz się wspinać, zawsze za to zapłacisz – mówił. – Zwykle tym kosztem jest rodzina. Trzeba mówić: przepraszam, przepraszam, przepraszam. Oni cierpią w domu, my cierpimy na górze". Ale jemu i innym wspinaczom życie w cierpieniu wydawało się przynosić perwersyjną satysfakcję. „Aby doświadczać przyjemności, gdy wszystko zwraca się przeciw tobie, musisz przyjąć jakiś rodzaj filozofii wojownika – wyjaśnił Krzysztof. – Sytuacja staje się wówczas pociągająca, ekscytująca".

Losy wielu najbardziej operatywnych polskich wspinaczy wskazują, że na górski hart Polaków wpływały także czynniki ekonomiczne. Okazali się oni pomysłowym narodem, ustanawiając „system w systemie", dzięki czemu się wyzwolili. Odkryli, jak podróżować poza granice własnego kraju, poznawać inne kultury i języki, realizować pasję wspinania i jeszcze z tego żyć. Odkryli, jak być wolnym!

Dzieje Krzysztofa są dobrym przykładem. Zaczął pracować zaraz po ukończeniu politechniki w wieku dwudziestu paru lat, po czym się ożenił i założył rodzinę. Szybko jednak zdał sobie sprawę z bezcelowości pracy. „Czasy komunistyczne były dobre, ponieważ nie musieliśmy pracować (...). Dwa miesiące malowania

wystarczyły, by jechać na sześć miesięcy w Himalaje". Razem z uniwersyteckimi profesorami, doktorami i inżynierami Krzysztof malował wieże i wysokie kominy – i się wspinał. „Pomalowałem prawie cały Śląsk... Katowickie huty, kopalnie, budynki, taśmociągi, kominy elektrociepłowni, wieże ciśnień... Od Trzebini do Zabrza" – opowiadał.

„Czas wtedy nie miał żadnej wartości. Robiliśmy, co chcieliśmy: spotykaliśmy się w klubie wysokogórskim, marzyliśmy, planowaliśmy, po czym ruszaliśmy w góry! Jako dorośli byliśmy na niekończącej się imprezie. Zrezygnowaliśmy z naszych zawodów, nie wiedząc, że za kilka lat zastuka do nas kapitalizm".

Leszek Cichy przyznał, że ta taktyka okazała się bardzo skuteczna: „Sprzedawaliśmy ekwipunek, szmuglowaliśmy go, było super!". To wypowiedź wykładowcy wyższej uczelni.

Twórczy entuzjazm nie był zarezerwowany jedynie dla wspinaczy. Mnóstwo artystów i pisarzy rozkwitało za czasów panowania represyjnego systemu w Polsce. Mechanizm cenzury, zamiast dławić, wydawał się w rzeczywistości pobudzać społeczność artystów. Podobnie jak wspinacze stawali się oni silniejsi z powodu represji; ich najlepsze dzieła powstały w najbardziej mrocznych czasach. Upadek systemu był też ich upadkiem. Nie wiedzieli, jak się komunikować, nie będąc buntownikami. Stracili natchnienie, gdy otworzył się świat.

Leszek przypisywał olbrzymi sukces Polaków w alpinizmie znacznie banalniejszej przyczynie: dużej liczbie wspinaczy. „To była istna armia – wspominał. – Któryś z nich musiał w końcu wejść na szczyt". Wskazał, że przez ponad dekadę co roku w Himalaje wyruszało od dziesięciu do piętnastu polskich ekspedycji. Ci, którzy weszli na górę, stawali się sławni, ale były setki takich, którym to się nie udało pomimo fenomenalnych osiągnięć. Poprzedni

towarzysz Wojtka Ludwik Wilczyński tak określił ten stan rzeczy: „W czasie gdy Zawada ostro działał na salonach w gmachu polskiego i międzynarodowego alpinizmu, a Kurtyka, duchowy przywódca społeczności, chodził samotnie po jego dachu, piwnice zajmowali niechlujnie odziani buntownicy popijający kiepskie trunki i nucący bluesa w stylu »nie mam paszportu, nie mam roboty«. To oni dali nam radość spełnienia i poczucie niepodległości”.[52] W tych piwnicach siedzieli tacy wspinacze jak „Druciarz” Rudnicki, Janusz Hierzyk, „Dziadek” Michnowski, „Riko” Malczyk i Zbigniew „Małolat” Czyżewski, którzy byli praktycznie nieznani poza krajem.

Polskie osiągnięcia w górach nie były jednak tylko wynikiem masowości polskiego alpinizmu. Specyficzny polski przepis na sukces zawierał mieszankę ambicji, polityki, historii i tradycji. Rezultaty były nie do przebicia.

* *
*

W 1986 roku po powrocie z K2 Jurek prawie bez odpoczynku razem z Arturem zabrał się do przygotowań do wyprawy na Manaslu planowanej na późną jesień. Artur żartował: „Logicznie rzecz biorąc, nie powinienem z tobą jechać, wszyscy ludzie koło ciebie giną...”. Powiedział to półżartem, ale było w tym trochę prawdy. Przez następne dni Artur odrzucił nachodzące go obawy i wskoczył w wir szykowania ekspedycji, w której uczestniczyć mieli też Jurek i Wojtek, a także Ryszard Warecki, który miał filmować wspinaczkę. Zaproszono też Carlosa Carsolio, po części dlatego, że mógł dodać trochę zagranicznej waluty. Artur żartował, że obcokrajowiec w składzie jest jak szóstka w totka. On i Carlos

podczas tej wspinaczki grali rolę uczniów pod kuratelą mistrzów – Wojtka i Jurka.

Przez lata Jurek wybierał Wojtka na towarzysza wypraw. Gdy to partnerstwo się załamało, Jurek przechodził od jednego partnera do drugiego, wykorzystując każdą sytuację, która się nadarzyła. Wreszcie wyczuł bliską więź z Arturem, pomimo dzielących ich czternastu lat różnicy. Teraz Artur był aktywny w Himalajach tak jak Jurek, uczestnicząc w dwóch lub trzech wyprawach rocznie. „W tamtym czasie nikt nie miał stałej pracy – wyjaśnił Artur. – Nie było mowy o karierze, a ja byłem trochę jak zawodowy wspinacz".

Ekspedycja zamierzała wytyczyć nową drogę wschodnią granią głównego szczytu Manaslu. Chcieli także nieoficjalne, bez zezwolenia, wejść na wschodnie Manaslu – smukły, prawie ośmiotysięczny szczyt, najwyższy z dotychczas niezdobytych wierzchołków w Nepalu. Kiedy wspinacze relaksowali się w bazie, nadeszła wiadomość, że Messner zdobył Makalu, przedostatni z czternastu ośmiotysięczników. Został mu tylko jeden, Jurkowi trzy, więc prawdopodobnie to Messner wygra wyścig. Koledzy patrzyli na Jurka.

Jak bardzo mu na tym zależało? Czy ta informacja osłabi chęć ataku na Manaslu?

Jurek wstał i wyszedł z namiotu. Wyglądało na to, że wyścig był skończony. Patrząc na wschodnią ścianę Manaslu, rzekł do siebie, podnosząc się na duchu:

– Nic to... panie Kukuczka. Jutro tam idziemy.

Wrócił i po chwili ciszy popatrzył na Artura, przełamując napięcie żartem:

– Spójrzcie na siebie. Oni tam się wspinają, a my przez was siedzimy ciągle w bazie, grzejąc tyłki. Jutro wyruszamy.

Wojtek nie podzielał jego determinacji. Z powodu ciepłej, wilgotnej pogody utrzymującej się przez ostatnie tygodnie na zboczach leżały tony niestabilnego śniegu, gotowego zamienić się w lawinę przy najdelikatniejszym poruszeniu. Wspinacze podeszli na sześć tysięcy metrów i rozpoczęli gorącą dyskusję.

– Stop, panowie. Pieprzę to wszystko, dalej nie idę – zaczął Wojtek. – Tu jest zbyt niebezpiecznie. Kończę zabawę i wracam.

– Wojtek, od początku decydowaliśmy się na ryzyko – odpowiedział Jurek. – Wiedzieliśmy, że tak będzie.

Przed nimi ciągnęło się dwustumetrowe pole śnieżne; gdyby udało im się przez to zbocze przejść bez wywołania lawiny, osiągnęliby znacznie bezpieczniejszy grzbiet. Ale Wojtek i Jurek inaczej oceniali ryzyko. Obaj byli asertywni i klarownie wykładali swoje argumenty – żaden nie mógł przekonać drugiego. Jurek był tak sfrustrowany, że zaproponował głosowanie.

– Idę w dół, to nie ma sensu – powiedział Wojtek. To było jego ostatnie słowo. Jeden głos za zejściem.

Wtrącił się Artur: – Ja tu jestem najmłodszy. Dostosuję się, ale wolałbym iść w górę.

Jeden głos za wejściem, jeden za zejściem.

Założono, że Jurek zagłosuje za wejściem, więc wszystkie oczy skierowały się na Carlosa. Czuło się napięcie. Carlos zgodził się z Wojtkiem, że ryzyko jest wielkie, ale poważnym i wyważonym głosem stwierdził: – Meksyk jest w coraz gorszej sytuacji ekonomicznej i mam prawo sądzić, że w związku z tym jest to moja ostatnia wyprawa w Himalaje, dlatego idę do przodu i zrobię wszystko, żeby wejść na ten szczyt.

Pomimo powagi sytuacji wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Skierowali się do bazy, by się przegrupować i spróbować ponownie. Wojtek zgodnie ze swoją decyzją opuścił wyprawę.

Między nim a Jurkiem nie było urazy, tylko różnica w podejściu do wspinaczki. Reszta ekipy czekała na poprawę pogody. Pewnego poranka, gdy wypoczywali po śniadaniu, odezwało się radio: „Wczoraj znakomity alpinista Reinhold Messner osiągnął szczyt Lhotse. Dokonawszy tego, został pierwszym człowiekiem, który wspiął się na wszystkie czternaście najwyższych gór świata".

Nikt nie powiedział ani słowa. Oczy Jurka wędrowały po ścianach namiotu, szukając punktu, na którym mógłby zawiesić wzrok. W końcu Artur przerwał milczenie: – To co? Chyba teraz nie musimy się już tak spieszyć? Możemy się wspinać na spokojnie.

Opinię na temat wspinaczkowego wyścigu na ośmiotysięczniki, którą miał Wojtek, podzielała także sławna historyczka himalaizmu Elizabeth Hawley. Napisała ona w tekście o sukcesie Messnera: „Wspinaczki nie są zwykle postrzegane jako aktywność bazująca na rywalizacji. Jednak zeszły jesienny sezon w nepalskich Himalajach powodował emocje równe finałom mistrzostw świata – wyścig o zdobycie wszystkich ośmiotysięczników na świecie wygrał Włoch Reinhold Messner przy stosunkowo małej różnicy – czternaście do jedenastu. Z końcem sezonu drugi w wyścigu Jerzy Kukuczka z Polski poprawił swój wynik z jedenastu do dwunastu". I chociaż Hawley wyraźnie ironizowała na użytek swojego artykułu, było w jej słowach sporo prawdy.

Carlos nabawił się odmrożeń i zranił sobie rękę, został więc z tyłu, podczas gdy Artur i Jurek pięli się w górę. Zawrócili na siedmiu tysiącach czterystu metrach. Pokonani i wypompowani zeszli do bazy. Byli na tej górze już od kilku tygodni, narażeni na wściekłe wiatry, lawiny i coraz niższą temperaturę. Kończył się październik, góry były puste, nie było już wspinaczy. Wszystkie jesienne ekspedycje powróciły do Katmandu, oblewając sukcesy i porażki.

Jurek chciał spróbować jeszcze raz. Podzielił się pomysłem z Arturem: „Zaatakujmy inną drogą w stylu alpejskim". Nie tylko Artur, ale też częściowo już wykurowany Carlos entuzjastycznie się zgodzili. 5 listopada trójka skierowała się z jednym namiotem i ze sprzętem wspinaczkowym na niezdobytą północno-wschodnią ścianę Manaslu. Sześć dni później Artur i Jurek stali na szczycie, a Carlos zaszył się w ostatnim obozie, zajmując się swoimi odmrożonymi dłońmi.

Odmrożenia były tak powszechne, szczególnie podczas wypraw na końcu sezonu, że wspinacze prawie ich oczekiwali. Krzysztof Wielicki żartował: „Nie wszystkie palce są jednakowo ważne. Kciuk jest najważniejszy, może mały palec też. Te w środku już nie są tak istotne. Ciach, ciach".

Jurek w osobliwy sposób zareagował na przegraną w wyścigu. Musiał być zdruzgotany. Nie był jedynym, który ucierpiał w tej okrutnej grze: jego towarzysze cierpieli wraz z nim. Niektórzy zginęli. Z pewnością jakaś jego część żałowała poświęceń i zastanawiała się, czy było warto. Z drugiej jednak strony Kukuczka łatwo otrząsnął się z porażki. Czy ten wyścig był dla niego naprawdę ważny? To prawda, że przegrał rywalizację z Messnerem, ale według wielu doświadczonych alpinistów jego wejścia miały więcej klasy niż te Messnera. Dopóki wspinał się na ośmiotysięczniki nowymi drogami lub w zimie, dopóty był zwycięzcą.

A może Jurek oszukał wszystkich tymi zawodami, może wyścig był dla niego tylko narzędziem, finansową i marketingową trampoliną, która zapewniła mu środki, by mógł robić to, co kochał – raz za razem wracać w góry?

Andrzej Czok i Jerzy Kukuczka wyruszają na zimowy atak na Dhaulagiri [ADAM BILCZEWSKI]

Poręczówki poniżej drugiego obozu. Zimowa wyprawa na Czo Oju [ANDRZEJ ZAWADA/ARCH. PRYWATNE]

Zjazd na linie na stromym i oblodzonym fragmencie drogi do obozu drugiego. Południowa ściana Lhotse [ARTUR HAJZER]

Wspinaczka na drodze Messnera powyżej pierwszego obozu na południowej ścianie Lhotse, 1987 rok [ARTUR HAJZER]

Artur Hajzer w bazie pod południową ścianą Lhotse. Pali papierosa na zewnątrz, ponieważ w bazie było za dużo tlenu [ARTUR HAJZER/ARCH. PRYWATNE]

Droga zimowej wyprawy na Czo Oju [ANDRZEJ ZAWADA/TRASA: JANUSZ KURCZAB]

Wspinaczka w stylu alpejskim na południową ścianę Lhotse na wysokości ok. 6500 m [ARTUR HAJZER]

Krzysztof Wielicki i Jerzy Kukuczka odpoczywają po zimowym zejściu ze szczytu Kanczendzongi [KRZYSZTOF WIELICKI/ARCH. PRYWATNE]

Wanda Rutkiewicz w bazie pod K2 [WANDA RUTKIEWICZ/ARCH. PRYWATNE]

K2 z zaznaczoną Magic Line, 1986 rok [FOTO I TRASA: JANUSZ KURCZAB]

Przemysław Piasecki wspinający się w śnieżycy na K2, 1986 rok [PETER BOŻIK]

Tadek Piotrowski na południowej ścianie K2, 1986 rok [JERZY KUKUCZKA]

Krzysztof Wielicki i Wanda Rutkiewicz na Annapurnie w zimie [ARTUR HAJZER]

Wojtek Wróż zbliżający się do grani niedaleko drugiego obozu. K2 Magic Line, 1986 rok [PRZEMYSŁAW PIASECKI]

Smukły szczyt wschodniego Manaslu [CARLOS CARSOLIO/ARCH. PRYWATNE]

Janusz Majer na drodze z K2, 1986 rok [JANUSZ MAJER/ARCH. PRYWATNE]

Wojtek Kurtyka i Jerzy Kukuczka omawiający ryzyko lawiny, Manaslu, 1986 rok [ARTUR HAJZER]

Wspinając się na wschodnie żebro Manaslu, 1986 rok [ARTUR HAJZER]

Jerzy Kukuczka na szczycie Manaslu [ARTUR HAJZER]

Wiązanie pętli wokół smukłego szczytu wschodniego Manaslu (7992 m), aby rozpocząć zjazd na linie po pierwszym wejściu Jerzego Kukuczki, Carlosa Carsolio i Artura Hajzera [CARLOS CARSOLIO/ARCH. PRYWATNE]

Artur Hajzer i Jerzy Kukuczka na Annapurnie, 1988 rok [ARTUR HAJZER/ARCH. PRYWATNE]

Jerzy Kukuczka na szczycie Sziszapangmy [JERZY KUKUCZKA/ARCH. PRYWATNE]

Kukuczka w bazie w czasie zimowej wyprawy na Annapurnę [ARTUR HAJZER]

Kukuczka świętujący zdobycie 14. ośmiotysięcznika – Sziszapangmy [JANUSZ MAJER]

Zespół zbliża się do K2, zima 1987–88 [BOGDAN JANKOWSKI]

CZĘŚĆ DWUNASTA

Himalajski różaniec Kukuczki

Powiedz mi, co zamierzasz wreszcie zrobić
z twoim jedynym zwariowanym i cennym życiem?

Mary Oliver, *„Letni dzień”*
(tłum. Czesław Miłosz)

Z końcem 1986 roku nie było na świecie kraju, który zajmowałby tak mocną pozycję w himalajskiej wspinaczce jak Polska. Oczywiście byli znakomici himalaiści innych narodowości – Messner i Habeler, Doug Scott i Greg Child – ale żaden naród nie mógł poszczycić się tak silną i utalentowaną kadrą wspinaczy. Pośród tuzinów wspaniałych osób najjaśniej świeciły w niej gwiazdy: Jurka Kukuczki, Wojtka Kurtyki, Wandy Rutkiewicz, Krzysztofa Wielickiego, Andrzeja Zawady i Artura Hajzera.

Grupa jednak nie była już tak zgrana jak kiedyś. Wojtek dawno temu zrezygnował z udziału w dużych, narodowych wyprawach, preferując wspinaczkę w małych grupach, często z zagranicznymi partnerami. Także Wanda wyzbyła się poczucia lojalności wobec kraju, wspinając się, z kimkolwiek tylko mogła, zależnie od okoliczności. Zarówno w Polsce, jak i na świecie indywidualne aspiracje wzięły górę nad niegdyś wspólnymi narodowymi celami. Jurek chciał zdobyć Koronę Himalajów. Krzysztofowi zależało na szybkości wejść.

Pragnąc spełnić swoje marzenia, stawali nieustannie przed ogromnymi wyzwaniami finansowymi. Krótko po wspinaczce na K2 Wanda spotkała osobę, która pomogła jej w tej sferze – doktor Marion Feik. Była prawniczka z Wiednia, zmęczona pracą na polu praw człowieka, zaproponowała alpinistce, że zostanie jej agentką i menedżerką, na co Wanda przystała z ochotą. Wreszcie mogła skupić się na tym, co robiła najlepiej – na wspinaczce. Marion zajmowała się całą resztą. Układ ten zapowiadał długotrwałą stabilność, która była luksusem, jakiego Wanda nie znalazła nawet w swoich dwóch nieudanych małżeństwach.

Ich relacja zaowocowała też obfitą korespondencją, na podstawie której historycy mogli śledzić nie tylko karierę Wandy, ale też jej odczucia, wątpliwości, marzenia i lęki.

Po krótkim pobycie w Polsce Rutkiewicz wróciła w Himalaje. Był wrzesień 1986 roku. Tym razem jej celem było Makalu we wschodniej części Nepalu. Miała dobry humor, pisała z podróży:

> **Droga Marion**
> *6 września 1986 roku*
>
> Twoja pomoc w organizacji wyprawy jest nieoceniona. Biorę ze sobą twoje perfumy do bazy, ale zjem szynkę podczas podejścia. Zostawiłam europejską cywilizację daleko za sobą, jestem oczarowana krajobrazem leżącym poniżej Makalu...

Od czasu wyczynu Reinholda Messnera media bardzo interesowały się wspinaczkami na ośmiotysięczniki. Ale nie tylko Messner i Kukuczka dążyli do zdobycia Korony Himalajów. Szwajcarski rzeźnik Marcel Rüedi też był jej bliski. Chociaż żaden z nich nie przyznawał się do uczestnictwa w „wyścigu", wszyscy, łącznie z mediami, wiedzieli, że wyścig trwa. Wanda również stała się specjalistką od ośmiotysięczników i prawdopodobnie na Makalu zaczęła sobie wyobrażać siebie jako zdobywczynię czternastu

najwyższych szczytów świata. Będąc pod wrażeniem jej osiągnięć, Messner oznajmił: „Wanda jest żywym dowodem na to, że kobiety są w stanie poradzić sobie na ogromnych wysokościach w sposób, o jakim mężczyźni mogą tylko marzyć. Jestem pewien, że kobieta zdobędzie magiczną czternastkę ośmiotysięczników w najbliższych dziesięciu latach”.[53]

Droga Marion
30 września 1986 roku

Zwykła droga na Makalu nie jest wyjątkowo trudna, ale niezwykle forsowna...

Jednym z największych utrapień jest konieczność ciągłego torowania w głębokim śniegu, często aż po pas, przekopując się jak kret. (...) Często o tobie myślę i nie mogę się doczekać ciepłego przywitania w Wiedniu.

Chociaż Wanda weszła na osiem tysięcy metrów, szczyt jej się wymknął, inaczej niż Marcelowi Rüediemu wspinającemu się z Krzysztofem Wielickim. Krzysztof był szybszy i wszedł przed Rüedim. Szwajcar ostatecznie musiał biwakować w czasie zejścia na ośmiu tysiącach dwustu metrach. Messner i jego towarzysze, wspinając się następnego poranka na szczyt, wypatrywali Rüediego, ale zobaczyli go dopiero, gdy schodzili. Siedział w śniegu z rękami opartymi na kijkach narciarskich. Wydawało się, że odpoczywa, był jednak martwy. Wspiąwszy się na dziewięć z czternastu ośmiotysięczników, umarł na drodze. Najwyraźniej był niegotowy do wspinaczki w takim tempie, jakie sobie narzucił. Dla Wandy sen o czternastu gigantach dopiero się zaczynał.

* *
*

Chociaż po rekordzie Messnera wyścig dla Kukuczki się skończył, Jurek postanowił zdobyć brakujące ośmiotysięczniki. Jego obecny partner wspinaczkowy Artur Hajzer był pełen entuzjazmu. Razem z Krzysztofem, Wandą i Ryśkiem Wareckim wystarali się o pozwolenie na Annapurnę zimą. Byli z powrotem w Nepalu przed Nowym Rokiem 1987.

Wanda nie ograniczała się do Annapurny.

> **Droga Marion**
> *11 stycznia 1987 roku*
>
> (...) Byłam w Katmandu, zajęta opracowywaniem systemu na zdobycie większej liczby pozwoleń na przyszłość. Nie mogę zwolnić, nawet w Nepalu...

Zaproszenie Wandy na wyjazd było pomysłem Jurka, chociaż żaden z pozostałych wspinaczy nie był szczególnie podekscytowany wizją wyprawy z nią. Skoro ją zaprosił, niech sam się z nią wspina – tak rozumowali. Nie była tak szybka jak oni, zbyt często biwakowała; brała ze sobą zbyt dużo sprzętu. Jurkowi też po prawdzie nie uśmiechała się wspólna wspinaczka, jednakże miał powód, by ją zaprosić. Wanda dostała zlecenie z austriackiej sieci telewizyjnej na zrobienie filmu, była więc źródłem tak potrzebnych pieniędzy. Jurek często mówił Celinie, że wspinaczka w Himalajach nie jest dla kobiet. Celina nie zgadzała się z nim i na swój cichy sposób bardzo mocno wspierała Wandę, którą uważała za osobę odważną i silną, czego dowodem miało być to, że wybrała tak trudny styl życia.

Bazę założyli 20 stycznia, ale czasu mieli bardzo mało: pozwolenie wygasało 15 lutego. Annapurna o każdej porze roku jest jednym z najgroźniejszych ośmiotysięczników. Zimowa próba wejścia to jak wyprawa w inny wymiar. Byli po północnej stronie góry, gdzie nie docierał do nich ani jeden promień słońca. Nie można było liczyć

nawet na godzinę łaskawego ciepła. Poza bazą wszędzie było nieustanne zimno i cień.

Jurek zajął się organizacją, więc przynajmniej było dużo żywności. Rysiek niedawno wrócił z Tyrolu i przywiózł ze sobą zapas pysznego austriackiego specku. Nie mogli się doczekać, by go spróbować. Kiedy dotarli do bazy, przetrząsnęli bęben po bębnie: nie znaleźli ani grama.

Nie zastanawiali się nad tym długo, bo ich wyobraźnią zawładnęły chichoty i mlaszczące dźwięki dochodzące co noc z namiotu Jurka i Wandy. Wyobraźnia podsuwała im najdziksze sceny. „Myśleliśmy: biedna Celina" – mówił Artur. W istocie Celina była trochę zaniepokojona. Wiedziała, że na wyprawie Jurek będzie dzielił z Wandą namiot, i chociaż podziwiała ją, a nawet patrzyła na nią jak na idolkę, nie mogła nie zauważyć jej kobiecego uroku. Jak się okazało, jej niepokoje były nieuzasadnione; kiedy wyprawa się zakończyła, a uczestnicy pakowali bazę, Artur odkrył stertę puszek po specku wetkniętych pod namiot Jurka i Wandy. Źródła podejrzanych hałasów były więc raczej gastronomiczne niż erotyczne.

Początkowo wspinacze robili dobre postępy na ocienionej, zimnej górze. Kiedy odpoczywali w bazie przed zabraniem kolejnego ładunku sprzętu i żywności, Wanda zachorowała. Miała gorączkę i bolało ją gardło, co zdarzało się jej często w początkowych stadiach wyprawy. Została wykluczona z następnego transportu. Jurek, Krzysztof i Artur zaczęli się pakować. Jak zwykle Artur chciał zabrać więcej sprzętu, a Jurek – więcej żywności. Należał do tych, którzy bez względu na wysokość lubili dobrze zjeść.

Wanda nie uczestniczyła w pakowaniu, siedziała w namiocie kuchennym, gawędząc z Ryśkiem. Artur zbliżył się do namiotu i podsłuchał ich rozmowę.

– Znam tych skurwysynów. Teraz będą próbowali dostać się na szczyt – powiedział Rysiek.

– Naprawdę tak sądzisz? – zapytała Wanda, najwyraźniej zaskoczona.

– No, a na co mieliby czekać?

Kiedy Artur wszedł, Wanda zapytała go:

– Czy to prawda, że będziecie próbować wejść na szczyt?

Artur był w potrzasku. To było trudne pytanie. Wiedział, że może pojawić się możliwość wejścia, i jeśli ktokolwiek z nich mógłby tego dokonać, byłby to Jurek i on. Wspinali się szybko i byli zaaklimatyzowani od Manaslu. Na Annapurnie nie przebywali jednak długo, a najwyższe obozy nie były jeszcze założone, więc szanse wejścia na szczyt były teraz bardzo małe. Odpowiedź brzmiała więc: i tak, i nie. Nie wiedział, co powiedzieć, więc odwołał się do Jurka: – Ja tylko idę za liderem. Jeśli on się zatrzyma, ja też. Jeśli on idzie, ja też. Jeśli się cofa, ja też. Ja nie podejmuję decyzji.

Jego unik nie uszedł jej uwagi – rozzłościła się, oskarżając Artura o kombinowanie za jej plecami. Wyskoczyła z namiotu w poszukiwaniu Jurka. Podczas przesłuchania odpowiedział, że owszem, gdyby była szansa wejść na szczyt teraz, dlaczego mieliby czekać? To chyba oczywiste. Wandę to tylko rozwścieczyło; nie była jeszcze gotowa. Wszystko działo się zbyt szybko. – A co ze mną? Wiesz, że teraz nie mogę wchodzić. Myślę, że powinieneś wyznaczyć kogoś, kto zostałby w tyle i był moim partnerem, gdy ruszę.

Artur podkradł się do nich i podsłuchał jej żądania. Zaniemówił z wrażenia.

– To „wyznaczanie kogoś" brzmiało zaskakująco – mówił. – Zmuszała Jurka, by został prawdziwym kierownikiem, zupełnie

jakbyśmy byli na dużej ekspedycji. Znałem taki rodzaj zarządzania z książek i nagle okazało się, że będę mógł zobaczyć wszystkie jego wady na własne oczy.

Było trzech odpowiednich partnerów dla Wandy: Jurek, Krzysztof i Artur. Jurek wyznaczył siebie. Tak więc nieoficjalny zespół składający się z Jurka i Artura został na jakiś czas rozbity. Do Artura został przydzielony Krzysztof. Dociekliwy Artur próbował sobie wyjaśnić, co właściwie się wydarzyło. Wiedział, że jego przyszły towarzysz, choć nie ma na koncie tak wielu sukcesów i nie jest tak twardy psychicznie jak Jurek, mógł poszczycić się lepszą kondycją. Ale to Jurek był bardziej ambitny. Każdy z nich był wyśmienitym partnerem. „Innymi słowy, zmianę tę można by porównać do przejścia z dieslowskiej toyoty do benzynowej mazdy" – podsumował.

Zanim weszli na sześć tysięcy osiemset metrów, wspinali się we czwórkę. Brakowało im tylko trzystu metrów do trzeciego obozu, ale zapadająca noc zmusiła ich do rozbicia namiotów. Byli zmęczeni, a Wanda ciągle osłabiona, prawdopodobnie z powodu anemii, która nękała ją okazjonalnie od czasów Mount Everestu. Następnego dnia planowali zejście, nawodnienie, dalszą aklimatyzację i dopiero potem powrót w górę, na poważną próbę wejścia na szczyt. Krzysztof i Artur byli w swoich namiotach i przygotowywali się do snu. Nagle z sąsiedniego dobiegło ich pytanie Jurka: „Kto idzie jutro ze mną założyć piąty obóz?".

Wanda wiedziała, że nie jest wystarczająco zaaklimatyzowana. Dalsze próby wspinania sprawiłyby, że straciłaby tylko więcej sił, a do szczytu ciągle mieli ponad tysiąc dwieście metrów. Dla niej decyzja była prosta.

Krzysztof też nie był całkowicie zaaklimatyzowany, ale był szybszy. Mógłby iść w górę i bezpiecznie zejść. Bardzo przeżywał

jednak stratę swojego dobrego przyjaciela Marcela Rüediego. Szwajcar idący wolniej od Krzysztofa zaproponował, że zostanie z tyłu i odpocznie, na co Wielicki się zgodził.

Gdy Rüedi zmarł na szlaku, na Krzysztofa spadła fala krytyki za „zostawienie swojego towarzysza" na górze; obawiał się więc, że podobna sytuacja przydarzy się z Wandą. Nie zdążył się jednak zastanowić, jak odpowiedzieć na wyzwanie Jurka, gdy Artur krzyknął na całe gardło: „Jaaaa!".

* *
*

Dziwaczne były okoliczności, w których Jurek i Artur zdobywali szczyt. Z jednej strony obydwaj mieli do tego najlepsze predyspozycje z powodu zaaklimatyzowania po poprzednim wejściu. Z drugiej strony zaś to nie Artur, ale Krzysztof był bardziej doświadczony, i to on powinien był iść z Jurkiem. Co do samego Kukuczki nigdy nie było żadnych wątpliwości: był najambitniejszy i gotowy na cierpienia, którymi trzeba zapłacić za wejście na szczyt, w tym na szczyt Annapurny zimą. Wanda chyba nie była brana pod uwagę jako poważny kandydat do szybkiego wejścia, mimo że to ona wniosła większość funduszy. Zespół do szczytowego ataku powstał ostatecznie, gdy Artur wykorzystał szansę, zgłaszając swoją gotowość do wspinaczki.

Artur martwił się, jak na powstałą sytuację zareaguje Krzysztof, człowiek o wyrobionej pozycji, który nie tylko wspinał się szybko, ale też tego samego wymagał od innych. Niektórzy widzieli w nim „szorstkiego przywódcę", który się rządzi i wymaga, by wszystko było zrobione szybko i po jego myśli. Był małym wspinaczem z wielkimi ambicjami, większymi nawet od ambicji Artura. Artur obawiał się więc, że Krzysztof będzie żywił do niego urazę. Miał

dość doświadczenia, by wiedzieć, że w relacjach między ludźmi o wielkim ego w wielkich górach mogą czasem powstawać wielkie problemy. Pamiętał styczniową Kanczendzongę, kiedy to Krzysztof ustawił się sprytnie i umiejętnie po to, by zapewnić sobie wejście na szczyt. Pamiętał też południową ścianę Lhotse w 1985 roku, gdy Krzysztof opuścił wyprawę niezwłocznie po śmierci Rafała Chołdy, ogłaszając, że dalsze wysiłki będą skazane na niepowodzenie. On wiedział, kiedy się wycofać, by ograniczyć straty, to było jasne. Tym razem jednak Artur był gotowy zaryzykować złość Krzysztofa i wspinać się z Jurkiem.

Jurek i Artur nie zatrzymali się w obozie piątym. 3 lutego, zaledwie szesnaście dni po pojawieniu się w bazie, weszli na szczyt Annapurny.

To był spektakularny wyczyn, nie tylko z powodu szybkości, z jaką dokonali wejścia, ale też z powodu burzy śnieżnej, która zaskoczyła ich niedaleko celu. Przez ostatnie metry wspinali się oślepieni, kierując się instrukcjami podawanymi im przez radio. Krzysztof zapamiętał chwilę, gdy obaj weszli do bazy: Jurek wymachiwał ramionami z radości i śpiewał na cały głos popularną polską piosenkę *Och, życie, kocham cię nad życie*.

Krzysztof i Wanda też próbowali, ale Wanda była skrajnie wyczerpana infekcją oskrzeli; tylko dzięki wielkiej determinacji w ogóle rozpoczęła wspinanie. Krzysztof zdawał sobie sprawę, że to próba skazana na przegraną. Widział olbrzymi wysiłek, który Wanda wkładała w osiągnięcie celu, pamiętając, że zaledwie kilka miesięcy temu stała na szczycie K2. Rozumiał fizyczną i mentalną gehennę, którą przeżyła w górach, i próbował przekonać ją, by trochę zwolniła.

– Tysiące razy mówiłem jej: Messner poszedł w górę z Szerpami. Czy mimo to jest wielki?

– Tak – przyznała Wanda.

– Więc weź Szerpów ze sobą, pomogą ci – nalegał. Ale Wanda chciała to zrobić po swojemu, bez niczyjej pomocy, chciała być pierwsza.

– Skomplikowana i niezwykła kobieta – ocenił ją Krzysztof.

Początkowo był pod jej wrażeniem, wręcz go zafascynowała. Z czasem jednak fascynacja ta osłabła. „To nie jest prosta kobieta. Jest twarda, a nawet twardogłowa".

Opowiedział historię, kiedy on, Jurek oraz Wanda zostali zaproszeni do udziału w badaniach medycznych dla wspinaczy wysokościowych w Szwajcarii. Jednym z elementów badań był test pamięci, który miał określić stan mózgów osłabionych dużymi wysokościami. Naukowcy podawali zdania do zapamiętania, na przykład: „13 stycznia o godzinie 6.10 rano statek o wyporności dwustu sześćdziesięciu tysięcy ton zatonął w hamburskim porcie. Utonęło szesnaścioro dzieci i trzydzieścioro jeden dorosłych, wśród nich siedem kobiet, piętnastu mężczyzn, trzech marynarzy... O godzinie 13.10 wyruszyła ekipa ratunkowa składająca się z czterdziestu siedmiu osób. Trzy osoby z tej ekipy zginęły w czasie akcji". Wspinacze zostali poproszeni o powtórzenie tego zdania.

– Czy marynarz to to samo co mężczyzna? – żartował Krzysztof.

– Twój mózg ma więcej dziur od mojego – zadrwił Jurek.

– Tak, ale twoje dziury są większe – odgryzł się Krzysztof.

Bawili się pytaniami i odpowiedziami, nie biorąc ćwiczenia zbyt poważnie. Tego wieczoru Wanda pojawiła się w drzwiach z poważną miną. „Jurku, ilu ratowników zatonęło?". Osłupieli i wybuchnęli śmiechem, widząc jej powagę.

– Oto prawdziwa ambicja! – wykrzyknął Krzysztof.

Narzekał, że Wanda nie chce trzymać się tradycyjnych zasad i protokołu wyprawy. Co więcej, wraz z kilkoma innymi osobami

uważał, że kiedy uczestniczyła w ekspedycji, zawsze było więcej do zrobienia, i to ona zwykle odniosła z tego korzyści. Alek Lwow też zgodził się z tym, że wykorzystywała ludzi do osiągnięcia swoich celów w trakcie wyprawy; a ponieważ nie była już najmłodsza, ciągnęło ją do wspinaczy lepszych i silniejszych od niej. Oczywiście nie była pierwszym ani ostatnim wspinaczem, który tak postępował. Nawet Messner przyznawał, że gdyby nie Hans Kammerlander, jego towarzysz na Lhotse, nigdy nie stanąłby na szczycie tego ostatniego w swojej karierze ośmiotysięcznika. Krzysztof martwił się, że mimo iż Wanda była gwiazdą – największą gwiazdą w historii polskiej wspinaczki – wydolność jej organizmu spadła do niebezpiecznie niskiego poziomu.

Krzysztof ciężko zniósł zimową porażkę na Annapurnie. Wywołała ona u niego wręcz obsesję na punkcie wspinaczek o tej porze roku. Podszedł przecież tak blisko szczytu Annapurny, a musiał zrezygnować z wejścia z powodu wspinaczkowej partnerki, i to nie swojej, lecz Kukuczki. „Annapurna była drugim szczytem, którego nie zdobyłem – mówił. – Byłem z Wandą. Nie, Kukuczka z nią był".

Ostatecznie, mimo, że zaprosili ją pod Annapurnę ze względu na jej pieniądze, a nie dlatego, że chcieli się z nią wspinać, Wanda była szczęśliwa, że udało się jej przeżyć.

Droga Marion
18 lutego 1987 roku

Wydarzenia ostatnich trzech tygodni wydają się całkiem proste teraz, gdy siedzę i piszę o nich, ale w istocie przeżyłam jedne z najniebezpieczniejszych chwil mojego życia. Droga na Annapurnę była niezmiernie ryzykowna (...). Byłam w strasznym stanie, dużo kaszlałam (...).

Dziękuję ci, że pamiętałaś o moich urodzinach.

Wanda poświęciła całe swoje życie wspinaczce himalajskiej. Chociaż jej warszawskie mieszkanie na dziesiątym piętrze przy ulicy Sobieskiego w Warszawie nie było ani piękne, ani duże, stało się jej bazą i mieściło cały jej ekwipunek. Widok z okna – morze dachów i betonowych bloków – był szary i monotonny, ale to nie miało znaczenia, bo niezwykle rzadko tam bywała.

Marion zarządzała jej sprawami najlepiej, jak umiała, ale nigdy nie wystarczało czasu, by załatwić wszystko, czego chciała Wanda. Jej ambicje wykraczały znacznie poza wspinaczkę. Udzielała wywiadów, pisała raporty, kręciła i montowała filmy, miała odczyty i szukała sponsorów – robiła wszystko, co jest nieodzowne w życiu profesjonalnego alpinisty. Zwierzała się Marion: „Żyję górami, ale nie tylko dla nich. Nie jestem tylko i wyłącznie wspinaczem, nigdy nie chciałam być tylko nim".[54]

Miała realistyczne podejście do swoich twórczych umiejętności. Mówiła: „Jestem jedną z tych osób, które są kompetentne, ale nieutalentowane (...). Jestem jednak wdzięczna choćby za tę odrobinę talentu, którą posiadam".[55]

Stopniowo jednak angażowała się w coraz więcej przedsięwzięć, co w końcu powoli zaczęło ją wyniszczać.

Kariera Krzysztofa nabierała kolorów. Wspinanie się zimą stało się jedną z jego specjalności. Po makabrycznym letnim sezonie na K2 w 1986 roku dołączył rok później do zimowej ekspedycji Andrzeja Zawady. Było to rozrzutne przedsięwzięcie zwane czule „helikopterową ekspedycją na K2 za milion dolców". W październiku wspinacze wynajęli dwustu pięćdziesięciu tragarzy. Obfite opady śniegu w drodze na lodowiec Baltoro sprawiły, że ci porzucili sprzęt w połowie drogi. Gdy zespół dotarł tam pod koniec grudnia, rzeczy leżały rozsiane po sporym terenie. Wspinacze weszli na wysokość trochę ponad siedem tysięcy trzysta metrów, lecz silne wiatry

wygoniły ich z Karakorum. Próba wejścia na Broad Peak także okazała się klęską.

Te niepowodzenia i nieudana zimowa próba wejścia na Nanga Parbat nie odstraszyły Andrzeja. Wciąż ekscytował się perspektywą zimowych wspinaczek, robiąc kolejne podejście na Nanga Parbat w następnym roku. Jego pasja nie przygasła nawet na chwilę, mimo że przybywało mu lat, a i zdrowie dawało o sobie znać.

* *
*

Czternaście kolejnych miesięcy było dla Jurka bardzo pracowitych. W styczniu 1986 roku stanął na szczycie Kanczendzongi. W lecie wspiął się nową drogą na południową ścianę K2. Jesienią wytyczył własną drogę na Manaslu, a z początkiem lutego 1987 roku zdobył zimą Annapurnę. Na koncie miał już trzynaście ośmiotysięczników. Został mu tylko jeden – Sziszapangma.

Położona w Chinach Sziszapangma była wymagająca pod względem organizacyjnym oraz finansowym. Cztery lata wcześniej Jurkowi chodził po głowie pomysł, by wraz Wojtkiem przejść przez granicę nielegalnie, bez zgody. Ale czasy się zmieniły, a ten ostatni ośmiotysięcznik Jurek chciał zdobyć zgodnie z prawem. Początkowo wraz z Januszem Majerem starał się o pozwolenie u oficjeli z Chinese Mountaineering Association, którzy byli z oficjalną wizytą w Polsce. Chińczycy zaproponowali okres pomiędzy 10 listopada a 15 grudnia 1986 roku. Jurek się zezłościł: „Co za data! Ani to lato, ani zima!". Wspinacze zinterpretowali propozycję Chińczyków jako dyplomatyczną odmowę, złożyli więc zapytanie o inny termin. Odpowiedź była negatywna. Następnym krokiem było wykorzystanie chińskiego zaproszenia do Pekinu,

by kontynuować rozmowy. Pojawiał się tu jednak problem: wyjazd do Chin kosztowałby sporo, w walucie, której nie mieli.

Spakowali się jak na wycieczkę do wielkiego miasta: marynarka, krawat, najlepsze buty. Będąc w Pekinie, folgowali sobie, zwiedzając miasto komfortowym busem marki Mercedes. Spali wygodnie w dobrym hotelu i jedli doskonałe posiłki. Nie osiągnęli jednak postępu w sprawie, na której najbardziej im zależało – nie zdobyli i nie opłacili pozwolenia. Wreszcie ostatniego dnia wizyty udało im się umówić z pewnym wysokim rangą urzędnikiem. W nocy przed spotkaniem Jurek i Janusz uknuli plan: zaproszą jakichś chińskich wspinaczy do Polski i zaproponują pokrycie wszelkich kosztów w złotych. W zamian uzyskają pozwolenie na Sziszapangmę.

Chiński urzędnik rozmawiał z nimi ostrożnie.

– Tak, taka wizyta mogłaby leżeć w interesie Chin – stwierdził. – To niezwykle ważne dla chińskich wspinaczy, by zdobywać doświadczenia w różnych górach. Czy pokrylibyście wszystkie koszty ich pobytu w Polsce?

– Tak, oczywiście. Wszystkie koszty. To byłby dla nas wielki zaszczyt – zachwycał się Janusz.

Jurek wtrącił się w dogodnym momencie.

– Może moglibyście zaliczyć koszty tego organizacyjnego tygodnia w Pekinie jako część chińskiego wkładu do naszego partnerstwa?

Chiński urzędnik spojrzał na nich znad swoich papierów z poważnym wyrazem twarzy. W duchu międzynarodowej współpracy kiwnął głową.

– Panowie, te drobne kwestie finansowe możecie uważać za załatwione, działajcie.

Uścisnęli sobie dłonie.

Janusz i Jurek, już uspokojeni, podwyższyli budżet wyprawy, zapraszając zagranicznych wspinaczy na Sziszapangmę. Wyszło w końcu na to, że w przewidzianej na lato 1987 roku ekspedycji obok Janusza, Artura i Wandy wezmą udział Francuzi, Amerykanie, Meksykanie i Brytyjczycy.

Z powodu burz utknęli w bazie, gdzie Janusz nabawił się wyjątkowo paskudnej odmiany choroby wysokościowej. Reszta obżerała się przysmakami z międzynarodowych kuchni, a Jurek zdobył uznanie wspinaczy, prezentując talenty kulinarne. To radosne towarzystwo alpinistów, pozujących trochę przed sobą nawzajem, całkiem dobrze się dogadywało. Wypoczywali, spali, odwiedzali się, czytali i jedli, ile się dało, czekając na odpowiedni moment do rozpoczęcia wspinaczki.

Gdy pogoda się poprawiła, wszyscy ruszyli do góry. Grupa była bardzo różnorodna, a należący do niej wspinacze mieli odmienne cele i umiejętności na różnym poziomie, tak więc wkrótce rozeszli się na różne drogi i pozakładali własne obozy, co bardzo Jurkowi pasowało. Zdawał się zrelaksowany na swoim ostatnim ośmiotysięczniku, pewny własnych umiejętności i już nieobciążony wyścigiem z Messnerem.

Jurek postanowił wspiąć się na Sziszapangmę nową drogą przez zachodnią grań, a następnie – po to tylko, by było ciekawiej – zjechać na nartach ze szczytu. Wanda chciała być pierwszym polskim himalaistą na szczycie, ale wyprzedził ją Ryszard Warecki. Szła standardową drogą z Carlosem Carsolio i wieloma innymi wspinaczami.

Artur miał mieszane uczucia, będąc znów w górach z Wandą. Był młody i silny. Pomimo osiągnięć Wandy oraz jej pozycji w grupie uważał, że lata jej świetności już przeminęły. Niepotrzebnie jednak

martwił się o to, że Wanda odciągnie go od Jurka. Wspinali się we dwóch.

Obydwaj weszli niezdobytą zachodnią granią, wspinając się wcześniej na dziewiczy zachodni wierzchołek. Następnie poprowadzili drogę dalej przez szczyt centralny i wzdłuż urozmaiconej grani, po czym doszli do szczytu głównego. To było pierwsze w historii przejście ostrej grani łączącej dwa ośmiotysięczne szczyty – centralny i główny. Byli sami, gdy stanęli na wierzchołku 18 września. Zbliżał się wieczór, ale byli przyzwyczajeni do biwakowania na dużych wysokościach. Gdy dwaj przyjaciele stali na szczycie w ciszy i spokoju, słońce zanurzyło się za horyzont, wyzwalając cały wachlarz barw: fiolet, beż, cynober, ochra, lawenda.

To doświadczenie poruszyło zwykle małomównego i opanowanego Jurka. Po ośmiu latach wędrówki po najwyższych szczytach Ziemi wreszcie mu się udało. Nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie takiej radości, jaką czuł teraz, stojąc na szczycie swojego ostatniego ośmiotysięcznika, ostatniego paciorka na swym, jak to określał, „himalajskim różańcu". Jeśli Goethe miał rację, pisząc w swojej *Teorii kolorów*, że „najwyższym celem, jaki może osiągnąć człowiek, jest zachwyt", to Jurek właśnie tego doświadczył.

Parę dni później, po tym, jak zjechał na nartach, wszyscy w bazie świętowali jego sukces przy cieście ozdobionym flagami. Czternaście flag oznaczało czternaście szczytów. Messner wysłał do niego telegram o treści: „Nie jesteś drugi. Jesteś wielki". I tak właśnie było. Z jego wynikiem na ośmiotysięcznikach nie mógł mierzyć się nawet Włoch. Jurek zdobył je w bardzo sportowym stylu. „Pod górkę" – jak to ktoś określił. Na dodatek w czasie o niemal połowę krótszym niż Messner.

Otoczony przyjaciółmi z Polski i z zagranicy, czuł głęboką satysfakcję. Spełnił swoje marzenie, a co ważniejsze, był w górach, które tak ukochał.

* *
*

Reakcja Wandy na własne niezłe osiągnięcia była znacznie mniej entuzjastyczna niż reakcja Jurka: „To wspaniała chwila, kiedy czuję się zupełnie wyczerpana i zarazem bardzo szczęśliwa. Jestem zadowolona, że kolejny cholerny szczyt mam już za sobą, ale ta chwila na szczycie jest też jednocześnie końcem czegoś – sygnałem, że trzeba zawrócić i zacząć powrót do codziennego życia. Za każdym razem, gdy coś osiągasz, zawsze stajesz na końcu kolejnej drogi...”[56] Być może zastanawiała się nad wyborem właściwej ścieżki życia, takiej, w której będzie więcej kreatywności, a mniej brutalnej siły.

Ewa Matuszewska zasugerowała jej, by otworzyła sklep z ubraniami i ekwipunkiem. Pomysł ten pewnie okazałby się sukcesem – Wanda była przecież sławną i rozpoznawalną osobą – zapewniłby jej też zajęcie po zakończeniu jej kariery wspinacza. Rutkiewicz jednak go wyszydziła i oskarżyła Ewę, że ta próbuje wtrącić ją w życie sklepikarza.

Michał, brat Wandy, wiedział, że rozważa ona inne opcje. Miała na przykład pomysł, by kupić stary, opuszczony zamek, wyremontować go i zrobić z niego luksusowy hotel. Projekt sam w sobie nie był zły, ale nie dla takiej osoby jak Wanda. Michał wiedział, że siostra nie będzie w stanie zrealizować tego zamierzenia, ponieważ nigdzie nie zagrzeje miejsca na dłużej. Obserwował, jak przez lata krąży po świecie, wpadając do domu rodzinnego tylko na chwilę. Cieszył się, gdy ich odwiedzała, a matka, podekscytowana sławą córki, ożywiała się niezmiernie,

gromadząc resztę familii. „Wanda przyjeżdża! Wanda przyjeżdża!". Zbierali się więc tłumnie na obowiązkowy rodzinny obiad, a potem nie widzieli jej przez długie miesiące.

Pod koniec lat osiemdziesiątych Wanda coraz częściej dumała nad niebezpieczeństwami, jakie niósł jej styl życia. „Wszystkie emocje biorę ze sobą w góry – pisała do Marion – więc każdą bitwę staczam sama ze sobą, nie z górą (...). Nie zdołasz nigdy zdominować góry. Góry nigdy nie wybaczają błędów, dlatego też rozmawiam z nimi (...). Dopiero tam, w rozrzedzonym powietrzu, cierpiąc z każdym krokiem, jestem w stanie sięgnąć w głąb siebie; w takich chwilach mam pewność, że ktoś mi pomaga".

Wyrażała to, co tak wielu himalajskich alpinistów odczuwa na szczycie góry – świadome zaakceptowanie niebezpieczeństwa połączone z poczuciem mentalnej więzi z wyższą, życzliwą siłą, tą nieuchwytną trzecią osobą. Istnieją niezliczone historie ekstremalnych wspinaczek prowadzonych na omiatanych wiatrem zboczach i poharatanych lawinami ścianach, podczas których alpiniści odczuwali tajemniczą, nadnaturalną moc zdającą się przychodzić znikąd. Wojtek, Jurek i Krzysztof doświadczyli tego wrażenia wiele razy. Greg Child wyjaśnił: „Pchanie się na wysokości, na których wiatr wywiewa ci mózg, sprawia, że powstaje w tobie wewnętrzny świat".

Choć Wanda świadoma była własnej śmiertelności, zrozumiała w końcu, że jest uzależniona od przygód i niebezpieczeństw. „Nie potrafię bez nich żyć" – pisała w liście do Marion.

CZĘŚĆ TRZYNASTA

Upadek giganta

Szczyt góry, burza na niebie,
Rytm morza przemawia do mnie...
A moje serce szybuje

Chief Dan George,
„Moje serce szybuje”

Krzysztof próbował wejść na Lhotse dwa razy wspaniałą południową ścianą, nim w końcu zdobył szczyt normalną drogą ostatniego dnia 1988 roku. Południowa ściana stała się swego rodzaju „polskim problemem”, podobnie jak Everest dla Brytyjczyków i Nanga Parbat dla Niemców. W 1985 roku Krzysztof wraz z Mirosławem „Falco” Dąsalem, Walentym Fiutem i Arturem Hajzerem wspinał się na Lhotse do ośmiu tysięcy dwustu pięćdziesięciu metrów. Na tej wysokości musieli zawrócić. Dwa lata później razem z Arturem dotarli o blisko pięćdziesiąt metrów wyżej. Spędzili noc w śnieżnej jamie, ale musieli uciec przed wiatrami, które sponiewierały ich, gdy zjeżdżali trzy długie kilometry wzdłuż ściany.

W roku 1988 Krzysztof powrócił na Lhotse z urazem po wypadku na Bhagirathi – szczycie w indyjskim regionie Garhwal. Orzeczenie lekarza: obrażenia klatki piersiowej z kompresyjnym złamaniem ósmego kręgu. Leczony musi być unieruchomiony, by zapobiec

dalszym obrażeniom rdzenia kręgowego". To oznaczało koniec wspinania.

Lekarz nie znał jednak swojego pacjenta. Gdy Krzysztof dostał zaproszenie, by zimą zaatakować Lhotse, oczywiście się zgodził. Wcisnął się tylko w specjalny gorset, by usztywnić kręgosłup. Zapraszał go belgijski zespół, w którym była bliska przyjaciółka Krzysztofa Ingrid Bayens. Znając talent Polaków do zimowych wspinaczek, Belgowie wzięli do pomocy Krzysztofa Wielickiego, Andrzeja Zawadę i Leszka Cichego.

Pod koniec grudnia czterech wspinaczy osiągnęło sześć tysięcy czterysta metrów na Western Cwm (kotle zachodnim), pomiędzy Lhotse i Everestem.

Choroby pokonały wszystkich oprócz Krzysztofa. Jeśli chciał zdobyć szczyt, musiał iść sam. Dzień przed Nowym Rokiem zasznurował gorset i ruszył. Trzeci obóz był pusty przez parę tygodni, zimowe wiatry uszkodziły namioty. Schował się w resztkach jednego z nich i przeczekał noc. Następnego ranka poszedł dalej klasyczną drogą i zdobył szczyt.

To było pierwsze wejście na Lhotse zimą, do tego samotne.

Zejście okazało się znacznie trudniejsze; zaostrzyły się dolegliwości po kontuzji pleców, ból był nie do wytrzymania. Po każdych dwudziestu krokach musiał się położyć, czekając, aż ból ustanie. Lodowe zbocze było strome, a Krzysztof ciągle zasypiał.

Potem sam nie wierzył w to, czego dokonał na Lhotse. „Cztery miesiące po wypadku. Sam, zimą, w gorsecie! Ale udało mi się!". Gdy lekarz przeczytał o jego wspinaczce w gazecie, nazwał Krzysztofa „głupim". Jego pacjent był skłonny zgodzić się z tą opinią.

Krzysztof i Artur powrócili na południową ścianę Lhotse raz jeszcze, w 1989 roku. Reinhold Messner zebrał na to wejście

międzynarodową ekipę, ale jej członkom brakowało zgrania. Każdy chciał najwyższej nagrody dla siebie, nigdy więc nie utworzyli zespołu. Wyprawa skończyła się porażką.

W tym samym czasie wydarzyła się tragedia na zachodniej grani Everestu. Międzynarodowa wyprawa licząca osiemnastu wspinaczy dowodzona przez Genka Chrobaka wprowadziła dwóch Polaków na szczyt. Jednak z dziesięciu Polaków wróciło tylko pięciu.

Góry regularnie każdego roku zabijały polskich wspinaczy, zwykle jednak jednego czy dwóch. Tym razem ofiar było więcej.

„Zbyt wielu Polaków zginęło" – napisała w swoim jesiennym raporcie Elizabeth Hawley.

* *
*

Celina poczuła ogromną ulgę, gdy Jurek zakończył wspinaczki na czternaście ośmiotysięczników. Wątpiła, że porzuci wyprawy, ale miała nadzieję, że choć na chwilę zrobi sobie przerwę.

Komitet Olimpijski nagrodził go srebrnym medalem olimpijskim, który stał się ozdobą jego ogromnej kolekcji krajowych i międzynarodowych odznaczeń. Otrzymał też tytuł Człowieka Roku. Sądzono, że Jurek zrezygnuje ze wspinaczek himalajskich. Wyścig z Messnerem nie osłabił jednak jego miłości do wysokich gór i ambicji szukania ciekawych dróg, oferujących nowe wyzwania. Zwłaszcza jedna przykuwała jego uwagę.

Pochłonęła go wizja wejścia południową ścianą Lhotse. Niektórzy wspinacze nazywali ją najważniejszą ścianą Himalajów. Messner po porażce na niej stwierdził, że w XX wieku nikt jej nie przejdzie, zwycięstwo przyniesie może kolejny wiek. Jurek był innego zdania.

Myślał o tej ścianie od chwili, gdy dwanaście lat wcześniej zobaczył ją na fotografii w kalendarzu. Wtedy nie wyobrażał sobie,

że można ją zdobyć. Ale już w 1981 roku, gdy Wojtek podsunął mu ten pomysł, zgodził się, że może da się ją przejść. Ufał opinii Wojtka. Zamiast na Lhotse poszli wtedy na Makalu.

Jurek miał już za sobą dwie poważne próby wejścia na Lhotse, ale wiadomość, że Messner się poddał, uskrzydliła go. Jak tylko mógł najszybciej, zwrócił się o pozwolenie. Był przekonany, że bez problemu znajdzie dobry zespół wspinaczy.

Był we Włoszech, u przyjaciela niedaleko Rzymu i właśnie się pakował, gdy gospodyni zawołała go do telefonu. Wieści okazały się druzgocące. Pięciu z najlepszych polskich wspinaczy zginęło na Evereście. „Nagle wszystko się zmienia. Przed oczami przewijają się twarze moich partnerów, przyjaciół, kolegów. Przedziwne uczucie mnie ogarnia, jakbym chciał zrobić krok do tyłu, cofnąć to wszystko, irracjonalne poczucie winy. Chciałem się teraz schować, zamknąć, być sam".[57]

Wsiadł w pociąg do północnych Włoch, zatrzasnął drzwi swojego przedziału, opadł ciężko na siedzenie i schował twarz w dłoniach. Jego drużyny już nie było. Jego przyjaciele nie żyli.

Wewnętrzny głos rozsądku kazał mu zwolnić, wyluzować, zrobić przerwę.

Przez kolejne dwa tygodnie debatował sam ze sobą o Lhotse. Rysował nawet wykresy, z kolumnami „za" i „przeciw". W końcu doszedł do wniosku, że ostateczną decyzję podejmie tak, jak robił to zawsze – instynktownie. Teraz albo nigdy – pomyślał. Messner słusznie określał go jako wielkiego polskiego wspinacza obdarzonego najlepszą intuicją.

W czerwcu Jurek oznajmił w katowickim klubie, że jesienią wraca na Lhotse i szuka towarzyszy. Artur i Krzysztof wrócili właśnie z trzeciego ataku na tę ścianę. Byli pewni, że mogą ukończyć drogę,

ale frustracja spowodowana porażką sprawiła, że obiecali sobie przerwę od tej ściany na rok lub dwa.

Artur był ponadto wykończony heroiczną akcją ratunkową na Evereście. Obydwaj odrzucili zaproszenie Jurka i próbowali go przekonać, by zmienił plan; chcieli się z nim wspinać, ale nie teraz. Wejście na szczyt byłoby wspaniałą zemstą na tej górze, która wciąż odsyłała ich do domu bez sukcesu. Po tragedii na Mount Evereście Janusz też miał dosyć. Każdy tęsknił za komfortem domu i za płaską powierzchnią, choć na jakiś czas. Nawet sponsorzy Jurka naciskali, by odłożył wyprawę do 1990 roku.

Jurek nie chciał czekać.

Jego wychowanek Artur ogłosił, że wiosną zacznie się wspinać na ośmiotysięczniki, by zdobyć je wszystkie w rok. To nieco zirytowało Jurka. Ten zuchwały plan przyćmiłby przecież jego własne osiągnięcia. Artur i jego drużyna zaczęli już zbierać pieniądze – milion dolarów – na tę wyprawę, kiedy otrzymali bezceremonialną odmowę ze strony pakistańskich oficjeli. Nie dostali pozwolenia na żaden z pięciu szczytów Karakorum. Plan został przekreślony.

Zniknięcie tej irytującej przeszkody oraz wypowiedź Messnera, że południowa flanka Lhotse jest nie do zdobycia, jeszcze bardziej rozpaliły Jurka. Teraz była jego szansa. Znał ścianę, znał sporą część drogi i sądził, że wie, jak ją skończyć. Ale nie mógł zrobić tego sam. Był rozgoryczony, że nie może przekonać żadnego ze swoich najbliższych partnerów, by do niego dołączyli. Niecierpliwie wydzwaniał do wspinaczy z całej Polski.

„Mogłem ze sobą zabrać albo młodych gniewnych, albo naprawdę starych weteranów. Wybrałem tych drugich”.[58]

Krótko przed wyjazdem Ryszard Pawłowski zgodził się być partnerem Jurka na Lhotse.

Ryszard pochodził z katowickiego klubu, ale razem z Jurkiem wspinał się tylko dwa razy, w Alpach Nowozelandzkich i na południowej ścianie Lhotse. Wysoki i żylasty, z twarzą pooraną zmarszczkami, z której emanowała determinacja, Ryszard nie miał tak dużego doświadczenia jak Jurek, ale mógł się pochwalić budzącym respekt wspinaczkowym CV, w którym były: Ameryka Północna i Południowa, Alpy, Kaukaz, Pamir i Tien-szan, a także Broad Peak.

Ryszard przeniósł się do Katowic z północy Polski, gdy miał czternaście lat. Jego rodzice uznali wtedy, że tylko szkoła górnicza zapewni mu przyzwoite życie. Miał tam zapewnione wyżywienie, mieszkanie i edukację, czyli teorię i praktykę wydobywania węgla. Dziesięć długich lat pracował w kopalniach. Uważał się za szczęściarza, ponieważ miał pracę. Apetyt Związku Radzieckiego na polski węgiel był nienasycony nawet podczas kryzysowych lat.

Ryszard miał uzdolnienia do sportu. Ćwiczył judo, potem zaczął się wspinać. Wstąpił do klubu w Katowicach i szybko poznał stałych bywalców, także Jurka. Większość z nich uważała, że klub jest najważniejszy zaraz po rodzinie. Dla Ryszarda, który nie znał w mieście nikogo, klub był wszystkim. Malował i czyścił kominy jak inni katowiccy wspinacze. W końcu zrezygnował z pracy w kopalni – połączył roboty wysokościowe z posadą instruktora wspinaczki w pobliskich skałkach.

Celina wspominała, że przygotowania Jurka do wyprawy na Lhotse wyglądały trochę inaczej niż w przypadku wcześniejszych ekspedycji, a dni przed wyjazdem były bardziej chaotyczne. Na wyprawy Jurek zwykle brał z Polski wiele bębnów żywności, a tym razem nie wziął prawie nic. Tylko jeden pakunek.

Celina poszła na dworzec, by się z nim pożegnać. Pamięta ten moment bardzo wyraźnie: Jurek stał z małym plecakiem a wkoło

było tak dużo ludzi – wszyscy się przepychali, załatwiali ostatnie interesy z Jurkiem – że nie zdołała się z nim porządnie pożegnać. Kłębił się tłum, a za chwilę pociąg już jechał. „Co było robić, wsiadłam do samochodu i wróciłam do domu" – mówiła.

Jurek pisał dziennik w czasie wyprawy.

Wpis z 6 września dotyczył spraw praktycznych: kto zakładał poręczówki, kto rozbijał obóz, jaka była pogoda. Nie wspominał o sprawach osobistych, tylko o pragnieniu, by iść dalej i w miarę możliwości szybciej.

17 października zdawał się zdenerwowany. „Całą noc łomoce płachta namiotu i ten huk... Wygląda na to, że strefa wiatru się obniża. Ciśnienie skacze... Co jest grane? Czuję, że przegraliśmy pierwszą rundę. Wyścig z czasem przed jesiennymi wichrami. Błyskawiczna decyzja i szybkie zejście. O 10 jesteśmy w bazie".

Ryszard wspominał, że Jurek wcale nie był zadowolony, wydawał się raczej niespokojny. Obaj byli załamani pogodą, ale zgodnie twierdzili, że droga jest doskonała. Bardzo chcieli nią przejść, może za bardzo. Czy wejście na szczyt zmieniłoby ich jakoś? Czy pełniej uosabialiby ludzi, których widzieli w nich inni? Zanim podjęli kolejną próbę ataku, Jurek spisał w dzienniku plan na następne kilka dni:

- 23 i 24 – zejście
- 26 – karawana do Katmandu
- 3 listopada – Katmandu
- 20 listopada – spotkanie we Włoszech
- 2 grudnia – powrót do Katowic

24 października Jurek i Ryszard byli w najwyższym obozie. Wyruszyli o 8 rano. Pogoda była wymarzona.

Ostatni biwak założyli między 8200 a 8300 metrów. Dobra pogoda wciąż się utrzymywała. Przez ostatnie dni walczyli

z chłodem, z demonami słabości i strachu. Teraz poczuli promyk nadziei. Ryszard był spokojny, delektował się wspaniałą ciszą. Zaczynał myśleć, że może się udać. Długa, wielomiesięczna bitwa zbliżała się do końca. Południowa ściana nareszcie dawała im szansę. Czuł się jak wybraniec, który jeśli zwycięży, przejdzie do historii himalajskiej wspinaczki.

Zbliżyli się do grani szczytowej, parę metrów od przełęczy, gdzie w 1987 roku Krzysztof i Artur spędzili noc w śnieżnej jamie – tak blisko szczytu. Jurkowi i Ryszardowi pozostał do przejścia już tylko jeden trudny odcinek – granitowa płyta pokryta warstewką puchu. Mieli jedną osiemdziesięciometrową linę o grubości siedmiu milimetrów.[59]

Była nietypowo cienka, ale wybrali taką i nie wzięli drugiej żyły, by maksymalnie się odciążyć. Dzięki temu mogli się szybko posuwać w górę.

Ryszard zarzucił dwie pętle asekuracyjne na występ skalny, tworząc stanowisko. Jurek ruszył, wbił hak po mniej więcej dwudziestu metrach. Ryszard obserwował każdy jego ruch. „Asekurowałem go i dzieliłem z nim wszystkie moje pozytywne myśli. Jurek wspinał się pewnie, nie dało się zauważyć, by zwolnił, gdy wszedł na płytę".

* *
*

Celina była w Katowicach ze starszym synem Maćkiem, a młodszy, Wojtek, był w domku babci w Istebnej. Wczesnym rankiem 24 października Wojtkowi przyśnił się koszmar: wraz z ojcem jeździł windą w górę i w dół, w górę i w dół. Ruch przyprawiał go o mdłości, chciał wysiąść, ale winda się nie zatrzymywała. Nawet Jurek nie potrafił jej zatrzymać. Wojtek się

wystraszył, obudził się, z krzykiem, wołał babcię. Była godzina 4 rano.

* *
*

Ryszard asekurował Jurka i patrzył, jak ten cal po calu posuwa się po zaśnieżonej płycie. Zostało już tylko kilka metrów. Profil Jurka rysował się ostro na tle granatowego nieba.

Tam, gdzie kończyła się płyta, zaśnieżona grań pięła się ku szczytowi. Jurek rozpłaszczył się na ścianie. Ryszard wstrzymał oddech. Kukuczka po omacku szukał lepszego chwytu. Raki rysowały gładką powierzchnię ściany.

Dla Ryszarda czas zwolnił. „Jurek, uważaj, szepczę w myślach. Nagle mój partner zaczyna wolno osuwać się wraz z warstewką śniegu". Rak Jurka zazgrzytał. Wspinacz starał się zaczepić ostrze czekana o skalny załom, kopał nogami, ale już stracił równowagę. Ryszard patrzył ze stanowiska, jak Jurek spadał. „Byłem bezsilny. Nabierał szybkości. Mój lęk rósł. W głębi duszy zacząłem się modlić. Nie mogłem zrobić niczego innego, jak tylko trzymać linę. Ping – wyrwało hak. A on ciągle spadał. To już chyba koniec? Boże, miej nas w opiece!".

Ryszard zacisnął dłonie na linie, gotów na nagłe szarpnięcie. Ciężar ciała Jurka na drugim końcu poderwał go i rzucił na skałę. W chwili paniki Ryszard pomyślał, że jego stanowisko asekuracyjne jest za słabe. Ale wytrzymało. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie, ale stało się w mgnieniu oka. „Jeszcze przez chwilę słyszę dźwięk odbijającego się od skał czekana. Widzę wolno opadającą czerwoną rękawicę Jurka".

Wokół Ryszarda wszystko stanęło. Było całkiem cicho. Wyciągnął szyję, szukając w dole Jurka. Powinien być tam niżej,

niedaleko. Jednak nie; wypadł hak, a to oznaczało, że jego towarzysz spadł znacznie niżej. Może ranny? I wtedy Ryszard zauważył w dłoniach cienką, bezużyteczną linę. „Nie czułem ciężaru. Ciągnąłem ją bez wysiłku. W górę i w dół. W górę i w dół".

Po dwóch metrach – postrzępiony koniec. Przecięta na ostrym kamieniu siłą upadku Jurka.

Była godzina 9 – około 4 rano w Polsce.

Nie miał pojęcia, jak daleko partner spadł. To Jurek miał radio, więc Ryszard nawet nie mógł powiadomić bazy. Nie było ich też widać z obozu. Nikt oprócz Ryszarda nie widział wypadku.

„Mój partner – najwybitniejszy wspinacz w Polsce, przyjaciel – po prostu spadł, na moich oczach. Musiałem coś zrobić".

Nawet nie pomyślał o dalszym wspinaniu. Myślał tylko o dwóch rzeczach – znaleźć Jurka i zejść z tej góry żywym. Schodził tak ostrożnie, jak tylko potrafił, przez kilka metrów, dopóki nie dotarł do starych, wypłowiałych poręczówek. Ciągnął poplątane liny, aż znalazł kawałek, który wyglądał na mniej sparciały. Odciął go, by zrobić prowizoryczną zjazdówkę. Zaczął zejście, zjeżdżał tylko przez najbardziej strome odcinki i schodził, gdzie było łatwiej, kierując się ku namiotowi, który, jak sobie przypominał, był na wysokości siedmiu tysięcy dziewięciuset metrów.

Godzina po godzinie szedł w dół. Jego umysł szalał. Upadek pojawiał mu się przed oczami, chociaż usiłował wymazać ten obraz z pamięci. „Skoncentruj się. Żadnych błędów".

W miarę jak dzień się kończył, jego świat stawał się coraz bardziej mroczny. W końcu zrobiło się całkowicie ciemno. Wiedział, że musi się zatrzymać, bał się, że popełni śmiertelny błąd, ale gdzie namiot? Był pewien, że jest już blisko, więc przetrząsnął plecak w poszukiwaniu czołówki. Jego ręce pracowały niezdarnie, mózg miał pogrążony w chaosie. Nie mógł włączyć latarki. W pewnym

momencie upuścił ją, spadła. Musiał drugi raz biwakować na wysokości ośmiu tysięcy metrów.

* *
*

Następnego ranka Ryszard minął namiot z odrazą. Okazało się, że był sto metrów od miejsca, w którym spędził noc. W południe zobaczył przyjaciół idących mu na spotkanie. Wyszli do góry, bo martwili się o niego i Jurka – nie mieli od nich wieści od dwóch dni. Ryszard opowiedział, co się stało. Widzieli, że jest załamany. Pomogli mu zejść do trzeciego obozu na siedmiu tysiącach metrów, a następnego dnia dotarli do bazy i rozpoczęli poszukiwania. Szukali Jurka wszędzie w masywnym, skomplikowanym labiryncie kamieni i lodu, wąwozów i lodowych żandarmów. Wysiłki były daremne.

* *
*

Rano, gdy Celina krzątała się po domu, zadzwoniła babcia. Chciała opowiedzieć koszmar senny wnuka.

Celina pocieszała synka przez telefon najlepiej, jak umiała.

Wczesnym przedpołudniem ktoś zapukał do drzwi. Spojrzała przez szklane drzwi na korytarz. Stali tam Janusz Majer z żoną Zosią.

– Serce stanęło mi w gardle – wspomina.

* *
*

Ewa Matuszewska pamięta, że zadzwonił dzwonek, a w progu stała Wanda. Na twarzy miała wyraz smutku, w ręku trzymała butelkę wódki. Wpadła do kuchni i zażądała dwóch kieliszków.

– Co się stało? – zapytała Ewa. – Wyglądasz okropnie.

– Jurek nie żyje – odpowiedziała Wanda.

Z każdym kieliszkiem wygłaszała coraz bardziej płomienne tyrady o tym, jak silny i twardy był Jurek, jakim był wyjątkowym wspinaczem. „Jeśli Jurek zginął w górach, to oznacza, że każdego z nas to może spotkać" – zakończyła. Jurek mocarny. Jurek niezawodny. Stuknęła kieliszkiem o stół, otarła łzy i wyszła z mieszkania.

Wojtek był wściekły, gdy usłyszał o śmierci Jurka. Źródła tej tragedii upatrywał w ślepej wierze w Boga, która sprawiła, że Jurek nie docenił niebezpieczeństwa. „Jestem stuprocentowo pewny, że właśnie to nastawienie spowodowało tragedię. Jurek rzadko ponosił klęskę, a kiedy już mu się ona przytrafiła, wstrząsało to nim do głębi. Był bardzo religijny, wymagał od swojego Boga odpowiedzi: »Dlaczego mi to zrobiłeś? Nigdy nie zrobiłem nic złego w całym moim życiu. Podążałem za Tobą. Nie zasłużyłem na to. Dlaczego? Dlaczego?«".

Po drugiej stronie świata w stolicy Meksyku Carlos opłakiwał stratę Jurka, bliskiego przyjaciela. „Dużo ze mną rozmawiał. Był bardzo twardy i bezpośredni – trochę jak Šrauf. Nikt nie był tak twardy jak Jurek". Potem dodał cichym, drżącym lekko głosem:"... Nie był wysoki, stracił trochę włosów, miał lekki brzuch. Gdybyś go spotkał na ulicy, nie zgadłbyś, że to najlepszy wspinacz na świecie. Nie było lepszego w historii wspinaczki himalajskiej".

Międzynarodowa społeczność alpinistów była oszołomiona wieścią, że niezwyciężony wspinacz zginął. Przez jakiś czas Polacy stracili serce do wspinania, a ich wiara w siebie osłabła. Artur przestał się wspinać. Cały kraj pogrążył się w żałobie.

* *
*

2 listopada 1989 roku. W dzień zaduszny, chłodny i szary, lekko mżyło. Katowicką katedrę wypełnili żałobnicy. Setki ludzi – członkowie rodziny, towarzysze wspinaczki, przyjaciele i obcy – zebrały się, by uczcić pamięć Jurka Kukuczki, będącego dla wielu Polaków symbolem męstwa i odwagi. Gdy msza się zakończyła, w kościele na chwilę zapadła cisza, po czym zabrzmiały dźwięki żałobnej orkiestry dętej. Grupka trębaczy z Istebnej, rodzinnej wioski Jurka, grała ostatnie pożegnanie. Wszyscy, po cichu i z namaszczeniem, opuszczali katedrę.

Celina musiała jakoś sobie radzić po śmierci Jurka. Właściwie nie mieli nigdy planów na przyszłość. „Nie planowaliśmy za komuny, nie było potrzeby. Wtedy po prostu żyliśmy". Teraz została sama z dwoma synami. Jeden miał dziewięć lat, drugi cztery. By wdowa mogła uzyskać pieniądze z ubezpieczenia Jurka, potrzebne było jego ciało. Dlatego oficjalny raport mówił, że ekipa znalazła je i pochowała w szczelinie lodowca. Celina otrzymywała więc pieniądze i dorabiała, wynajmując dom, ale była wdzięczna losowi, że nigdy nie prowadziła wystawnego życia. Jej uwaga skupiła się teraz na dzieciach; była za nie odpowiedzialna, a one dawały jej siłę. Społeczność wspinaczy po cichu ją wspierała, ale przez ich szacunek dla jej prywatności czasem czuła się okrutnie samotna. Celina była silna. Przez te wszystkie lata, gdy Jurek chodził po górach, nauczyła się zapewniać swojej rodzinie normalne życie. Teraz musiała nauczyć się go opłakiwać. W tym nikt nie mógł jej pomóc.

Uśmiechała się na wspomnienie czternastu lat małżeństwa. Czternaście lat to nie tak długo, a poza tym faktycznie byli ze sobą znacznie krócej – może połowę tego okresu. „Gdy byliśmy razem, było wspaniale. To był dobry czas dla nas obojga" – mówiła.

Zaczęły zgłaszać się do niej szkoły z różnych miejsc Polski. Zmieniały patrona na Jurka. Zapraszano ją, by wzięła udział w uroczystościach. Uśmiechnęła się, gdy jedna ze znanych polskich szkół, mając do wyboru papieża Jana Pawła II i Jerzego Kukuczkę, wybrała na swego patrona Jurka. Te chwile dawały jej poczucie dumy: setki wpatrzonych w nią młodych ludzi, zadających pytania, dziękujących za bohatera Jurka. Katowice nazwały nawet osiedle jego imieniem. Była pewna, że pamięć o nim nigdy w Polsce nie zgaśnie.

Celina często prosiła Jurka, by zabrał ją do bazy pod jedną z jego gór. Jednak dopiero w 2009 roku ruszyła na wyprawę. Wybrała się w podróż pod południową ścianę Lhotse, by złożyć hołd mężowi i innym, którzy stracili tam życie. Jej syn Wojtek, dziś trzydziestoletni mężczyzna, był przytłoczony ogromem ściany. Po nocy w obozie, patrząc przez lornetkę na oświetlone zbocze i malutkie postaci wspinaczy, lepiej rozumiał słowa Krzysztofa Wielickiego: „Zginął śmiercią wspinacza w klasycznych okolicznościach: bardzo stroma ściana, odpadnięcie, zerwana lina i ostateczny upadek w przepaść”.[60]

* *
*

Krzysztof stracił serce do południowej ściany Lhotse. „Nie ma już tam nic nieznanego – powiedział. – Znam każdy jej cal”. Ryszard się z nim zgodził. Poza tym już wystarczająco wielu Polaków straciło tam życie.

Ryszard Warecki, zastępca lidera wyprawy, powiedział smutne, ale trafne zdanie: „Z wielkiej grupy wspaniałych wspinaczy w Polsce jest już tylko kilku”.

CZĘŚĆ CZTERNASTA

Karawana do marzeń

Jeżeli jestem legendą, dlaczego jestem taka samotna?

Przypisywane
Judy Garland

Górskie sukcesy nie przychodziły Wandzie łatwo. Na każdego giganta w Himalajach, na którego się wspięła, przypadały dwie porażki. Gdy się wycofywała, to dlatego, że zmuszały ją do tego pogoda, niebezpieczne warunki, a najczęściej choroby i kontuzje. Na Makalu w 1990 roku znowu poniosła porażkę. Choroba raz jeszcze nadszarpnęła jej kondycję i Wanda zaczęła wątpić w swoje możliwości. Zwątpienie przerodziło się w depresję i strach.

> **Droga Marion**
> *30 kwietnia 1990 roku*
>
> Jestem bardzo załamana, do mojej zwyczajowej niepewności dotyczącej góry dołączył jeszcze niepokój o własne zdrowie. Pisanie do Ciebie pomaga mi, ponieważ wiem, że rozumiesz te rzeczy...

Nie zdobyła szczytu i zastanawiała się, czy szczęście się od niej odwróciło. Postanowiła zmienić taktykę. Wziąwszy pod uwagę swoje szczególne warunki fizyczne, zamiast organizować jedną czy dwie himalajskie wyprawy w roku, postanowiła zaliczyć wszystkie

brakujące szczyty tak szybko, jak to możliwe. Ale to wymagało pieniędzy – i doskonałej kondycji. Jej ekwipunek był w strzępach; namioty zbyt małe; buty źle dopasowane. Musiała znaleźć wyjątkowo hojnego sponsora. Potrzebowała też czasu, by trenować.

Była w Azji, więc zamiast wracać z Makalu do domu, by się leczyć, skierowała się na wschód, do Pakistanu, by dołączyć do ekspedycji na Gaszerbrum I. Ten mierzący 8068 metrów szczyt był najwyższy z grupy Gaszerbrumów, a ona bardzo chciała go zdobyć.

Kiedy pojawiła się po raz pierwszy w tym masywie, wydawała się niezainteresowana innymi wspinaczami. Była całkowicie skupiona na własnych celach i wykazywała brak podstawowego zrozumienia dla aspiracji i umiejętności partnerów. Komunikację z nimi ograniczała do minimum, co utrudniało jej ocenę sytuacji, gdyż odrzucała wszelkie opinie, polegając wyłącznie na własnym osądzie. Ta bezkompromisowość na Gaszerbrumie I bardzo kontrastowała z jej osobowością poza górami, gdzie była przecież mniej zacięta, a nawet w pewnym sensie nieśmiała. By wspinać się z Wandą, trzeba było być gruboskórnym i pewnym własnych celów. W innym przypadku mogła łatwo zmanipulować towarzysza wspinaczki, tak by spełniał jej oczekiwania.

Ta wyprawa była dla Wandy wyjątkowa, ponieważ zakochała się w niemieckim neurologu i maratończyku Kurcie Lyncke. Dołączył do ekipy na niedaleki Gaszerbrum II, głównie po to, by być blisko niej. Łączył ich świeży i pełen pasji związek, dostarczający niekończącej się rozrywki innym wspinaczom, gdy zakochani wymieniali się czułościami przez radio. Wanda promieniowała radością i energią. Zwierzyła się nawet Ewie, że ona i Kurt „zamierzają się razem zestarzeć”, co było jak na nią dość niezwykłe.

Zdobyty Gaszerbrum I był jej szóstym ośmiotysięcznikiem. By wykorzystać wytrenowanie i aklimatyzację, poszła na pobliski Broad Peak, zabierając Kurta i dwóch innych wspinaczy. Mieli wejść na górę w trzy dni. Byłby to jej siódmy ośmiotysięcznik, który na dodatek zamykałby zestaw pakistańskich szczytów w kolekcji.

Jednak już pierwszego dnia Kurt poślizgnął się i spadł czterysta metrów w dół. Wanda to widziała. Zanim do niego dotarła, już nie żył. Była zrozpaczona. Przecież w końcu znalazła mężczyznę, który dzielił jej pasję do gór i z którym chciała spędzić resztę życia...

Niezwykle trudno było jej znaleźć kogoś, kto żyłby z nią w harmonii – kogoś wolnego i niezależnego. Twierdziła, że jest gotowa na trzecie małżeństwo, wierząc, że tym razem może ono trwać do końca życia. „Motywował mnie, pomógł mi otworzyć się na świat i rozkwitnąć" – mówiła o Kurcie. Trudno przewidzieć, czy i kiedy ich wzajemna fascynacja by wygasła albo czy jej potrzeba wspinania przerosłaby jej miłość do Kurta.

Po powrocie do Polski odwiedziła przyjaciółkę Ewę. Rozmawiały o Kurcie. – Czy dasz sobie radę? – spytała Ewa.

Wanda patrzyła przed siebie, długo nie odpowiadała.

– Wiesz, czuję, że nie ma już nic, co by mnie wstrzymywało, i mam zamiar wypełnić mój plan do końca.

Ewa wzruszyła ramionami, z rezygnacją wbiła wzrok w podłogę. Wiedziała, co się święci.

Wanda rzuciła się w wir pracy: prezentacje, podróże, promowanie siebie i swoich marzeń, szukanie ważnych sponsorów. Marion pracowała non stop, by pokryć rosnące wydatki. Wanda w przeciwieństwie do większości polskich wspinaczy nie malowała kominów. Miała inną taktykę. Znała swoją wartość, była charyzmatyczna i ambitna, a z pomocą Marion nauczyła się, jak zarabiać na tych cechach charakteru.

Opisywany przez Wandę styl, w jakim weszła na Gaszerbrum I, znowu wydał się podejrzany dla części wspinaczkowego świata. Z jej oświadczenia wynikało, że wspięła się z partnerką, stylem alpejskim. Wspomniała polską ekspedycję na Gaszerbrum, z której namiotów korzystała, a także „grupę mężczyzn", z którymi dzieliła drogę do wysokości sześciu tysięcy metrów i którzy założyli jej obóz drugi. I tyle. Potem już, jak wynikało z jej raportu, z Ewą Panejko-Pankiewicz były same na górze. W rzeczywistości było jednak inaczej. Niepodejrzewający niczego sponsorzy byli pod wrażeniem, ale wielu wspinaczy dziwił jej brak rzetelności w opisie wypraw.

Marion wciąż była jej najlepszą przyjaciółką i menedżerką. Fascynowała ją silna osobowość Wandy i nie czuła się zagrożona jej osiągnięciami we wspinaczce, po części dlatego, że sama nie była alpinistką i nigdy do końca nie pojmowała tego sportu.

Widziała po prostu atrakcyjną, inteligentną kobietę, żyjącą na krawędzi, zaznajomioną ze śmiercią, zmotywowaną i ambitną. Kobietę z olbrzymimi, nie tylko finansowymi potrzebami.

Marion postanowiła pomóc Wandzie w pełnym wykorzystaniu jej potencjału, przede wszystkim jednak dawała jej poczucie stabilności. Organizowała wykłady, negocjowała kontrakty, znajdowała sponsorów i aranżowała wyjazdy. Była postawna, by nie powiedzieć gruba. Chociaż młodsza od Wandy, zdecydowała się jej matkować. Ich relacje nie były równorzędne, nie było też tak, by Marion wyłącznie dawała. Wanda urozmaicała jej życie, przywożąc z podróży pełne emocji wspomnienia. Niektórzy uważali, że Marion była oczarowana Wandą, a nawet w niej zakochana. Wielu zastanawiało się nad charakterem ich relacji, chociaż nigdy nikt nie powiedział tego głośno. Wanda zawsze odnajdowała pocieszenie w lojalności Marion. Ich przyjaźń była prawdopodobnie jedynym długo trwającym związkiem, jaki

Wanda była w stanie znieść. Na wykładzie w Wiedniu przyznała: „Nie mogę oprzeć się górom i dlatego wybrałam samotne życie".

Po śmierci Kurta w 1990 roku Wanda nie wchodziła w żadne głębsze związki. Jej poprzedni towarzysz wspinaczki stwierdził: „Nikt nie kochał Wandy (...). Kobieta taka jak ona, piękna i błyskotliwa, dochodzi do pięćdziesiątki i (...) ciągle nie ma nikogo w życiu". Choć nie przekroczyła pięćdziesiątki, jeszcze nigdy nie była tak odarta z emocji jak teraz. Z pewnością nie była pod tym względem wyjątkowa. Poświęcenie się w młodości wspinaniu sprawia, że alpiniści żyją w odosobnieniu, samotni pośród fotografii i wspomnień, a ich życie towarzyskie sprowadza się do okazjonalnych zjazdów wspinaczy w późnym wieku.

Ciągle jednak byli ludzie, którym na Wandzie zależało. Jednym z nich był Alek Lwow. „Kochałem Wandę... Była dla mnie jak starsza siostra – mówił. – Gdy zacząłem się wspinać, byłem bardzo młody. Miałem szesnaście lat, a ona była już sławna... Oczywiście rozumiałem, że nie jesteśmy równi. Była agresywna, skomplikowana. Ale kochałem ją".

Strata przyjaciół bardzo Wandę przygnębiała. Po powrocie z Broad Peak w wywiadzie telewizyjnym opowiadała matowym, pozbawionym emocji głosem, ilu wspinaczkowych partnerów zabrał jej alpinizm. Ponad trzydziestu z tych, z którymi była na wyprawach i którzy stanowili jej najbliższy krąg, już nie żyło.

„To wielka liczba – powiedziała. – Wiele nad tym myślałam... dlaczego... to wytrzymuję. Wiem, czym jest życie. Jestem przepełniona strachem podczas wspinania". Patrzyła prosto w kamerę i dodała: „Znam wartość życia, nie tylko własnego". Potem jakby straciła pewność siebie, opuściła wzrok i powiedziała: „Każdy z nas ma drugie życie. Mamy ukochanych, ale... wspinanie staje się

częścią naszego życia. Pasją, która pochłania wszystko i której nie można porzucić, tak jak nie można porzucić własnego życia".

* *
*

Od 1987 do 1992 roku Wojtek szukał dróg, które byłyby wyjątkowe. Stąd trzy próby na K2, w tym dwie na zachodniej ścianie tej góry – drugiej po Gaszerbrumie IV obsesji Wojtka. Ale jego wysiłki nie ograniczały się do K2. Ze szwajcarskim wspinaczem Erhardem Loretanem odniósł sukces na wyjątkowo trudnej, dwudziestodziewięciowyciągowej drodze na wschodniej ścianie Trango Tower. Następnie z Erhardem i innym Szwajcarem Jeanem Troilletem udał się na Czo Oju oraz Sziszapangmę.

Dobrze mu się wspinało z Erhardem, najlepiej od czasów Alexa i Jurka. Ale w 1990 roku ich przyjaźń zawisła na włosku. Wojtek chciał zdobyć szczyty Czo Oju i Sziszapangmy szybko, jeden po drugim. Erhard i Jean zaakceptowali pomysł. Plan zakładał aklimatyzację, a potem wspięcie się za jednym zamachem: bez namiotów, maszynek i prawie bez jedzenia, biorąc tylko ubranie i ograniczony ekwipunek. Nazwali to „nocną wspinaczką nagusów".

Trzy tygodnie czekali u podstawy południowo-zachodniej ściany Czo Oju na pogodę. Wojtek był jakby nieobecny i podenerwowany. Jego myśli uciekały do Polski, gdzie zostawił nowo narodzonego syna Aleksandra.

Irytowało go wszystko. Nawet dźwięk wody w butelce Erharda doprowadzał go do szaleństwa. Szwajcar z kolei wydawał się dziwnie agresywny i zły, wrzeszczał na Wojtka, gdy zauważył jakieś jego rzekome przewinienia. Wybuchnął na przykład, gdy dyskutowali o hakach. Erhard chciał wziąć tylko dwa, Wojtek naciskał na sześć.

– OK, więc weź je wszystkie! – krzyknął Erhard i rzucił szpejem.

– Erhard, straciłeś towarzysza na ścianie właśnie z tego powodu – riposta Wojtka była mocna.

Ustalili, że wezmą sześć.

Czekając na poprawę pogody, wściekali się nawet na sposób, w jaki się zmieniała: czyste niebo w nocy, czyste rankiem, śnieg o 10, potem trochę słońca, dalsze opady i znów przejaśnienie nocą. Stawali się niecierpliwi. W końcu doszli do wniosku, że będą się wspinać nocą. Pogoda wydawała się stabilna, a oni nie mieli zamiaru przebywać na ścianie długo – planowali jeden nieprzerwany atak. Po szybkiej wspinaczce nocą stanęliby na szczycie rankiem, kiedy pogoda zazwyczaj się załamywała. Plan wydawał się rozsądny, zwłaszcza że w partiach podszczytowych wspinało się łatwiej. Zdecydowali się ruszyć po zmroku.

Starając się nie zwracać uwagi na staczające się po ścianie lawiny, zatrzymali się u podstawy, by ugotować ostatni posiłek przed atakiem. Zaczął padać śnieg. „Piękne duże płatki, pada jak w święta" – wspominał Wojtek.

Jean i Erhard chcieli wyruszać mimo zmiany pogody. Ale Wojtek się wahał. Jean spojrzał na niego: – Nie wyglądasz dobrze, masz problem?

– Myślę, że jest niebezpiecznie – odpowiedział Wojtek.

– Masz złe przeczucia? – pytał Jean.

– Tak.

– Sądzisz, że coś może pójść źle? – Jean nie odpuszczał.

– Nie wiem, ale jest niebezpiecznie.

Wojtek zaufał intuicji i zawrócił do bazy. Jean i Erhard poszli w górę bez niego. Kurtyka schodził, smutny i nieprawdopodobnie zmęczony, jakby dopiero co powrócił po pięciu dniach wspinaczki. Był psychicznie i fizycznie zniszczony.

Podczas marszu próbował analizować swój stan. Wiedział, że stracił wyobraźnię, ale gdzie ona się podziała? Jak mógł planować wspinanie się na tę górę, będąc tak słabym? Jedno wiedział – lepiej było się wycofać i żyć, niż uparcie pchać się w niebezpieczeństwo. Wlókł się dwie godziny, obsuwając się i ślizgając na osypisku, przybity, ale z uczuciem ulgi. Nagle natknął się na jaka. Wyczerpany pomylił lśniące oczy zwierzęcia z odległymi światłami namiotów. Niedługo potem dotarł do obozu i skierował się do kuchni.

Gdy robił sobie herbatę na syczącym piecyku, usłyszał hałasy na zewnątrz. Wystawił głowę. Zobaczył, że Jean i Erhard wracają w mroku. „Co się stało?". Żaden nie powiedział ani słowa.

Następnego dnia Erhard nie wyszedł z namiotu, ale Jean opowiedział, co się wydarzyło. Gdy byli jakieś sto metrów wyżej, lawina prawie zdmuchnęła ich ze ściany. Zawrócili. Postąpili mądrze.

Parę dni później pogoda się zmieniła i wspięli się nową drogą na szczyt.

W bazie odpoczywali tylko jeden dzień. Zeszli w dolinę. Po dwóch dniach podróży jeepem dotarli pod Sziszapangmę. Mieli zamiar wspiąć się nową drogą na południową ścianę, na lewo od drogi jugosłowiańskiej. Sposób był ten sam – „nocna wspinaczka nagusów", pojedynczy atak na górę z czterema batonami i czterema butelkami wody oraz trzydziestometrowym odcinkiem siedmiomilimetrowej liny i czterema hakami. Zostawili nawet uprzęże.

Tuż pod szczytem natknęli się na stromy odcinek mikstowy (skały i lód). Jean i Erhard wybrali najoczywistszą drogę przez przeszkodę, lecz Wojtek spostrzegł ciekawszą możliwość. Choć jego droga była stroma, był przekonany, że prowadzi skrótem do przełęczy między

szczytami zachodnim i centralnym. Był podniesiony na duchu po Czo Oju, wierzył we własne siły. Poza tym skrót wyglądał „interesująco".

Po kilku krokach Wojtek utknął. Szukając wyjścia, zauważył, że droga w górę staje się coraz trudniejsza. Uznał, że może z niej spaść. Spróbował pokonać przeszkodę z lewej strony, to jednak też mu się nie udało. Teren w zejściu wydał się jeszcze trudniejszy. Wreszcie zszedł sto metrów w dół roztrzęsiony z nerwów. Po tej nauczce skierował się na drogę wybraną przez Jeana i Erharda. Partnerzy wyprzedzali go o ponad godzinę. Napisał później, że czuł się „samotny i przygnębiony".

Cała trójka weszła na środkowy szczyt Sziszapangmy ledwie sześć dni po Czo Oju. Poprowadzili nową drogę na oba wierzchołki, na każdy weszli w stylu alpejskim. Ustanowili nowy standard we wspinaczce himalajskiej. Było to jednocześnie pożegnanie Wojtka z ośmiotysięcznikami, pożegnanie najwyższej klasy. „Po wejściu na szczyt czujesz swego rodzaju katharsis – wyjaśnił. – Jesteś po prostu szczęśliwą istotą".

Pomimo euforii Wojtek był rozbity postawą Erharda. W czasie ich ostatniej uczty z fondue z okazji zakończenia ekspedycji Wojtek starał się wyrazić wdzięczność za wszystko, czego razem dokonali. Wzruszony Jean był bliski łez, ale Erhard pozostawał chłodny. Napięcie i stres nie są czymś niezwykłym podczas wyprawy, ale reakcje Erharda wydawały się przesadzone i wyglądało na to, że obraził się na dobre. Wojtek nie mógł zrozumieć, dlaczego do tego doszło, jako że sam nie żywił urazy do Erharda. Lata później Erhard zmienił swój stosunek do niego. W czasie publicznego wystąpienia powiedział: „Poszedłbym z Wojtkiem do piekła. Jeśli mnie zawoła, ruszę wszędzie".

Wojtek był zdezorientowany. „To zabawne. Dziwnie się zaczęło, dziwnie się skończyło, ale po drodze nie było wesoło". Zastanawiał się, czy na wyprawie czasami nie naciskał za bardzo na Szwajcarów. Być może za mocno przekonywał ich do swoich pomysłów.

* *
*

Czo Oju i Sziszapangma były dla Wojtka ostatnimi wielkimi wspinaczkami w Himalajach. Zszedł ze sceny z klasą – zdołał uratować przyjaźń, w wspinaczce na lekko ustanowił niewiarygodnie wysokie standardy. I przeżył.

W historii wspinaczki Wojtka nie było czarnych plam. Pomimo jego skłonności do wybierania niezwykle trudnych i niebezpiecznych dróg udało mu się uniknąć wypadków i tragedii. „Uważam, że powinniśmy zaakceptować możliwość śmierci, a nawet jej dotknąć" – powiedział. Umiał też jednak zatrzymać się w odpowiednim momencie. Nie bał się decyzji o odwrocie.

W jego trzydziestoletniej karierze było wiele niezwykłych triumfów, ale również błyskawicznych lub strategicznych odwrotów. Wielu wspinaczy mówiło o niemalże mistycznym trybie, w jakim podejmował decyzje. Czasem śmiali się z niego, że bez powodu postanawia porzucić górę. Być może sami ulegali śmiertelnej chorobie dotykającej wspinaczy: stopniowemu stępieniu wrażliwości na ryzyko, co łączy się z poczuciem nieśmiertelności. Ta niewrażliwość może mieć fatalne skutki. Wojtek zaś chronił umiejętność dostrzegania ryzyka – dawała mu ona sygnały ostrzegawcze w niebezpiecznych sytuacjach.

Zdaniem Aleksandra, syna Wojtka, jego ojciec twierdził, że nie ulega wypadkom, bo jest „największym tchórzem na świecie". Wojtek głośno przyznawał się do strachu, porażki i chęci odwrotu.

Często nazywał to zwykłym tchórzostwem, ale w chwilach zadumy zastanawiał się, czy to czasem nie jest mądrość.

Bezpieczeństwo towarzyszące Wojtkowi udzielało się też jego partnerom. Tuziny najlepszych alpinistów z pokolenia Wojtka, w tym także niektórzy z jego najbliższych przyjaciół, zginęły w górach. Nigdy jednak nie działo się nic strasznego, gdy wspinali się z nim. Alpiniści realizujący niezmiernie ambitne cele obojętnieli na ryzyko. Ale wysokość nie zwraca uwagi na nastawienie ludzi, więc tragedie zdarzały się bardzo często. Czasem z powodu przeliczenia się w ocenie swoich umiejętności, czasem w następstwie głupich błędów związanych z ekwipunkiem lub techniką. Niemniej wypadki prawie zawsze zdarzały się wtedy, gdy wspinacze zostawali zbyt długo w „strefie śmierci". Większość ofiar stanowili doświadczeni, godni zaufania, wytrawni ludzie gór, często około pięćdziesiątki, zahartowani latami wspinaczki.

Jedną z nich był Jurek. Wojtek, rozgniewany i zasmucony jego śmiercią, mówił bez ogródek: „Zdecydowanie zbyt często igrał z ogniem. Uważałem, że to nieracjonalne. Głównym tego dowodem była śmierć jego pięciu towarzyszy". Nie zgadzał się, że śmierć Jurka w górach była nieunikniona, lecz uważał, że można było się jej się spodziewać. Doszło do tego, że Wojtek zaczął bać się Jurka, bo tak wielu jego kompanów zginęło. Tylko w czteroletnim okresie, gdy tworzyli zespół, Jurek trzymał się z daleka od kłopotów. Wojtek twierdził, że Jurek brnął coraz głębiej w ślepą uliczkę, szedł coraz wyżej bez zabezpieczenia.

– Nie było dla niego opcji odwrotu – mówił. – On nigdy się nie wycofywał. Taki był.

Samego Kurtykę dziwiło jego własne czyste konto, bez śmierci, bez większych wypadków. „Nie mam pojęcia, dlaczego przez te wszystkie lata nawet włos nie spadł mi z głowy... Gdy o tym

myślę, zaczynam się bać". Podnosi wzrok, głęboka zmarszczka rysuje się nad jego brwiami: „Czy będę kiedyś musiał za to zapłacić?".

* *
*

Wanda najpierw wspomniała Ewie o planie zdobycia wszystkich ośmiotysięczników, a w 1990 roku ogłosiła to publicznie i nazwała „Karawaną do marzeń". Później, ale jeszcze w tym samym roku, wraz z Marion wydała oświadczenie prasowe skierowane do potencjalnych sponsorów i mediów. „Mój projekt to wspinaczka na osiem szczytów, które liczą więcej niż 8000 m n.p.m. – Czo Oju (8201), Annapurna (8091), Dhaulagiri (8167), Manaslu (8163), Makalu (8485), Lhotse (8516), Broad Peak (8051) i Kanczendzonga (8586) – w trochę ponad rok.

Żadna kobieta jeszcze nie odważyła się wyruszyć na taką ekspedycję. Będę pierwsza".

Gdyby jej się to udało, byłaby pierwszą kobietą zdobywczynią wszystkich czternastu gigantów. Carlos Carsolio był przekonany, że ten plan to tylko strategia marketingowa. Podobnie robił on sam i Jurek, a także inni wspinacze, by zebrać więcej funduszy na himalajskie wyprawy. „To nie był cel. To było narzędzie". Brat Wandy Michał martwił się planem siostry. „Karawana do marzeń" była jak machina, która wprawiona w ruch przez Wandę była nie do zatrzymania.

Jej pierwszym celem była Kanczendzonga, góra, na którą już próbowała się wspinać. Jako towarzyszkę wybrała Ewę Panejko-Pankiewicz; dołączyły do wyprawy jugosłowiańskiej w marcu 1991 roku. Prawie im się udało, ale ekspedycja wycofała się, gdy dwóch Jugosłowian zginęło pod szczytem. Pierwsza góra w „Karawanie do marzeń" nie pozwoliła się zdobyć.

W sierpniu zaatakowała Czo Oju uważany za najłatwiejszy z ośmiotysięczników. Dołączyła do międzynarodowego zespołu kierowanego przez Krzysztofa Wielickiego i 26 września stanęła samotnie na szczycie.

Jeden zdobyty, pozostało siedem.

Powróciła do Katmandu 29 września i zaraz poszła na południową ścianę Annapurny. Góra ta, po raz pierwszy zdobyta w roku 1970 przez Chrisa Boningtona z ekipy brytyjskiej, stanowiła niebagatelne trofeum. Pierwszego dnia spadający kamień tak boleśnie uderzył Wandę w udo, że myślała, iż jest złamane. Okazało się jednak tylko mocno stłuczone. Wanda uznała, że podnosząc nogę dłońmi przy każdym kroku i biorąc dużo leków przeciwbólowych, może się wspinać. Bogdan Stefko, jej kompan, myślał inaczej. Razem z Wielickim, liderem ekspedycji, namawiali ją do zejścia. Odmówiła. Mężczyźni poszli więc w górę, zostawiając Wandę. Rozumiała ich decyzję, ale była rozczarowana, gdy przyszło jej zdobyć szczyt samotnie.

> **Droga Marion**
> *28 października 1991 roku*
>
> Nie mam szczęścia do męskich kompanów. Nigdy nikogo nie chciałam wstrzymywać czy być dla kogoś ciężarem, ale byłam tak rozgoryczona...
>
> Nie miałam innego wyjścia, niż powiedzieć: „Nie zawracajcie sobie mną głowy, jakoś sobie poradzę”... Szkoda, że nie miałam prawdziwych przyjaciół wśród członków wyprawy ani też czasu, by nawiązać nowe znajomości, ale to była moja własna decyzja, by związać się z zespołem ludzi mi nieznanych i wspinać się z towarzyszami, którzy byli tylko na chwilę...

Rankiem 22 października spotkała Ryszarda Pawłowskiego, gdy schodził ze szczytu. Nie udzielił jej wielu wskazówek, gdy pytała o drogę. Wyglądało to tak, jak gdyby nie chciał dać jej za dużo

informacji, by nie mogła potem twierdzić, że weszła na szczyt, i udowadniać to opisem opartym tylko na jego wiadomościach. Wanda odebrała to jako zniewagę. Ryszard po czasie upierał się, że próbował przypominać sobie wszystkie detale, dodał też: „Szkoda, że nie wspomniała o tym, że dałem jej resztkę mojej herbaty i jedzenia".

Wanda szła dalej samotnie i o zachodzie słońca została pierwszą kobietą, która zdobyła Annapurnę południową ścianą. W miarę jak światło dzienne słabło, doliny pogrążały się w ciemności. Rozejrzała się wolno, oszołomiona, wpatrując się w czarną, coraz bardziej rozmazującą się rozpadlinę. Jej myśli wędrowały ku Bogu, Kościołowi i coraz większemu dystansowi, jaki dzielił ją od Kościoła jako instytucji. Miała wrażenie, że teraz jest w najpiękniejszym kościele świata. Czuła wyraźnie obecność Boga. Nie potrzebowała kadzideł, dzwonów ani liturgii, tylko ostrego, rozrzedzonego powietrza.

Sięgnęła do plecaka po aparat fotograficzny. Nim zamarzła migawka, zrobiła kilka zdjęć, ale brakowało tych najważniejszych z samego szczytu, które mogłaby sprzedać. Wściekła rzuciła aparatem, ale zaraz podniosła go i włożyła do plecaka. Stała spokojnie, analizując to, czego dokonała, oraz to, co wciąż było przed nią – zejście. Nie powiadomiła bazy.

Rozpoczęła zejście w świetle księżyca, ale szybko zgubiła drogę, zbaczając z drogi na coraz bardziej strome lodowe stoki. Z obolałą nogą i niedziałającą czołówką rozsądnie wróciła w górę na siedem tysięcy osiemset metrów, gdzie mogła ocenić sytuację. Wykopała platformę, na której spędziła, jak to później określała, „całkiem przyjemną noc w płachcie biwakowej". Rano doszła do drugiego obozu, skąd skontaktowała się z bazą, by ogłosić zwycięstwo.

Krzysztof jej nie uwierzył. Obserwował ją przez lornetkę i był pewien, że zawróciła krótko przed szczytem. Podejrzewał, że pomyliła się z powodu halucynacji. „Jeśli mówisz, że doszłaś do szczytu, nie będę zaprzeczał, ale osobiście w to nie wierzę". Później wycofał się z tej stanowczej opinii, ale wciąż miał wątpliwości.

Wanda była załamana. Było to jej najgorsze doświadczenie w wieloletniej karierze. Poszli w góry jako przyjaciele, a rozstali się jak wściekłe wilki z konkurencyjnych watah. Plotki o zdobyciu czy niezdobyciu szczytu wyprzedziły jej powrót do kraju, a media na nich żerowały. Ewa była w środku medialnej burzy, telefon się urywał, dziennikarze domagali się odpowiedzi. Zapewniała ich, że Wanda wyjaśni wszystko po powrocie. Broniła przyjaciółki, mówiąc: „Dobrze ją znam. To zbyt duża i poważna sprawa, by mówić, że skłamała co do wejścia na szczyt". Polski wspinacz Piotr Pustelnik potwierdził powagę oskarżenia, mówiąc, że jest to najgorszy zarzut, z jakim wspinacz może się spotkać.

Oprócz tych nowych zmartwień dla wszystkich jasne było, że Wanda jest nadal w depresji po śmierci Kurta. Czuła się coraz bardziej osamotniona i osaczona. Miała poczucie, że wszyscy czekają, aż się na czymś poślizgnie. Ewa widziała, jak jej przyjaciółka pogrąża się w paranoi, uznając każdego, kto ośmielił się powiedzieć o niej cokolwiek negatywnego, za wroga. Dużo mówi o niej film, na którym widać wciąż piękną, dojrzałą kobietę, która patrzy w kamerę z wymuszonym uśmiechem błyskawicznie zmieniającym się w grymas bólu i cierpienia.

Krótko po porażce na Annapurnie Ewa zaczęła współpracować z „Tygodnikiem Solidarność". Coraz bardziej pochłaniało ją nowe zajęcie, a Wanda poczuła, że traci kolejnego przyjaciela. W końcu oskarżyła Ewę, że ta ją porzuciła.

Ewa była prawdopodobnie jej najbliższą przyjaciółką, ale nawet ona przyznawała, że nie była to łatwa przyjaźń. „By być czyimś dobrym przyjacielem, trzeba razem spędzać czas i dzielić się poglądami i pomysłami. Wanda nigdy tego czasu nie miała. Zawsze była w biegu". Izolowała się, tracąc osobę po osobie.

Wanda wywołała film z Annapurny. Porównując jej zdjęcie z innymi ze szczytu, wydaje się, że to pojedyncze, zamglone zrobione w kompletnym mroku potwierdza jej wejście. Komisja sportowa Polskiego Związku Alpinizmu ogłosiła, że Wanda zdobyła szczyt. W skład komisji wchodzili Artur i Janusz, którzy niewzruszenie stali na stanowisku, że zdjęcie potwierdza jej osiągnięcie. „Ta fotografia wiele wyjaśniała – mówił Artur. – Byłem na tym szczycie i mogę wyrazić opinię co do tego zdjęcia. Zdecydowanie pokazuje, że była tam".

Alek Lwow się nie zgadzał. „Fotografia nie pokazuje niczego – mówił. – Widziałem ją... Widać na niej ciemny grzbiet i jakiś wyższy punkt. Była blisko, ale nie na szczycie". Alek był przekonany, że związek musiał uwierzyć Wandzie, bo nie mógł udowodnić, że się nie wspięła.

Wanda poczuła ulgę. Jednak wstrząs po oskarżeniach kolegów sprawił, że na stałe pogrążyła się w niepokoju i samotności, straciła pewność siebie. Anna Czerwińska, która też przeszła procedurę udowadniania, że weszła na Lhotse i Sziszapangmę, była przekonana, że Wanda nigdy nie otrząsnęła się z szoku i przygnębienia, których doznała po Annapurnie. „Nie było nikogo, kto by jej pomógł. Samotność Wandy musiała być ponad ludzkie siły".

Krystyna Palmowska za główną przyczynę depresji Wandy uznawała uraz, którego ta nabawiła się lata wcześniej na Elbrusie. „Miało to długotrwałe następstwa, ponieważ nigdy porządnie się

nie wyleczyła" – mówiła, przypominając wyprawę na K2, podczas której Wanda szła do bazy o kulach. Krystyna była pewna, że uraz pogłębiał się przez lata wspinaczki. „Jej determinacja zaś ciągle rosła, tak więc przepaść między jej zdolnościami fizycznymi a aspiracjami groźnie się powiększała". Dla Krystyny był to sygnał ostrzegawczy. Chciała nawet poradzić Wandzie, by zrezygnowała ze wspinania, ale wiedziała, że takie ostrzeżenia nic nie dadzą.

Z czasem pojawiły się różne wersje historii o tym, co zdarzyło się na Annapurnie. Nikt nie umiał powiedzieć z absolutną pewnością, którego dnia Wanda stanęła na szczycie. Ostatecznie uznano, że Wanda musiała stracić świadomość i sama tego nie wiedziała. Krzysztof i inni widzieli ją idącą na szczyt jednego dnia, a Wanda twierdziła że weszła innego dnia. Dlaczego? Albo zawróciła w górę, by zrobić lepsze zdjęcie, albo zapomniała, że już była na szczycie. Tak straciła dzień i była bliska utraty zwycięstwa. Nie można było stwierdzić, która wersja jest prawdziwa.

Wanda zdobyła osiem z czternastu ośmiotysięczników, tyle samo co Krzysztof. Żadna kobieta nawet nie zbliżyła się do tego wyniku... Jej jedynymi rywalami byli już tylko mężczyźni.

Jej odosobnienie się pogłębiało, Wojtek był jednym z ostatnich przyjaciół. Po raz pierwszy spotkali się na skałkach niedaleko Wrocławia. Była wtedy młodą, piękną kobietą, a on był nią nawet lekko zauroczony. Zostali dobrymi przyjaciółmi i chociaż nigdy razem się nie wspinali, często bywali na tych samych ekspedycjach. Obserwował jej karierę, rozwój jako wspinacza i lidera. Rozumiał jej aspiracje i demony, widział, jak idzie na zwarcie ze środowiskiem. Wiedział, czemu ludzie tak łatwo czuli się przez nią urażeni. Częściowo odpowiadały za to jej silny charakter i niepohamowana ambicja.

Jej zachowanie czasem graniczyło z obłędem, jak wtedy, gdy dokuśtykała do bazy na K2 o kulach, a on i Jurek musieli ją nieść przez ostatnie dwie godziny. Ale Wojtek także był samotnikiem i być może dlatego nigdy nie mieli ze sobą konfliktu.

* *
*

W tym czasie Krzysztof, mniej pobłażliwy, lecz równie ambitny kolega Wandy z Annapurny, miał wyjątkowo dobrą passę. Nigdy nie był zdrowszy, silniejszy i bardziej skupiony. Kochał wszystko w swoim życiu: góry, fizyczne wyzwania oraz entuzjastyczne wsparcie kolegów. Mały harcerzyk znalazł w końcu swój mundurek, który leżał na nim idealnie.

W 1990 roku 24 kwietnia wszedł na mierzący 8167 metrów szczyt Dhaulagiri klasyczną drogą. Kipiał energią, gdy schodził do bazy. Nie miał nic szczególnego do roboty i nigdzie nie musiał wracać, więc zdecydował, że podejdzie pod wschodnią ścianę, by spróbować błyskawicznego wejścia solo nową drogą w jeden dzień. Liczącą dwa tysiące czterysta metrów zerwę już w 1980 roku w stylu alpejskim pokonał Wojtek wraz z ekipą, ale Krzysztof szukał innej możliwości, trochę dalej po lewej stronie.

Zaaklimatyzowany wejściem normalną drogą ruszył samotnie o 23. Wziął mało rzeczy, jako że nie zamierzał zostawać w ścianie długo: kilka litrów wody, parę batonów, radio, aparat fotograficzny, cztery haki, cztery śruby lodowe, dwa czekany i trzydzieści metrów liny (którą wkrótce zostawił). Księżyc oświetlał ścianę, szybko więc pokonywał odległość, idąc po łagodnym terenie. Droga stawała się coraz bardziej stroma, przeszła w lodowy żleb – mimo to pewnie szedł dalej i zatrzymał się dopiero na jego końcu, na krótki odpoczynek i łyk gorącego napoju. Im był wyżej, tym bardziej rosły

trudności. Nie znał drogi, więc nie wiedział, czego się spodziewać. Gdy wszedł na szczególnie trudny odcinek pokryty lodem i sypkim śniegiem, męczył się z nim przez dwie długie i ryzykowne godziny.

– Miałem swego rodzaju halucynacje – nie z powodu braku tlenu, ale z powodu sytuacji, w której się znajdowałem, z powodu strachu – wspominał. – Czułem, że ktoś jest przy mnie. Gdy próbowałem iść w prawo, czekałem, aż mi doradzi... Widać, że w trudnej sytuacji potrzebujesz przyjaciela, matki, kogoś, kogo kochasz. Tak więc stworzyłem takiego kogoś dla siebie.

Minąwszy niebezpieczny odcinek, zgubił się ciut wyżej na kawałku pokrytym skałą. Ale udało mu się wyjść ze zdradliwego obszaru i dotarł na grań szczytową o 15. Było to siedem tysięcy osiemset metrów, ściana została pokonana. Krzysztofowi zostało jednak jeszcze trochę do wierzchołka, na dodatek od godziny sypał śnieg. Włączył mu się instynkt samozachowawczy i zdecydował, że zejdzie. Był świadom konsekwencji biwakowania bez ekwipunku. Znalazł namiot po innej wyprawie i zrobił herbatę – dla dwóch osób. Chociaż był już względnie bezpieczny, halucynacje nie ustąpiły.

Wielu himalajskich wspinaczy miało podobne doświadczenia, włącznie z Carlosem Carsolio, który bardzo je sobie cenił. Meksykanin zauważył, że po pierwszym razie łatwiej jest je wywołać. Był przekonany, że te iluzje dowodziły istnienia jakiegoś kanału otwierającego się w jego umyśle. „Czekałem na te momenty, byłem od nich niejako duchowo uzależniony".

Krzysztof przyznawał później, że w czasie tej wspinaczki wyszedł poza „cienką czerwoną linię". Choć nie wszedł na szczyt, jego próba została uznana za niezwykłe osiągnięcie oraz kierunek na przyszłość.

Krzysztof był przede wszystkim szybki, a Wandzie brakowało prędkości i czasu. Po klęsce na Dhaulagiri harmonogram jej „Karawany do marzeń" był zagrożony – zakończenie sześciu pozostałych wspinaczek w następnym roku było niemożliwe. Niektórzy jej bliscy mieli nadzieję, że porzuci projekt. Tak się jednak nie stało. Zamiast tego rozszerzyła go o kolejny sezon.

CZĘŚĆ PIĘTNASTA

Ostatnie wejście Wandy

Nigdy nie szukałam śmierci, ale nie wzdragam się przed
możliwością utraty życia w górach.
To byłaby dla mnie łatwa śmierć.
Po wszystkim, co przeżyłam, jestem z nią zaznajomiona.
A większość moich przyjaciół
czeka tam w górach na mnie...

Wanda Rutkiewicz, Ewa Matuszewska,
„Karawana do marzeń”

Wanda przed każdą wyprawą odprawiała pewien rytuał. Jechała do domu po błogosławieństwo matki. Maria robiła znak krzyża na jej czole. Obejmowały się, po czym Wanda odchodziła, emocjonalnie przygotowana na wspinaczkę.

Dobiegała pięćdziesiątki, gdy wracała na Kanczendzongę, trzeci szczyt świata. Miała to być jej trzecia próba na tej górze. Gdy przed wyjazdem odwiedziła matkę, Maria wyczuła w niej zmianę. Wanda była jakby nieobecna. Po krótkiej rozmowie odsunęła się od matki; spieszyła się, zbliżał się czas wyjazdu. Maria pobiegła za córką: „Wanda, poczekaj. Nie pożegnałaś się! I błogosławieństwo...”. Wanda zatrzymała się, patrzyła w dal, gdy matka ją błogosławiła. Maria wiedziała, że myślami jest już na górze.

Carlos Carsolio przewodził sześcioosobowej wyprawie, mając nadzieję na zdobycie swojego piątego ośmiotysięcznika. Wanda znała tego przystojnego ciemnowłosego wspinacza z poprzednich wypraw. Mimo zapalenia płuc, bolącej nogi i zmęczenia dwoma poprzednimi wyprawami miała dobre przeczucia. Wszak była pośród przyjaciół. Carlos wiedział, że w kraju Wanda zmaga się z mnóstwem problemów, ale tu, w górach, była odprężona i zmotywowana. Jej oczy lśniły szczęściem. Trzydziestoletni Carlos podziwiał siłę woli Wandy i uwielbiał jej zmysłową twardość. Tworzyliby dobry zespół na północnej ścianie, łącząc jej doświadczenie i jego młodzieńczy zapał.

Droga Marion
26 marca 1992 roku

Doszłam do bazy kilka tygodni temu. Jutro ja i Carlos idziemy do pierwszego obozu i dalej, do końca poręczówek na 6900 m, poniżej północnej przełęczy, gdzie zamierzamy założyć drugi obóz. To trudna wspinaczka (...). Grożą nam lawiny i bardzo silne wiatry (...). Nie przygotowałam się dobrze do tej wyprawy (...).

Czas nagli. Siedzę na końcu świata, odcięta od wszystkiego, co jest ważne gdzie indziej, ale cieszę się z tej izolacji. Gdy leżę w namiocie w bazie, widzę Cię bardzo wyraźnie i mam wrażenie, że jesteś na wyciągnięcie ręki (...). Ślę Ci wszystkie moje dobre myśli i najczulsze słowa. Szkoda, że nie mogę tego lepiej wyrazić, będąc tak daleko od Ciebie, chciałabym to lepiej wyrazić. Potrzebuję Cię, chwalę los za to, że skrzyżował nasze drogi.

All my love, Wanda.

Wspinaczka nie szła łatwo. Święty masyw Kanczendzongi z jej pięcioma samodzielnymi szczytami wydawał się ich odpychać, było dużo burz. Dwóch wspinaczy zatruło się owocami mango z puszki. Musieli zejść do bazy. Dwóch innych doznało poważnych

odmrożeń i opuściło wyprawę. W końcu na górze zostali tylko Carlos i Wanda.

> **Droga Marion**
> *2 maja 1992 roku*
>
> Nic nie idzie zgodnie z planem. Pogoda pokrzyżowała nam plany. Burze śnieżne z piorunami (...). Jestem zdenerwowana, bo droga też nie jest łatwa (...). Jestem zmartwiona, bo czuję się samotna. Nie wiem, co teraz robisz i gdzie jesteś. Wysyłam Ci moje najgorętsze myśli i dużo miłości (...) z tego odległego miejsca. I jestem naprawdę szczęśliwa, że się spotkałyśmy. Potrzebuję Cię.
> **Love, Wanda**

Wanda i Carlos rozpoczęli atak 7 maja. Dwa dni później opuścili pierwszy obóz. Przy trzecim jednak głęboki śnieg ich spowolnił. Carlos chciał dojść od razu do czwartego, ale Wanda utknęła po drodze i zdecydowała się biwakować o 23. Carlos wspinał się przez noc i o 6.30 dotarł do lodowej jaskini obozu czwartego. Gwałtowne burze śnieżne i zmęczenie trzymały go w tym miejscu przez kolejny dzień. O 19 w końcu pojawiła się Wanda, wycieńczona śnieżycą. Jej maszynka nie działała, więc użyli sprzętu Carlosa, by na resztkach paliwa stopić śnieg i uzupełnić płyny.

12 maja przywitał ich czystym niebem, więc o 3.30 wypełzli z namiotów i skierowali się ku szczytowi. Chcieli to szybko skończyć, więc zostawili prawie cały biwakowy ekwipunek. Młodszy i bardziej energiczny Carlos szedł przodem, przedzierając się przez głęboki śnieg, Wanda zostawała w tyle. Wspinała się bardzo wolno. Carlos wszedł na szczyt o 17.

Po trzech godzinach schodzenia, na wysokości około ośmiu tysięcy trzystu metrów natknął się na Wandę. Wykopała niewielką jamę w śniegu pod przewieszoną skałą. Skuliła się tam, próbując

utrzymać ciepło. Noc była zimna, powietrze przejrzyste, wiał lekki wietrzyk.

– Wanda, wszystko w porządku? – zapytał Carlos, oświetlając lampą jej twarz.

– Tak, tylko odpoczywam. Idę powoli, odpocznę tu chwilę i wejdę na górę jutro. Chcę tylko trochę wody. Masz?

Gdy Carlos przykucnął, zobaczył w oczach Wandy determinację. Namawiał ją, żeby zmieniła decyzję.

– Powinnaś zejść. Stąd jest jeszcze długa droga – parę godzin na szczyt. Słuchaj, śnieg jest głęboki, a grań nie jest łatwa. Wodę wypiłem już dawno. Przepraszam. Proszę cię, zejdź ze mną.

– Nie. Zostaję. Poczekam na słońce i ruszę. Dam radę.

Carlos widział, że cała się trzęsie pod płachtą biwakową.

– Nie chcę jeszcze raz tu wracać. Zimno mi. Czy mogę pożyczyć twoje puchowe spodnie? Tylko na tę noc?

– Przykro mi, ale nie mam żadnych innych. Potrzebuję ich. Sam ledwo żyję. Chodź ze mną, razem dotrzemy do czwartego obozu, jutro do trzeciego. Tam czegoś się napijemy.

Odmówiła.

– Opowiedz mi, jak wygląda grań – poprosiła.

Zrezygnowany i półprzytomny Carlos opisał jej każdy szczegół, jaki zdołał sobie przypomnieć. Przekonywał ją, by z nim zeszła, ale już nie naciskał. Przecież to była wielka Wanda Rutkiewicz, powinna znać swoje możliwości. Widział, że jej umysł jest jasny, ale była tak żałośnie mała i zmarznięta, gdy leżała w swojej jamie...

– Nie martw się – powiedziała. – Zobaczymy się niżej. Ja tylko trochę odpocznę, a potem wejdę na szczyt...

Carlos schodził na sztywnych, zmarzniętych nogach, potykając się w ciemnościach. Myśli kłębiły mu się w głowie. Był wykończony, a rozmowa z Wandą wyczerpała go emocjonalnie. Jego latarka

rzucała mały krążek światła, wirujący i tańczący przy każdym ruchu głowy. Wiedział, że jest na krawędzi, i to go przerażało. „Skup się. Idź w dół. Żyj". Nie mógł myśleć o Wandzie.

Wysoko w śnieżnej jamie Rutkiewicz usiłowała przetrwać. Nie miała namiotu, śpiwora, maszynki ani wody. Tylko płachtę, czołówkę, dwadzieścia metrów liny, dodatkowe rękawice, gogle i trochę batoników.

Nie pierwszy raz była w górach sama na dużej wysokości. Ale tym razem samodzielnie podjęła decyzję o pozostaniu i dalszej wspinaczce. Na stoku był tylko Carlos, który z każdą chwilą się oddalał.

Co wtedy myślała? Pewnie układała sobie plan dalszej wspinaczki. Przed nią ciągnęły się zaśnieżone zbocza i szczyty, które musiała obejść granią po południowej stronie góry. Potem czekało ją wejście na grań szczytową. Przed nią długie godziny wspinaczki. Spojrzała na zegarek – minęło tylko siedemnaście minut od pożegnania z Carlosem.

* *
*

Carlos czekał trzy dni w drugim obozie, ale Wanda się nie pojawiała. Zostawił jej w pełni wyposażony namiot, choć wiedział, że to nie ma sensu, bowiem już w drodze do drugiego obozu czuł wyraźnie, że Wanda umiera. „Pożegnała się ze mną. Byłem skupiony, ale nagle mój umysł wypełnił się jej obecnością, jej kobiecością. Czułem to wyraźnie".

Załamany psychicznie opuścił drugi obóz. Schodził. Na krótkim odcinku pomiędzy poręczówkami stracił równowagę, łapiąc się liny w ostatnim momencie. „Nie bój się. Zaopiekuję się tobą" – jakby usłyszał głos Wandy. Szedł do bazy, łkając, przygnieciony

poczuciem winy. Nie było na tej górze nikogo, kto mógłby wspiąć się z misją ratunkową. 21 maja rozpętała się kolejna burza i Carlos zszedł z gór.

Namiot w drugim obozie wkrótce przykrył śnieg. Na pięciu szczytach Kanczendzongi wiał wiatr, sypał śnieg i panowało zimno.

> **Droga Marion**
> *27 maja 1992 roku*
>
> Chcę podzielić się z Tobą rozpaczą z powodu śmierci Wandy... Jak mówił Ci Arek, nie dało się nic zrobić. Czekałem na nią na wysokości 8000 m, a także w drugim obozie do momentu, gdy byłem pewien, że już nie wróci... Nie byłem w stanie jej odwieść od tego, chociaż była ogromnie zmęczona i nie miała ani śpiwora, maszynki, wody, ani żywności. Nie wiemy, czy zmarła w tej jamie, gdzie odpoczywała, czy też w drodze na szczyt, czy na dół; wiem tylko, że już nigdy nie wróci. Kochaliśmy Wandę.
> **Carlos**

Agencja Reuters podała wiadomość o jej zaginięciu, gdy tylko wieści dotarły do Polski. Następnego dnia Ewa była sama w domu. Poszła wcześniej do łóżka i prawie natychmiast zasnęła. Około 3 w nocy zadzwonił telefon. Odebrała i usłyszała głos Wandy.

– Ewa...

– Mój Boże, Wanda, gdzie jesteś? My tu wypłakujemy oczy!

– Jest mi bardzo zimno. Ale proszę, nie płacz.

– Dlaczego nie wracasz?

– Teraz nie mogę...

Ewa się obudziła. Spojrzała na nocny stolik i zobaczyła odłożoną słuchawkę.

Rano zadzwoniła do matki Wandy i opowiedziała jej swój sen. Matka nie była zaskoczona i spokojnie powiedziała, że jeden z jej

przyjaciół natknął się na Wandę, idąc wrocławską ulicą. Była ubrana na biało i bardzo zmarznięta.

* *
*

Gdy Wanda ogłosiła projekt „Karawany do marzeń", powiedziała, że „żyć znaczy ryzykować, znaczy mieć odwagę; jeśli nie jest się odważnym, to nie żyje się prawdziwie". Przekonywała, że nie szła w góry, by szukać zagrażających życiu przygód, ale by dokonać „wyjątkowych osiągnięć". „Wepchnij do plecaka tylko to, czego naprawdę potrzebujesz, by przeżyć kilka dni, i idź na szczyt. Zrób w kilka tygodni to, co ekspedycji zajęłoby kilka miesięcy".[61]

Nie wzięła pod uwagę tylko czasu potrzebnego do zregenerowania sił między kolejnymi wyczerpującymi wspinaczkami. Aklimatyzacja to jedno, ale fizyczna wytrzymałość to coś zupełnie innego. Z tego powodu większość ludzi uznała, że Wandzie w górach po prostu zabrakło sił.

Ale czy na pewno?

Trzej Włosi, wspinając się na Kanczendzongę w 1995 roku, zauważyli na południowo-zachodniej ścianie coś, co wydawało im się namiotem w śniegu. Podeszli bliżej i zobaczyli, że ten różowo-żółty namiot ma nogi. To było ciało kobiety – prawie pozbawione głowy, brakowało też jednej stopy. Kto to mógł być? Tylko garstka kobiet wspinała się wtedy w górach, włączając Wandę i Bułgarkę Jordankę Dymitrową, która zaginęła na tej górze w roku 1994. Pomyśleli, że to Wanda.

Tylko miejsce się nie zgadzało. Gdy Carlos żegnał Wandę, leżała skulona na północno-zachodniej grani. Wszyscy myśleli, że właśnie tam uległa sile żywiołów. Ponieważ ciało znaleziono na południowo-zachodniej ścianie, wskazywałoby to, że nie zmarła,

odpoczywając w jamie, ale podczas wspinaczki. Czy możliwe, że mimo zimna i braku zapasów Wanda raz jeszcze zdobyła się na niezwykły wysiłek i dotarła do grani podszczytowej na około ośmiu tysiącach czterystu pięćdziesięciu metrach, a tam spadła?

Gdy Włosi ogłosili swoje straszne znalezisko, wielu nie chciało wierzyć, że to ciało Rutkiewicz. Poprzednia towarzyszka Wandy Anna Czerwińska, drwiąc lekko z odkrycia Włochów, zauważyła, że nie zgadza się kolor kombinezonu: „Wanda była zbyt próżna. Nigdy w życiu nie założyłaby różowego!". Carlos nie mógł sobie przypomnieć, jakiego koloru był jej kombinezon. Ale wszyscy pamiętali, że Wanda rzeczywiście miała jeden w kolorach różowym i żółtym.

Jednak paczuszka leków z bułgarską etykietą znaleziona w kieszeni ofiary wskazywała raczej na Bułgarkę. I tak przyjęto sądzić. Elizabeth Hawley, mieszkająca w Nepalu amerykańska dziennikarka, świetnie zorientowana we wszystkich kwestiach dotyczących himalajskich wypraw, też jest zdania, że to ciało Bułgarki Dymitrowej.

Ponieważ nie było zwłok Wandy, a jej matka nie dopuszczała myśli o śmierci córki, oficjalny raport o przyczynach tragedii był niejasny i nienagłośniony w Polsce. Brat Wandy Michał bezskutecznie próbował wyruszyć z ekspedycją, by odnaleźć jej ciało. Pojawiły się problemy z wypłatą ubezpieczenia. Sprawa pozostała nierozstrzygnięta.

* *
*

Tragedia Wandy mocno wstrząsnęła społecznością wspinaczy. Polskich ofiar było już tak wiele, od Hindukuszu po Himalaje, rok po roku. Straszliwe straty na Evereście, Jurek na Lhotse, a teraz

Wanda. Zdawało się, że Polacy przegrywają kolejną wojnę, tym razem z górami.

Opinie wspinaczy na temat okoliczności śmierci Wandy były podzielone. Jej decyzję, by zostać na górze, zamiast zejść z Carlosem, uznano za brawurową. Musiała przecież wiedzieć, że ma za mało ekwipunku, by spędzić kolejną noc na wysokości. Stały przed nią prawdziwe techniczne trudności, a przecież była już wyczerpana. Czekał ją cały dzień wspinaczki, a potem jeszcze zejście. Wielu uważało, że Wanda złamała wszelkie reguły gry na Kanczendzondze. Może czuła, że kończy jej się czas.

Nim wyruszyła na Kanczendzongę, wiedziała, że nie jest niezwyciężona. Śmierć Jurka rozwiała złudzenia, że do gór może bezustannie powracać. „Każda droga ma swój początek i koniec" – mówiła. Ale nie straciła woli życia. Chciała być na tym szczycie, więc wspinając się na niego z młodym Carlosem, była szczęśliwa i zadowolona. Jednak kiedy trzeba było pokazać prawdziwą siłę, nie tylko stając na szczycie, ale także przyznając się do porażki – nie umiała się na to zdobyć. Padła ofiarą własnego uporu, dumy i ambicji.

Większość polskich wspinaczy oceniała ją bardzo wysoko za jej błyskotliwą karierę. Niektórzy tylko uważali, że miała farta i, co więcej, że czasem pomagała temu fartowi w nie najczystszy sposób. Jednak mimo to i mimo jej niekiedy trudnej osobowości wspinacze bardzo odczuli jej brak. Wcześniej nie zdawali sobie sprawy, jak była dla nich ważna. Jej dokonania znacznie wykraczały poza jej czasy. Opinia Elizabeth Hawley była jednoznaczna: „Wanda Rutkiewicz zostanie zapamiętana jako jedna z najwybitniejszych himalaistek w historii".

Nie wszyscy zgadzali się z tą opinią, a zwłaszcza ci, którzy podeszli zbyt blisko ognia Wandy i się sparzyli. Dr Helmut

Scharfetter, jej były mąż, ocenił ją gorzko: „Wanda była dzieckiem i wspinaczem swojego czasu. Wspinanie poszło naprzód, a Wanda pozostała produktem systemu bloku wschodniego... Jej »Karawana do marzeń« była jak skok w przepaść – pewna recepta na śmierć, jakiej Wanda zawsze chciała. Wraz z nią odszedł pewien styl prowadzenia ekspedycji. Ona nie mogłaby wytrzymać z samą sobą jako starzejąca się, nieatrakcyjna emerytowana kobieta wspinacz".[62]

Jeśli to prawda, z pewnością nie była jedynym himalaistą, który bał się starości bardziej niż bólu czy niewygód. Być może przygotowywała siebie i innych na ten dzień, odcinając się stopniowo od bliskich i znajomych. Zostawiła po sobie niewiele przedmiotów i żadnego bagażu emocjonalnego. Wanda podróżowała po ziemi bez wielkiego obciążenia.

Krzysztof mówił, że izolowanie się od innych było prawdziwą skazą na jej życiu. „Popełniła jeden błąd. Opuściła męża, rodzinę, przyjaciół. Nie miała do kogo wracać. Nie miała pracy, zawodu, ogrodu, żadnych innych zainteresowań. Nie miała planu awaryjnego. Nie miała nic. Była kompletnie sama i nie miała nikogo, kto mógłby jej pomóc pokierować życiem". To prawda, że wszyscy rozpoznawali Wandę na ulicach Warszawy, ale w domu nikt na nią nie czekał.

Jej rada dla tych, którzy parę lat wcześniej opłakiwali Jurka, brzmiała tak, jakby odnosiła się do niej samej. „Nie powinniśmy osądzać ludzi, którzy szukają niebezpieczeństwa w najwyższych miejscach świata, lub wymagać od nich odpowiedzi na pytanie o sens tego, co robią – mówiła wtedy.

– Kiedy płacą najwyższą cenę za swoją pasję, powinniśmy po prostu o nich pamiętać...".

Mirosław „Falco” Dąsal gra na gitarze, a Artur Hajzer na harmonijce w bazie pod południową ścianą Lhotse [KRZYSZTOF WIELICKI]

Tablica upamiętniająca trzech polskich wspinaczy, którzy stracili życie na południowej ścianie Lhotse [KRZYSZTOF WIELICKI]

Alpinista 45-lecia byłej PRL [RYS. WITOLD SAS-NOWOSIELSKI]

Okładka majowego wydania magazynu „Góry i Alpinizm" z 1996 r. To wydanie wywołało skandal, jako że Mariusz Kubielas widoczny na zdjęciu był wtedy radnym [EVEREST WEST RIDGE – ALEK LWOW. MARIUSZ KUBIELAS/ARCH.PRYWATNE. MONTAŻ OKŁADKI: ALEK LWOW]

Polska droga na południowej ścianie Lhotse z zaznaczonymi obozami i najwyższym punktem, gdzie dotarła ekspedycja, 1997 rok [ARTUR HAJZER]

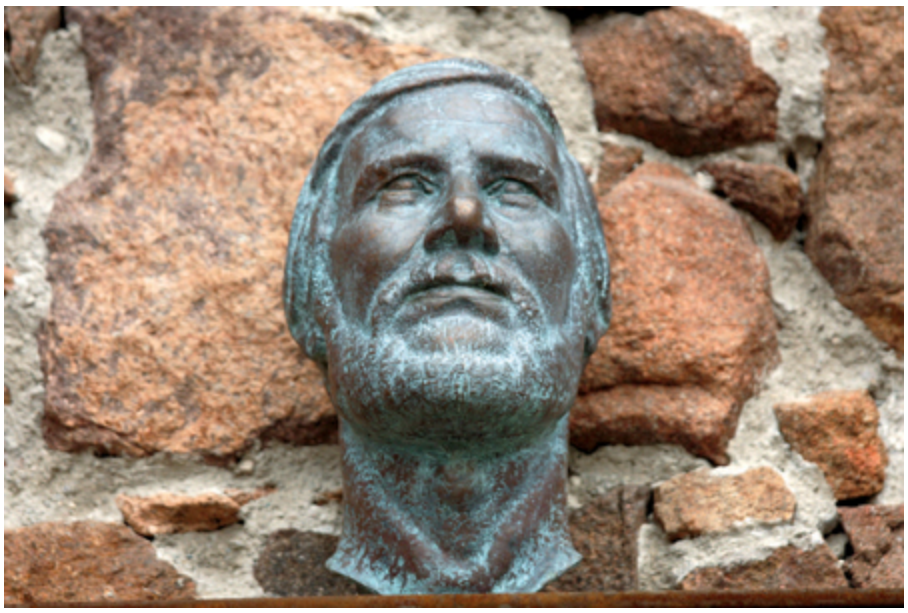

Rzeźba przedstawiająca Jerzego Kukuczkę w górskim muzeum Reinholda Messnera w Dolomitach [JERZY PORĘBSKI]

Wojtek Kurtyka na Trango Tower [WOJTEK KURTYKA/ARCH. PRYWATNE]

Wojtek Kurtyka i Erhard Loretan u podnóża Trango Tower [WOJTEK KURTYKA/ARCH. PRYWATNE]

Wojtek Kurtyka i Erhard Loretan na Trango Tower [WOJTEK KURTYKA/ARCH. PRYWATNE]

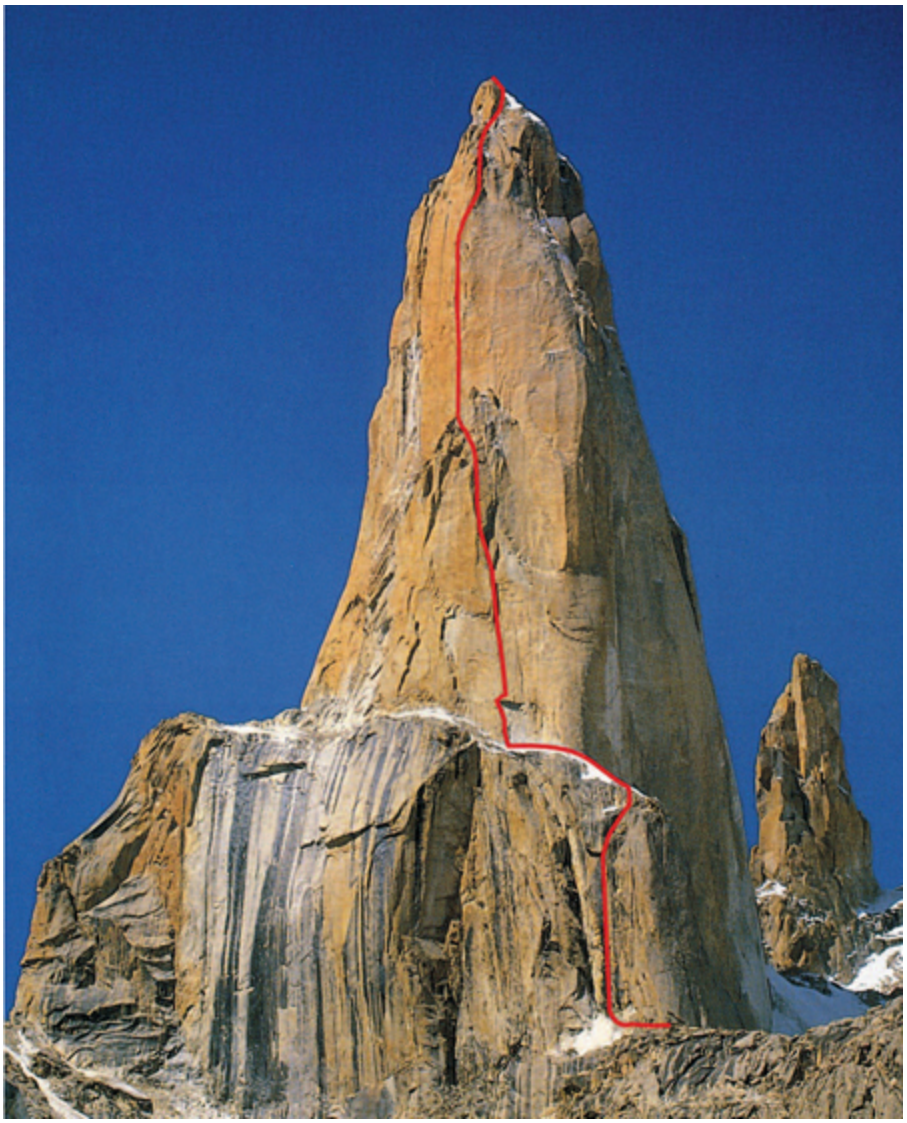

Wschodnia ściana Trango Tower z zaznaczoną drogą Kurtyki i Loretana [FOTO I TRASA: JANUSZ KURCZAB/ARCH. PRYWATNE]

Członkowie wyprawy Krzysztofa Wielickiego na Gaszerbrum: Carlos Carsolio, Ed Viesturs, Krzysztof Wielicki, Jacek Berbeka [CARLOS CARSOLIO/ARCH. PRYWATNE]

Krzysztof Wielicki na szczycie Gaszerbruma I [CARLOS CARSOLIO/ARCH. PRYWATNE]

Wielicki płacący tragarzom w bazie pod Gaszerbrumami [JERZY PORĘBSKI]

Podejście pod K2 [KRZYSZTOF WIELICKI]

Północna ściana K2 [KRZYSZTOF WIELICKI]

Widok ze szczytu Kanczendzongi po burzy [CARLOS CARSOLIO]

Krzysztof Wielicki po samotnym zdobyciu Nanga Parbat, jego 14. ośmiotysięcznika [KRZYSZTOF WIELICKI/ARCH. PRYWATNE]

Darek Załuski pokonujący najtrudniejszy odcinek podczas zimowej wyprawy na Nanga Parbat 97/98. To była ostatnia ekspedycja prowadzona przez Andrzeja Zawadę [JERZY NATKAŃSKI, ANDRZEJ ZAWADA/ARCH. PRYWATNE]

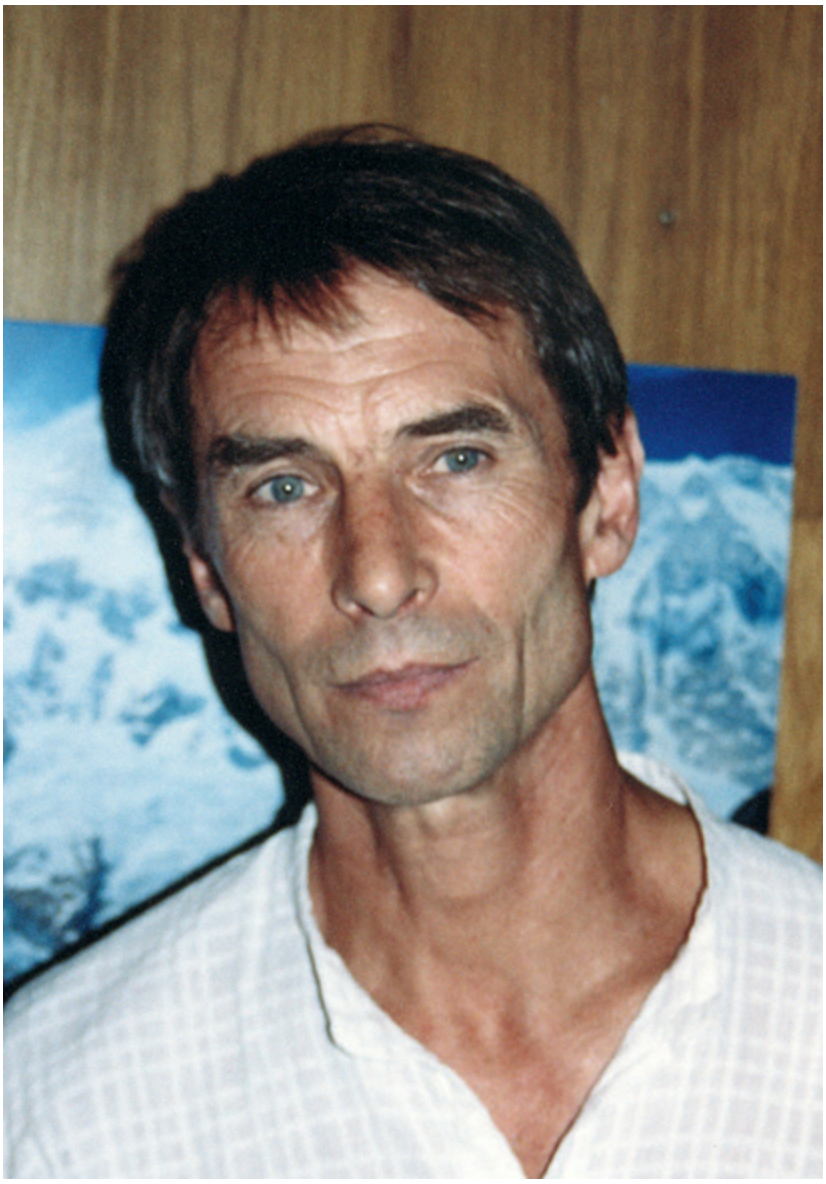

Wojtek Kurtyka, 2003 rok [JANUSZ KURCZAB]

CZĘŚĆ SZESNASTA

Najbardziej samotna korona

Najbardziej nieszczęśliwi ludzie w dzisiejszych czasach to najczęściej ci w ruchu, zmuszeni do szukania utopii na zewnątrz siebie.

Pico Iber, *„The Global Soul”*

Patrzyłam na chmury z obu stron.

Joni Mitchell, *„Both Sides Now”*

Pierwsze wolne wybory prezydenckie odbyły się w Polsce w 1990 roku. 22 grudnia Lech Wałęsa – elektryk, lider strajków, więzień polityczny, a później także laureat Pokojowej Nagrody Nobla – został prezydentem Polski.

Do roku 1995 ogromny dług zagraniczny został przez Polskę spłacony. Jednakże polityczna reorganizacja kraju nie przyniosła oczekiwanych zmian, a Wałęsa, który pobudził Polskę do działania i był błyskotliwym liderem „Solidarności”, znacznie gorzej funkcjonował w aparacie władzy. W wyborach w 1995 roku został pokonany przez kandydata wywodzącego się z obozu komunistycznego.

To był szok dla zagranicy, ale nie dla Polaków; niespecjalnie ich to nawet zmartwiło, ponieważ wybrany rząd socjaldemokratyczny był już wybrany demokratycznie. Po urzędnikach spodziewano się

wyników, których „Solidarność” nie zdołała osiągnąć. Dobrego kierownictwa szukano, wybierając siedem różnych rządów w ciągu siedmiu lat. Wyglądało to tak, jakby Polacy upajali się aż do przesytu zdobytą możliwością przeprowadzania wolnych wyborów. Droga do pełnej demokracji nie była łatwa. Minęły dekady od czasu, gdy przed wojną Polacy sami decydowali o wyborze rządu, a lista doświadczonych polityków nie była długa – większość przebywała na emigracji. Okres politycznych zawirowań nie był więc niespodzianką dla Polski ciągle sprawdzającej nowy ustrój.

Większa część historii tego kraju to walka o przetrwanie. Minione pięćdziesiąt lat było dla Polaków najbardziej pełne przemocy – walczyli na dwóch frontach, a Polska stała się wielkim polem bitwy mocarstw. Sponiewierany naród został podany Sowietom na tacy, ale przetrwał najeźdźców. Polska jako pierwsza z bloku komunistycznego stała się krajem wolnym, i to bez użycia siły. Dopiero później upadł mur berliński, a Czechosłowacja dzięki aksamitnej rewolucji 1989 roku wyzwoliła się spod sowieckiej dominacji. Upłynęły dwa kolejne lata, zanim podobne wydarzenia uwolniły inne kraje komunistyczne.

* *
*

W tym pełnym nadziei czasie Krzysztof Wielicki osiągnął szczyt swojego alpinistycznego potencjału. Spędzał więcej czasu w Azji niż w Polsce. W 1992 roku wyruszył na Gaszerbrum I i kierował zwieńczoną sukcesem ekspedycją na Manaslu. We wrześniu 1993 roku wszedł częściowo nową drogą na Czo Oju, idąc po zachodnim grzbiecie aż do szczytu razem z Włochem Marco Bianchim. Krzysztof czuł się tak dobrze, że rozważał, by ponownie wejść

na górę, tym razem samotnie, w dobę i całkiem nową drogą. Już miał wyruszać, gdy jego kompan wszedł do namiotu, położył mu rękę na ramieniu i spytał: „Czego szukasz? Czego chcesz dowieść? Dla nas już jesteś najlepszy". To pytanie wytrąciło Krzysztofa z równowagi. Przemyślał swój pomysł i tej nocy został w obozie.

Zaraz potem ruszył do Tybetu na kolejny ośmiotysięcznik, Sziszapangmę. Świeżo po Czo Oju, czując się lekko zdezorientowany i sfrustrowany trudnymi pytaniami zadawanymi mu przez kolegów, potrzebował wyzwania. Ściana południowa wydawała się dobrym kandydatem. 7 października zaczął samotną wędrówkę, a dwadzieścia godzin po opuszczeniu bazy dotarł na szczyt.

Sziszapangma była jego dziesiątym ośmiotysięcznikiem. Stało się dla niego jasne, co osiągnął i czego najprawdopodobniej dokona: zdobędzie wszystkie czternaście. Zostały mu cztery szczyty położone w Pakistanie.

Był już pod K2 dwukrotnie, ale w 1994 roku wrócił tam razem z Wojtkiem, Nowozelandczykiem Robem Hallem i Amerykaninem Carlosem Buhlerem. Ich celem była zachodnia ściana. Dotarli do sześciu tysięcy ośmiuset metrów, ale musieli zawrócić, ponieważ warunki były zbyt niebezpieczne, a ich poręczówki pokryły się lodem. Spróbowali ponownie, tym razem łatwiejszą drogą Basków na południowej i południowo-wschodniej ostrodze. Wojtek, który chciał wejść wyłącznie ścianą zachodnią, stwierdził, że droga baskijska mu nie pasuje, zszedł więc na dół. Pozostała trójka kontynuowała atak. Hall, który używał maski tlenowej, doszedł na szczyt, a Carlos i Krzysztof niekorzystający z dodatkowego tlenu musieli zawrócić. Nie wiedzieli, że od szczytu dzieliło ich tylko kilkadziesiąt metrów.

Sfrustrowany niepowodzeniami na K2 Krzysztof załatwił pozwolenia na wejście za rok na Gaszerbrum I i II. Był zawodowym

himalaistą, więc stworzył zespół podobnych mu wyczynowców. Byli w nim: Ed Viesturs z USA, Rob Hall (Nowozelandczyk), Carlos Carsolio i jego krajan Jacek Berbeka.

Krzysztof wspinał się jak dobrze naoliwiona maszyna, był wobec siebie bardzo wymagający. Chciał wspiąć się na Gaszerbrum II w jeden dzień, tak jak to robił już wiele razy. Ale nawet jego organizm musiał się zaaklimatyzować, a na Gaszerbrumie II potrzebował na to trochę więcej czasu. Wszedł jednak na szczyt zaledwie cztery dni po swoich towarzyszach, samotnie. Następny był Gaszerbrum I, najwyższy w tej grupie (8068 m). Jako że baza przy obu wejściach była ta sama, zaliczenie obu szczytów było najrozsądniejszym rozwiązaniem. Krzysztof i Carlos, doskonale zaaklimatyzowani na Gaszerbrumie II, doszli do wierzchołka 15 lipca. Minęło zaledwie siedemnaście dni od ich przybycia do bazy, a już zdobyli dwa ośmiotysięczniki.

Krzysztof, pamiętając o swoim „zadaniu 8000", chciał wejść na K2. W 1996 roku ruszył tam po raz czwarty. Tym razem podszedł do góry od strony chińskiej, mając nadzieję, że wejdzie północnym filarem, po części nową drogą. Ponieważ była pokryta sypkim, niestabilnym śniegiem, jego zespół zmienił plany i ruszył na drogę japońską. Monsun tamtego roku był gwałtowniejszy niż zwykle i spowodował powstanie straszliwie niebezpiecznych warunków śniegowych w partiach szczytowych.

10 sierpnia pięciu wspinaczy z obozu rozbitego na siedmiu tysiącach ośmiuset metrach wyruszyło w górę. Dwóch się poddało, ale trzech szło dalej: Włosi Marco Bianchi i Christian Kuntner oraz Krzysztof. Na ośmiu tysiącach dwustu metrach śnieg stał się miękki i głęboki. Krzysztof szedł na czele, przecierając szlak przez trzy długie godziny. Podnosił jedną nogę, pchał śnieg, zatapiał się w nim, próbując tak ubić puch, by wytrzymał ciężar ciała, potem wsadzał

czekan tak głęboko, jak to było możliwe, i wykonywał krok drugą nogą. Po kilku krokach osuwał się na czekan, by odpocząć, i starał się wyrównać chrypiący, płytki oddech. Prostował się i znów ruszał. Nie było sensu myśleć o tym niekończącym się wysiłku; ważne było tylko, by iść w górę. Dopiero o 20 cała trójka stanęła na szczycie drugiej góry świata.

Pozwolili sobie tylko na kilka minut kontemplacji, bo było już ciemno. Nie planowali biwaku, zresztą nie mieli sprzętu. Stało się jednak jasne, że będą zmuszeni do postoju, a byli przecież niebezpiecznie blisko szczytu i groziła im katastrofa. Krzysztof wiedział, że nie mogą zasnąć, więc cicho śpiewał harcerskie i ludowe piosenki oraz ballady wojenne. Jego repertuar szybko się skończył, więc śpiewał w kółko to samo. Gdy świt pojawił się wreszcie nad górą, znów mogli ruszyć. Zeszli przy niewielkiej pomocy kolegów z ekipy i niedalekiej ekspedycji rosyjskiej.

* *
*

Krzysztofowi pozostał już tylko Nanga Parbat. Zakładał, że wejdzie na niego od razu po K2, dołączając do ekspedycji kierowanej przez Jacka Berbekę. Kiedy jednak skontaktował się z przyjaciółmi, dowiedział się, że wrócili już do Polski! Z powodu przedłużającego się wejścia na K2 pojechali do domu.

Musiał więc zdobyć Nanga Parbat samotnie. Przyjaciele w Polsce wiedzieli, co zamierza, więc skontaktowali się z nim i namawiali go do powrotu. Była zbyt późna pora roku i samotne wejście mogło okazać się niebezpieczne. Bądź cierpliwy – doradzali. Krzysztof zmagał się z myślami: Polska czy Nanga Parbat.

Zdecydował, że podejdzie przynajmniej do bazy, by ocenić sytuację. Pojawił się tam 26 sierpnia, zastając przeraźliwą pustkę.

Takie piękne położenie, bujne łąki – i nikogo. Co tu począć?

Ostrożny wspinacz przestudiowałby górę, notując w pamięci główne formacje, układ pogodowy i najlepsze drogi ucieczki. Cierpliwy wspinacz odnalazłby przyjemność w obozowaniu na trawie, rozkoszując się spokojem umysłu, który przychodzi wraz ze świadomością, że tego dnia nie będzie już wspinaczki. Mądry wspinacz wróciłby do domu, być może trochę rozczarowany, ale wdzięczny losowi za przeżycie kolejnego sezonu w Karakorum. I zająłby się planami na następny rok.

Ale Krzysztof był doskonale zaaklimatyzowany. Został mu już tylko jeden szczyt do Korony Himalajów. Jego wewnętrzny zegar tykał. To nie była pierwsza polska Korona – Jurek już zgarnął ten tytuł. Nie było to też pierwsze polskie wejście na Nanga Parbat. Atak teraz i w szybkim tempie był celem Krzysztofa. Podjął decyzję o wejściu na drogę Kinshofera, jednak nie wiedział, skąd wyruszyć. Podpytywał mieszkańców wioski. Patrzyli na niego z niedowierzaniem: samotny wspinacz, tak późno w sezonie, i nawet nie zna drogi! Zapewnił ich, że ma uprawnienia, a tylko szuka początku drogi. Z jednym bagażem na plecach i drugim na przedzie wyruszył z flanki Diamir o północy. Niższy odcinek wił się wśród labiryntu stromych kuluarów, gdzie znalazł sporo lin i drabin pozostawionych przez poprzednie ekspedycje. Miał problem z wyborem, bo nie wiedział, które z nich są mocne. O 7 rano dotarł do Orlego Gniazda, kamienistej wieży zapewniającej schronienie przed lawinami. Znalazł namiot po ekipie Berbeki i schował się w nim.

Wtedy zaczął się koszmar. Pękł mu ropień pod zębem, co groziło koniecznością odwrotu. Ból był nie do wytrzymania. Z plecaka wyjął słoiczek z antybiotykami. Przeczytał instrukcję: jedna tabletka co sześć godzin. Połknął cztery. Ból zniknął, ale tej nocy męczyły go

halucynacje. Rzucał się po namiocie, wchodził do śpiwora i wychodził z niego. Dostawał zimnych dreszczy, by zaraz potem w panice pocić się od gorączki. Stracił orientację, a najmniejszy hałas sprawiał, że sztywniał ze strachu. Na wpół przytomny widział kolejne sceny ze swojego życia: mundur harcerski, gorset na Lhotse, szczyt Dhaulagiri, na którym przekroczył „cienką czerwoną linię", swoją śliczną córkę. Myślał, czy nie zejść, ale to było jeszcze bardziej niebezpieczne niż pozostanie na miejscu. Tu mógł zapanować nad lękami i samotnością. Gdy pierwszy raz wspinał się na Everest, każdy go dopingował. Teraz był przeraźliwie samotny.

Rano czuł się trochę lepiej, więc ruszył. Natknął się na kolejny namiot pozostawiony przez poprzednią ekspedycję. Roztopił śnieg i pił herbatę do 3 rano. Rozdrażniony i zdenerwowany, wiedział, że czas już ruszyć w drogę. Pogoda zdawała się stabilna, wiała tylko lekka bryza. Do szczytu miał jeszcze daleko i chociaż podłoże nie nastręczało problemów, wędrówka była skomplikowana. Musiał się skupić – nie tylko po to, by wspiąć się na szczyt, ale też żeby zapamiętać drogę w dół.

1 września o 10.30, dwadzieścia dni po zdobyciu K2, stanął na szczycie góry. Nie miał żadnych świadków. Po raz pierwszy w swojej karierze musiał zrobić zdjęcie, by móc udowodnić swoje osiągnięcie.

– Wiesz, co mnie najbardziej ucieszyło? Nikt nie pytał o to zdjęcie. Nie zażądali dowodu – mówił później Krzysztof. Wpatrywał się w niesamowitą panoramę: Karakorum na północnym wschodzie, Hindukusz na północnym zachodzie, a dalej na północy, w oddali – Pamir.

Z wielką ostrożnością ruszył w dół po zdradliwym terenie. Było to trudne, bo musiał radzić sobie z lodem, idąc przez najbardziej strome odcinki na przednich kolcach raków. Po trzech godzinach

doszedł do ostatniego miejsca z namiotem. Był jeszcze dzień, więc schodził dalej. Niżej. Niżej. Nadeszła ciemność, a on wciąż schodził. Gdy wreszcie ześlizgnął się z ostatniej partii lodowca, został przywitany głośną serią z kałasznikowa. „Cała wioska obserwowała twoją wspinaczkę, widzieliśmy wszystko, nie musisz nic mówić!" – wykrzyknął napotkany sirdar.

Krzysztof nie czuł się ani zwycięski, ani uradowany. Został po prostu piątą osobą na świecie z Koroną Himalajów, po Messnerze, Jurku, Erhardzie Loretanie i Carlosie Carsolio. Zaczął swoją błyskotliwą karierę na Evereście w zimie jako młodzieniec wśród serdecznych kolegów i pełen dumy z tego wspólnego polskiego zwycięstwa. W porównaniu z tamtym wyczynem, dokonując tego ostatniego, wydawał się cokolwiek osamotniony.

Wyprawy po rekordy były innym doświadczeniem niż wyprawy po przygody. Podobnie jak Wanda po zdobyciu Sziszapangmy czuł, że wejście na wszystkie ośmiotysięczniki było po prostu robotą do wykonania.

W małym domku z kamienia, daleko od swoich bliskich, zapalił świeczkę i zagotował wodę na herbatę. Grzejąc dłonie na metalowym kubku, spytał sam siebie: „Czy cokolwiek zmieniło się w moim życiu?". O dziwo czuł się dokładnie tak samo jak dawniej: nie lepiej, nie gorzej. Nie był szczęśliwszy. Nie doznał żadnej prawdziwej ulgi.

– Wiedziałem tylko, że wrócę w góry – mówił.

* *
*

Było wielu kultowych wspinaczy w ciągu dwudziestoletniego okresu złotego wieku polskiej wspinaczki wysokogórskiej. Każdy z nich miał swoją specjalność, wszyscy pozostawili dziedzictwo.

Największym towarem eksportowym tej ery był bez wątpienia Wojtek Kurtyka: wspinacz myśliciel, wizjoner i filozof. Jest ciągle pamiętany za bezkompromisowe wybory dróg. Na niektórych odniósł sukces, inne przyniosły mu porażkę, zawsze miał jednak błyskotliwe pomysły. Nie wpisał się w wyścig na ośmiotysięczniki jak Jurek i Wanda, zamiast tego wyrobił sobie markę na olbrzymich, zamarzniętych ścianach, w ogromnych technicznych wspinaczkach oraz na trawersach na dużych wysokościach w Himalajach.

Jego celem były piękne, trudne, wizjonerskie drogi. Unikał poręczówek i wielkich ekspedycji, wybierając elastyczność i niezależność, jaką dawały dwu- lub trzyosobowe zespoły. Na tej międzynarodowej scenie to on był najjaśniejszą gwiazdą.

Charyzmatyczny Andrzej Zawada pobudzał do działania całe pokolenie polskich wspinaczy. Zachęcał do poszerzenia granic tego, co uważał za możliwe, celując we wspinaczkę zimową. Pomógł Polakom zostać najlepszymi na świecie.

Krzysztof Wielicki był tygrysem ścigającym się na szczyty. Przejął rolę Zawady, stawiając opór okrucieństwu zimy i wiodąc młodą generację ku zimowej wspinaczce, na najwyższe góry ziemi.

Jurek Kukuczka był tym, który wspinał się z wdziękiem. Góry go stworzyły, dzięki nim stawał się lepszym człowiekiem. Podczas dwóch dekad stał się symbolem odwagi i śmiałości dla wielu ludzi, nie tylko wspinaczy. Był bez wątpienia najsławniejszy, po części z powodu swojego planu zdobycia wszystkich ośmiotysięczników. Polacy postrzegali go jako narodowego bohatera. Mało kto poza środowiskiem alpinistów wiedział jednak że ustawiał sobie poprzeczkę niewiarygodnie wysoko. Jurek podejmował wyzwanie tylko wtedy, gdy wyprawa odbywała się zimą lub szła nową drogą.

– Jerzy Kukuczka był po prostu najlepszy – powiedział Krzysztof Wielicki. Wielu ludzi pytało Jurka, dlaczego się wspina, ale on nie miał na to dobrej odpowiedzi: „Chodziłem w góry i wspinałem się na nie, to wszystko”.[63]

Równie zmotywowana i wyprzedzająca swój czas Wanda Rutkiewicz ustanowiła ośmiotysięcznikowy rekord, który został pobity przez kobietę dopiero piętnaście lat później. Dopiero dwie dekady później inna himalaistka zrealizowała jej projekt „Karawany do marzeń”. W historii kobiecej wspinaczki Wanda była najbardziej znaczącą postacią.

Każda z tych gwiazd miała swoją własną *ideé fixe*. Wanda chciała być pierwszą kobietą z Koroną Himalajów. Dla Jurka najważniejszym wyzwaniem była południowa ściana Lhotse. Dla Andrzeja i Krzysztofa liczyły się tylko zimowe wspinaczki. Dla Wojtka – zachodnia ściana K2.

Razem z armią innych wspinaczy stworzyli oni potężną himalajską tradycję. Nie licząc zagranicznych gwiazd, takich jak Messner i Habeler, to Polacy rządzili w świecie wspinaczy w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Dzięki swej determinacji, dumie i zdolności do znoszenia cierpienia byli najlepsi. Wcześniej w latach siedemdziesiątych ich miejsce zajmowali Brytyjczycy, a później Słoweńcy i Rosjanie.

* *
*

Rosyjski artysta Wassily Kandinsky stworzył teorię kolorów odpowiadających typom ludzi. Opisał ją w wydanej w 1911 roku pracy *O duchowości w sztuce*. Pisał tak, jakby znał polskich wspinaczy... „Pomarańcz jest jak człowiek przekonany o swej własnej sile (...). Moc dogłębnego sensu jest niebieska (...) w ruchu

koncentrycznym (...). W tym kipieniu i żarzeniu się [czerwieni], skierowanym głównie ku sobie, a nie na zewnątrz, widać jakby męską dojrzałość". Wanda. Wojtek. Jurek.

Byli geniuszami. Wiedzieli, jak żyć z niepewnością. Manipulowali systemem tak dobrze, że byli w stanie realizować swoje marzenia. Podróżowali, widzieli świat i żyli życiem intensywnym i pełnym przygód. Mieli wytrwałość pionierów i wartości patriotów. Ich dynastia się rozpadła, ale przez dwadzieścia złotych lat byli najlepsi na świecie.

EPILOG

Nie zapominajcie o tych, którzy pozostali w górach i czuwają przy ogniskach, strzegą wysokich przełęczy. Przełęczy, które chcecie przemierzyć. Ich niezwykłą wytrwałość możecie nazwać szaleństwem. Pomyślcie jednak o tych dniach, kiedy sami marzyliście... Nie spieszcie się zapominać tych, którzy pozostali w górach, walcząc do końca. Może ciągle kroczą po mglistej ścieżce, którą wy porzuciliście.

Tradycyjne polskie przysłowie

Grudzień 2009 roku. Jestem znów na festiwalu filmów górskich, tym razem w Warszawie. Kino pełne, ale atmosfera inna w porównaniu z tą w Katowicach ponad piętnaście lat temu. Tłum tłoczy się, głośno dyskutuje, wchodząc do kina. Patrzę na ten zgiełk i pytam moją polską przyjaciółkę, o czym rozmawiają. Wyjaśnia mi, że o pracy, karierach, weekendzie na skałkach i szlaku rowerowym, który odkryli w zeszłym tygodniu.

Napotykam wzrok dwóch starszych pań o twarzach jakby wysmaganych wiatrami, z błyskiem w oku. Pytam: „Kim one są?".

– To Anna i Krystyna, dwie himalajskie weteranki z pokolenia Wandy – odpowiada przyjaciółka. – A tam stoi Leszek, rozmawia z Krzysztofem, obaj są tu, by powiedzieć kilka słów przed filmem.

Wyróżniają się, kontrastując z młodym, miejskim tłumem.

* *
*

Kolejne tygodnie spędziłam, przemierzając zimą smagany wiatrem kraj, spotykając się ze wspinaczami i historykami, a także z rodzinami tych, którzy zginęli w górach. Spędziłam wiele godzin w kuchniach i salonach na wpatrywaniu się w fotografie i pochłanianiu historii z innej epoki. Dowiedziałam się, że w pierwszej dekadzie XXI wieku Polska nadal uważa się za wylęgarnię wspinaczy, ale tylko kilku z nich jest aktywnych na najwyższych szczytach. Większość interesuje wdrapywanie się na skałki lub wspinanie w Alpach czy Tatrach. Ta zmiana wynika po części z utraty doświadczonych wspinaczy ze złotych lat. Aż osiemdziesiąt procent najlepszych z nich zginęło w wielkich łańcuchach górskich. Nasuwa to pytanie: czy nie było czasem w tym pokoleniu ukrytego dążenia do samounicestwienia? Choć jest jeszcze paru wciąż aktywnych himalaistów z poprzedniej generacji – takich jak Krzysztof, Artur, Anna Czerwińska czy Piotr Pustelnik – to młodych tygrysów jest tylko garstka.

Być może złoty wiek wspinaczy kojarzy się z cierpieniem i męczeństwem, których młodzi nie chcą zaakceptować. A może zostało zbyt mało weteranów, którzy mogliby wychowywać i wyszkolić następne pokolenie? Gdzie podziały się wielkie partnerstwa, takie jak Jurek i Artur czy Zawada i jego „chłopcy"?

Wspinacze przeszłości stawali się silni w miarę zdobywania najwyższych szczytów. Osiągali sukcesy pomimo politycznych i ekonomicznych wstrząsów tamtego czasu – a może właśnie dzięki nim. Polscy wspinacze tak manipulowali systemem komunistycznym, by pracował dla nich. Stworzyli ekonomię czarnego rynku, która finansowała ich górski styl życia. Nie podróżowali w takich samych warunkach jak inne ekspedycje. Nie mieli pieniędzy na Szerpów. Przemieszczali się ciężarówkami, a nie samolotami, i nie polegali na zagranicznym zaopatrzeniu. Ale

po każdej wyprawie dzielili się pozostałymi funduszami i wracali do Polski w lepszej kondycji finansowej niż przed wyjazdem.

– W Polsce byliśmy bogatymi gośćmi po takich wyprawach – wyjaśniał Artur. Ten model biznesowy już nie działa, wraz z demokracją nadeszła inflacja; dziś ceny w Polsce są znacznie wyższe niż w Azji.

Wsparcie rządu także dramatycznie spadło. Zorganizowanie wyprawy nie jest już zbyt atrakcyjne, dziś można zarobić całkiem dobre pieniądze oraz znaleźć wyzwania na ścieżce kariery zawodowej. Niewielka jest motywacja, by opuszczać dobrze płatne stanowiska i miesiącami siedzieć w Himalajach. Jest o wiele więcej do stracenia.

W miarę jak w krajach będących potęgami himalajskimi – Wielkiej Brytanii, Polsce, Słowenii i Rosji – polepszały się standardy życia i sytuacja ekonomiczna, ubywało wspinaczy gotowych poświęcić się górom. Pociągałoby to za sobą życie w ubóstwie, które przestało być modne. W 1993 roku Wojtek napisał w *Polskim syndromie*: „Prawie fizycznie czuję, że w Polsce maleje inspiracja wysokimi górami. Myślę, że jest ona zastępowana przez dokuczliwą świadomość nowej epoki oraz konieczność dostosowania się do jej wymagań". Przeciwności losu kształtują najlepszych wspinaczy, a sukces i powodzenie temu nie sprzyjają.

Sytuacja Polski fundamentalnie się zmieniła. Teraz jako część Unii Europejskiej nie jest już odizolowana od świata. Codzienna rzeczywistość jest bardzo bliska tej, jaką większość z nas zna ze świata Zachodu – gorączkowe harmonogramy, wielozadaniowość i wyśrubowane terminy. Wszystko to nie sprzyja odwiedzaniu dzikich miejsc.

Kapitalizm z XIX i XXI wieku usuwa dwudziestowieczne socjalistyczne ideały, coraz więcej zachodniej tandety zalewa

polskie domy i ulice, zanieczyszczając krajobraz oraz umysły.

Razem z rosnącą konsumpcją zmniejsza się rola Kościoła katolickiego. Maleje też zainteresowanie Polaków własną przeszłością. Gdy generał Jaruzelski, człowiek, który wprowadził stan wojenny 13 grudnia 1981 roku, stanął przed sądem, by odpowiedzieć za grzechy popełnione trzydzieści lat temu, większość Polaków nie była tym szczególnie zainteresowana. Mają swoje życie, pracę, terminy.

* *
*

Anna Milewska, żona Andrzeja Zawady, niekwestionowanego lidera złotego wieku, powitała mnie w swoim domu i godzinami opowiadała historie łamanym francuskim, jedynym językiem, w którym mogłyśmy się porozumieć. Andrzej zmarł w 2000 roku po krótkiej, intensywnej walce z rakiem; pokazała mi z dumą dzienniki i fotografie dokumentujące jego nadzwyczajne życie. Anna uważała, że po pięćdziesięciu latach wspinania i prawie trzydziestu siedmiu latach małżeństwa było niesprawiedliwe, że Andrzej zmarł tak wcześnie. Miał dość górskich marzeń na kolejne dwieście lat.

Większość ocalałych bohaterów złotego wieku miała nadzwyczajne, owocne życie. Wszyscy wydali książki o swoich karierach. Wszyscy prócz Wojtka, który utrzymuje, że opisze swoją historię dopiero wtedy, gdy będzie gotowy. Kiedy będzie w stanie odpowiednio wyrazić myśli, które, jak sądzi, są równie ważne jak jego osiągnięcia w górach.

Krzysztof, Artur i Janusz założyli prężnie działające firmy ze sprzętem wysokogórskim, a Ryszard został wysokogórskim przewodnikiem. Janusz Onyszkiewicz był ministrem i sprawował

urząd w Parlamencie Europejskim, a przemytnicze działania Wojtka przeobraziły się w dochodowy, legalny biznes – import towarów z Azji. Wciąż regularnie się wspina – na ekstremalnie wysokim poziomie – w swoich lokalnych skałkach. Czasem wspomina Himalaje – podkręca wtedy Dire Straits w odtwarzaczu samochodowym i przyspiesza, przypominając sobie dni spędzone z Erhardem, Jurkiem i Alexem. Częściej jednak ucieka myślami w świat gór i mistyki z nimi związanej. Ale dla Wojtka to, co się stało, to się nie odstanie. „Po co ciągle rozmyślać nad przeszłością, skoro dzień dzisiejszy ma o wiele więcej tajemnic i uroku?".

Ludzie, krajobrazy, różne kultury i przygoda – wszystko to miało duże znaczenie dla Janusza. Pamięta złote lata, z ich mroźnymi, lodowatymi wiatrami i nieosłoniętymi biwakami; patrzy na fotografie i słyszy śmiech, czuje łzy. Ponownie przeżywa tamte dni i smakuje wspomnienia. Ale nie ucieka w przeszłość.

Choć tak wielu alpinistów ze złotego wieku nie żyje, a mało który z młodszych wspinaczy jest zainteresowany Himalajami, Artur się nie poddaje. Nadal marzy o najwyższych szczytach.

Był najmłodszy, ale też był jednym z najbardziej ambitnych ze starej gwardii. W jego karierze było siedem niezwykle owocnych lat, od 1983 do 1989 roku. Nic dziwnego, że w 1990 roku odszedł od wspinaczki – przecież stracił Jurka, swojego towarzysza.

Porzucił marzenia o południowej ścianie Lhotse, a nowy system ekonomiczny Polski sprawił, że było o wiele trudniej korzystać z dobrodziejstw czarnego rynku. Żona była w ciąży, jego kolana wysiadały – były to wystarczające powody, by skończyć. Po śmierci pięciu polskich wspinaczy na Everešcie i Jurka na Lhotse młody, zuchwały i utalentowany wspinacz uświadomił sobie, że nie jest nieśmiertelny.

Dziś jednak, ponad dwadzieścia lat później, znów jest gotów podejmować ryzyko i przecierać nowe szlaki podczas okrutnej zimy w Karakorum. W ostatnich latach rozważny i wciąż mocny Artur powrócił do wysokogórskich ekspedycji: Broad Peak w lecie; Nanga Parbat w zimie razem z Krzysztofem; Dhaulagiri w lecie; ponownie Broad Peak, tym razem w zimie. Na szczyt Nanga Parbat wszedł w 2010 roku i niebawem wrócił, aby podjąć zimową próbę wejścia na Broad Peak. W 2012 roku poprowadził pierwsze udane zimowe wejście na Gaszerbrum I. Wspinaczka zimą wciąż przyciąga tych, którzy pamiętają smak złotego wieku.

Gdy wymieniałyśmy z Anną Milewską historie, opowiedziałam jej o spotkaniu z Andrzejem w Katowicach. Zapytałam go wtedy, dlaczego zależało mu na kierowaniu wyprawami na najwyższe szczyty zimą. Wysoki, elegancki Polak spojrzał na mnie z góry i z błyskiem w oku oświadczył: „Ponieważ Himalaje latem są dla bab". Sposób, w jaki akcentował słowo „baby", był znaczący.

Anna się zaśmiała: „Cały Andrzej – oczywiście żartował". Być może, ale zdaje się, że do tej pory tylko mężczyźni podzielają jego fascynację zimowymi wspinaczkami.

Dwóch weteranów himalajskich, Krzysztof i Artur, nie porzuciło marzenia Andrzeja, by skompletować Koronę Himalajów zimą. Może jest tak, jak mówił Krzysztof: „Można zmienić swoje hobby, ale nie pasję. Z czasem wypełnia ona wszystkie aspekty życia. Zima w Himalajach wciąż jest wielkim wyzwaniem. Góry stają się wtedy tajemnicą, a nieznane przyciąga".

To część polskiego dziedzictwa – osiem himalajskich ośmiotysięczników zdobytych zimą: Everest, Manaslu, Dhaulagiri, Czo Oju, Kanczendzonga, Annapurna, Lhotse i Gaszerbrum I. Zdobycie ich zajęło Polakom trzydzieści dwa lata.

Krzysztof z Arturem i polskim zespołem zamierzają zimą zdobyć pozostałe ośmiotysięczniki. Plan ten wymaga jednak funduszy. Wspinaczka w zimie kosztuje więcej, dziś nikogo nie dziwi używanie helikopterów do zakładania bazy. Mają inną strategię. Aklimatyzują się w innych dolinach niż baza – tak walczą z obezwładniającą nudą, która przychodzi, gdy trwają miesiącami w jednym zimowym obozie. Jednak nawet mimo doświadczenia, helikopterów i pieniędzy szansa na sukces wynosi ledwie dziesięć procent. Dla wielu nie jest to zbyt pociągające.

U Krzysztofa, który ma na koncie trzy zimowe wejścia – Lhotse, Everest i Kanczendzongę – zniechęcające innych okoliczności tylko wzmacniają motywację. Utrzymuje on, że najważniejszym warunkiem sukcesu w górach, zwłaszcza zimą, jest współpraca w zespole. Wie, że ciągle są w Polsce bardzo dobrzy wspinacze, ale zastanawia się, czy zechcą współpracować ze sobą. Wydaje się, że są bardziej skupieni na swoich indywidualnych aspiracjach. Niektórzy martwią się jednak, że sam Krzysztof jest zbyt skoncentrowany na własnych celach, by mógł zostać teraz wielkim liderem.

Za bardzo chce stawać na szczytach, zupełnie jak Wanda. Nawet jego przyjaciele zauważają, że nie jest jeszcze gotowy i ma zbyt wiele własnych celów. „Musisz jeszcze spoważnieć albo jeszcze się powspinać, by pozbyć się tych ambicji" – mówią.

Krzysztof ignoruje tę krytykę i widzi siebie jako następcę Andrzeja, człowieka, którego podziwiał i kochał, i śladami którego podąża z dumą.

– Zima jest dla twardych ludzi – twierdzi Krzysztof. – Dla tych, którzy kroczą ścieżką Andrzeja Zawady. Jego standardy były wysokie.

Mimo swego entuzjazmu ostatnio musiał skoncentrować się na zupełnie innych zadaniach. Znów został ojcem.

Niestety już tylko nieliczni wierzą, że Polacy mogą coś jeszcze zdziałać zimą w najwyższych górach. Niektórzy mówią, że za mało jest doświadczonych wspinaczy, a ci, którzy pozostali, są albo „za starzy", albo „za grubi". Krzysztof i Artur mogą jeszcze patrzeć w przyszłość i uczyć młodych, jak skompletować wymarzony zespół.

Po dekadach tragedii śmierć Piotra Morawskiego na Dhaulagiri w 2009 roku była kolejnym ciosem. Odszedł jeszcze jeden doświadczony himalaista. Pozostali tylko Krzysztof, Artur, Anna, Piotr Pustelnik i obecna faworytka mediów Kinga Baranowska.

Kinga, piękna blondynka, podąża śladami Wandy. Ma na koncie już siedem ośmiotysięczników, razem ze zdobytym w 2009 roku ostatnim szczytem Wandy, Kanczendzongą.[64]

Uważa Rutkiewicz za swoją idolkę i mentorkę, przyznaje, że fascynują ją kobiece wyprawy z lat siedemdziesiątych. „Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam. Nie ma jednak wystarczającej liczby wspinających się kobiet, by to powtórzyć".[65]

Kingi nie interesują jednak zimowe wspinaczki. Wydaje się czerpać radość z powtarzania historycznych osiągnięć poprzednich pokoleń, zamiast zostawić własny ślad.

Gdy po piętnastu latach Artur wrócił do wysokogórskiej wspinaczki, był rozczarowany niewielkim postępem w Himalajach. „Ludzie wspinają się szybciej i na lekko – powiedział – ale nie ma tak naprawdę niczego nowego". Ta ocena nie jest do końca sprawiedliwa, szczególnie na polu zimowych wspinaczek. Choć Polacy już w latach osiemdziesiątych zagarnęli dla siebie siedem pierwszych zimowych wejść na ośmiotysięczniki i zrewolucjonizowali technikę himalajskiej wspinaczki, to dopiero ostatnio zdobyto zimą kolejne trzy ośmiotysięczniki. Polski wspinacz Piotr Morawski i Włoch Simone Moro wspięli się

na Sziszapangmę w środku stycznia 2005 roku. Simone został pierwszym na świecie niepolskim zdobywcą himalajskiego giganta zimą. Krytycy mówili, był to czysty fart, ale on udowodnił, że się mylą, gdy cztery lata później z Rosjaninem Denisem Urubką zdobył Makalu w lutym. Potem miała miejsce niezwykła zimowa wspinaczka na Gaszerbrum II w 2011 roku – pierwszy z olbrzymów Karakorum zdobyty w zimie.

W Polsce entuzjazm przygasł. Leszek Cichy, podchodzący pod sześćdziesiątkę, ale wciąż smukły i wysportowany, wzrusza ramionami, nie wierząc w zmiany. „W naszych czasach była kolejka, wszędzie było mnóstwo wspinaczy" – mówi z uśmiechem. Nic dziwnego, że do szczytów himalajskich gigantów stały kolejki, przecież w Polsce były ponad dwa tysiące himalaistów.

Leszek utrzymuje, że dziś bardzo mało wspinaczy – dziesięcioro lub dwadzieścioro na całym świecie – chce dokonywać zimowych lub trudnych wejść.

– Reszta jest na Evereście – mówi. Ryszard Pawłowski sądzi, że starania o organizację zimowych wspinaczek są skazane na porażkę – po części z powodu polityki płci. „Polski Związek Alpinizmu jest dziś zainteresowany tylko jednym wspinaczem: Kingą. Reszta nie ma szans". W Polsce, jeśli nie ma nowej drogi, zimowego wejścia lub wejścia kobiecego, wsparcie jest minimalne.

Wydaje się jednak, że jest jakieś ożywienie. Piotr Pustelnik zdobył swój czternasty ośmiotysięcznik – Annapurnę – w roku 2010, razem z Kingą, dla której był to siódmy gigant w kolekcji. Tego samego roku inna grupa Polaków była pod K2, natomiast Artur odniósł sukces na Nanga Parbat oraz Gaszerbrumie I. Są też plany na zimowe wejścia w Karakorum.

Magia złotego wieku się skończyła. Odeszła razem z wieloma wspaniałymi wspinaczami. Ale ich dziedzictwo i magia tamtych

wspaniałych czasów pozostają w zimnym, rozrzedzonym powietrzu najwyższych szczytów świata, niedostępnych dla tych, którzy nie chcą piąć się tak wysoko, podejmować ryzyka, dążyć do wielkości.

Dziedzictwo czeka na śmiałków.

PODZIĘKOWANIA

Jak napisałam w Prologu, pomysł na tę książkę zakiełkował dwadzieścia lat temu w Antibes we Francji, na festiwalu filmów górskich, gdzie poznałam Wandę Rutkiewicz. Dojrzał kilka lat później, gdy w Katowicach spotkałam kilku najwspanialszych polskich alpinistów. Przez kolejne dekady, głównie dzięki pracy przy Banff Mountain Film Festival oraz różnych spotkaniach we wszystkich zakątkach świata, poznałam wielu wspinaczy. Opowiadane przez nich historie, ich osiągnięcia i motywacje oraz nietypowe osobowości miały na mnie ogromny wpływ.

Na próżno czekałam, aby ktoś opisał ich historię. Zachęcona przez wydawcę i znajomych pisarzy zdecydowałam się podjąć tego zadania. Nie potrafię należycie podziękować polskim wspinaczom oraz ich rodzinom wspierającym mnie tak bardzo przez ten długi i ciekawy okres. Ich entuzjazm i hojność całkowicie mnie zaskoczyły. Dzięki ich spisanym relacjom, listom, fotografiom, księgozbiorom oraz niezliczonym godzinom, które spędzili, siedząc ze mną przy kuchennym stole, rozmawiając przez telefon czy wymieniając się e-mailami, powstała książka.

Muszę jednak wyraźnie podkreślić, że nie jest to kompletna historia polskiego himalaizmu. Skupiłam się w niej na kilku osobach i ich osiągnięciach, zamiast napychać książki detalami tej bogatej, skomplikowanej i imponującej historii. Wiele istotnych wspinaczek i wielu ważnych polskich alpinistów nie jest tu opisanych. Przepraszam wszystkich, którzy mogli poczuć się zlekceważeni lub pominięci.

Jedną z pierwszych instytucji, które udzieliły mi pomocy podczas pisania, był Instytut Adama Mickiewicza w Warszawie, organizacja postrzegająca wspinaczkę górską jako ważną część narodowej kultury Polski. Chcę podziękować Instytutowi za wsparcie moich badań i wybór niniejszej książki na reprezentanta polskiej kultury w Unii Europejskiej w ramach letnich uroczystości 2011 roku zorganizowanych z okazji objęcia przez Polskę unijnej prezydencji.

Pragnę również podziękować tym, którzy zgodzili się ze mną rozmawiać (niektóre rozmowy trwały wiele dni). Są to: Kinga Baranowska, Michał Błaszkiewicz, Carlos Carsolio, Grzegorz Chwoła, Leszek Cichy, Jim Curran, Anna Czerwińska, Wojtek Dzik, Nina Fies, Roman Gołędowski, Artur Hajzer, Bogdan Jankowski, Celina Kukuczka, Wojtek Kukuczka, Janusz Kurczab, Wojtek Kurtyka, Erhard Loretan, Alek Lwow, Janusz Majer, Ewa Matuszewska, Anna Milewska, Simone Moro, Krystyna Palmowska, Ryszard Pawłowski, Jerzy Porębski, John Porter, Jerzy Surdel oraz Krzysztof Wielicki.

Wiele innych osób dostarczyło krótkich wypowiedzi i opinii, za które jestem wdzięczna. To: Barry Blanchard, Kurt Diemberger, Steve House, Reinhold Messner, Doug Scott, Freddie Wilkinson i inni.

Dziękuję Karolinie Born za pierwszy research, Keese Lane i Katie Ives z „Alpinist", Stephenowi Goodwinowi oraz Johnowi Townowi z „Alpine Journal" za ich nieocenioną pomoc. Mam dług wobec Anke Smit z Pro-Physio za okazaną mi pomoc, gdy bardzo jej potrzebowałam. Dziękuję również Lindsayowi Griffinowi, którego wiedza o Himalajach pozwoliła wyczyścić wstępny szkic książki z błędów.

Użyczono mi mnóstwa cudownych fotografii, za które serdecznie dziękuję wielu osobom: Michałowi Błaszkiewiczowi i Archiwum Rutkiewicz, Arlenie Blum, Carlosowi Carsolio, Wojtkowi Dzikowi,

Arturowi Hajzerowi, Bogdanowi Jankowskiemu, Wojtkowi Kukuczce i Archiwum Kukuczki, Januszowi Kurczabowi, Wojtkowi Kurtyce, Alkowi Lwowowi, Januszowi Majerowi, Annie Milewskiej, Jerzemu Porębskiemu i Krzysztofowi Wielickiemu. Dziękuję również Romanowi Gołędowskiemu za pomoc w przeszukiwaniu zbiorów Andrzeja Zawady, Markowi Kłosowiczowi za użyczenie fotosów z jego filmów i Jerzemu Porębskiemu oraz Januszowi Kurczabowi za użyczenie fotografii z ich książek i fotosów z filmów. Słowo „dziękuję" kieruję także do Ludwika Wilczyńskiego za zgodę na cytowanie jego niewydanego artykułu i do Janusza Kurczaba za przedstawienie krótkiej historii polskich wypraw w Himalaje, która stała się podstawą załącznika.

Dziękuję też pierwszym recenzentom, takim jak John Murrell, Leslie Taylor, Anne Ryall, Kate Harris, Bob A. Schelfhout Aubertijn, Roman Gołędowski oraz Marni Jackson, i Tony'emu Whittome'owi z Banff Centre (Mountain and Wilderness Writing Program), a także moim pozostałym kolegom z programu. Mam ogromny dług wdzięczności wobec Leslie Miller, Marni Jackson i Meaghan Craven za redakcję tekstu, także wobec Dona Gormana i jego zespołu z Rocky Mountain Books za wiarę we mnie i wspieranie mnie w tym projekcie.

Ze wszystkich osób, które mi pomogły, największe podziękowania należą się Julii Pulwicki. Przygotowania do napisania tej książki wymagały przeczytania paru tuzinów opasłych tomów o historii polskiej wspinaczki – po polsku, oczywiście. Proszę wyobrazić sobie moją ulgę, gdy wspólny znajomy przedstawił mnie Julii, polsko-kanadyjskiej fizyczce mieszkającej w Calgary, i to wspinającej się! Spędziłyśmy razem prawie całą zimę, Julia przetłumaczyła niezliczone strony fascynujących tekstów. Jestem pewna, że jeżeli

kiedyś zmęczy się swoimi eksperymentami, czeka ją wspaniała kariera tłumacza.

Wreszcie dziękuję mojemu mężowi Alanowi, którego cierpliwość w czasie, gdy zanurzyłam się w świat polskiej wspinaczki, graniczyła ze świętością.

Historia polskiego himalaizmu – najważniejsze osiągnięcia w górach wysokich

♦ **ROK – 1971**

Cel wyprawy – Karakorum, Kunjang Czhisz (7852 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Andrzej Zawada, 13 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Kunjang Czhisz: Zygmunt A. Heinrich, Jan Stryczyński, Ryszard Szafirski, Andrzej Zawada 26.08.1971

♦ **ROK – 1972**

Cel wyprawy – Hindukusz, Noszak (7492 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Janusz Kurczab, 11 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie płd.-wsch. ściany Noszaka: Jan Holnicki-Szulc, Janusz Kurczab, Krzysztof Zdzitowiecki 20–22.08.1972

♦ **ROK – 1972**

Cel wyprawy – Hindukusz, Acher Czhisz (7017 m), Koh-e Tez (7015 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ryszard Kozioł, 10 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie płn.-wsch. ściany Acher Czhisz: Piotr Jasiński, Marek Kowalczyk, Wojtek Kurtyka, 3–5.09.1972; Pierwsze zdobycie płn. grzbietu Koh-e Tez: Alicja Bednarz, Ryszard Kozioł, Wojtek Kurtyka, 25.08.1972

♦ **ROK – 1973**

Cel wyprawy – Hindukusz, Noszak (7492 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Andrzej Zawada, 10 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zimowe zdobycie Noszaka: Andrzej Zawada, Tadeusz Piotrowski, 13.02.1973

♦ **ROK – 1974**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Kangbachen (7902 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Piotr Młotecki, 15 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Kangbachen: Wojciech Brański, Wiesław Klaput, Marek Malatyński, Kazimierz Olech, Zbigniew Rubinowski, 26.05.1974

♦ **ROK – 1974**

Cel wyprawy – Karakorum, Szispare Sar (7611 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ekspedycja polsko-niemiecka Janusz Kurczab, 14 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Szispare Sar: Hubert Bleicher (Niemcy), Leszek Cichy, Marek Grochowski, Jan Holnicki-Szulc, Andrzej Młynarczyk, Herbert Oberhofer (Niemcy), Jacek Poręba, 21.07.1974 Pierwsze zdobycie Ghenta Sar (7090 m): Janusz Kurczab, 21.07.1974

♦ **ROK – 1975**

Cel wyprawy – Karakorum, Broad Peak centralny (8011 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Janusz Fereński, 15 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Broad Peak centralnego: Kazimierz Głazek, Marek Kęsicki, Janusz Kuliś, Bogdan Nowaczyk, Andrzej Sikorski, 28.07.1975

♦ **ROK – 1975**

Cel wyprawy – Karakorum, Gaszerbrum III (7952 m), Gaszerbrum II (8034 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Wanda Rutkiewicz, 15 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Gaszerbruma III: Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Wanda Rutkiewicz, Janusz Onyszkiewicz, Krzysztof Zdzitowiecki, 11.08.1975; Pierwsze zdobycie Gaszerbruma II, północno-zachodnia ściana (część górna): Leszek Cichy, Janusz Onyszkiewicz, Krzysztof Zdzitowiecki, 1.08.1975; Pierwsze kobiece wejście na Gaszerbrum II: Halina Krüger-Syrokomska, Anna Okopińska, 12.08.1975

♦ **ROK – 1976**

Cel wyprawy – Karakorum, K2 (8611 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Janusz Kurczab, 19 członków

Osiągnięcia – Północno-wschodnia grań K2 (nowa droga na 8400 m): Genek Chrobak, Wojciech Wróż

♦ **ROK – 1977**

Cel wyprawy – Hindukusz, Koh-e Bandaka (6843 m), Koh-e Mandaras (6631 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ekspedycja polsko-brytyjska, Andrzej Zawada, 9 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie płn.-wsch. ściany Koh-e Bandaka: Wojtek Kurtyka, John Porter (Wlk. Brytania), Alex MacIntyre (Wlk. Brytania), 9–14.08.1977 Pierwsze zdobycie płn.-wsch. ściany Koh-e Mandaras: Piotr Jasiński, Terry King (Wlk. Brytania), Marek Kowalczyk, Andrzej Zawada, 10–14.08.1977

♦ **ROK – 1978**

Cel wyprawy – Nepalskie Himalaje, płd. szczyt Kanczendzongi (8476 m), centr. szczyt Kanczendzongi (8473 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Piotr Młotecki, 25 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie płd. szczytu Kanczendzongi: Genek Chrobak, Wojciech Wróż, 19.05.1978 Pierwsze zdobycie centr. szczytu Kanczendzongi: Wojciech Brański, Zygmunt A. Heinrich, Kazimierz Olech, 23.05.1978

♦ **ROK – 1978**

Cel wyprawy – Himalaje Garhwalu, Changabang (6864 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ekspedycja polsko-brytyjska, Wojtek Kurtyka, 5 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie południową ścianą Changabang: Wojtek Kurtyka, Alex MacIntyre (Wlk. Brytania), John Porter (Wlk. Brytania), Krzysztof Żurek, 20-27.09.1978

♦ **ROK – 1978**

Cel wyprawy – Hindukusz, Tiricz Mir Wschodni (7692 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ekspedycja polsko-jugosłowiańska, Stanisław Rudziński, 15 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Tiricz Mir Wschodniego: Jerzy Kukuczka, Tadeusz Piotrowski, 10.08.1978; Drugie wejście:

Michał Wroczyński, Miro Stebe (Jugosławia), Matjaź Veselko (Jugosławia), 11.08.1978; Trzecie wejście: Vinko Bercić, Janez Susersić, Jerzy Ożóg, 13.08.1978

♦ **ROK – 1979**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Mount Everest (8848 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Niemiecko-francuska ekspedycja, Karl Herrligkoffer, 1 polski członek

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Mt Everest przez Europejkę, pierwsze przez Polkę, trzecie przez kobietę: Wanda Rutkiewicz, 16.10.1978

♦ **ROK – 1979**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Ngadi Czuli (7835 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ryszard Szafirski, 6 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Ngadi Czuli: Ryszard Gajewski, Maciej Pawlikowski, 08.05.1979

♦ **ROK – 1979**

Cel wyprawy – Karakorum, Rakaposzi (7788 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Sher Khan, Ryszard Kowalewski, 7 polskich członków, 5 pakistańskich członków

Osiągnięcia – Drugie wejście na Rakaposzi nową drogą północną: Ryszard Kowalewski, Tadeusz Piotrowski, Sher Khan, 1.07.1979; Trzecie wejście: Andrzej Bieluń, Jacek Gronczewski, Jerzy Tillak, 2.07.1979; Czwarte wejście: Anna Czerwińska, Krystyna Palmowska, 5.07.1979

♦ **ROK – 1979–80**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Mount Everest (8848 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Andrzej Zawada, 20 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zimowe zdobycie Mount Everest: Leszek Cichy, Krzysztof Wielicki, (8848 m) 17.02.1980

♦ **ROK – 1980**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Dhaulagiri (8167 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ekspedycja międzynarodowa, Wojtek Kurtyka, 4 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie wsch. ściany Dhaulagiri René Ghilini (Francja), Wojtek Kurtyka, Alex MacIntyre (Wlk. Brytania), Ludwik Wilczyński, 18.05.1980

♦ **ROK – 1980**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Mount Everest (8848 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Andrzej Zawada, 15 członków

Osiągnięcia – Pierwsze wejście na południowy filar Mount Everest: Andrzej Czok, (8848 m) Jerzy Kukuczka, 19.05.1980

♦ **ROK – 1980**

Cel wyprawy – Karakorum, Jazghil Dome Południowy (7440 m), Distaghil Sar Wschodni (7700 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ryszard Kowalewski, 5 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Jazghil Dome Południowego w stylu alpejskim: Andrzej Bieluń,Jacek Gronczewski, Ryszard Kowalewski, Tadeusz Piotrowski, Jerzy Tillak, 25.07.1980; Pierwsze zdobycie Distaghil Sar Wschodniego w stylu alpejskim, ten sam zespół, 26.07.1980

♦ **ROK – 1981**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Annapurna (8091 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ryszard Szafirski, 8 członków

Osiągnięcia – Płd. ściana Annapurny (nowa droga): Maciej Berbeka, Bogusław Probulski, 23.05.1981

♦ **ROK – 1981**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Makalu (8485 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Wojtek Kurtyka, 3 członków

Osiągnięcia – Płn.-wsch. grzbiet Makalu (nowa droga): Jerzy Kukuczka, 15.10.1981

♦ **ROK – 1981**

Cel wyprawy – Karakorum, Maszerbrum płd.-zach. (7806 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Piotr Młotecki, 8 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Maszerbrum płd.-zach.: Andrzej Heinrich, Marek Malatyński, Przemysław Nowacki, 17.09.1981

♦ **ROK – 1982**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Makalu (8485 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Adam Bilczewski, 20 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie zach. ściany Makalu: Andrzej Czok, 10.10.1982

♦ **ROK – 1983**

Cel wyprawy – Karakorum, Gaszerbrum II wsch. (7758 m), Gaszerbrum II (8034 m), Gaszerbrum I (8080 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Jerzy Kukuczka, Wojtek Kurtyka

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Gaszerbrumu II wsch., 23.06.1983; Trawers Gaszerbrumu II wsch. – Gaszerbrum, 29.06–1.07.1983; Pierwsze zdobycie Gaszerbrumu I ściana płd.-zach., 20–23.07.1983

♦ **ROK – 1983**

Cel wyprawy – Karakorum, Broad Peak (8051 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Anna Czerwińska, Krystyna Palmowska

Osiągnięcia – Pierwsze kobiece zdobycie Broad Peak: Krystyna Palmowska, 30.06.1983

♦ **ROK – 1983**

Cel wyprawy – Himalaje Garhwalu, Thalaj Sagar (6904 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ekspedycja polsko-norweska, Janusz Skorek

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Thalaj Sagar filar płn.-wsch.: Andrzej Czok, Hans-Christian Doseth, Frode Guldal, Havard Nesheim (Norwegia), Janusz Skorek, 16–23.08.1983

♦ **ROK – 1983**

Cel wyprawy – Himalaje Garhwalu, Meru Północny (6400 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Danuta Wach, 6 członkiń

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Meru Północnego przez kobiety: Aniela Łukaszewska, Ewa Panejko-Pankiewicz, Danuta Wach, 8.09.1983; Monika Niedbalska, Ewa Szcześniak, 15.09.1983

♦ **ROK – 1983**

Cel wyprawy – Himalaje Kisztwaru, Ardżuna (6230 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Bogumił Sława, 7 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Ardżuny: Tomasz Bender, Przemysław Piasecki (zach. ściana Ardżuny płd.), 12–17.08.1983; Jerzy Barszczewski, Mirosław Dąsal, Zbigniew Skierski (zach. ściana Ardżuny centr.), 14–18.08.1983

♦ **ROK – 1983**

Cel wyprawy – Karakorum, Batura Sar V (7531 m), Batura Sar VI (7462 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Władysław Wisz, 12 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Batura Sar V: Zygmunt A. Heinrich, Marek Kowalczyk, Volker Stahlbohn (Niemcy), 31.08.1983; Pierwsze zdobycie Batura Sar VI: Jan Jaworski, Paweł Mularz, Andrzej Paulo, 2.09.1983

♦ **ROK – 1983**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Mount Api (7132 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Tadeusz Piotrowski, 8 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zimowe zdobycie Mt Api: Andrzej Bieluń, Tadeusz Piotrowski, 24.12.1983

♦ **ROK – 1983–84**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Manaslu (8163 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Lech Korniszewski, 11 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zimowe zdobycie Manaslu: Maciej Berbeka, Ryszard Gajewski, 12.01.1984

♦ **ROK – 1984**

Cel wyprawy – Karakorum, Broad Peak płn. (7490 m), Broad Peak centr. (8011 m), Broad Peak główny (8051 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Jerzy Kukuczka, Wojtek Kurtyka

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Broad Peak płn. zachodnim żebrem: Jerzy Kukuczka, Wojtek Kurtyka, 13–15.07.1984; Pierwszy trawers Broad Peak płn. – Broad Peak centr. – Broad Peak główny: Wojtek Kurtyka, Jerzy Kukuczka, 13–17.07.1984

♦ **ROK – 1984**

Cel wyprawy – Karakorum, Broad Peak (8051 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Janusz Majer, 4 członków

Osiągnięcia – Najszybsze zdobycie Broad Peak (z ABC na szczyt i z powrotem w ciągu jednego dnia): Krzysztof Wielicki, 14.07.1984

♦ **ROK – 1984**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Manaslu (8163 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Janusz Kulis, 8 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Manaslu płd. granią: Aleksander Lwow, Krzysztof Wielicki, 20.10.1984

♦ **ROK – 1984**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Jalung Kang (8505 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Tadeusz Karolczak, 10 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Jalung Kang filar płd.: Tadeusz Karolczak, Wojciech Wróż, 7.10.1984; Leszek Cichy, Przemysław Piasecki, 10.10.1984

♦ **ROK – 1984–85**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Dhaulagiri

Lider i liczba członków wyprawy – Adam Bilczewski, 10 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zimowe zdobycie Dhaulagiri: Andrzej Czok, Jerzy Kukuczka, 21.01.1985

♦ **ROK – 1984–85**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Czo Oju (8201 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Andrzej Zawada, 13 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zimowe zdobycie Czo Oju (nową drogą – filar płd.-zach.): Maciej Berbeka, Maciej Pawlikowski, 12.02.1985; Zygmunt A. Heinrich, Jerzy Kukuczka, 15.02.1985

♦ **ROK – 1985**

Cel wyprawy – Himalaje zachodnie, Nanga Parbat (8126 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Paweł Mularz, 13 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Nanga Parbat filar płd.-wsch.: Carlos Carsolio (Meksyk), Zygmunt A. Heinrich, Jerzy Kukuczka, Sławomir Łobodziński, 13.07.1985

♦ **ROK – 1985**

Cel wyprawy – Himalaje zachodnie, Nanga Parbat (8126 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Dobrosława Wolf, 5 członkiń

Osiągnięcia – Trzecie zdobycie Nanga Parbat przez kobiety: Anna Czerwińska, Krystyna Palmowska, Wanda Rutkiewicz, 15.07.1985

♦ **ROK – 1985**

Cel wyprawy – Karakorum, Gaszerbrum IV (7925 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Wojtek Kurtyka, Robert Schauer (Austria)

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie zachodniej ściany Gaszerbruma IV: Wojtek Kurtyka, Robert Schauer, 13–20.07.1985

♦ **ROK – 1985–86**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Kanczendzonga (8586 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Andrzej Machnik, 20 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zimowe zdobycie Kanczendzongi: Jerzy Kukuczka, Krzysztof Wielicki, 11.01.1986

♦ **ROK – 1986**

Cel wyprawy – Karakorum, K2 (8611 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ekspedycja międzynarodowa, Maurice Barrard (Francja), 4 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie K2 przez kobietę, Wanda Rutkiewicz, Lilianne Barrard (Francja), 23.06.1986

♦ **ROK – 1986**

Cel wyprawy – Karakorum, K2 (8611 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ekspedycja międzynarodowa, Karl M. Herrligkoffer (Dania)

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie płd. ściany K2: Jerzy Kukuczka, Tadeusz Piotrowski, 3–8.07.1986

♦ **ROK – 1986**

Cel wyprawy – Karakorum, K2 (8611 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Janusz Majer, 8 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie K2, filar płd.-zach. Magic Line: Peter Božik (Słowacja), Przemysław Piasecki, Wojciech Wróż, 3.08.1986

♦ **ROK – 1986**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Manaslu (8163 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Jerzy Kukuczka, 5 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Manaslu wsch. wierzchołek (7992 m): Carlos Carsolio (Meksyk), Artur Hajzer, Jerzy Kukuczka, 9.11.1986; Płn.-wsch. ściana Manaslu i wsch. grzbiet (nowa droga): Artur Hajzer, Jerzy Kukuczka, 10.11.1986

♦ **ROK – 1986–87**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Annapurna (8091 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Jerzy Kukuczka, 6 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zimowe zdobycie Annapurny: Artur Hajzer, Jerzy Kukuczka, 3.02.1987

♦ **ROK – 1987**

Cel wyprawy – Himalaje tybetańskie, Sziszapangma (8027 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Jerzy Kukuczka, 13 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Sziszapangmy zach. granią: Artur Hajzer, Jerzy Kukuczka, 18.09.1987

♦ **ROK – 1987–88**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Langtang Lirung (7225 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Wojciech Masłowski, 10 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zimowe zdobycie Langtang Lirung: Mikołaj Czyżewski, Kazimierz Kiszka, Adam Potoczek, 3.01.1988

♦ **ROK – 1988**

Cel wyprawy – Karakorum, Haramosz (7397 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Janusz Baranek, 10 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Haramosz z południa: Mieczysław Jarosz, Kazimierz Malczyk, Marek Pronobis, 28.07.1988; Janusz Baranek, Andrzej Mostek, Kazimierz Wszołek, 30.07.1988

♦ **ROK – 1988**

Cel wyprawy – Karakorum, Trango Tower (6238 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Wojtek Kurtyka, Erhard Loretan (Szwajcaria)

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie wsch. ściany Trango Tower: Wojtek Kurtyka, Erhard Loretan (Szwajcaria), 13.07.1988

♦ **ROK – 1988**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Annapurna (8091 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Jerzy Kukuczka, 13 członków

Osiągnięcia – Annapurna I Wsch. (8010 m) południowa ściana i wsch. grań (nową drogą): Artur Hajzer, Jerzy Kukuczka, 13.10.1988

♦ **ROK – 1988–89**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Lhotse (8516 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Ekspedycja międzynarodowa, Herman Detienne (Belgia)

Osiągnięcia – Pierwsze zimowe zdobycie Lhotse: Krzysztof Wielicki, 31.12.1988

♦ **ROK – 1990**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Dhaulagiri (8167 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Krzysztof Wielicki, 6 członków

Osiągnięcia – Wschodnia ściana Dhaulagiri (nowa droga): Krzysztof Wielicki, 9–10.05.1990

♦ **ROK – 1990**

Cel wyprawy – Himalaje tybetańskie, Czo Oju (8201 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Wojtek Kurtyka, Erhard Loretan, Jean Troillet (Szwajcaria)

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie płd.-wsch. ściany Czo Oju: Wojtek Kurtyka, Erhard Loretan, Jean Troillet (Szwajcaria), 21.09.1990

♦ **ROK – 1990**

Cel wyprawy – Himalaje tybetańskie, Sziszapangma centr. (8008 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Wojtek Kurtyka, Erhard Loretan, Jean Troillet (Szwajcaria)

Osiągnięcia – Płd.-zach. ściana Sziszapangmy (nową drogą): Wojtek Kurtyka, Erhard Loretan, Jean Troillet (Szwajcaria), 3.10.1990

♦ **ROK – 1993**

Cel wyprawy – Himalaje tybetańskie, Sziszapangma (8027 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Krzysztof Wielicki

Osiągnięcia – Płd.-zach. ściana Sziszapangmy (nową drogą): Krzysztof Wielicki, 7.10.1993

♦ **ROK – 1996**

Cel wyprawy – Himalaje nepalskie, Annapurna (8091 m)

Lider i liczba członków wyprawy – Waldemar Soroka, 13 członków

Osiągnięcia – Pierwsze zdobycie Annapurny płd.-zach. granią: Andrzej Marciniak, Władysław Terzyul (Ukraina), 20.10.1996

POLSCY ZDOBYWCY WSZYSTKICH OŚMIOTYSIĘCZNIKÓW

Imię i nazwisko – Jerzy Kukuczka
Pierwszy zdobyty ośmiotysięcznik – 1979
Ostatni zdobyty ośmiotysięcznik – 1987
Wejścia z użyciem tlenu – Mount Everest

Imię i nazwisko – Krzysztof Wielicki
Pierwszy zdobyty ośmiotysięcznik – 1980
Ostatni zdobyty ośmiotysięcznik – 1996
Wejścia z użyciem tlenu – Mount Everest (zimą)

Imię i nazwisko – Piotr Pustelnik
Pierwszy zdobyty ośmiotysięcznik – 1990
Ostatni zdobyty ośmiotysięcznik – 2010
Wejścia z użyciem tlenu – Mount Everest, K2, Kanczendzonga, Lhotse, Makalu, Manaslu, Annapurna

Wybrana bibliografia i źródła

KSIĄŻKI

Ardito Stefano. *Wielkie górskie przygody*, przeł. Dorota Bartnik i in. Warszawa, Muza, 2001

Atanasow Piotr i in., red. Ewa Abgarowicz i in., *Wprowadzenie. Tom I Wielkiej encyklopedii gór i alpinizmu* Małgorzaty i Jana Kiełkowskich, Katowice, Stapis, 2003

Góry Azji. Tom II Wielkiej encyklopedii gór i alpinizmu Małgorzaty i Jana Kiełkowskich, Katowice, Stapis, 2005

Góry Europy. Tom III Wielkiej encyklopedii gór i alpinizmu Małgorzaty i Jana Kiełkowskich, Katowice, Stapis, 2007

Birkett Bill, Peascod Bill *Women Climbing: 200 Years of Achievement* Londyn, A & C Black, 1989

Child Greg, *Mieszane uczucia*, Kraków, wyd. AT – Hudowski & Marcisz, 1994

Coffey Maria *Explorers of the Infinite: The Secret Spiritual Lives of Extreme Athletes, and What They Reveal About Near-Death Experiences, Psychic Communication, and Touching the Beyond*, Nowy Jork, Tarcher Penguin, 2008

Craig, Robert W., *Storm and Sorrow in the High Pamirs*, Nowy Jork, Simon & Schuster, 1977

Curran Jim, *K2: The Story of the Savage Mountain*, Londyn, Hodder & Stoughton, 1995

K2 – triumf i tragedia, przeł. Małgorzata i Zbigniew Białasowie, Czeladź, Almapress, 1989

Czerwińska Anna, *GórFanka: Moje ABC w skale i lodzie*, Warszawa, Annapurna, 2008

GórFanka: Na szczytach Himalajów, Warszawa, Annapurna, 2008

Davies Norman, *Boże igrzysko: historia Polski*, wyd. poszerz. do końca XX w., przeł. Elżbieta Tabakowska Kraków, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak", 2010

Diemberger Kurt, *The Endless Knot: K2, Mountain of Dreams and Destiny* Londyn, Grafton Books, 1991

Echevarria Evelio i in., *Góry Ameryki. tom IV Wielkiej encyklopedii gór i alpinizmu* Małgorzaty i Jana Kiełkowskich, Katowice, Stapis, 2009

Fanshawe Andy, Venables Stephen *Himalaya Alpine-Style: The Most Challenging Routes on the Highest Peaks*, Londyn, Hodder & Stoughton, 1995

Hajzer Artur, *Atak rozpaczy*, Gliwice, EXPLO, 1994

Hreczuch Thomasz, *Prostowanie zwojów*, Warszawa, Annapurna; Katowice, Stapis, 2006

Isserman Maurice, Weaver Stewart, *Fallen Giants: A History of Himalayan Mountaineering from the Age of Empire to the Age of Extremes*, New Haven, Yale University Press, 2008

Kandinsky Wassily, *O duchowości w sztuce*, przeł. Stanisław Fijałkowski, Łódź, Państwowa Galeria Sztuki, 1996

Kukuczka Jerzy, *My Vertical World: Climbing the 8000-Metre Peaks*. Seattle: The Mountaineers, 1992; *Mój pionowy świat, czyli 14 × 8000 metrów* Londyn, AT, 1995

Łubieński Tomasz, *Pocztówka*, Warszawa, Czytelnik, 1962

Lwow Aleksander, *Zwyciężyć znaczy przeżyć*, Wrocław, Góry i Alpinizm, 2002, wyd. II popr.

Matuszewska Ewa, *Lider: górskim szlakiem Andrzeja Zawady*, Warszawa, Iskry, 2003

Uciec jak najwyżej: niedokończone życie Wandy Rutkiewicz Warszawa, Iskry, 1999

McDonald Bernadette, Amatt John (red.), *Voices from the Summit: The World's Greatest Mountaineers on the Future of Climbing*, Waszyngton, Adventure Press, National Geographic, we współpracy z The Banff Centre for Mountain Culture, 2000

Milewska Anna, *Życie z Zawadą*, Warszawa, Oficyna Wydawnicza „Łośgraf", 2009

O'Connell Nicholas, *Więcej niż ryzyko: rozmowy z alpinistami*, przeł. Jerzy Ossowski Katowice, Stapis, 1997

Pawłowski Ryszard, *Smak gór*, Katowice, Infomax, 2004

Reinisch Gertrude, *Wanda Rutkiewicz: A Caravan of Dreams*, Ross-on – Wye, Carreg Ltd. UK, 2000

Rusowicz Barbara, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*, Toruń, Piła, Comer & Ekolog, 1992

Rutkiewicz Wanda, *Na jednej linie*, Warszawa, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1986

Sale Richard, Cleare John, *Korona Himalajów: bliżej nieba czy piekła? Historia zdobycia najwyższych gór świata* Bielsko-Biała, Pascal, 2001

Salkeld Audrey (red.), *Jak zdobyć najpiękniejsze góry świata*, przeł. Tomasz Kliś, Andrzej Kuś, Jerzy Michalski, Łódź, Galaktyka, 2000

Viesturs Ed, Roberts David, *K2: Life and Death on the World's Most Dangerous Mountain*, Nowy Jork, Broadway Books, 2009

No Shortcuts to the Top: Climbing the World's 14 Highest Peaks, Nowy Jork, Broadway Books, 2006

Wielicki Krzysztof, *Korona Himalajów: 14 × 8000*, Kraków, ATI, 1997

CZASOPISMA I MAGAZYNY

Chandry-Smart David *Suffering for Style*, „Gripped" 6, nr 08–09 (2004)

„Bularz" 88/89 Gliwice: Klub Wysokogórski, 1989

„Bularz" 91 Gliwice: Klub Wysokogórski, 1991

„Alpine Journal": 1973, 1975, 1979, 1980, 1985, 1986, 1987, 1988, 1990, 1993, 1995, 1996, 1997, 2001

„American Alpine Journal": 1984, 1986, 2001, 2010

Kurtyka Wojtek, *The Abseil and the Ascent: The Art of Abseiling into the Hell*, „The Himalayan Journal" nr 42 (1984/85)

The Art of Suffering „Mountain" nr 121 (maj-czerwiec 1988)

Broad Peak North Ridge „Climbing" nr 94 (luty 1986)

The East Face of Trango's Tower, „American Alpine Journal" (1989)

The Gasherbrums Are Lonely, „Mountain" nr 97 (maj-czerwiec 1984) Losar, „Alpinist" *nr 4* (jesień 2003) *New Routes, Cho Oyu and Shishapangma*, „American Alpine Journal" (1991) *The Path of the Mountain*, „Bularz" 88/89

The Polish Syndrome „Mountain Review" nr 5 (listopad-grudzień 1993), 37–47

The Shining Wall, „Alpinist" nr 2 (2004)

The Shining Wall of Gasherbrum IV, „American Alpine Journal" nr 28 (1986)

Trango Extremes, „Mountain" nr 127 (maj-czerwiec 1989)

The Trango Tower, „Alpinism" nr 1 (1986)

MacIntyre Alex, *Broken English*, „Mountain" nr 77 (1981)

Porter John, *Changabang, South Buttress*, „Climbing" nr 55 (1979)

South Side Story, „Mountain" nr 65 (1979)

FILMY

Kłosowicz Marek, *Himalaiści. Głód wspinaczki: Krzysztof Wielicki* TVN, Polska

Himalaiści. Karawana marzeń: Wanda Rutkiewicz, TVN, Polska *Himalaiści. Ścieżka gór: Wojciech Kurtyka* TVN, Polska

Himalaiści w strefie śmierci: Ryszard Pawłowski TVN, Polska

Himalaiści. Życie jest za krótkie: Andrzej Zawada TVN, Polska

Porębski Jerzy, *Polskie Himalaje: Pierwsi zdobywcy*, Artica, Polska *Polskie Himalaje: Wielkie wspinaczki* Artica, Polska

Polskie Himalaje: Największe tragedie, Artica, Polska

Polskie Himalaje: Lodowi wojownicy Artica, Polska

Polskie Himalaje: Panie w górach Artica, Polska

Rutkiewicz Wanda Abenteuer am Shisha Pangma *Die Schneefrauen*, 1989 *K2*, 1987 *Requiem*, 1988 *Tango Aconcagua*, 1988 *Wenn du zu dieser Wand kommen würdest?*, 1985

Przypisy

[1] Barbara Rusowicz, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*, 1992.

[2] Gertrude Reinisch, *Wanda Rutkiewicz: A Caravan of Dreams*, 2000.

[3] Ewa Matuszewska, *Uciec jak najwyżej: niedokończone życie Wandy Rutkiewicz (Escaping to the Highest: The Unfinished Life of Wanda Rutkiewicz)*, 1999.

[4] „Bularz" 91, Klub Wysokogórski Gliwice.

[5] Ibid.

[6] Reinisch, 2000.

[7] Wanda Rutkiewicz, *Na jednej linie*, 1986.

[8] Do dziś nie znaleziono ciała żadnego z nich (przyp. tłum.).

[9] Anna Milewska, *Życie z Zawadą*, 2009.

[10] Reinisch, 2000.

[11] Ewa Matuszewska, *Lider: górskim szlakiem Andrzeja Zawady*, 2003.

[12] Jerzy Porębski, *Polskie Himalaje: Panie w górach*, Artica, 2008.

[13] Reinisch, 2000.

[14] *Camping interdit* – (fr.) obozowanie wzbronione

[15] Tomasz Hreczuch, *Prostowanie zwojów*, 2006.

[16] Wyciąg to w żargonie wspinaczkowym odległość między stanowiskami asekuracyjnymi w ścianie. Wyciągami (mającymi zwykle czterdzieści do pięćdziesięciu metrów) mierzy się długość

drogi wspinaczkowej. Droga dziesięciowyciągowa oznacza więc czterysta do pięciuset metrów wspinania (przyp. tłum.).

[17] 19 maja 1978 roku polska wyprawa kierowana przez Piotra Młoteckiego z udziałem Eugeniusza Chrobaka i Wojciecha Wróża dokonała pierwszego wejścia na Kanczendzongę Południową. 22 maja 1978 roku Wojciech Brański, Zygmunt Heinrich oraz Kazimierz Olech po raz pierwszy weszli na Kanczendzongę Środkową (przyp. red.).

[18] Jerzy Kukuczka, *Mój pionowy świat*, 1992.

[19] Reinisch, 2000.

[20] Anna Milewska, *Życie z Zawadą*, 2009.

[21] Kukuczka, 1992.

[22] Ibid.

[23] Reinisch, 2000.

[24] Kukuczka, 1992.

[25] Gdy polska droga złączyła się z japońską na wysokości około ośmiu tysięcy stu metrów, Japończycy, bojąc się, że ktoś może ich wyprzedzić pod koniec drogi na szczyt, donieśli władzom chińskim, że Polacy na wysokości powyżej siedmiu tysięcy metrów przekroczyli bez zezwolenia granicę, wchodząc na chińską stronę. Rząd chiński wystosował noty protestacyjne do władz w Pakistanie i w Polsce. Jeszcze przed powrotem wyprawy do kraju polskie władze odrzuciły chińską notę, twierdząc, że do przekroczenia granicy nie doszło (przyp. tłum.).

[26] Artur Hajzer, *Atak rozpaczy*, 1994.

[27] Alex MacIntyre, *Broken English*, „Mountain" nr 77 (1981).

[28] Wojciech Kurtyka, *The Gasherbrums Are Lonely*, „Mountain" nr 97 (maj-czerwiec 1984).

[29] Marek Kłosowicz, *Ścieżka gór: Wojciech Kurtyka*, TVN, Polska, 2007.

[30] Wojciech Kurtyka, *The Gasherbrums Are Lonely*, 1984.

[31] PZA nie wystąpił o przyznanie im medali Za Wybitne Osiągnięcia Sportowe (przyp. tłum.).

[32] Wojciech Kurtyka, *Ścieżka Góry*, „Bularz" 88/89.

[33] Ibid.

[34] Gertrude Reinisch, *Wanda Rutkiewicz. A Caravan of Dreams*.

[35] Wojciech Kurtyka, *The Shining Wall of Gasherbrum IV*, „American Alpine Journal" 1986.

[36] Johnny Cash nagrał cover *Hurt* na swój album *American IV. The Man Comes Around*. Autorem piosenki jest Trent Reznor z zespołu Nine Inch Nails, a piosenka po raz pierwszy pojawiła się na ich albumie *The Downward Spiral*.

[37] Greg Child, *Seeking the Balance: A Profile of Dough Scott, the Great Survivor*, „Mixed Emotions" 1993.

[38] Greg Child *Between the Hammer and the Anvil*, „Mixed Emotions".

[39] Wojciech Kurtyka, *The Shining Wall*, „Alpinist" 2004.

[40] Jerzy Kukuczka, *Mój pionowy świat*.

[41] Artur Hajzer, *Atak rozpaczy*.

[42] Jim Curran, *Groza na K2*.

[43] Ibid.

[44] Gertrude Reinisch.

[45] Ibid.

[46] Curran, 1987.

[47] Gertrude Reinisch.

[48] Od pierwszego wejścia na K2 do drugiego minęły 23 lata i nawet dzisiaj jeden na dziesięciu wspinaczy, którzy wchodzą na szczyt, nie powraca.

[49] Kukuczka, 1992.

[50] Jerzy Porębski, *Polskie Himalaje: Największe tragedie*, 2008.

[51] Ibid.

[52] „Księgi narodu polskie go i pielgrzymstwa polskiego"

[53] Ludwik Wilczyński, *The Polish Himalaian Boom* 1971–79. Nieopublikowana.

[54] Gertrude Reinisch.

[55] Gertrude Reinisch.

[56] Barbara Rusowicz, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*.

[57] Gertrude Reinisch.

[58] Jerzy Kukuczka, *Mój pionowy świat*.

[59] Ibid.

[60] Liczne raporty błędnie opisują linę jako 6-milimetrową i używaną, kupioną w Katmandu w sklepie z używanym wyposażeniem. Ryszard potwierdził, że była 7-milimetrowa i nowa.

[61] Jerzy Kukuczka, *Mój pionowy świat*.

[62] Gertrude Reinisch, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*.

[63] Gertrude Reinisch, *A Caravan of Dreams*.

[64] 25 maja 2012 roku Kinga Baranowska weszła na swój ósmy ośmiotysięcznik, Lhotse, dedykując wspinaczkę Jerzemu Kukuczce (przyp. red.).

[65] Jerzy Porębski *Panie w górach*.

TYTUŁ ORYGINAŁU: *Freedom Climbers*

© copyright by BERNADETTE MCDONALD 2011
© copyright by Agora SA 2012

REDAKCJA: Wojciech Fusek, Włodzimierz Nowak, Dariusz Żukowski

KONSULTACJA MERYTORYCZNA: Janusz Kurczab we współpracy z Anną Milewską, Bogdanem Jankowskim, Januszem Majerem, Anną Okopińską, Krystyną Palmowską, Ryszardem Pawłowskim, Ryszardem Szafirskim, Ryszardem Urbanikiem

TŁUMACZENIE: Wojciech Fusek, Robert Pagacz

KOREKTA: Jacek Bławdziewicz

SKANOWANIE I PRZYGOTOWANIE ZDJĘĆ: Paweł Bayer

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Urszula Pągowska – Kreacja Pro, dyrektor artystyczny – Andrzej Pągowski

OPRACOWANIE GRAFICZNE: Elżbieta Wastkowska

PRODUCENCI WYDAWNICZY: Małgorzata Skowrońska, Robert Kijak

KOORDYNACJA PROJEKTU: Magdalena Kosińska

Wydanie I elektroniczne

ISBN 978-832-680-385-7

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji